

4/
2011

CENA 15 ZŁ
(W TYM 5% VAT)

NOWY
OBYWATEL

TERAZ

W

TWOICH

RĘKACH

Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569



9 772082 764118 >



w Twoich rękach!

Zostań współtwórcą pisma jako:

Prenumerator

Już dziś zaprenumeruj naszą gazetę na najbliższe cztery numery. Osoby, które opłacą prenumeratę umieszczając dopisek „Nie kupuję u książkowego potwora” w tytule przelewu, otrzymają od nas upominki w postaci koszulek i książek (w celu ich otrzymania należy skontaktować się z nami pod adresem prenumerata@nowyobywatel.pl lub numerem telefonu 533 601 447).

Fundraiser

Znajdź firmy czy organizacje pozarządowe, dla których czytelnicy „Nowego Obywatela” będą stanowić cenną grupę docelową. Napisz na adres fundusz@nowyobywatel.pl lub zadzwoń pod numer 533 600 551, a otrzymasz profesjonalną ofertę dla potencjalnych reklamodawców oraz wszelkie informacje przydatne w pozyskiwaniu tego typu wsparcia. Dla najskuteczniejszych fundraiserów przewidujemy prowizję!

Pracodawca

Zatrudnij nas! Pod marką Kooperatywa.org świadczymy profesjonalne usługi poligraficzne i internetowe, z których wpływy stają się coraz ważniejszym wsparciem dla edycji „Nowego Obywatela”. Jeśli chcesz przyspieszyć ten proces – zostań sprzedawcą naszych usług lub zatrudnij nas do obsługi swojej organizacji lub firmy. Zobacz naszą ofertę i portfolio na www.kooperatywa.org, a następnie napisz na adres biuro@kooperatywa.org lub zadzwoń pod numer 533 600 551.

„Nowy Obywatel” w Waszych rękach



Fot. Katarzyna Reszka

Pierwszy raz w jedenastoletniej historii pisma złożony do druku numer przeleżał niemal dwa miesiące - czekając, aż uzbieramy wystarczającą ilość pieniędzy na opłacenie drukarni.

W naszych reklamach deklarujemy, że „walczymy o każdy numer tego pisma”. Nie ma w tym żadnej przesady: poszukiwanie środków na sfinansowanie prac redakcyjnych i druku to dla nas jedno z głównych codziennych zajęć. Mimo postępującej dywersyfikacji źródeł przychodów, Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”, którego jestem nowym prezesem, nadal nie osiągnęło stabilności finansowej. Wiele w tym naszej winy: społeczników, którzy skupieni na sianiu fermentu ideowego przez lata nie dość przykładali się do nauki zarządzania profesjonalnym wydawnictwem. Są jednak wyzwania, którym nie podoła nawet najlepszy zarząd, a jedynie akcjonariusze.

Dlatego zamiast wstępu zagrzewającego do walki o lepszy świat, mamy dziś dla Was, Drogie Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, kilka słów od wydawcy. Chcę w nich zachęcić Was do wzięcia współodpowiedzialności za mały, papierowy kawałek Waszego świata. Jego przetrwanie zależy bowiem także od zmiany Waszych przyzwyczajeń w dziedzinie nabywania naszego kwartalnika.

Ogromne marże i dodatkowe opłaty narzucane przez dystrybutorów prasy i książek, nieopłacone miesiącami faktury są w stanie dobić każdego wydawcę nienastawionego na masowego odbiorcę. O tym, że nie jesteśmy osamotnieni w naszych problemach z molochami, świadczy choćby coraz głośniejsza akcja „Nie karm książkowego potwora. Kupuj mądrze”, do której włączyliśmy się nie tylko jako wydawnictwo, ale również jako konsumenci zadrukowanego papieru. Przyszłość

ambitnej prasy i książek zależy w dużej mierze od tego, czy ich odbiorcy wyrobią w sobie nawyk kupowania z pominięciem wielkich sieci dystrybucji.

W tym miejscu apelujemy do Was: weźcie „Nowego Obywatela” w swoje ręce. Jeśli bliska jest Wam misja, którą realizujemy, od konsumpcji kolejnych akapitów przejdźcie do działania. Jeśli jeszcze nie jesteście prenumeratorami, najwyższy czas to zmienić. To najprostsze, co możecie zrobić - nie ponosząc żadnych kosztów, a nawet oszczędzając - by ułatwić nam utrzymanie wysokiego poziomu pisma oraz kwartalnego cyklu wydawniczego, obecnie zagrożonego. Płacąc za gazetę z góry, pomagacie nam zachować płynność finansową, a także zyskujecie pewność, że Wasz wkład w całości zasila budżet pisma, a nie bezdenne kieszenie dystrybutorów-gigantów.

Dla tych, dla których obecność w debacie publicznej propagowanych przez nas idei jest ważna, mamy także inne propozycje świadomego „akcjonariatu” w działalności wydawniczej Stowarzyszenia. Dlatego w tym numerze szczególnie polecam Waszej uwadze... reklamy, treść z reguły omijaną w poszukiwaniu kolejnego inspirowanego tekstu. Na poszczególnych stronach okładki oraz na stronach 90 i 158 znajdziecie informacje na temat tego, co możecie zrobić, by mieć pewność, że kolejny numer „Nowego Obywatela” trafi do Waszych rąk. Również od Was zależy, kiedy będziemy mogli znowu się spotkać.

MICHAŁ SOBCZYK

6 OFE - system społecznego bankructwa

WYWIAD

rozmowa z prof. dr hab. Leokadią Oręziak

13 Na peryferiach Europy

Carl Rowlands

20 Kraje wielu stolic

Karol Trammer

Wdrożenie polityki deglomeracji władzy publicznej oznaczałoby koniec „warszawki”, czyli zjawiska skupienia w jednym ośrodku klasy politycznej i elity urzędniczej, wpływających na sytuację w całym kraju mimo funkcjonowania w co najmniej lekkim oderwaniu od realiów życia poza największym miastem.

26 Radio-aktywni

Michał Sobczyk

Społecznościowe rozgłoszenie stanowią nie tylko alternatywę programową dla stacji komercyjnych. Bywają jednocześnie wspianymi szkołami aktywności, demokracji i samopomocy.

31 Między edukacją a pomocą społeczną

Rafał Bakalarczyk

Jeśli pomoc społeczna ma faktycznie wspierać w przezwyciężaniu trudnych sytuacji życiowych, a nie tylko łagodzić sytuację materialną najuboższych (choć i to jest potrzebne), niezbędne jest oddziaływanie na wzorce postępowania i integrowanie ludzi ze społecznością. Temu właśnie służy edukacja środowiskowa.

37 Stygmaty i schematy

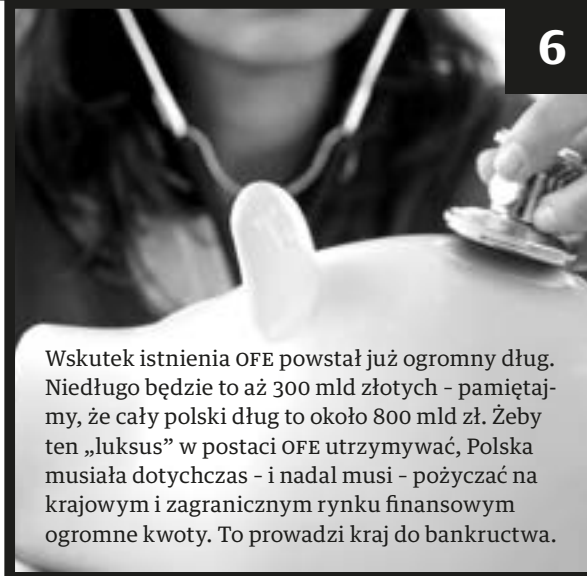
rozmowa z dr Anitą Gulczyńską

45 Równi i równiejsi

Janina Petelczyc

Pomimo braku formalnych barier, możliwości ludzi młodych przy wyborze kolejnych etapów kształcenia, a później podjęcia dobrej pracy są znacznie większe w przypadku osób od początku podążających „lepszą ścieżką” edukacyjną.

6



Wskutek istnienia OFE powstał już ogromny dług. Niedługo będzie to aż 300 mld złotych - pamiętajmy, że cały polski dług to około 800 mld zł. Żeby ten „luksus” w postaci OFE utrzymywać, Polska musiała dotychczas - i nadal musi - pożyczać na krajowym i zagranicznym rynku finansowym ogromne kwoty. To prowadzi kraj do bankructwa.

13

Zamiast wdrażać rozwiązania dostosowane do rzeczywistej sytuacji gospodarczej, politycy w nowo wyzwolonych krajach woleli kierować się ideologią. Wiele problemów, których doświadczyły „państwa akcesyjne” - i w konsekwencji cała Europa - wynikało z zasadniczo ideologicznego charakteru rozwiązań zaproponowanych Europie Wschodniej przez Zachód.



37

Pedagog nie ma szans, jeśli nie będzie prowadził działalności na tyle inkluzywnej, by pozwolić „chłopakowi z dzielnicy” pozostać „chłopakiem z dzielnicy”, oferując jednocześnie wybór innych kontekstów socjalizacji, w których może on osiągnąć satysfakcjonujący obraz siebie, a nie obraz „wykluczonego” czy „potrzebującego pomocy”.



51 **Dbajmy o siebie, czyli patriotyzm konsumencki (część II)**

dr Joanna Szalacha, dr Tomasz Jarmużek

Patriotyzm można rozumieć różnie, można go też negować. Nie można jednak negować tego, że w interesie każdego z nas jest zamożność naszego państwa i zamożność naszych sąsiadów, rodaków, godność ich życia oraz materialne bezpieczeństwo.

56 **Refleksje o autonomii śląskiej**

prof. dr hab. Marek Marian Drozdowski

Los Górnego Śląska i innych regionów Polski jest ściśle związany z polityką gospodarczą państwa polskiego, z wielkim, ogólnokrajowym wysiłkiem modernizacji infrastruktury, z dostosowaniem przemysłu do współczesnych wymogów energetycznych, z wdrażaniem nowoczesnych technologii w wielu branżach, z rozbudową wszystkich typów szkolnictwa i instytucji kulturalnych. Te trudne zadania nie mogą być zrealizowane pod hasłem „Śląsk dla Ślązaków”.

61 **Przerwać spektakl**

dr Jarosław Tomasiewicz

Masy zostały zatomizowane i spacyfikowane. Uspiono je. Co robi człowiek zamożny po pracy? Idzie do pubu, na fitness, na tenisa, jedzie na wycieczkę. Co robi człowiek biedny? Siada przed telewizorem. Biedni wycofują się z życia społecznego w dużo większym stopniu niż bogaci. Wstydzą się zabierać głos publicznie. A gdy już to robią, to najczęściej powtarzają komunały zasłyszane w mediach.

63 **Cztery dylematy demokracji radykalnej**

Wojciech Czabanowski, Błażej Skrzypulec

Wydaje się, że dzisiejsze spory toczące się wokół dychotomii lewica - prawica lub trychotomii socjaliści - konserwatyści - liberałowie, będą musiały ustąpić sporom bardziej fundamentalnym. Mianowicie takim pomiędzy postępowymi zwolennikami demokracji radykalnej a konserwatystami spod znaku demokracji przedstawicielskiej.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

70 **Wojna i pokój klas**

rozmowa z dr. Janem Czarzastym

Uzwiązkowienie mamy na poziomie 16%, jednak w sektorze prywatnym jest to ok. 3%. Główną barierą dla jego rozwoju będzie właśnie niechęć Polaków do zrzeszania się. Specyficzny polski indywidualizm, który ma głębokie historyczne korzenie, będzie niestety przesądzał o tym, że stosunki pracy w naszym kraju zachowają pluralistyczny charakter. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to pozycja pracownika ulegnie dalszemu osłabieniu.

78 **Trudne kroki w dorosłość**

Bartłomiej Kozek

8,1 miliarda funtów rocznie kosztują społeczeństwo zasiłki dla młodych bezrobotnych oraz związane z tym koszty utraty produktywności gospodarki. Koszty społeczne przestępczości wśród osób młodych to dalsze 4,4 mld, leczenia depresji - 340 milionów (wraz z innymi kosztami, jak np. utrata efektywności pracy, sięgają nawet 1,5 mld), kolejne 3 mld strat ponosi kraj wskutek uzależnienia „dorosłej młodzieży” od narkotyków.

82 **Bezrobocie: brak miejsc pracy czy brak kwalifikacji?**

John Miller, Jeannette Wicks-Lim

Jeżeli rzeczywiście mielibyśmy do czynienia z sytuacją, w której pracodawcy napotykają na ogromne trudności w poszukiwaniach na oferowane miejsca pracy osób o odpowiednich kwalifikacjach, to osoby spełniające te wymagania byłyby rozchwytywane na pniu. Jednak zastój w zatrudnieniu dotyczy także bezrobotnych doświadczonych zawodowo oraz osób, które pracując na część etatu szukają dodatkowego zajęcia.

86 **Kredyty dla rozwoju - nie dla zysku**

Krzysztof Mroczkowski

Model państwowego kredytu „non profit” różni się znacząco od dzisiejszej metody dokonywania przez państwo - zresztą nader rzadko - wielkich projektów infrastrukturalnych. W systemie państwowego kredytu „non profit”, państwo byłoby nie pożyczkobiorcą, lecz pożyczkodawcą!



PROJEKT OKŁADKI
© Piotr Świderek / Kooperatywa.org

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Konrad Malec, Remigiusz Okraska (redaktor naczelny),
Michał Sobczyk, Szymon Surmacz

KWARTALNIK „NOWY OBYWATEL”

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź
tel./fax 42 630 22 18
propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl
reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl
opracowanie graficzne: kooperatywa.org

nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644
NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywateli Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Marcin Domagała,
Joanna Duda-Gwiazda, Bartłomiej Grubich,
Maciej Krzysztofczyk, dr hab. Rafał Łętocha,
dr hab. Sebastian Maćkowski, dr Arkadiusz Peisert,
dr Joanna Szalacha, dr Jarosław Tomasiewicz, Karol Trammer,
Bartosz Wieczorek, Krzysztof Wołodźko, dr Andrzej Żybała

RADA HONOROWA

Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży,
Piotr Ciompa, prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda,
dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka, Bogusław Kaczmarek,
Marek Kryda, Jan Kozia, Bernard Margueritte, Mariusz Muskat,
dr hab. Włodzimierz Pańków, dr Adam Piechowski,
Zofia Romaszewska, dr Zbigniew Romaszewski,
dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun,
Krzysztof Wyszkowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian
stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów
nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie
zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają
poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk
materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po
uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem
umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on
przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem
konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej
strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na
adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

W całej Polsce „Nowego Obywatela” można kupić w sieciach
salonów prasowych Empik, Ruch, Inmedio, Relay.
Wybrane teksty z „Nowego Obywatela” są dostępne
na stronach OnetKiosku (kiosk.onet.pl)

SPIS TREŚCI

91 Dwa oblicza mikrokredytu

Piotr Chmielewski

To nie klienci przychodzą do banku, lecz bank wychodzi do klienta. Dzięki temu pracownicy instytucji mikrofinansowych mogą upewnić się, że mikrokredyt przeznaczony jest na cel inwestycyjny, a nie konsumpcyjny. Poprzez częste kontakty z klientem oraz wywiady środowiskowe bank dba, aby jego klienci nie zadłużali się w kilku instytucjach jednocześnie oraz nie spłacali rat kredytu poprzez zaciąganie kolejnego.

96 Kapitalizm i przekleństwo wydajności energetycznej

John Bellamy Foster, Brett Clark, Richard York

System ekonomiczny nastawiony na zysk, akumulację i ekspansję, będzie bez końca wykorzystywał każdy wzrost wydajności oraz każdą redukcję kosztów, by zwiększyć skalę produkcji. Technologiczna innowacyjność jest podporządkowana tym samym ekspansywnym celom. Bezwzględna oszczędność energii nie leży w naturze kapitalizmu.

102 Polska satelicka

Jerzy Wawrowski

W ciągu XVI w. w gospodarce Rzeczypospolitej dominującą pozycję zdobyło rolnictwo, a w jego ramach zarysowała się silna tendencja do monokultury zbożowej. Na eksporcie produktów rolnych opierał się dodatni bilans w handlu zagranicznym. Ten, jak się wydawało, znakomity interes zbożowy stworzył jednak solidne fundamenty naszej gospodarczej i cywilizacyjnej satelickości, która trwa do dzisiaj.

112 Marks, dług publiczny i neoliberalizm

dr Edward Karolczuk

Marks, niezależnie od tego, jaki był ustrój w danym państwie, widział ogromną polityczną rolę długu publicznego. Określał go jako „wyprzedaż państwa”. Nie był to proces obojętny dla funkcjonowania systemu politycznego. Każdy ustrój staje się zależny od tego, kto mu pożycza.

NASZE TRADYCJE

117 Dyktatura nad proletariatem

Karl Kautsky

Ten w teorii i praktyce zdecydowanie reakcyjny charakter, który nie prowadzi w kierunku do socjalizmu, lecz od niego odwodzi, on to obok brutalności i chęci panowania odpycha coraz szersze kręgi proletariatu od bolszewizmu. Sprawi to, że zejdzie on z widowni, nie zostawiając po sobie nic prócz ruin i przekleństw.

125 Fabryki dla aparaczków

Otto Bauer

Dyktatura taka rozporządza najstraszniejszymi środkami przemocy. Podlega jej bezpośrednio cały przemysł, górnictwo, komunikacja, organizacja rozdziału towarów. Dysponuje ona całą siłą roboczą kraju. Jest to nowy, straszliwy despotyzm, który powstał tą drogą.

130 Dola pracowników w ZSRR

Victor Serge

Nierówność zarobków jest uderzająca, dochodząc w klasie robotniczej do stosunku 1:15. Zarobki większości są bardzo niskie, znacznie niższe niż średnie płace podane przez statystyki, i zupełnie nie wystarczają do utrzymania. Płaca tzw. średnia pozwala na poziom życia niższy od przedwojennego w Rosji, znacznie niższy od skali życia większości robotników na Zachodzie.

140 Przez demokrację do socjalizmu

Kamil Piskala

Uosabiał wszystko to, co najlepsze w tradycji PPS: przywiązanie do niepodległości Polski, szczery i głęboki demokratyzm oraz żarliwą wiarę w możliwość zbudowania lepszego świata. Wartości te nie straciły do dziś nic ze swojej aktualności. Życie i myśl Niedziałkowskiego mogą wciąż być inspiracją w ich realizacji.

147 Rozprawa z liberalnym kapitalizmem

RECENZJA

Dorota Janiszewska

Autor argumentuje, że planowanie i kontrola nie muszą być zaprzeczeniem wolności. Natomiast to właśnie blokowanie przez liberałów wszelkich prób regulacji rynku, tworzenia przepisów i kontroli sprawiło, że zwycięstwo faszystów stało się nieuniknione.

151 Wielkość i małość „Solidarności”

RECENZJA

Krzysztof Wołodźko

Pierwsza „Solidarność” była swoistym sojuszem „ludzi pracy” z naukowcami, humanistami, intelektualistami i inteligencją techniczną. Równocześnie widać przez jej pryzmat, że inteligencki, w dużej mierze lewicowy etos był w czasach PRL silnie zakorzeniony w myśleniu i działaniu sporej części elit, że właściwie dopiero realia III RP przyniosły jego erozję.

Z POLSKI RODEM

135 Ekonomia i moralność. Ks. Jan Piwowarczyk - krzewiciel katolicyzmu społecznego

dr hab. Rafał Łętocha

Wyrażał przekonanie, że ustrój kapitalistyczny odchodzi w przeszłość, że wielki kryzys gospodarczy to nie tylko chwilowe przesilenie czy załamanie koniunktury, ale ostateczny krach tego systemu.

NIC ŚMIESZNEGO

© PIOTR ŚWIDEREK
BARDZOFAJNY.NET



OFE – system społecznego bankructwa

z prof. dr hab. Leokadią Oręziak
rozmawia Rafał Bakalarczyk

-
- **Krytyka systemu emerytalnego wprowadzonego przez rząd Jerzego Buzka odbywa się w dwóch głównych układach odniesienia, które stanowią z jednej strony finanse publiczne, z drugiej zaś bezpieczeństwo socjalne emerytów i stabilność systemu. Które kategorie zarzutów wobec systemu kapitałowego są Pani zdaniem najpoważniejsze i najbardziej uzasadnione?**
 - **Prof. Leokadia Oręziak:** Myślę, że jedna i druga. W pierwszej kolejności należy powiedzieć, że jest to system, na który nas jako kraju nie stać, ponieważ przyczynia się do ogromnego długu. Jeśli spojrzymy na doświadczenia państw, które bankrutują, tym bardziej staje się oczywiste, że nie możemy sobie pozwolić na coś takiego. Trzeba podkreślić, że nie posiadamy nadwyżki oszczędności i nie mamy z czego odkładać na emerytury, wobec czego, aby utrzymać otwarte fundusze emerytalne (OFE), stanowiące przymusowy filar kapitałowy systemu emerytalnego, rząd musi zaciągać pożyczki. Składki potrącone z naszych comiesięcznych wynagrodzeń powinny iść na emerytury obecnych emerytów, a ponieważ nie idą, gdyż w części kierowane są do OFE, musimy pożyczać, aby tym emerytom zapewnić świadczenia. Przecież nie chcemy zostawić ich bez środków do życia. Jak długo mamy deficyt budżetowy i dług publiczny, tak długo nie mamy nadwyżek. Gdybyśmy je mieli, wówczas moglibyśmy się zastanawiać, co z nimi zrobić. Moglibyśmy obniżyć podatki, budować autostrady czy szkoły, albo kupować papiery wartościowe i odkładać na emerytury. Ale nie mamy tych nadwyżek. Wskutek istnienia OFE powstał już ogromny dług. Niedługo będzie to aż 300 mld złotych – pamiętajmy, że cały polski dług to około 800 mld zł. Żeby ten „luksus” w postaci OFE utrzymywać, Polska musiała dotychczas – i nadal musi – pożyczać na krajowym i zagranicznym rynku finansowym ogromne kwoty. To prowadzi kraj do bankructwa.
 - **Jeśli nie finansować tego z długu, to jak? Można poprzez podniesienie podatków – wszystkich obciążyć, żeby powstała jakaś pula oszczędności na kupowanie papierów na ten cel. Jednak nie warto tego robić. Nie tylko dlatego, że to obniża konkurencyjność polskiej gospodarki, ale także ponieważ wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami społecznymi. I nie jest to dobry sposób zagospodarowania ewentualnych wyższych podatków. Mamy przecież tyle innych ważnych zadań – bezpieczeństwo, edukacja, infrastruktura...**
 - Innym źródłem może być wyprzedawanie majątku państwowego. To się dzieje od wielu lat. Sprywatyzowano już niemal wszystkie państwowe firmy, także z zakresu infrastruktury transportowej i energetycznej, istotne dla bezpieczeństwa państwa i obywateli. Presja wynikająca z istnienia dużego deficytu budżetowego, będącego skutkiem m.in. istnienia OFE, powoduje, że resztki majątku publicznego wyprzedajemy pośpiesznie, często za wszelką cenę. To jest tak, jak z gospodarstwem domowym – gdyby pan nagle zdecydował się oszczędzać na emeryturę, musiałby pan skądś wziąć pieniądze, by kupić akcje i obligacje. Jeśli pan ich nie ma, to idzie do banku i pożycza. Tak postępuje nasz kraj od ponad 10 lat – pożycza, żeby finansować OFE. A jeśli nie chciałby pan pożyczać, musiałby pan się zastanowić, co sprzedać. To także robimy, na siłę prywatyzując

zakłady czy sektory niezbędne dla bezpieczeństwa kraju. Albo będzie pan odejmował sobie od ust, i aby odłożyć na okres starości zmniejszy teraz wydatki na jedzenie lub kształcenie dzieci. W skali państwa odpowiednikiem tego jest cięcie wydatków budżetowych na cele społeczne, a także podnoszenie podatków.

To są trzy rodzaje poświęceń, które pokazałam na przykładzie gospodarstwa domowego, by odkładać środki na emeryturę. Można się czasem poświęcać dla ważnego celu, ale akurat ten, polegający na gromadzeniu papierów w ramach OFE, nie jest wart ani odejmowania sobie od ust, ani wyprzedawania sprzętów, ani zadłużania się. Papiery wartościowe nie są dobrym sposobem zbierania przez dziesięciolecia środków na emeryturę. Ich wartość rujnuje inflacja, kryzysy finansowe, koszty oraz malwersacje instytucji finansowych. Ponadto, jeśli kupujemy papiery za pożyczone pieniądze, to będziemy musieli spłacać nie tylko kredyt, ale także odsetki od niego. W rezultacie mamy z jednej strony zebrane papiery, ale z drugiej ogromny dług do spłacenia.

Pierwszy aspekt problemu o nazwie OFE jest więc taki, że nie mamy pieniędzy na rozwiązanie tego typu. Prowadzi to Polskę do sytuacji, w jakiej znalazła się Grecja i inne zadłużone kraje strefy euro. Możemy jednak spojrzeć na Węgry, gdzie zdecydowano się wprowadzić dobrowolność przynależności do OFE. Na początku 2011 r. każdy uczestnik OFE musiał sam zdecydować, czy zapisać się ponownie do funduszy - i z 3,1 mln uprawnionych zapisało się tylko 100 tys. Środki tych, którzy się nie zapisali, wróciły do systemu finansów publicznych i znacznie zmniejszyły dług publiczny państwa. Dało to Węgrom szansę na zmniejszenie podatków i zwiększenie wydatków na cele pro-rozwojowe. Premier Węgier w obronie interesów państwa i obywateli umiał przeciwstawić się zagranicznym korporacjom (w dużej części tym samym, co w Polsce) ciągnącym zyski z OFE.

Drugi aspekt problemu dotyczy sytuacji emerytów. Zajmuję się rynkiem finansowym od dawna i nie uważam, żeby korzystne było przymusowe lokowanie na emeryturę środków w papiery wartościowe. W ramach systemu emerytalnego wprowadzonego w 1999 r., łączna emerytura z pierwszego (ZUS) i drugiego filara (OFE) będzie bardzo niska. Cudem będzie, jeśli osiągnie ona 1/3 ostatniego wynagrodzenia przyszłego emeryta. Z powodu OFE, część z tej przyszłej, niewielkiej przecież emerytury jest dodatkowo narażona na wielkie ryzyko związane z rynkiem finansowym. Gdy ktoś ma tak skromne środki, jakie rysują się w ramach przyszłych emerytur, to nie powinien grać na giełdzie, bo gdy przegra, nie będzie miał nawet na mleko i chleb. Tymczasem państwo polskie utrzymuje system, w którym tymi pieniędzmi gra się na giełdzie, a całe ryzyko spada na przyszłego emeryta. To nie jest sposób, by skutecznie zwiększyć środki na sfinansowanie godziwych emerytur. Jest to natomiast sposób, by przez kilkadziesiąt lat utrzymywać z pieniędzy emerytów wielkie instytucje





finansowe. Są to niemal w całości zagraniczne towarzystwa ubezpieczeniowe i banki, będące akcjonariuszami działających obecnie w Polsce 14 Powszechnych Towarzystw Emerytalnych (PTE).

- **Nie mniej istotny niż antyspołeczne skutki związane z OFE jest sam mechanizm wprowadzenia tego systemu. Pisała Pani, m.in. na podstawie książki prof. Mitchella A. Orensteina, nie tylko o tym, z czego wiele osób zdaje sobie sprawę, czyli o braku autentycznej i rzetelnej debaty przed wprowadzeniem systemu kapitałowego (zastąpiły ją kampanie reklamowe), ale także o znacznie mniej jawnych aspektach tego procesu. Mam na myśli nasilony lobbying i ogromne kwoty, które ponadnarodowe koncerny ubezpieczeniowe i banki przeznaczyły na promowanie rozwiązań korzystnych dla siebie.**
- Książka prof. Orensteina to bardzo poważna publikacja człowieka, który współpracował z Bankiem Światowym, miał dostęp do wielu dokumentów oraz przeprowadził systemowe badania. Doświadczenia związane z funkcjonowaniem II filara kapitałowego najpierw zaczęto gromadzić w Chile. Pobieranie przymusowo co miesiąc składek emerytalnych od milionów ludzi to dla banków i innych instytucji finansowych wspinały interes. Okazało się, że we wprowadzanie tego systemu w takich krajach, jak Polska, włączył się także Bank Światowy pod naporem wielkich korporacji międzynarodowych, które zwietrzyły okazję do nowych wielkich zysków.

W książce znakomicie opisano kampanię towarzyszącą wprowadzeniu II filara systemu emerytalnego w krajach, które nie potrafiły się oprzeć tej wielkiej presji ze strony podmiotów międzynarodowych. W państwach rozwiniętych, dojrzałych demokracjach, społeczeństwa nie pozwoliły narzucić sobie tego przymusowego opodatkowania na rzecz zagranicznych korporacji. Orenstein przedstawił m.in. to, jak zwolennicy OFE przegrali batalię w USA, mimo że proponowano tam przymusową składkę w wysokości 2% pensji (u nas jest to aż 7,3%). Pokazał on, że tego systemu nie przyjęły kraje silne i bogate. Inaczej było w państwach mocno uzależnionych od międzynarodowych instytucji finansowych. Rządzący okazali się nieodporni na zmasowaną akcję instytucji międzynarodowych, podjętą w latach 90. Prof. Orenstein opisuje jak wytypowano kraje do wprowadzenia OFE, jak pozyskiwano i szkolono w tym celu krajowych polityków i ekspertów, łącznie z finansowaniem ich wyjazdów na wycieczki do Chile i Argentyny. Była to wyrafinowana postać korupcji. Moim zdaniem, książka ukazuje dramatyczną walkę przeciwników OFE, będących w istocie obrońcami suwerenności kraju, z tymi, którzy stanęli po drugiej stronie. Chciałabym mieć nadzieję, że zwolennicy wprowadzenia OFE w Polsce działali w dobre wierze, ale nie jest to łatwe.

Czemu nikogo nie dziwiło, że inne rozwinięte kraje nie wprowadziły takich rozwiązań? Powie ktoś: a Szwecja? Wyjaśnijmy różnice. Gdy u nas ustalono składkę do OFE na poziomie 7,3% wynagrodzenia, tam dotyczy to

nieco ponad 2%. Poza tym w Szwecji nie pobiera się opłaty od składek, która u nas wynosiła najpierw 10%, później 7%, a teraz 3,5%. W Szwecji takiej opłaty nie ma. Istnieje swoboda wyboru, jest kilkaset funduszy, a całością procesu zarządza państwo. A ponadto – i to jest kwestia kluczowa – Szwecja to kraj z nadwyżkami budżetowymi, a w Polsce od dziesięcioleci jest deficyt.

Co znamienne, w krajach rozwiniętych nie ma przymusu oszczędzania na emeryturę na rynku finansowym. Został on ustanowiony jedynie w krajach, które nie miały doświadczenia z gospodarką rynkową i nie potrafiły się oprzeć silnej presji instytucji międzynarodowych. Teraz trudno się wycofać z tego systemu rujnującego kraj, gdyż instytucje te nie chcą zrezygnować ze stałego, ogromnego źródła zysków, napędzanego państwowym przymusem. Węgry pokazały patriotyczne podejście, w zasadzie likwidując OFE. Inne kraje naszego regionu zredukowały ten system do minimum. U nas zaś system OFE funkcjonuje ciągle dlatego, że ludzie nie mają wystarczającej świadomości, iż dzieje się to ich kosztem, a instytucje finansowe potrafią skutecznie wpływać na polityków i tzw. niezależnych ekspertów.

- Mimo oporu wielu wpływowych środowisk, rząd niedawno przeforsował zmiany w systemie emerytalnym, przede wszystkim zmniejszając część składki przekazywanej do OFE. Czy uchwalone zmiany są wystarczające z punktu widzenia interesu publicznego?

- Trzeba podkreślić, że stało się dobrze, iż zredukowana została składka przekazywana do OFE – z 7,3% do 2,3%. Dobrze, że rząd wykazał determinację wobec ogromnego sprzeciwu instytucji finansowych. Gdyby tego nie zmieniono, do OFE trafiałyby składki w wysokości ponad 24 mld zł rocznie. Ponadto trzeba uwzględnić odsetki od całego długu spowodowanego przez OFE. Łącznie to ponad 40 mld zł rocznie nowego długu publicznego. Teraz, dzięki redukcji składki, pożyczamy mniej, choć i tak za dużo. Dobrze że zrobiono taki krok, gdyż trzeba było ratować państwo. Gdy zacznie się taka tragedia jak w Grecji, to będzie za późno – trzeba będzie sprzedawać ziemię, lotniska, porty, lasy i inne składniki dziedzictwa narodowego.

- W medialnej debacie Leszek Balcerowicz i Jacek Rostowski spierali się o kupowanie przez fundusze emerytalne obligacji Skarbu Państwa. Wydawali się natomiast zgodni co do zasadności inwestowania środków ze składek w akcje na giełdzie. Tymczasem Pani nie podziela tego przekonania – dlaczego?

- Oni rozmawiali o drugim kroku w całym systemie funkcjonowania OFE. Pierwszy krok to wspomniane miliardy złotych składki rocznie od naszych wynagrodzeń, które przekazywane są przez ZUS do OFE, zamiast iść na wypłatę obecnych emerytur. Zatem, aby obecni emeryci mogli otrzymać emeryturę i mieli za co przeżyć, rząd musi znaleźć pieniądze, by zrekompensować



ORE ZIAK

Leokadia Oręziak – profesor nauk ekonomicznych, profesor zwyczajny w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, pracuje w Katedrze Finansów Międzynarodowych tej uczelni, jest kierownikiem Zakładu Finansów Przedsiębiorstw i Ubezpieczeń. Kieruje również niestacjonarnymi studiami doktoranckimi w Kolegium Gospodarki Światowej SGH. Autorka takich książek, jak „Finanse Unii Europejskiej”, „Euro – nowy pieniądz”, „Konkurencja podatkowa i harmonizacja podatków w Unii Europejskiej”, „Jednolity rynek ubezpieczeniowy w Unii Europejskiej”, współautorka kilku książek, m.in. „Międzynarodowe rynki finansowe”. Jako ekspert Sejmu RP przygotowała opinię do projektu ustawy z 25 marca 2011 r. dotyczącej zmian w OFE.

ZUS-owi ten ubytek środków. Trzeba więc pożyczyć całą tę kwotę, którą ZUS przekazuje do OFE. Najpierw więc powstaje dług publiczny: rząd musi emitować obligacje skarbowe i znaleźć na nie nabywców w kraju i za granicą. Część z tych obligacji kupią OFE.

Drugi krok to inwestowanie przez OFE pieniędzy otrzymanych ze składek. Powstaje absurdalna sytuacja: konieczność przekazania składek do OFE powoduje deficyt w budżecie państwa. Potem państwo musi pożyczyć pieniądze, także od OFE. Najpierw więc pożyło się pieniędzy, a potem te same pieniądze pożyczają, dając przy tym zarobić instytucjom finansowym. Przecież to nonsens i ogromne marnotrawstwo pieniędzy publicznych. Ponadto, gdy pan będzie szedł na emeryturę, społeczeństwo będzie musiało wykupić te obligacje nabyte przez OFE do pańskiego portfela emerytalnego (oraz pozostałe, wynikające z długu tworzonego przez OFE). Wszyscy będziemy musieli się wtedy na to złożyć poprzez wyższe podatki. Tak wygląda to oszczędzanie na emeryturę w ramach OFE. Nie dość, że teraz tworzy dług zagrażający niewypłacalnością państwa, to jeszcze w przyszłości oznacza ogromne obciążenia podatkowe. Oprócz tego w międzyczasie PTE pobiorą opłaty od składek i przez dziesięciolecia będą co miesiąc pobierać opłaty za zarządzania aktywami OFE, powodując topnienie zgromadzonego kapitału.

Jeśli zaś chodzi o akcje, czyli kolejny element inwestowania (poza obligacjami) w ramach drugiego kroku,

również nie ma to sensu. Gdybyśmy jako kraj mieli nadwyżki finansowe, to ostatecznie możemy inwestować w przyszłe emerytury kupując akcje i inne instrumenty finansowe. Ale OFE kupują te akcje z pożyczonych pieniędzy. W efekcie kraj zadłuża się, żeby OFE mogły nabywać akcje na giełdzie i rynku pozagiełdowym. Z pożyczonych pieniędzy państwo nabija więc bańkę spekulacyjną na giełdzie, a ponadto daje instytucjom finansowym do dyspozycji pieniądze do obracania przez dziesięciolecia, według ich własnego uznania, w tym finansowania własnych i powiązanych spółek (trzeba dbać tylko o to, by nie przekroczyć limitu inwestowania w akcje).

- **Czyli zasadniczy problem związany z kupowaniem akcji na giełdzie to wspomniany brak nadwyżki budżetowej? Czy to, że gra na giełdzie nie daje gwarancji stabilnych emerytur?**

- Jedno i drugie. Nie mamy pieniędzy na takie inwestowanie i to powinno zamykać dalszą dyskusję. Nie jestem wrogiem rynków finansowych, ale uważam, że gra na nich powinna odbywać się na zasadach dobrovolności. Jeśli ktoś chce, żeby pieniędzmi przeznaczonymi na jego emeryturę grać na giełdzie, to niech sam zdecyduje o tym i sam ponosi ryzyko. Do tego trzeba dodać zagrożenie kryzysami finansowymi. Zanim przejdzie pan na emeryturę, będzie jeszcze niejeden kryzys, który zrujnuje te oszczędności. W normalnych warunkach nikt rozsądny nie ryzykowałby takich strat - ale tutaj wszystko i tak pójdzie na koszt skarbu państwa, a więc podatników. Na wysoką szkodliwość OFE wskazuje fakt, że aby utrzymać te fundusze Polska zadłuża się, płacąc odsetki ponad 6%, a rentowność osiągnięta przez OFE to ok. 3%. Państwo polskie pożycza więc na 6% (i więcej), by ulokować te środki na 3%. Ten stan rzeczy potwierdza występującą na rynku finansowym prawidłowość, że oprocentowanie kredytów jest niemal zawsze znacznie wyższe niż oprocentowanie lokat, jakie można osiągnąć inwestując uzyskane środki. Od ponad 10 lat Polska postępuje wbrew tej oczywistej zasadzie.

- **Jeśli mówimy o przyszłości, nasuwa się problem wysokości przyszłych emerytur. Czy możemy przewidzieć te wielkości i od czego będą one zależeć? Jakie mechanizmy mogłyby zmniejszyć skalę niepewności?**

- Jedyny rozsądny mechanizm emerytalny, jaki dotychczas wymyślono w świecie, polega na tym, że ci, którzy pracują, dzielą się dochodami z tymi, którzy już pracować nie mogą, czyli z emerytami. Jest to system repartycyjny. Ważne, żeby uświadamiać to wszystkim, zwłaszcza ludziom młodym. Obecnie wielu z nich uważa, że emeryci to darmozjady, ludzie niepotrzebni. To bardzo nieuczciwe. Liberalizm zasiał w wielu umysłach opinię, że starsze pokolenie nie zasługuje na finansowanie, a każdy powinien oszczędzać tylko dla siebie. Takie tradycyjne wartości, jak szacunek wobec starszych, pomoc i solidarność międzypokoleniowa, są



© EU Social, flickr.com/photos/social-europe/4364716577

coraz słabiej rozumiane i akceptowane wskutek liberalnego prania mózgów.

A odpowiadając na pytanie, co trzeba zrobić, żeby emerytury były pewne - na pewno nie wydawać pieniędzy na próżno (jak w przypadku OFE), lecz inwestować, aby kraj się rozwijał, zwiększać wydajność pracy, inwestować w wykształcenie i postęp techniczny. Jeśli będziemy bogaci, będziemy mieli się czym dzielić z naszymi rodzicami i dziadkami. Można wspomnieć też o demografii. Wydajność pracy i wzrost gospodarczy są ważne, ale niewystarczające. Należy również oddziaływać na strukturę demograficzną, przeznaczając środki m.in. na żłobki i przedszkola czy wsparcie pracujących matek. Byłoby na to zresztą znacznie więcej funduszy, gdyby nie ten straszny błąd w postaci OFE. PTE wzięły dla siebie kilkanaście miliardów złotych w postaci opłat i prowizji. Ile można byłoby za to zbudować przedszkoli, których teraz tak brakuje?

- **Zwolennicy reformy emerytalnej z lat 90. zwykli wskazywać szereg argumentów za osłabieniem repartycyjnego charakteru systemu: zmianę relacji między liczbą pracujących a liczbą emerytów, potrzebę dywersyfikacji ryzyka, uniezależnienie sytuacji emerytów od decyzji politycznych oraz od rzekomej niegospodarności ZUS. Jak Pani ocenia zasadność poszczególnych zarzutów?**

- Jeśli chodzi o sytuację demograficzną, można korygować zmianę proporcji grup wiekowych poprzez stworzenie fundamentów trwałego rozwoju gospodarczego i wzrost efektywnego zatrudnienia. Potrzebne są np.



Takie tradycyjne wartości, jak szacunek wobec starszych, pomoc i solidarność międzypokoleniowa, są coraz słabiej rozumiane i akceptowane wskutek liberalnego prania mózgów.

inwestycje w infrastrukturę i szkolnictwo. Taką drogą tworzy się dobrobyt, a jeśli jest dobrobyt, to jest też co dzielić. Trzeba więc dbać zarówno o sytuację demograficzną, jak i tworzyć podstawy do wzrostu gospodarczego.

Drugi aspekt to dywersyfikacja. Hasło wymyślone przez Bank Światowy – „Bezpieczeństwo w różnorodności” – rozminęło się z rzeczywistością. Dzięki tej swoistej „różnorodności” ryzyko niestabilnych i niskich emerytur nie tylko nie jest mniejsze, lecz znacznie wzrosło. OFE stwarza ogromne ryzyko zarówno dla bezpieczeństwa państwa, jak i przyszłych emerytur.

Powtórzę: jeśli ktoś ma nadwyżki i wierzy w rynek finansowy, może inwestować na rynku kapitałowym, ale niech to robi na własną rękę. Państwo nie powinno przymuszać do tego obywateli poprzez OFE. Kryzysy pokazały, że bezpieczeństwa na rynkach finansowych już nie będzie. Nie ma już takich instrumentów finansowych, w które można bezpiecznie inwestować.

- **A jeśli chodzi o uniezależnienie od polityki oraz o domniemaną niegospodarność ZUS?**
- Zapytajmy może, czy w wyniku istnienia OFE emerytura byłaby niezależna od przyszłych decyzji polityków, gdy przejdzie pan na emeryturę? Spójrzmy na strukturę portfela – są tam akcje i obligacje skarbowe. Kto wykupi pana obligacje, jeśli państwo nie będzie dobrze rządzone? Kto teraz wykupuje obligacje np. Grecji? Ona jest na garnuszku instytucji międzynarodowych. W systemie kapitałowym nasze emerytury też są zależne od decyzji polityków. Również wartość akcji jest zależna od

sytuacji gospodarczej i funkcjonowania państwa. System OFE wcale nie łagodzi problemu, lecz go potęguje. Punktem wyjścia jest to, jak kraj jest zarządzany. Jeśli dobrze, a gospodarka się rozwija, wówczas są pieniądze także na emerytury. Jeśli jest ogromny dług i zagrożenie bankructwem państwa, przyszła wartość papierów skarbowych może zostać znacznie zredukowana (nawet do zera), podobnie jak papierów emitowanych przez przedsiębiorstwa. W każdym przypadku właściwe rządzenie polityków jest potrzebne i nie można się od tego uwolnić. Nie można powiedzieć: zabieram swoje zabawki i nie będę zależny od tego, co dzieje się w państwie. Te argumenty o bezpieczeństwie i różnorodności zostały wymyślone przez Bank Światowy.

- **Wspominała Pani, że pod wpływem dyskursu liberalnego dokonała się zmiana kulturowa, polegająca na odchodzeniu od solidarności międzygeneracyjnej. Spotkałem się z tezą, że przechodzenie do systemu kapitałowego wiąże się ze zmianą postrzegania starości, która przestaje być uważana za typowe ryzyko socjalne. W związku z tym zabezpieczenie przed jej skutkami powinno się odbywać w ramach indywidualnej przeczności – przesunięcia środków między różnymi fazami życia jednostki. Gdzie tkwi błąd w tym rozumowaniu?**
- Myślę, że jest to odkręcanie prawidłowości, które obowiązywały przez tysiąclecia. Zgodnie z nimi, dzieci powinny zadbać o rodziców i nie zostawiać ich na pastwę losu. Mamy teraz taki dziki kapitalizm, w którym w wielu przypadkach ludzie starsi są postrzegani

jako niepotrzebni i najlepiej gdyby w ogóle ich nie było. Tymczasem zwłaszcza młode pokolenie powinno sobie uświadomić, że gdyby nie praca poprzednich i obecnych emerytów, to nie byłoby większości istniejącego majątku publicznego i prywatnego. Prawie wszystko, co mamy, zostało stworzone przez nich. Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałoby tworzenie gospodarki, gdyby trzeba to robić teraz od zera, np. na księżycu. Tam nie było poprzednich pokoleń. Młodzi nie musieliby im nic płacić, ale też niczego by nie odziedziczyli. Powinni sobie uświadomić, że starsi ludzie, wymagający opieki, stworzyli bazę dla naszego funkcjonowania. Tej minimalnej uczciwości młodym ludziom często brakuje.

W efekcie propagandy rozwijanej przez lata przez zwolenników OFE nastąpiło duże спустoszenie w umysłach wielu osób, którym mówi się np. że dobrze byłoby zlikwidować ZUS. Tymczasem ZUS jest tylko instytucją techniczną. Ktoś musi zorganizować pobieranie składek i przekazać świadczenia beneficjentom. Nie można do ZUS-u mieć pretensji, że wypłaca niskie emerytury. ZUS wypłaca tylko tyle, ile jako obywatele zgodzimy się - za pośrednictwem parlamentu - żeby wypłacano. Jeśli będziemy chcieli więcej, to on przekaże więcej. To tylko kasjer. Jakże nierozsądne są głosy, żeby ZUS zlikwidować. Pamiętajmy, że ZUS obsługuje nie tylko te kilka milionów emerytów obecnych, ale także zbieranie składek od kilkunastu milionów pracowników, obsługuje rencistów, osoby na urloпах macierzyńskich, zasiłki chorobowe, wypadkowe etc. Nieraz słycać argumenty, że ZUS marnotrawi pieniądze. Ale - chcąc zachować symetrię - zapytajmy, ile z naszych składek pobierają, czyli kosztują nas, towarzystwa emerytalne. A ile od nich otrzymamy?

Pamiętajmy też, że jeśli będziemy promować taki indywidualistyczny model kapitalizmu, to nasze dzieci też się nami nie zajmą. Jak ktoś będzie przechodził na emeryturę, będzie traktowany jak osoba zbędna. To są ogromne zmiany w mentalności, które bardzo ciężko będzie odwrócić. Wiele będzie zależało od mediów. Tymczasem one zależą w dużej części od banków i innych instytucji finansowych (jako reklamodawców, a także właścicieli). Trudno oczekiwać, że będą prezentować poglądy sprzeczne z interesami sponsorów.

- **Chciałem zapytać o szerszy aspekt problemów związanych z systemem emerytalnym. Obecnie wiele osób pracuje na tzw. umowach śmieciowych, często pozostaje przynajmniej okresowo wyrzuconych poza rynek pracy. Czy obecny system zabezpieczenia społecznego, nawet jeśli byśmy zlikwidowali OFE, byłby w stanie odpowiedzieć na to zjawisko?**
- Jeśli nadal tak wielu ludzi będzie pracowało na umowach śmieciowych, większość z nich nie dopracuje się żadnej emerytury. Przed nami poważna dyskusja na ten temat. Jak zapewnić minimalne emerytury ludziom, którzy pracowali, lecz - nie z własnej winy - nie

uzbierali wystarczających środków na starość? Z drugiej strony, w dyskusji o emeryturach obywatelskich (pewna kwota dla każdego emeryta, niezależnie od przebiegu życia zawodowego) problem stanowi jak to zorganizować, żeby szara strefa się nie powiększyła. Bo wielu uzna, że jeśli i tak dostanie obywatelską emeryturę, to w ogóle nie będzie rejestrowało działalności i płaciło składek. Myślę, że samo życie wymusi taką dyskusję, gdyż rysuje się trudna sytuacja dla ogromnej rzeszy ludzi.

- **Obok wspomnianego zagadnienia, na horyzoncie jest jeszcze spór o podniesienie wieku emerytalnego. W tej sprawie zasadniczo zgodni są zarówno obóz rządzący, jak i jego jeszcze bardziej liberalni krytycy. Czy uważa Pani, że jest to optymalny społecznie lub po prostu nieunikniony kierunek zmian?**
- Jakakolwiek dyskusja o podniesieniu wieku emerytalnego powinna się rozpocząć dopiero, gdy zniesiemy obowiązek przynależności do OFE. W przeciwnym razie instytucje finansowe będą mogły dłużej czerpać zyski z OFE, a ludzie dłużej pracować, czyli dłużej przymusowo je finansować. Jeśli pozbedziemy się tego problemu, można się zastanawiać, czy podwyższyć wiek emerytalny. Ale również w tej kwestii sprawa nie jest taka prosta. Osoby, które później przechodzą na emeryturę, później zaczną otrzymywać świadczenia, więc będzie to korzystne dla finansów publicznych. Ale jednocześnie zajmą miejsca pracy młodym. Czy jest to sprawiedliwe i rozsądne? W pierwszej kolejności trzeba dbać o to, żeby młodym ludziom zapewnić pracę. Moim zdaniem, powszechne podwyższenie wieku emerytalnego to opcja na razie niedobra w polskich realiach. Taką możliwość powinni otrzymać ludzie, którzy mogą i chcą dłużej pracować, posiadają odpowiednie kwalifikacje i są potrzebni na rynku pracy. Ale po co wszystkich zmuszać do dłuższej pracy, gdy w tym samym czasie istnieje armia bezrobotnych?
- **Jeśli władze poprosiłyby Panią o rekomendacje w kwestii najpilniejszych kierunków zmian w systemie zabezpieczenia społecznego, to co by im Pani doradziła?**
- Ciągłe aktualne jest hasło likwidacji OFE. Ważny jest także sposób likwidacji. Jeśli chcielibyśmy tego dokonać, najlepiej wprowadźmy zasadę dobrowolności przynależności do OFE, być może według wzoru zastosowanego na Węgrzech. Ale to nie wystarczy, żeby uratować finanse publiczne. Poza tym jest wiele innych rzeczy do zrobienia, np. racjonalizowanie KRUS, rozważenie podniesienia wieku emerytalnego służb mundurowych. Ale zacząć trzeba od OFE, gdyż ze względu na skalę związanych z nimi zagrożeń dla państwa i obywateli, to najpoważniejszy problem dla finansów publicznych.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 14 lipca 2011 r.

Na peryferiach Europy

CARL ROWLANDS

Unia Europejska składa się obecnie z 27 państw. Ponad dziesięć z nich to kraje dawnego bloku wschodniego, a wraz ze zbliżającą się akcesją byłych republik jugosłowiańskich liczba ta wzrośnie. Środek ciężkości Europy przesuwa się. Proces rozszerzenia Unii Europejskiej nie tylko napędza zmiany w nowych krajach, ale prowadzi też do zmiany charakteru całej Europy.

W latach 90. zwykło się nazywać te państwa mianem „krajów transformacji ustrojowej”. Określenie to sugeruje optymistyczną perspektywę, liniowy postęp, porzucenie nieudanej komunistycznej przeszłości na rzecz przyszłości na wzór zachodnioeuropejski. Z kryzysu finansowego i recesji ostatnich lat można wysnuć wnioski, że optymizm ten jest nieuzasadniony. Jeżeli państwa Europy Środkowo-Wschodniej rzeczywiście przechodzą transformację, proces ten przypomina rozjeżdżony wóz, którym miotają zewnętrzne siły polityczne i ekonomiczne. Biorąc pod uwagę ciągłe wstrząsy i przemiany gospodarcze, przetaczające się przez całą Europę – nie jest pewne, w którym kierunku on podąży.

Wynikiem przemian jest powstanie obszaru niskich płac – gospodarki peryferyjnej na obrzeżach wysoko-rozwiniętego europejskiego centrum. Ma to szersze polityczne i społeczne konsekwencje dla całej Unii Europejskiej – zmienia się znaczenie słowa „europejski”.

Teoria ekonomiczna a rzeczywistość

Charakter gospodarek dawnego systemu komunistycznego jest często nierozumiany. Podmioty gospodarcze w systemie centralnego planowania nigdy nie były – wbrew pozorom – całkowicie obojętne na zmiany zachodzące na globalnych rynkach. Trzeba jednak przyznać, że nie były w stanie na nie reagować

w odpowiedni sposób – np. przez wzrost wydajności pracy lub rozwój innowacyjności. Jak twierdził Mark Pittaway, po kryzysie naftowym w połowie lat 70. na gospodarkę krajów Europy Środkowej i Wschodniej zaczęto wywierać presję. Spadek aktywności gospodarczej, który na Zachodzie doprowadził do wzrostu bezrobocia, na Wschodzie przejawiał się zaciąganiem pożyczek w zachodnich instytucjach, takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, lub zgodą na stopniowe obniżanie standardów życia. Mimo tego w 1989 r. wiele krajów peryferyjnych eksportowało do państw Zachodu swoje produkty, głównie lekarstwa, wyroby chemiczne, węgiel, tekstylia oraz żywność. Cały region zmagął się wtedy z problemami, takimi jak nadprodukcja, ukryte bezrobocie oraz brak inwestycji w edukację i badania naukowe.

Za sprawą swoistej symbiozy z sektorem publicznym, prywatne małe i średnie przedsiębiorstwa w krajach Europy Środkowej i Wschodniej nie musiały przejmować się konkurencją ze strony zagranicznych firm. Koszty, które ponosiły – podatki i składki na ubezpieczenie społeczne – były niewspółmierne. Ponadto przedsiębiorstwa te do pewnego stopnia wykorzystywały słabe strony sektora publicznego. Gdy w wyniku przemian gospodarczych zniknęły ułatwienia, sytuacja tych firm stała się bardzo trudna. Taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. To, co nastąpiło później,

spotęgowało tylko trudności, z którymi przedsiębiorstwa musiały się mierzyć. W efekcie wiele z nich zbankrutowało lub zostało zamkniętych.

Zamiast wdrażać rozwiązania dostosowane do rzeczywistej sytuacji gospodarczej, politycy w nowo wyzwolonych krajach woleli kierować się ideologią. Wiele problemów, których doświadczyły „państwa akcesyjne” – i w konsekwencji cała Europa – wynikało z zasadniczo ideologicznego charakteru rozwiązań zaproponowanych Europie Wschodniej przez Zachód. Rozwiązań, którym przyklasnęły rządy dawnego bloku wschodniego. Nowe czasy stały pod znakiem prywatyzacji i szerokiego poparcia dla liberalizacji. Dla zagranicznych firm pojawiły się duże możliwości inwestycyjne. Skupiono się na prywatyzacji. Następstwami takich „hurtowych” zmian mało kto zaprzętał sobie głowę.

Popularna stała się doktryna „terapii szokowej”. Miała ona doprowadzić do daleko idących zmian instytucjonalnych w ekonomii politycznej państw Europy Środkowo-Wschodniej, co jednocześnie otworzyło te kraje na wpływy Zachodu. Doktryna opracowana przez Jeffreya Sachsa miała przestawić gospodarkę regionu na kapitalistyczny sposób działania – wraz z jego restrykcyjną polityką monetarną i fiskalną. Do repertuaru doktryny szoku należała nagle likwidacja dotacji, wyprzedaż majątku państwowego oraz bezzwłoczna rezygnacja z kontroli i dopłat do płac i cen. W następstwie doszło do niemal natychmiastowego rozbicia istniejącej w regionie struktury handlu – kraje transformacji zostały same ze swoimi ograniczonymi zasobami.

Szok miał nastąpić przed ukształtowaniem rynków finansowych. W obliczu braku kapitału inwestycyjnego, restrukturyzacja dotknęła rynek pracy – aby być „konkurencyjnym”, należało zmniejszyć jednostkowy koszt pracy. Będące tego skutkiem fale bezrobocia z początku lat 90. przyćmiły doświadczenia Wielkiej Brytanii z czasów recesji lat 80. – na niektórych obszarach bezrobocie sięgnęło 80%. Rozbijając więzi ekonomiczne i wywołując potężną recesję w krajach regionu, terapia szokowa doprowadziła do załamania gospodarczego w tej części Europy.

Charakterystyczne dla okresu komunistycznego niedoinwestowanie sektora badawczo-rozwojowego zostało podtrzymane przez restrykcyjną politykę kredytową Banku Światowego i Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR). Instytucje te podjęły świadomą decyzję, by pożyczać jedynie prywatnym firmom i wspierać działania prywatyzacyjne.

Wraz ze zdziesiątkowaniem lokalnego przemysłu, wzrosła rola sektora finansowego i zadłużenia. Nowa kapitalistyczna gospodarka potrzebowała bowiem sektora usług finansowych, który mógłby obsłużyć rosnące tendencje do spekulacji i obrotu aktywami. Działalność instytucji zachodnich miała różnorakie konsekwencje. Doszło przede wszystkim do uzależnienia państw Europy Środkowo-Wschodniej od bezpośrednich inwestycji zagranicznych, a także od wsparcia ze

strony Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz specjalnie utworzonego Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju.

Ogólna finansyzacja regionu doprowadziła do ogromnego wzrostu długu, zarówno osobistego, jak i w sektorze instytucjonalnym. Zachodnie banki z kilku mniejszych państw, głównie Austrii i Szwecji, dążyły do pomnożenia zysków poprzez zwiększenie udziału w rynkach krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w agresywny sposób udzielając kredytów gospodarstwom domowym. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom państw regionu, zainteresowanych pożyczkami na hurtowych rynkach pieniężnych, a także wykorzystując finansową deregulację i słabą ochronę konsumencką w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, banki udzielały pożyczek w euro, frankach szwajcarskich i japońskich jenach. Pozwoliło im to oferować klientom niższe stopy procentowe niż obowiązujące w przypadku kredytów w walutach krajowych. Pożyczki prowadziły do ogromnego wzrostu zadłużenia gospodarstw domowych – zwłaszcza na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii i krajach bałtyckich.

Jedną z zamierzonych konsekwencji „terapii szokowej” była presja, żeby Unia Europejska otworzyła zachodnie rynki na Europę Środkowo-Wschodnią. Przyjęcie przez kraje peryferyjne modelu nastawionego na eksport gospodarki z niskimi płacami było uzależnione od dostępu do rynków UE. W okresie przedakcesyjnym podpisano wiele umów handlowych, które miały ułatwić zmiany w tym kierunku. Pierwszą zawarto w 1992 r. między Unią Europejską a krajami Grupy Wyszehradzkiej (Słowacją, Czechami, Polską i Węgrami). Mimo to w I połowie 1993 r. łączna wartość eksportu wszystkich państw Europy Środkowo-Wschodniej w porównaniu z pierwszą połową 1992 r. spadła o 13% (według kursu dolara). Dane te pokazują, że w kluczowym okresie poprzedzającym przystąpienie krajów transformacji do UE zawarte umowy nie działały na ich korzyść.

Państwa te rzecz jasna różnią się między sobą. Odmiennie były też rozwiązania, które wdrażały. Słowenia, Czechy i Polska realizowały bardziej ostrożną, protekcyjnistyczną politykę mikroekonomiczną, która obejmowała w latach 90. odsunięcie w czasie restrukturyzacji przedsiębiorstw państwowych. Pozwoliło to zachować bardziej dynamiczny rodzimy sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Polsce udało się ponadto dokonać w 1991 r. restrukturyzacji zadłużenia, dzięki czemu państwo było w stanie działać bardziej autonomicznie i skuteczniej reagować na zmieniające się warunki. Inaczej było w przypadku Węgier, które restrykcyjną polityką monetarną i wczesnym wdrożeniem surowego prawa upadłościowego doprowadziły do zdziesiątkowania krajowego sektora niewielkich i średnich firm.

Pomijając te różnice, wszędzie wykształcił się wymuszony powszechną prywatyzacją system negatywnych

i pozytywnych bodźców. W ostatecznym rozrachunku doprowadziło to do przejęcia bardziej wartościowych aktywów przez firmy zagraniczne. W 1989 r. Unia Europejska stworzyła fundusz PHARE (ang. Poland and Hungary: Action for the Restructuring of the Economy), który miał pomóc przyciągnąć kapitał do Polski i Węgier, by mogła rozpocząć się ich „modernizacja”. Z czasem program ten objął wszystkie państwa akcesyjne. PHARE był przede wszystkim programem wspierającym bezpośrednie inwestycje zagraniczne. Oprócz tego umożliwił utworzenie agencji prywatyzacyjnych, funkcjonujących w Europie Wschodniej jako organy rządowe. Ponieważ brakowało ścisłych reguł dysponowania pieniędzmi z PHARE, trudno było śledzić ich wydatkowanie. Mimo tego można zaobserwować pewne tendencje. Zmarły niedawno Peter Gowan twierdził, że pieniądze z PHARE przeznaczono na sfinansowanie setek badań przemysłu w całym regionie. Prowadzące je zachodnie firmy konsultingowe dostarczały pozytywne dane na Zachód: zbierano je specjalnie na potrzeby tamtejszych przedsiębiorstw, mogły więc być wykorzystywane do nieuczciwej konkurencji.

Informacje pozyskane z pomocą PHARE pozwoliły takim firmom jak General Electric szybko rozpoznać dziedziny wymagające „racjonalizacji”. Przykładowo, po zakupie węgierskiego Tungsramu, General Electric błyskawicznie zamknął dochodowe linie produkcyjne, eliminując w ten sposób źródło konkurencji na rynku krajowym. Podobna sytuacja miała miejsce, gdy węgierski przemysł cementowy został wykupiony przez zagranicznych przedsiębiorców. Wymogli oni, by ich węgierskie spółki zaprzestały eksportu. Jeden z austriackich producentów stali kupił ważną na Węgrzech hutę po to, by ją zamknąć i przejąć krajowy rynek. To tylko kilka przykładów tego, jak Europa Środkowa stała się „gospodarką peryferyjną”.

Po zaledwie kilku latach „terapii szokowej” duża część istotnej infrastruktury gospodarczej krajów peryferyjnych wpadła w ręce koncernów międzynarodowych – począwszy od sieci sklepów, aż po elektrownie i huty.

Wraz z przystąpieniem dziesięciu państw do Unii Europejskiej w 2004 r., PHARE zostało zastąpione przez fundusze strukturalne. Po raz pierwszy pieniądze zaczęto przeznaczać na cele społeczne. W pomocy udzielanej przez UE w dalszym ciągu widoczne było neoliberalne skrzywienie i faworyzowanie partnerstwa publiczno-prywatnego. Unia Europejska ma skłonność do wprowadzania liberalizacji wszędzie tam, gdzie inwestuje pieniądze. Unijne projekty infrastrukturalne zdominowane są przez skomplikowaną strukturę podwykonawców. W tej nieprzejrzystej i skorumpowanej rzeczywistości firmy polują na oferty przetargowe. Na samym dole struktury znajdują się zaś pracownicy zatrudnieni na umowy „śmieciowe”. Skłonność Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju do udzielania pożyczek w dalszym ciągu uzależniona jest od tego,



© bazylek100, flickr.com/photos/bazylek/3450749766

Unia Europejska ma skłonność do wprowadzania liberalizacji wszędzie tam, gdzie inwestuje pieniądze. Unijne projekty infrastrukturalne zdominowane są przez skomplikowaną strukturę podwykonawców. W tej nieprzejrzystej i skorumpowanej rzeczywistości firmy polują na oferty przetargowe. Na samym dole struktury znajdują się zaś pracownicy zatrudnieni na umowy „śmieciowe”.



© U.S. Pacific Fleet, flickr.com/photos/compactfl/5551121274/

czy zainteresowane państwo zgłasza gotowość prywatyzacji usług publicznych.

Do szerszych skutków transformacji należą liczne korzyści dla korporacji, a także wykształcenie się w krajach Europy Środkowo-Wschodniej elity bogatej i często skorumpowanej, a nawet powiązanej ze światem kryminalnym. Niemieckie i austriackie koncerny okazały się szczególnie biegłe w celnym lokowaniu inwestycji i przechwytywaniu funduszy unijnych – w ten sposób dążyły do redukcji kosztów oraz zwiększania zdolności produkcyjnej, a także radziły sobie z niedoborem siły roboczej. W efekcie w Austrii i Niemczech upowszechnił się model „dynamicznego porównywania”. Przy jego pomocy **zarządy przedsiębiorstw są w stanie rozpoznać obszary niskich płac i małego uzwiązkowienia w krajach transformacji. Ostatecznie wszystko to posłużyło za uzasadnienie neoliberalnych reform także w krajach Europy Zachodniej.**

Społeczne konsekwencje

Opisane rozwiązania gospodarcze nieuchronnie prowadziły do długotrwałego bezrobocia strukturalnego. W kontrowersyjnym badaniu opublikowanym na łamach „The Lancet” w 2009 r. starano się obliczyć koszty ludzkie terapii szokowej. Opisano w nim zmniejszoną oczekiwaną długość życia, wzrost poziomu zachorowań i lęku oraz „społeczne tsunami”. Większe obciążenie systemu opieki zdrowotnej i pomocy społecznej to kolejny problem państw zadłużonych.

Nagła zmiana systemowa najbardziej dotknęła robotników fabrycznych – niewykwalifikowanych oraz nie mogących się przekwalifikować. Przy braku rządowego programu stymulującego tworzenie nowych miejsc pracy, z dnia na dzień powstała podklasa, która zasiłała nową armię bezrobotnych.

Niektóre postępowe elementy polityki społecznej przetrwały zarówno transformację, jak i późniejszą recesję. W większości państw regionu dzieciom powyżej szóstego miesiąca życia w dalszym ciągu – przynajmniej w teorii – przysługuje darmowa opieka. W większości krajów płaca minimalna ustalona została na przyzwoitym poziomie. Wysokość emerytury zazwyczaj wystarcza emerytom na utrzymanie. Dotyczy to również opieki społecznej, którą objęte są osoby niezaradne. Rozpowszechniono też bezpłatne badania profilaktyczne. Cieszący się dużą popularnością model zabezpieczeń społecznych „od kołyski aż po grób” – pozostałość okresu komunistycznego – często stoi w sprzeczności z nowym porządkiem gospodarczym.

W tych trudnych warunkach ekonomicznych zasadniczym elementem determinującym status społeczny i zarobki stało się umiejscowienie jednostki w ramach sieci społecznej. Dzieci z rodzin o niskim statusie muszą pracować szczególnie ciężko (jeśli za punkt odniesienia wziąć sytuację w Europie Zachodniej), by osiągnąć sukces. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej nawet ukończenie studiów z wysokim

Podczas gdy wśród części wykwalifikowanych robotników wciąż istnieje chęć do walki o swoje prawa, to jednak nowe pokolenie pracowników nie ma pojęcia o działalności związkowej i postrzega nierówności w płacach oraz niepewność zatrudnienia jako coś naturalnego.

wynikiem nie gwarantuje dobrze płatnej pracy. Państwa peryferyjne w dużej mierze nie są w stanie zapewnić naukowcom odpowiedniego zaplecza badawczego oraz solidnych wynagrodzeń, pozwalających konkurować z krajami rozwiniętymi. Prowadzi to do przerwania związku między zasługą a nagrodą, co może mieć destrukcyjny wpływ na przyszłość tych państw. Gdy brak odpowiedniej nagrody za osiągnięcia naukowe, od wykształcenia wyższą wartość mają wciąż znajomości.

Mimo istotnej roli, jaką związki zawodowe odegrały w ruchach demokratycznych lat 80., ich władza i wpływ na rzeczywistość znacząco zmalały. Związkowcy na własnej skórze doświadczyli zwolnień i likwidacji zakładów przemysłowych. Podczas gdy wśród części wykwalifikowanych robotników wciąż istnieje chęć do walki o swoje prawa, to jednak nowe pokolenie pracowników nie ma pojęcia o działalności związkowej i postrzega nierówności w płacach oraz niepewność zatrudnienia jako coś naturalnego. Zawarta w książce Richarda Sennetta „Koroźja charakteru” analiza wpływu upowszechnienia się tzw. umów śmieciowych na stosunki społeczne, jest szczególnie trafna w odniesieniu do krajów peryferyjnych.

Nie wszyscy oczywiście na zmianach stracili. Terapia szokowa miała swoich entuzjastów – ludzi oczarowanych ekonomią neoklasyczną oraz koncepcjami Hayeka – również w krajach Europy Środkowej. Czasem było to szczere intelektualne

zainteresowanie – zwolennicy neoliberalnych ekonomistów z Zachodu wykładali na uczelniach Warszawy, Pragi, Bukaresztu i Budapesztu. Częściej jednak wśród neofitów neoliberalizmu można było znaleźć cynicznych ekskomunistów – poszukiwaczy nowego kapitalistycznego ładu. Angażując się w działalność zachodnich instytucji, takich jak NATO czy UE, niektórzy z niedawno nawróconych kapitalistów mieli nadzieję, że uda im się ugruntować swą pozycję głównych rozgrywających na politycznej scenie – nowej elity reformatorów na zachodnią modłę.

Konsekwencje polityczne

Debata na temat ograniczenia funkcji państwa stała się z czasem samospełniającą się przepowiednią. Wraz ze wzrostem uzależnienia gospodarek od napływu kapitału zagranicznego, państwa stopniowo rezygnowały z regulacji tej strefy. Zachód wywierał wpływ na politykę Europy Środkowo-Wschodniej, dążąc do osłabienia partii politycznych opowiadających się za pewnym stopniem interwencjonizmu. Wielu zachodnich obserwatorów w połowie lat 90. było zaniepokojonych powtarzającymi się sukcesami wyborczymi partii postkomunistycznych. Michael Ignatieff zaproponował w 1995 r. „strategię społeczeństwa obywatelskiego” dla regionu, która miała jego zdaniem składać się z kierowanych przez państwa zachodnie programów pomocowych, wspierających finansowo w krajach postkomunistycznych środki masowego przekazu, partie opozycyjne, sądy, wymiar sprawiedliwości i policję. Twierdził, że wdrażanie strategii powinno zacząć się od znalezienia partnerów w społeczeństwie.

Zachodnie rządy, często ręką w rękę z międzynarodowymi firmami, wprowadzały swoje pomysły w sposób instrumentalny i zazwyczaj bardzo podstępny. System finansowania kampanii wyborczych w większości krajów peryferyjnych stał się nieprzejrzysty. Zaczęły pojawiać się zarzuty mieszanego podmiotów transnarodowych w wewnętrzne sprawy państw. Były to idealne warunki dla zwolenników teorii spiskowych. Niezdarnymi ingerencjami i wpompowywaniem pieniędzy w fasadowe „liberalne” organizacje, zachodnie instytucje przyczyniły się do wypaczenia polityki i dalszego podporządkowania jej interesom ekonomicznym.

Od momentu zastosowania terapii szokowej wyborcy często masowo opowiadali się po stronie partii lewicowych. Mieli nadzieję, że zniwelują one najbardziej negatywne społeczne i gospodarcze skutki kapitalistycznej transformacji. Chcąc wprowadzić własne państwa do UE, partie te były jednak gorącymi zwolennikami prywatyzacji i głównych założeń neoliberalnej ekonomii. Ideologiczny chaos, który temu towarzyszył, przyczynił się do powstania w całym regionie ruchów populistycznych i prawicowych, chcących wykorzystać niezadowolenie społeczne. Odrodziły się siły polityczne takie jak antysemicki

„chrześcijański socjalizm” i patriotyczny „narodowy liberalizm”, które rozwijały się w czasach monarchii austro-węgierskiej.

W sytuacji, gdy polityka w dużej mierze pozostaje w cieniu ekonomii i coraz bardziej uwikłana jest w geopolityczne interesy paranoicznych i nadaktywnych Stanów Zjednoczonych, strzegących „globalnego bezpieczeństwa narodowego”, legitymacja posttransformacyjnej elity zaczęła zależeć od nadrobienia dystansu do Zachodu. Po kryzysie finansowym tę ambitną strategię czeka najtrudniejsza próba, a jej rezultat może mieć katastrofalne skutki polityczne.

Jak twierdzi Gabor Scheiring, członek ugrupowania Polityka Może Być Inna (powstałej niedawno węgierskiej partii „zielonych”), ktoś, kto lokuje w danym kraju kapitał, staje się ważny dla jego życia społecznego i politycznego – to właśnie umacnia hegemonię kulturową wartości i sposobu myślenia elity gospodarczej i społecznej. Partie lewicy odnotowały spadek legitymizacji, a liberalna lewica nie jest w stanie sformułować własnej krytyki procesu globalizacji i problemów związanych z nowym systemem politycznym. Rozczarowanie często idzie więc w parze ze skrajnie prawicowym postulatem powrotu do tradycyjnej kultury.

Odrodzenie nacjonalizmu w wersji mitycznej wynika z pragnienia „ucieczki od nowoczesności” – zrozumiałej reakcji na zachodnią hegemonię kulturową. Liberaliści z byłego bloku wschodniego, którzy spodziewali się nowego złotego wieku w literaturze, muzyce i sztuce, przeżyli rozczarowanie. Kultura masowa peryferii została sprowadzona do najniższego wspólnego mianownika i bazuje na tanich „produktach” importowanych z USA. Gabor Scheiring zauważa, że liberalizm stał się słowem obraźliwym: *To globalne zjawisko – przegrani z państw transformacji gospodarczej stają się izolacjonistami. Potrzebna jest nowa forma krytyki, łącząca prawa człowieka ze sprawiedliwością społeczną.*

Nowa geografia społeczna

Po dwudziestu latach „terapii” w krajach transformacji kształtuje się krajobraz społeczny, odzwierciedlający charakter ich gospodarek. W typowej stolicy państwa peryferyjnego dominuje handel detaliczny, sektor usług i turystyki. Michael Lake, ambasador UE na Węgrzech w okresie poprzedzającym akcesję, wielokrotnie nazwał Budapeszt „miastem butików”. Drugie oblicze stolicy Węgier – część przemysłowa, w której



© Gosi Małochleb, flickr.com/photos/magama/3621349293

żyją prawie dwa miliony ludzi, w tym wielu robotników mieszkających w blokach - nie jest wartością uwagi.

Infrastruktura miasta peryferyjnego to mieszanka obiektów zabytkowych, budynków popadających w ruinę, nad którymi nikt nie panuje, oraz podejrzanych spekulacyjnych projektów rewitalizacyjnych. Nowoczesna architektura miejska, której przykładem są niżej biurowce, może być równie brutalistyczna jak betonowe budowle z czasów stalinizmu. Brak kontroli i planowania dotyczy się przedsięwzięć architektonicznych w biznesie, handlu oraz mieszkalnictwie. Słabe, dysponujące małymi funduszami lokalne władze często nie są w stanie należycie zadbać o zabytki lub po prostu kierują się interesami biznesowymi. Przytłaczająco biurokratyzowany system planowania okazuje się łatwy do obejścia dla podmiotów komercyjnych, używających argumentu pieniądza.

Państwa Europy Środkowo-Wschodniej były dawniej znane z rozbudowanej publicznej infrastruktury transportowej, w tej chwili duża jej część jest jednak w stanie ruiny. Prywatny samochód staje się coraz bardziej pożądanym środkiem komunikacji. Wraz ze wzrostem liczby aut, na wielu obszarach zanieczyszczenie powietrza przekroczyło poziom z czasów komunistycznych. Jak poinformowała organizacja „Bankwatch”, Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju w dalszym ciągu wspiera w Europie Wschodniej szereg przedsięwzięć, które będą miały negatywny wpływ na środowisko, np. budowę spalarni śmieci czy autostrad.

Miejscowości, które leżą blisko granicy z państwem tzw. centrum (przykładowo te w zachodniej Słowacji, Polsce i na Węgrzech), czerpią korzyści z ruchu transgranicznego. W innych miejscach zaobserwować można *exodus* młodych ludzi, którzy przenoszą się do stolicy lub szukają pracy za granicą. Typowy obszar miejski jest zazwyczaj wyraźnie odgraniczony. Nieliczna klasa wyższa najczęściej zamieszkuje grodzoną osiedla. Niestabilną klasę średnią można przeważnie znaleźć na obszarach podmiejskich i w niektórych mieszkaniach w centrum. Ludzie z klasy robotniczej i niższej średniej to najczęściej mieszkańcy bloków. Biedni mieszkają na wsi lub w prowizorycznych chatkach pojawiających się na obrzeżach miast.

Infrastrukturę przemysłową obszarów peryferyjnych można podzielić na cztery grupy. Pierwsza to mnóstwo opuszczonych miejsc - zakłady, które w latach 90. zbankrutowały lub zostały porzucone. Druga to zmodernizowane obiekty, najczęściej będące własnością przedsiębiorstw zagranicznych. Trzecia to zakłady działające na zasadzie franczyzy, gdzie lokalny przedsiębiorca nawiązał kontakt z zagranicznym właścicielem lub przedstawicielem. Czwarta to nowe obiekty zbudowane przez międzynarodowe korporacje. Jako bezpośrednie inwestycje zagraniczne są one często dotowane przez rząd. Korporacje wykorzystują niższe koszty pracy i pieniądze z dopłat, by przenieść zakłady z Europy Zachodniej na wschód.

Opisany powyżej krajobraz krajów peryferyjnych stwarza potencjalnie korzystne warunki do pojawienia się nowych sił politycznych. Widoczna gołym okiem degradacja środowisk miejskich i wiejskich może doprowadzić do powstania potężnych ruchów opozycyjnych. Walka o przestrzeń miejską, podczas której subkultury dążą do humanizacji miast, sprzeciwiając się tendencjom do spekulacji na rynku nieruchomości, stanowi również doskonałą okazję do organizowania się. Te ruchy to szansa, aby alternatywne lewicowe idee wynieść z sali wykładowej i wykorzystać w codziennym życiu.

Wnioski

Pomimo różnic między krajami regionu, podobne rozwiązania polityczne z lat 90. doprowadziły do stanu, który charakteryzuje się podobnymi rozwiązaniami strukturalnymi i porównywalnymi problemami. Polityka narzucana przez MFW, UE i wiele innych organizacji międzynarodowych, prowadzi do utrzymania sytuacji, w której zadłużone państwa są od tych instytucji uzależnione. Będzie to skutkowało postępującym osłabieniem więzi społecznych i wzrostem dysproporcji w rozwoju regionów Unii Europejskiej. Zdolność państwa do utrzymania podstawowego poziomu usług i opieki społecznej znajdzie się w stanie zagrożenia. Zjawisko starzenia się społeczeństwa prowadzi do dalszego zaostrzenia sytuacji, nawet w bardziej stabilnych państwach regionu.

Problemom tym można zaradzić na kilka sposobów. Są to: bardziej intensywna współpraca między państwami Europy Środkowo-Wschodniej; samodzielne określenie ram własnego rozwoju, przy jednoczesnym zachowaniu dostępu do kluczowych zewnętrznych źródeł finansowania; luźniejsza polityka fiskalna, a w razie konieczności - dewaluacja; usprawnienie sektora państwowego zamiast jego stopniowej likwidacji lub prywatyzacji.

Trudno powiedzieć, czy i kiedy oblicze Europy Środkowo-Wschodniej ulegnie zmianie. Może należy raczej zadać pytanie, jak długo jeszcze sytuacja na Zachodzie będzie pomyślna. Wraz ze zmianą oblicza UE, wynikającą z dalszego jej rozszerzenia na wschód, może ukształtować się gospodarka europejska, która, choć zjednoczona pod względem instytucjonalnym, będzie podzielona pod względem społecznym. Jeśli tak się stanie, powstanie ultrakapitalistyczny twór - ułomny pod względem społecznym i politycznym.

CARL ROWLANDS

tłum. Mateusz Batelt

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w angielskim lewicowym periodyku „Soundings. A Journal of Politics and Culture” nr 46, 2010. Pominęto przypisy o charakterze bibliograficznym, odsyłające do literatury anglojęzycznej, oraz poczyniono niewielkie skróty.

Kraje wielu stolic

KAROL TRAMMER

Warszawa „odrywa się” od reszty kraju. W stolicy siedziby ma przytłaczająca większość urzędów administracji publicznej, tu zapadają wszystkie ważne decyzje, stąd media opisują rzeczywistość, tu Polacy upatrują szans na rozwój własnej kariery.

Choć skupienie władzy w jednym mieście może się nam wydawać zupełnie naturalne, wyraźna dominacja ośrodka stołecznego nad resztą kraju wcale nie jest w Europie typową sytuacją. Polska na tle wielu krajów jest państwem o niezwykle scentralizowanym przestrzennie układzie instytucjonalnym.

Przestrzenny trójpodział

W części państw przyjęto zasadę, że trójpodział władzy powinien mieć odzwierciedlenie również w przestrzeni. W kilku europejskich krajach najwyższe organy władzy sądowniczej mieszczą się w innych miastach niż ośrodki władzy wykonawczej i ustawodawczej. Słowacki trybunał konstytucyjny ma siedzibę nie w stołecznej Bratysławie, lecz w Koszycach. W Czechach poza Pragą siedzibę ma nie tylko trybunał konstytucyjny, ale również sąd najwyższy oraz prokuratura generalna – instytucje te usytuowano w Brnie. Również w Szwajcarii główne izby sądu działają w innych miastach niż siedziba rządu.

W Niemczech kluczową siedzibą władzy sądowniczej jest Karlsruhe, oddalone o 670 km od stołecznego Berlina. W Karlsruhe siedziby mają federalny trybunał konstytucyjny, sąd najwyższy oraz prokuratura federalna. Co więcej, federalny sąd administracyjny mieści się w Lipsku, a federalny sąd pracy – w Erfurcie.

Również niemiecka sieć sądów apelacyjnych nie pokrywa się ani z siecią najludniejszych miast, ani z głównymi ośrodkami władzy. Choć stolicą landu Nadrenia-Palatynat jest Moguncja, to w tym kraju związkowym

sądy apelacyjne mieszczą się w Koblencji i Zweibrücken. Sąd apelacyjny dla Turynii zlokalizowano w Jenie, choć stolicą i największym miastem landu jest Erfurt. Stolica Dolnej Saksonii to Hanower, lecz sądy apelacyjne dla tego landu mieszczą się w Brunshwiku, Celie oraz Oldenburgu. Stolicą landu Szlezwik-Holsztyn jest Kilonia, ale sąd apelacyjny ma siedzibę w znacznie mniejszym mieście Szlezwik.

W Polsce siedziby sądów apelacyjnych mieszczą się w Białymstoku, Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Poznaniu, Rzeszowie, Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu. Taki układ – opierający się na zasadzie, że siedziba sądu apelacyjnego zlokalizowana jest w największym mieście na terenie danej apelacji – jest typowym dla Polski elementem cementującym podział na „duże i ważne” miasta oraz resztę kraju.

Model prawie idealny

Niemcy to europejski lider polityki deglomeracji administracji publicznej, czyli rozproszenia ośrodków władzy. Nawet rząd nie jest tam skupiony w jednym mieście: część ministerstw mieści się w Berlinie, a pozostałe w dawnej stolicy, Bonn. Co więcej, główne siedziby urzędów administracji centralnej i innych instytucji o zasięgu ogólnokrajowym rozsiane są po całych Niemczech – od Flensburga na granicy z Danią po Monachium na południu kraju.

Przykładowo, prezydium policji federalnej mieści się w Poczdamie, dyrekcja archiwów państwowych w Koblencji, urząd ochrony konstytucji (kontrwywiad)



© Wolfgang Staudt, flickr.com/photos/wolfgangstaudt/2702845116

w Kolonii, główny urząd statystyczny w Wiesbaden, urząd ochrony konsumentów oraz urząd lotnictwa cywilnego w Brunzshwiku, urząd ochrony przyrody oraz urząd transportu kolejowego w Bonn, urząd patentowy w Monachium, urząd transportu drogowego we Flensburgu, a federalny urząd pracy oraz urząd ds. cudzoziemców - w Norymberdze. Niemiecka biblioteka narodowa ma dwie siedziby: w Lipsku oraz we Frankfurcie nad Menem. Poza stolicą zlokalizowane są publiczne media: telewizyjny program pierwszy (ARD) ma centralę w Monachium, a program drugi (ZDF) w Moguncji. W Polsce odpowiedniki wszystkich wyżej wymienionych instytucji mieszczą się w Warszawie.

Urzędy centralne w 248-tysięcznym Brunzshwiku (wielkością porównywalnym z Radomiem czy Częstochową) zapewniają temu miastu ok. 900 miejsc pracy. Z kolei flensburgski urząd transportu drogowego chwali się na swojej stronie internetowej, że jest jednym z największych pracodawców w północnej części landu Szlezwik-Holsztyn. Jak widać, jednym z efektów deglomracji władzy jest rozprzestrzenianie miejsc pracy - zwłaszcza średnich i wyższych stanowisk urzędniczych - po różnych częściach kraju.

Co więcej, dzięki rozproszeniu ośrodków władzy życie administracyjne i polityczne Niemiec nie skupia się wyłącznie w stolicy. W kraju tym osiągnięto ideał organizacji przestrzennej, polegający na tym, że trudno wskazać, które z największych miast jest najważniejszym i dominującym ośrodkiem - nie tylko w zakresie administracji publicznej.

Przykładowo, redakcje największych tygodników - „Der Spiegel” oraz „Stern” - mieszczą się w Hamburgu. Największy tabloid, „Bild”, ukazuje się w Berlinie, w jeszcze innych miastach mają główne siedziby poważniejsze ogólnokrajowe dzienniki: „Frankfurter Allgemeine Zeitung” we Frankfurcie n. Menem, a „Süddeutsche Zeitung” w Monachium. Niemiecka centrala potężnej grupy medialnej RTL mieści się w Kolonii.

Niemiecką stolicą bankowości jest Frankfurt n. Menem (tu siedzibę mają niemiecki i europejski bank centralny). Z kolei matecznikami nauki są niewielkie miasta uniwersyteckie, jak Heidelberg, Tybinga, Greifswald czy Bamberg.

Miasta dzielą się władzą

W Niemczech deglomercja realizowana jest również na poziomie landów. Jedną z jej oznak było wyznaczenie stolic części krajów związkowych poza miastem dominującym na danym obszarze. Stolicą Nadrenii Północnej-Westfalii nie jest licząca ponad milion mieszkańców Kolonia, lecz Düsseldorf (589 tys. mieszkańców). Stolica Hesji mieści się w Wiesbaden (276 tys. mieszkańców), nie zaś w zaliczającym się do europejskich metropolii Frankfurcie n. Menem (680 tys. mieszkańców). Podobna sytuacja ma miejsce w leżącym na terenie byłej NRD kraju związkowym Meklemburgia-Pomorze Przednie, którego stolicą jest Schwerin (95 tys. mieszkańców), a nie największe w tym landzie ważne miasto portowe Rostock (203 tys. mieszkańców).

Na poziomie landów zachowana jest zasada zdekoncentrowanej organizacji przestrzennej władz administracyjnych. Przykładowo, w Nadrenii-Palatynacie część instytucji poziomu landowego znajduje się poza stołeczną Moguncją – urząd statystyczny w Bad Ems, a urząd geodezji i informacji geograficznej, główna biblioteka oraz archiwum landu w Koblencji.

W Meklemburgii-Pomorzu Przednim agendy władz regionalnych zlokalizowane są nie tylko w stołecznym Schwerinie, ale również w Rostocku oraz Güstrow.

W landzie Szlezwik-Holsztyn miejscowy rząd mieści się w Kilonii, ale jego agendy zlokalizowano również w Neumünster (urząd opieki społecznej), Flintbek (urząd rolnictwa i środowiska), Szlezwiku (urząd archeologii i główne archiwum) oraz w Husum (urząd ochrony wybrzeża i parków narodowych).

Stolica od Bellinzony po Grenchen

Jak widać na przykładzie Niemiec, zabiegiem równoważącym organizację przestrzenną może być wyznaczanie głównego ośrodka władzy poza największym miastem danego obszaru. Podobnie jest w Belgii: stolicą Walonii – czyli frankofońskiej części kraju – jest Namur, trzecie pod względem liczby mieszkańców (po Charleroi i Liège) miasto tego regionu.

Taka sytuacja, i to już na poziomie ogólnokrajowym, występuje również w Szwajcarii. Siedzibą rządu federalnego tego kraju jest liczące 130 tys. mieszkańców Berno, dopiero piąte co do liczby ludności, zbliżone pod względem wielkości do polskiego Płocka. W Bernie oraz kilku graniczących z nim miejscowościach mieszczą się wszystkie ministerstwa (w Szwajcarii nazywane departamentami), większość urzędów centralnych oraz bank narodowy. Co jednak istotne, nie cała władza centralna została skoncentrowana w jednym miejscu. Federalny urząd meteorologii i klimatologii zlokalizowany jest w Zurychu (największym mieście Szwajcarii), główny urząd statystyczny w Neuchâtel, federalny urząd komunikacji elektronicznej w Biel/Bienne (mieście na pograniczu niemieckiej i francuskiej strefy językowej), federalny urząd sportu w Magglingen, a federalny urząd mieszkalnictwa w 16-tysięcznym Grenchen, co zapewniło mu 50 dodatkowych miejsc pracy.

Poza Bernem zlokalizowano również najważniejsze instytucje władzy sądowniczej. Szwajcarski sąd najwyższy mieści się w Lozannie, federalny sąd ubezpieczeń w Lucernie, a federalny sąd karny w liczącej zaledwie 17,5 tys. mieszkańców Bellinzonie we włoskojęzycznej części kraju. Co więcej, na 2012 r. planowane jest przeniesienie z Berna do Sankt Gallen siedziby naczelnego sądu administracyjnego.

Bez granic

Nie bez znaczenia dla równoważenia aktywności publicznej w przestrzeni Szwajcarii jest również to, że licznie występujące w tym kraju instytucje międzynarodowe zostały umiejscowione w kilku ośrodkach:

w Genewie (europejska siedziba ONZ, Międzynarodowa Organizacja Pracy czy Międzynarodowy Ruch Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycy), w Lozannie (MKOL), w Zurychu (FIFA) oraz w Nyonie (UEFA).

W Polsce za naturalną lokalizację dla instytucji międzynarodowych uznano Warszawę. Gdy Unia Europejska postanowiła utworzyć w naszym kraju siedzibę agencji Frontex, zajmującej się sprawami ochrony zewnętrznych granic państw członkowskich, to oczywiście umieszczono ją w stolicy. Tymczasem obie unijne agencje zlokalizowane we Włoszech mają siedziby poza Rzymem: w Parmie (Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności) oraz w Turynie (Europejska Fundacja Kształcenia). Podobnie w Hiszpanii – tu na siedziby unijnych agend wybrano Alicante (Urząd ds. Harmonizacji Rynku Wewnętrznego) oraz Vigo (Wspólnotowa Agencja Kontroli Rybołówstwa). Nawet Francja, zazwyczaj zdominowana przez Paryż, zdecydowała się umieścić unijne instytucje poza nim: w Angers (Wspólnotowy Urząd Ochrony Odmian Roślin) oraz w Valenciennes (Europejska Agencja Kolejowa).

Deglomeracja po polsku

W Polsce co jakiś czas dochodzi do zabiegów stanowiących próby równoważenia relacji między ośrodkami miejskimi oraz dekoncentracji władzy publicznej.

Jednym z takich przypadków było utworzenie dwóch województw, w których stołeczność podzielono. W ramach reformy samorządowej z 1999 r. powstały województwo kujawsko-pomorskie oraz lubuskie, w których jedno miasto jest siedzibą urzędu wojewódzkiego (przedstawicielstwa rządu w terenie), a inne urzędu marszałkowskiego (samorządu wojewódzkiego). W Lubuskim siedzibą wojewody jest Gorzów Wielkopolski, a siedzibą władzy samorządowej Zielona Góra. W Kujawsko-Pomorskiem wojewoda urzęduje w Bydgoszczy, a sejmik wraz z marszałkiem województwa w Toruniu. W ślad za tym podziałem pomiędzy dwa miasta wojewódzkie podzielone zostały inne instytucje szczebla regionalnego – przykładowo, Komenda Wojewódzka Policji mieści się w Bydgoszczy, a Komenda Wojewódzka Straży Pożarnej w Toruniu.

Koncepcja dwu-stołeczności wspomnianych regionów powstała niejako przypadkiem – jako pomysł na pogodzenie porównywalnych ośrodków w walce o status miasta wojewódzkiego. Podjęto również próby wprowadzenia podobnego rozwiązania na poziomie powiatów. W Polsce istnieją cztery powiaty, których nazwa nietypowo pochodzi nie od jednego, lecz od dwóch ośrodków: ropczycko-sędziszowski, bieruńsko-lędziński, strzelecko-drezdenecki oraz czarnkowsko-trzcianecki. W przypadku części z nich powiatowa dwu-stołeczność sprowadza się wyłącznie do nazwy – w leżącym na Podkarpaciu powiecie ropczycko-sędziszowskim instytucje władzy powiatowej i tak w całości skupione są w jednym mieście, w Ropczycach. Ale już w przypadku powiatu strzelecko-drezdeneckiego



©©© Markus Kolletzky, flickr.com/photos/kolle/5787199411

w woj. lubuskim występuje przestrzenny podział władzy. Starostwo, komenda policji, komenda straży pożarnej, urząd pracy oraz powiatowy inspektorat weterynarii mieszczą się w Strzelcach Krajeńskich, a powiatowa stacja sanitarno-epidemiologiczna, powiatowy inspektorat nadzoru budowlanego oraz powiatowe centrum pomocy rodzinie mają siedziby w Drezdenku. Jak widać, deglomercja może funkcjonować na różnych szczeblach władzy – zarówno państwowej, jak i samorządowej.

W dodatku, jak pokazuje przykład niemiecki, deglomercja władzy państwowej oraz regionalnej mogą się uzupełniać. We wspomnianej już Nadrenii Północnej-Westfalii siedzibą władz landu jest Düsseldorf (drugie pod względem liczby mieszkańców miasto w regionie), ale za to w większej Kolonii oraz w sąsiednim Bonn zlokalizowano instytucje szczebla federalnego (poza już wymienionymi m.in. służba celna, federalny urząd ds. rodziny czy federalny urząd obrony cywilnej).

Wpuszczeni w reformę

W Europie wyróżnić można dwa podstawowe modele organizacji przestrzennej państw. Francuski, z Paryżem jako jednym miastem faktycznie dominującym nad całym krajem, oraz niemiecki, z siecią kilku, a ile nie kilkunastu równorzędnych miast.

Wydaje się, że Polska dryfuje w kierunku francuskiego układu przestrzennego, czyli dość sztywnej hierarchii znaczenia miast, opartej na łańcuchu „stolica

Typowa dla Polski koncentracja administracji państwowej w stolicy powoduje „wymywanie” aktywności gospodarczej i społecznej z pozostałych regionów kraju.

państwa – stolice regionów – miasta powiatowe”. Zwykle z góry zakłada się, że główna siedziba państwowej instytucji działać ma w Warszawie, a jej delegatury w miastach wojewódzkich. Podobnie na niższym szczeblu – główne instytucje samorządu regionalnego mają siedziby w miastach wojewódzkich. Stanowi to sygnał dla społeczności miejskich oraz aktywniejszych władz, że jedyną szansą na lokalizację urzędów (czyli na dodatkowe miejsca pracy, prestiż, towarzyszące formy działalności gospodarczej) jest status miasta wojewódzkiego. W konsekwencji wciąż tlić się będą pomysły wydzielania kolejnych województw z podziału funkcjonującego od 1999 r.

Reformę podziału administracyjnego kraju określić można przespaną szansą na zrównoważenie

aktywności publicznej w przestrzeni Polski. Zmniejszenie liczby województw z 49 do 16, wskutek którego 31 polskich miast utraciło status miasta wojewódzkiego, było odbierane wyłącznie jako „odjazd” władzy (urzędów, wyższych stanowisk, działalności towarzyszących) do większych ośrodków. Miastom pozbawionym statusu stolicy województwa nie zaproponowano właściwie nic w zamian. Tymczasem do ośrodków tracących rangę regionalnej stolicy można było przenieść z Warszawy część urzędów administracji centralnej. Zbyt rzadko korzystano również z „rozlewania stołeczności” tworzonych dużych województw. Poza wspomnianymi Lubuskim i Kujawsko-Pomorskiem istnieją nieliczne przykłady instytucji szczebla wojewódzkiego zlokalizowanych poza stolicą danego regionu: komenda policji dla woj. mazowieckiego (z wyłączeniem aglomeracji warszawskiej) mieści się nie w Warszawie, lecz w Radomiu, a siedzibę zachodniopomorskiego zarządu dróg zlokalizowano w Koszalinie, a nie w Szczecinie. Te pojedyncze przypadki to jednak zbyt mało, by móc nazwać Polskę krajem zdeglomerowanej administracji publicznej.

Warszawa, czyli Polska?

Problemem Polski jest brak organizacji przestrzennej – jej miejsce zajmuje bezmyślność przestrzenna. Gdy powstają nowe urzędy centralne lub istniejące poddawane są głębokim reformom, zwykle nawet nie rozważa się innej lokalizacji ich siedziby niż Warszawa.

Reformy prokuratury z 2010 r. (uniezależnienie jej od administracji rządowej) nie wykorzystano do zlokalizowania siedziby Prokuratury Generalnej poza stolicą. Również gdy w 2008 r. tworzone jedną z najmłodszych instytucji centralnych – Generalną Dyрекcyję Ochrony Środowiska – na jej siedzibę automatycznie wybrano Warszawę. Choć należy wskazać wyjątek od reguły niepodzielnej stołeczności największego polskiego miasta: utworzone w 2011 r. Narodowe Centrum Nauki, koordynujące i finansujące badania naukowe, zostało umiejscowione w Krakowie. Nic jednak nie wskazuje, aby decyzja o lokalizacji NCN poza Warszawą stanowiła element przemyślanego programu deglomeracji administracji publicznej, a co za tym idzie równoważenia pozycji polskich miast i regionów. Tymczasem, wbrew pozorom, lokalizowanie urzędów poza miastami „namaszczone” do sprawowania władzy to nie tylko przesuwanie biur wraz z siedzącymi za nimi urzędnikami, lecz rozprzestrzenianie na różne części kraju bazy gospodarczej, towarzyszącej administracji publicznej, jak centra konferencyjne, obiekty noclegowe, usługi doradcze, poligrafia itp.

Organizacja przestrzenna administracji publicznej uwidacznia się również w układzie i jakości sieci komunikacyjnej. We Francji podstawowa sieć kolejowa składa się z linii szybkiej kolei TGV, zbiegających się w Paryżu, natomiast połączenia między pozostałymi regionami opierają się na rzadko i dość wolno

kursujących pociągach. Z kolei w Niemczech sieć kolejowa – dostosowana do układu równorzędnych ośrodków miejskich w różnych częściach kraju – zapewnia atrakcyjną ofertę przewozową w zróżnicowanych relacjach.

Typowa dla Polski koncentracja administracji państwowej w stolicy powoduje „wymywanie” aktywności gospodarczej i społecznej z pozostałych regionów kraju. Ambitni i wykształceni uznają, że tylko w Warszawie można znaleźć pracę odpowiednią do ciężko zdobytych kwalifikacji. Prywatne firmy chcą być bliżej miejsc, w których zapadają decyzje gospodarcze, a media jak najbliższej polityków.

Istnieją przykłady firm, które przeniosły główne siedziby do Warszawy – tak postąpił np. koncern komputerowy Optimus z Nowego Sącza. Siedziby w stolicy ma aż 7 z 10 pierwszych firm na liście największych polskich przedsiębiorstw dziennika „Rzeczpospolita”. Kilka lat temu do Warszawy przeniosły się redakcje tygodników „Wprost” (z Poznania) i „Przekrój” (z Krakowa) – wydawca tego drugiego czasopisma ostatnio podjął jednak decyzję o jego powrocie do Małopolski.

Koniec „warszawki”

Do polityki deglomeracji paradoksalnie dość łatwo można przekonać warszawiaków. Wydaje się bowiem, że są oni świadomi przede wszystkim uciążliwości (czy raczej uciążliwość) wynikających ze stołeczności, aniżeli kolosalnych korzyści ze skupiania się w Warszawie życia politycznego i gospodarczego.

Za każdym razem, gdy w Warszawie odbywa się większa manifestacja, w mediach nie może zabraknąć głosu stojących w korkach mieszkańców, żądających wprowadzenia zakazu organizacji demonstracji w stolicy. Jednocześnie coraz głośniejsze stają się w Warszawie inicjatywy na rzecz likwidacji lub znaczącego ograniczenia tzw. janosikowego, czyli mechanizmu budżetowego dążącego do wyrównywania sytuacji ekonomicznej bogatych i biednych samorządów. Jego przeciwnicy uważają, że w Warszawie również są biedniejsze dzielnice i w związku z tym nie ma podstaw, aby stolica oddawała część dochodów do innych części kraju. Całkowicie zapomina się przy tym o ogólnopolskich koncernach mających w niej swoje siedziby, co oznacza, że odprowadzają one podatki do warszawskich urzędów skarbowych i udział w dochodach podatkowych jest kierowany do samorządu Warszawy. Zapomina się również o tym, że obecność praktycznie wszystkich urzędów centralnych znacząco pobudza stołeczną gospodarkę.

Wreszcie, wdrożenie polityki deglomeracji władzy publicznej oznaczałoby koniec „warszawki”, czyli zjawiska skupienia w jednym ośrodku klasy politycznej i elity urzędniczej, wpływających na sytuację w całym kraju mimo funkcjonowania w co najmniej lekkim odezwaniu od realiów życia poza największym miastem.

KAROL TRAMMER

Radio-aktywni



MICHAŁ SOBCZYK

Społecznościowe rozgłośnie stanowią nie tylko alternatywę programową dla stacji komercyjnych. Bywają jednocześnie wspianiałymi szkołami aktywności, demokracji i samopomocy.

Radio Swoboda

Wśród stacji, które opierają się na bezpłatnej pracy, a mimo to utrzymują wysoki poziom i różnorodność audycji, przeważają rozgłośnie akademickie. Okazuje się, że dla wielu młodych ludzi satysfakcja z współtworzenia radia stanowi wystarczającą zapłatę. – *Przychodzą do nas głównie zapaleńcy, którzy się na czymś świetnie znają i nie wytrzymają, jeśli nie podzielą się tym z innymi* – śmieje się Agnieszka Wasilczyk-Kryger, redaktorka programowa Radia Afera, należącego do Politechniki Poznańskiej. Brak warsztatu nie przekreśla szans na zostanie członkiem zespołu. – *Wymagamy pomysłów i osobowości, a nie umiejętności. Mamy bowiem ambicję, żeby trafiających do nas ludzi nauczyć dziennikarstwa, prezenterstwa czy realizacji dźwięku, w zależności od indywidualnych predyspozycji.*

Otwartość na przeróżne tematy i na każdego kandydata na radiowca sprawiają, że studenckie anteny pełne są oryginalnych audycji autorskich. Teatr, amerykańskie komiksy, piosenka turystyczna, niezależna scena muzyczna czasów PRL-u – to tylko kilka przykładowych tematów. Aleksandra Dulas, związana ze Studenckim Radiem „Żak” Politechniki Łódzkiej od wczesnych lat 90., podaje przykład prowadzonych przez siebie programów o działaczach społecznych: *Cały czas*

nie bardzo widzę miejsce dla takich audycji w jakiegokolwiek innej rozgłośni. Grzegorz Długoszewski, redaktor naczelny wspomnianego radia w latach 2007-2009, zapewnia: *Są stacje, które się troszkę wyróżniają na radiowej mapie Polski, ale mimo wszystko ich programy są bardzo uładzone, nie ma tam miejsca na żadne ekstremum. U nas można tych ekstremów posłuchać, zarówno jeśli chodzi o muzykę, jak i poruszane tematy.* Dyrektor naczelna Akademickiego Radia LUZ z Wrocławia, Malwina Marszałek, dodaje: *Nie oglądamy się na to, że np. muzyka metalowa powinna być puszczana późno w nocy, bo słucha jej niewielka część społeczeństwa. U nas można ją usłyszeć o godzinie 21.00.*

Wszystko to nie byłoby możliwe w przypadku „zwykłych” stacji, dążących do maksymalizacji zysku z reklam. – *My możemy sobie pozwolić na robienie rzeczy, które spodobają się pięciu osobom, ale jest szansa, że zmienią ich świat* – wyjaśnia redaktorka programowa Afery. Ta filozofia przenika nawet serwisy informacyjne, w których usłyszeć można np. oferty pracy dla studentów i absolwentów czy wiadomości ze świata sportu akademickiego.

Co więcej, niezależność od wielkich pieniędzy i wielkiej polityki pozwala swobodniej podejmować tematykę społeczną, np. prezentować szersze spektrum



poglądów. – Przedstawiciele środowisk bardziej radykalnych w innych mediach rzadko kiedy mogą powiedzieć coś od siebie. U nas np. anarchiści mieli własny program – podkreśla Agnieszka Wasilczyk-Kryger. Siłą niezależnych radiowców jest także wolność od rutyny. – Myślę, że po wywiadzie dla „Żaka” niektórzy politycy czuli się jak oblani wiadrem zimnej wody. Byli przyzwyczajeni do dziennikarzy, którzy zadają jedno pytanie, nagrywają trzyminutową wypowiedź i na tym kończą, tymczasem tutaj rozmawiali z ludźmi, którzy choć są młodzi, doskonale znali się na temacie i niemiłosiernie go drążyli – mówi Katarzyna Kraska, redaktor rozgłośni ds. programowych. Również Aleksandra Dulas, która bywa zapraszana do innych stacji jako gość, zaręcza, że „Żak” pozostaje szkołą dobrego dziennikarstwa. – Mam poczucie, że musimy być bardziej profesjonalni właśnie dlatego, że nie jesteśmy zawodowcami.

Mówiąc o profesjonalizmie „młodzieżowych” rozgłośni warto wspomnieć, że LUZ miał korespondentów m.in. z ogłaszającego niepodległość Kosowa, a dziennikarka stacji, Katarzyna Nieciecka, została za reportaż „Pełnosprawny student” nominowana do prestiżowej nagrody Grand Press.

Na tych samych falach

Alternatywna radiofonia to nie tylko niesztampowe audycje – to także społeczności, w których zaciera się

Alternatywna radiofonia to nie tylko niesztampowe audycje – to także społeczności, w których zaciera się granica między twórcą a odbiorcą.

Wszystkie fotografie pochodzą z jubileuszowego albumu „Studenckie Radio ŻAK Politechniki Łódzkiej – 50 lat minęło...”

granica między twórcą a odbiorcą. – Ci, którzy siedzą u nas za mikrofonami i ci, którzy nas słuchają, to tak naprawdę tacy sami ludzie. Dzięki temu możemy nawiązać głębsze porozumienie. Nie głosimy prawd objawionych. Mamy takie samo prawo dowiadywać się wszystkiego o świecie na bieżąco, dyskutować ze słuchaczami, weryfikować własne poglądy – mówi red. Wasilczyk-Kryger, której radio współtworzy aktualnie ok. 200 osób.

– Nieraz byłem świadkiem sytuacji, gdy wierny słuchacz wpadł zobaczyć, jak program wygląda od środka – i już został. To raczej nie jest powszechne w innych stacjach – zauważa Długoszewski. – Między słuchaczami a prowadzącymi audycje nawiązują się przyjaźnie, które przenoszą się do świata poza anteną – uzupełnia Iza Kwiatkowska, która słuchaczom „Żaka” prezentuje S.P.A.M., Subiektywny Polski Alfabet Muzyczny. Z kolei Aleksandra Dulas podkreśla, że każdy żakowiec osobście dba o słuchalność własnej audycji wśród ludzi, którzy mogą być nią zainteresowani.

Unikalny przykład twórczego zaangażowania słuchaczy w życie rozgłośni stanowi internetowe Radio Wnet, założone przez Krzysztofa Skowrońskiego wraz z przyjaciółmi z Trójki, którzy odeszli z niej po jego zwolnieniu. Choć w odróżnieniu od stacji studenckich ma charakter profesjonalny, jest otwarte na początkujących. Najzdolniejsi z nich – absolwenci Akademii Radia Wnet, gdzie zawodowcy dzielą się z amatorami swoją wiedzą i doświadczeniem – mają możliwość prowadzenia na jego falach własnych audycji w ramach tzw. Wolnej Anteny. – Sprawia mi ogromną radość odkrywanie wielu samorodnych talentów radiowych. W radiu publicznym spotykałam głównie klony wybitnych dziennikarzy. Tu atmosfera otwartości i wsparcia dla

stawiających pierwsze kroki sprzyja rozwojowi medialnych osobowości – cieszy się Monika Wasowska, która wraz z mężem Grzegorzem, również doświadczonym radiowcem, stanowi jedną z sił napędowych stacji.

Podkreśla ona, że rozgłośnia stopniowo przekształca się w multimedialny portal społecznościowy, co od początku było jednym z założeń przedsięwzięcia. – *Słuchacze i „portalowicze”, czyli republikanie – współtworzą Radio Wnet w większym stopniu niż redakcja. Wystarczy przesłodzić ramówkę, gdzie Wolna Antena dominuje. Widać to także na stronie internetowej, gdzie ponad połowa publikacji jest autorstwa republikanów.*

Lata z radiem

Społeczna praca w alternatywnych rozgłoszeniach owocuje nie tylko indywidualnymi przyjaźniami – wyjątkowo trwałymi, jak zapewniają radiowcy o długim stażu – ale także więziami wspólnotowymi. Szczególnie dobrze widać to w łódzkim „Żaku”. Wszyscy moi rozmówcy spontanicznie deklarowali, że pracowników stacji – tak nazywa się członków zespołu po przejściu kilkietapowego okresu kandydackiego, mimo że nie dostają ani grosza – łączy silne poczucie przynależności do radiowej rodziny oraz posiadania oparcia w jej członkach. – *Gdy koledze spaliło się mieszkanie, kilkunastu żakowców przez tydzień przyjeżdżało i pomagało mu je ogarnąć* – wspomina Długoszewski.

Aldona Sołtysiak, związana z rozgłosznią od lat 80. i współautorka jubileuszowej monografii na jej temat, tak charakteryzuje osoby, które doświadczyły zaangażowanej, a przy tym bezpłatnej pracy radiowca: *Wiem, że jeżeli którąś z nich poproszę o pomoc, nie usłyszę „a za ile?”. Zaręcza też, że na hasło „Żak” otwiera się wiele drzwi. – Gdy się kogoś poleca, że był w „Żaku” albo przynajmniej go zna, to już się taką osobą traktuje jak dobrego znajomego.* Aleksandra Dulas, która niedawno wróciła do radia po 8-letniej przerwie związanej z narodzinami dziecka (z „radiowego” związku), dodaje: *Gdziekolwiek jedziesz w świat i potrzebujesz noclegu – wystarczy, że napiszesz na listę dyskusyjną żakowców i na pewno kogoś znajdziesz. I jeszcze dostaniesz jeśli nie wikt i opierunek, bo ludzie mają różne warunki, to na pewno dużo ciepła.*

Nauce koleżeństwa i wzajemności bardzo sprzyja brak „wyścigu szczurów”. – *To miejsce, gdzie można realizować swoje pasje i dzielić się nimi z innymi, gdzie nie ma walki o każdą minutę na antenie ze względu na zarobki. Tutaj każdy, kto tylko reprezentuje jakiś poziom, dostanie czas antenowy. Zresztą „Żak” to także np. organizowane przez niego festiwale. Działań, w ramach których nie tylko radiowcy mogą się spełnić, jest bardzo dużo* – mówi Iza Kwiatkowska. Jej zdaniem, jeżeli ktoś przychodzi do stacji z myślą o osobistym sukcesie, nie utrzyma się w niej dłużej. Aldona Sołtysiak uzupełnia: *Choć dla części osób praca radiowca staje się zawodem, to tylko pojedyncze jednostki przychodzą do „Żaka” wiedząc, że chcą pracować w tzw. mediach profesjonalnych i traktują stację jako pierwszy stopień kariery.* Dodaje, że sporo





żakowców wybiera alternatywne ścieżki „kariery”, np. poświęcają się pracy w organizacjach społecznych.

Sceptyk mógłby argumentować, że do rozgłośni po prostu trafiają ponadprzeciętnie aktywni. Takie wytłumaczenie nie satysfakcjonuje Aleksandry Dulas. – *To, że ktoś ma „nadpobudliwość ruchowo-intelektualną” nie znaczy jeszcze, że zrobi w życiu coś ciekawego. „Żak” potrafi ukierunkować takie osoby na fajne tory* – wyjaśnia. Praca radiowca pozwala im lepiej poznać własny potencjał oraz sfery, w których muszą coś poprawić. Jest też niepowtarzalną okazją do intelektualnych i światopoglądowych przewartościowań. – *Radio stanowi tygiel różnych sposobów patrzenia na świat oraz różnorodnych zainteresowań. Zараżamy się nimi i uczymy od siebie nawzajem. Gdy w jednym miejscu spotyka się tylu ludzi, którym naprawdę „się chce” i którzy cały czas czegoś szukają – muszą z tego wyjść fantastyczne rzeczy* – mówi Dulas, wspominając m.in. program o literaturze, który dał jej możliwość dyskusowania z polonistami, socjologami czy etnologami. Przywołuje też postać przyszłego współzałożyciela „Nowego Obywatela”, Szymona Surmacza: *Gdy przyszłam do „Żaka”, pomyślałam o „Słoniu”, który już dość intensywnie prowadził swoją audycję: „To taki szalony ekolog”. Dzisiaj w 90% zgadzam się z jego widzeniem świata.*

W opowieściach żakowców powtarza się wątek społecznościowego radia jako najlepszej uczelni, na którą dane im było uczęszczać. – *„Żak” zapewnia swoisty – i darmowy! – trening interpersonalny. Zawdzięczam mu choćby to, że nie wstydę się zagadywać do nieznajomych. To także szkoła asertywności i konstruktywnego wyrażania swojego zdania, ale również przyjmowania krytyki* – wylicza Katarzyna Kraska. Inny współpracownik rozgłośni, Kasper Ługowski, przyszedł tam, żeby się lepiej zsocjalizować, tymczasem otrzymał o wiele więcej. – *Rzecz, na którą wcale nie liczyłem, jest zdobycie całej palety umiejętności. Od specjalistycznych, typu cyfrowa obróbka dźwięku czy obsługa emisji radiowej, po wokalne, interpersonalne i organizacyjne. Do tego dochodzi wielka dawka wiedzy teoretycznej, którą musiałem przyswoić, albo z upływem czasu przyswajałem mimo woli – precyzuje. – Bycie żakowcem to dla większości z nas dużo więcej niż „mam takie radio, do którego sobie przychodzę raz na jakiś czas i prowadzę program”* – podsumowuje Długoszewski.

Demokracja FM

Wreszcie, rozgłośnia Politechniki Łódzkiej jest wyjątkowa jeśli chodzi o „ustrój”. Można w nim odnaleźć wiele zasad cechujących dojrzałe demokracje, jak transparentność władz czy ich rozliczanie – podczas kwartalnych zgromadzeń ogółu pracowników. – *Rządzi nami kolegium, ale jest ono wyłaniane w sposób demokratyczny. Jest walne zebranie, gdy są szczególnie ważne sprawy do ustalenia. W trudnych sytuacjach można się wesprzeć osobami, które już nie są pracownikami, ale mają odpowiednie doświadczenie i wiedzę – wzywa się je*

jako „ekspertów”. Jeśli się w ten sposób spojrzy na „Żaczka”, jest on niezłą szkołą funkcjonowania w społeczeństwie – uważa Aleksandra Dulas.

Zdaniem wielu żaków to, że radio przetrwało w tradycyjnej formule w czasach komercjalizacji wielu bliźniaczych rozgłośni było możliwe właśnie dzięki kultuwowaniu ideałów demokratycznych, a jednocześnie – merytokracji. – Nie wiem, czy jest inne miejsce, gdzie o wadze głosu szeregowego pracownika, redaktora naczelnego oraz osoby dawniej aktywnej, ale od wielu lat nie związanej z radiem decydują wyłącznie kompetencje w omawianym temacie – mówi Alicja Szeligowska, która w latach 2001–2008 w „Żaku” m.in. prowadziła audycje poświęcone muzyce etnicznej.

Szymon Surmacz podziela opinię o zdrowych podstawach funkcjonowania radia. Na jej potwierdzenie przywołuje sytuację, gdy jego władze próbowały bez wiedzy żakowskiej społeczności przekonać rektora do komercjalizacji rozgłośni. Po wykryciu „spisku”, bardziej świadomi radiowcy zrobili wszystko, żeby jej zapobiec. – Nie było to łatwe. Wizja dynamicznego rozwoju stacji oraz wynagrodzeń dla autorów i realizatorów audycji, przy rzekomym utrzymaniu profilu rozgłośni, rozpałała wiele głów młodych pracowników – wspomina Surmacz.

Po drugiej stronie barykady stanęli ci, dla których niekomercyjny charakter „Żaka” był warunkiem jego niezależności, ale i przetrwania. – Mobilizacja objęła ogromną liczbę „weteranów”, którzy zaangażowali się w naświetlanie personalnych interesów osób stojących za projektem. Odbyły się dziesiątki spotkań w różnych grupach, które można by porównać do prac w podkomisjach, albo do regionalnych sejmików – mówi obecny redaktor „Nowego Obywatela”.

Przywoływano losy podobnych rozgłośni, jak łódzki Kiks czy krakowski RAK, dla których „profesjonalizacja” stała się gwoździem do trumny. Na jaw wyszły wątki wskazujące na zakulisowy wpływ konkurencyjnej uczelni oraz możliwość likwidacji radia w celu przejęcia bardzo atrakcyjnej częstotliwości przez stację, której szefem był „biznesowy doradca” naiwnego kolegium. Żakowcy uruchomili kontakty w całym kraju, sprawą zainteresowały się ogólnopolskie media. – Próba uwłaszczenia się na kilkudziesięcioletniej tradycji radia zakończyła się sromotną porażką „biznesmenów”, o których „dokonaniach” uczą się ku przestrodze kolejne pokolenia radiowców. Alicja Szeligowska dodaje, że w „Żaku” naturalnie rugowane są próby wykorzystywania pozycji w strukturach redakcji do budowania zewnętrznych układów – wcale nie w myśl regulaminów, ale na zasadzie zbiorowego uczulenia na takie praktyki.

Mimo charakteru stowarzyszenia – dobrowolnej społeczności opartej na koleżeństwie i pracy społecznej – grupa na ogół jest w stanie wyegzekwować przestrzeganie panujących zasad. – Dość często odwołujemy się do spisanych reguł, do statutu czy regulaminu.



Jeśli ktoś np. nie wypełni protokołu dla ZAiKS-u, z czego później jesteśmy rozliczani przez różne instytucje, kolegium musi go przywołać do porządku. Natomiast większość problemów natury społecznej jest rozwiązywanych w ramach relacji koleżeńskich. Przykładowo, gdy starszy kolega zauważa, że coś jest nie tak, zwraca takiej osobie uwagę i jej wszystko wyjaśnia – zapewnia Grzegorz Długoszewski. Siła społeczności ujawnia się także w obliczu różnicy zdań. – W „Żaku” fajne jest to, że potrafimy skakać sobie do oczu, natomiast gdy wychodzimy z sali, w której obradujemy, dalej jesteśmy kolegami. Nauczył nas, że nie chodzi o to, żeby się pokłócić, tylko żeby rozwiązać problem – deklaruje Aleksandra Dulas.

Ciężki kawałek eteru

Podstawowym problemem rozgłośni opartych na pracy ochotniczej jest bardzo duża rotacja kadry. Skutkuje to nieraz brakiem ciągłości w przekazywaniu doświadczenia czy kontaktów. Kłopotliwe są także przerwy w zaangażowaniu.

– Ponieważ osoby, które u nas pracują, w większości są nieopłacane, każdy ma prawo powiedzieć, że nie przyjdzie jutro do radia, bo np. ma kolokwium. Musimy wtedy „na szybko” znaleźć zastępstwo, a jeśli się to nie uda – odwołać program. Najgorsze jest lato, gdy większość zespołu chce wyjechać do pracy, do domu czy na wakacje – wzdycha red. Marszałek, która sama za pracę w wymiarze odpowiadającym pełnemu etatowi otrzymuje wynagrodzenie pozwalające na opłacenie rachunku telefonicznego. Zastrzega jednocześnie, że przypadki „zawalania” są naprawdę rzadkie. Agnieszka Wasilczyk-Kryger ubolewa, że Afera nie jest w stanie choćby symbolicznie płacić członkom zespołu, co zmusza ich, by więcej czasu poświęcali na dorabianie gdzie indziej: *W ten sposób w jakimś stopniu tracimy ludzi, na których nam zależy.*

Niekomercyjna formuła w oczywisty sposób utrudnia także utrzymanie radiowej infrastruktury, zwłaszcza w przypadku rozgłośni, które nie uzupełniają budżetów wpływami z reklam. Problemem jest nie tylko niedobór środków. – Jedyńm źródłem naszego finansowania jest Politechnika Wrocławska, dlatego na wszystko musimy składać wnioski, których rozpatrywanie zajmuje nieraz sporo czasu. Gdy niezbędny jest np. nowy mikrofon, trochę komplikuje nam to pracę – tłumaczy dyrektor LUZ-u.

Zdaniem Izy Kwiatkowskiej, jedyna istotna rzecz, którą utrudnia „niekomercyjność”, to pozyskiwanie sponsorów. – Kiedy organizujemy jakieś wydarzenie, zwykle informacja, że nie możemy w zamian wyemitować spotów reklamowych, jest dla nich blokadą. Zaraz jednak dodaje, że plusów takiego modelu jest znacznie więcej: *nie musimy martwić się, że ktoś, kto miałby wykupiony czas reklamowy, mógłby próbować wpływać na program.*

Ostrożnie z pieniędzmi

Grzegorz Długoszewski podaje dodatkowe argumenty za nieobecnością reklam na falach „Żaka”. – *Nie jest tak, że gdybyśmy się na nie zdecydowali, reklamodawcy sami by do nas przyszli. Pozyskiwanie reklam wymaga ogromnego wysiłku, na dodatek jest kosztowne: trzeba zapłacić za zmianę koncesji na taką, która pozwala je emitować, zwiększają się koszty ZAiKS-u itd.* Żeby to zrekompensować, należałoby naprawdę intensywnie pracować nad reklamodawcami, co nie jest łatwe w przypadku radia pozbawionego stałej kadry.

Można co prawda stworzyć jedno czy dwa płatne stanowiska, jednak jest to ryzykowne. – *Redaktor naczelny jest na etacie, a jego zastępcy, którzy pracują nie mniej ciężko niż on, żadnych pieniędzy nie dostają. No to oferuje im się jakieś umowy, żeby mieli większą motywację do pracy. Wtedy pojawiają się konflikty: dlaczego szef promocji, który ma prowizję od pozyskanych reklam, ma zarabiać więcej niż redaktor programowy, chociaż to program jest istotą radia; reporterzy nie chcą pracować, dopóki nie otrzymają wypłaty itp.* – wyjaśnia Długoszewski, powołując się na przykłady innych stacji niekomercyjnych.

Mówi też, że odwiedzając rozgłosnie, które programowo oraz ideowo są do łódzkiego radia podobne, jednak zdecydowały się na stworzenie pewnej liczby płatnych stanowisk, był zaskoczony mniejszym zapałem zespołu, niezbyt intensywnym życiem towarzyskim oraz słabszymi więziami koleżeńskimi. – *Dlatego od lat niszczymy w zarodku wszelkie pomysły, żeby do „Żaka” wprowadzić pieniądze.* Jego zdaniem kiedy się one pojawiają, każdy chce, żeby ich było więcej, a potem już nietrudno o wykupienie radia. – *Wszędzie, gdzie weszły pieniądze, skończyło się radio studenckie, a zaczęło – formatowane – potwierdza Aleksandra Dulas. – Gdy ludzie zaczęli zarabiać, zaczęli też walczyć o pieniądze, jak bardzo śmieszne by one nie były* – dodaje.

Zdaniem red. Wasilczyk-Kryger, wcale nie musi tak być, w każdym razie nie przypomina sobie, by w ciągu dziewięciu lat, jakie spędziła w Aferze, była świadkiem konfliktu czy zazdrości na tym tle. – *Może dlatego, że kolegium redakcyjne jest obsadzone w otwartych kursach? Poza tym ludzie widzą, że koordynacja całego działu wymaga znacznie więcej czasu niż cokolwiek innego* – zastanawia się.

Redaktorka programowa poznańskiej rozgłośni zwraca uwagę, jak wiele pieniędzy i energii rozmaite korporacje poświęcają, żeby pracownicy się z nimi identyfikowali, tymczasem wolontariusze radia utożsamiają się z nim od razu. – *Nie wiem, na czym to polega – czy to magia radia, czy może magia Afery – ale wystarczy, że ktoś przygotował dla nas jeden materiał dziennikarski, a już opowiada o stacji same najlepsze rzeczy, nosi jej koszulkę, mówi wszystkim, że tam pracuje i zachęca do jej słuchania. Dostajemy to w prezencie, za darmo.*

MICHAŁ SOBCZYK

Między edukacją a pomocą społeczną

RAFAŁ BAKALARCZYK

Jeśli chcemy skutecznie i trwale przeciwdziałać wykluczeniu edukacyjnemu dzieci i młodzieży, musimy zidentyfikować i eliminować bariery, na jakie natrafiają one poza szkołą – w środowisku lokalnym, w rodzinie itp. Takimi uwarunkowaniami rozwoju zajmuje się pedagogika społeczna. Natomiast sposobem przewyższania wspomnianych problemów może być edukacja środowiskowa.

Kto, komu, gdzie, jak, po co

Jak wynika np. z badań Anny Karpińskiej, to właśnie czynniki środowiskowe są najczęstszą przyczyną szkolnych niepowodzeń. Środowiskowa edukacja powinna więc oddziaływać nie tylko na same dzieci w pozaszkolnym otoczeniu, ale także na to otoczenie. Tak, jak trudno pomóc jednostce, gdy najbliższa rodzina jest dotknięta dysfunkcją i patologią, podobnie trudno zmienić sytuację rodziny, jeśli bez zmian pozostaną realia jej bytowania. Dotyczy to szczególnie rodzin żyjących w enklawach biedy. W takich sytuacjach potrzebne są – wywodzące się z tradycji anglosaskiej – strategie upodmiotowienia (*empowerment*) i rozwoju społeczności (*community development*).

Szeroko adresowana edukacja środowiskowa może nie tylko wspomagać system edukacyjny, ale także zostać wykorzystana przez instytucje pomocy społecznej do realizacji ich celów. Jeśli pomoc ma faktycznie wspierać w przewyższaniu trudnych sytuacji życiowych, a nie tylko łagodzić sytuację materialną najuboższych (choć i to jest potrzebne), niezbędne jest oddziaływanie na wzorce postępowania i integrowanie ludzi ze społecznością. Temu właśnie służy edukacja środowiskowa.

Pojawia się pytanie, czy taka edukacja powinna służyć socjalizacji do norm dominujących w społeczeństwie (funkcja adaptacyjna), czy też przygotować do zmiany rzeczywistości (funkcja emancypacyjna). Wybitna specjalistka ds. pedagogiki społecznej, Helena Radlińska, twierdziła, że celem jest *przekształcanie środowiska siłami środowiska w imię ideału*. Cel był więc raczej emancypacyjny niż adaptacyjny. Podobnie było w przypadku działalności i opinii brazylijskiego pedagoga Paolo Freire (1921–97). Jego metody wsparcia biednej i dotkniętej analfabetyzmem ludności Brazylii polegały na jednoczesnym uczeniu podstawowych umiejętności oraz uświadamianiu im wyzysku i nędzy, co miało prowadzić do zmiany systemu społecznego.

Pozostawiając dylemat „Ile adaptacji – ile emancypacji?” – nota bene zasadniczy dla refleksji nad funkcjami edukacji w ogóle – jako kwestię otwartą, można powiedzieć, że edukacja środowiskowa nawet jeśli tylko poprawi sytuację jednostek i grup w ramach istniejących stosunków społecznych, jest czymś wartym podjęcia. Poza tym już samo włączenie grup zmarginalizowanych do głównego nurtu życia stanowi istotną zmianę społeczną.



Na pomoc pomocy

Nie ma powodu, żeby na obecnym poziomie rozwoju pomoc społeczna sprowadzała się wyłącznie do zaspokojenia elementarnych potrzeb, jak odzież, żywność czy dach nad głową. Powinna jednocześnie oddziaływać na zdolność tych ludzi do przezwycięzania swoich problemów oraz na chęć wspólnoty lokalnej, by wspierała ich w tym procesie. Potencjał takich działań można wykształcić właśnie za pomocą edukacji środowiskowej. Czy jednak instytucje pomocy społecznej są do tego przygotowane? Czy mają odpowiednie zasoby kadrowe, prawne, finansowe i czasowe?

Dotychczasowa sytuacja nie napawa zbytnim optymizmem. Badania pokazują, że pomoc społeczna boryka się z wieloma ograniczeniami w tym względzie. Jak pisze prof. Mirosław Grewiński, *Oprócz deficytu usług społecznych polska pomoc społeczna boryka się cały czas z deficytem pracy socjalnej i środowiskowej. W dalszym ciągu brakuje pracowników socjalnych, nie jest przestrzegana w wielu gminach ustawowa norma 1 pracownik na 2000 mieszkańców. Wielu pracowników socjalnych nie ma odpowiedniej ilości czasu, aby zajmować się pracą socjalną i środowiskową, gdyż są przeciążeni biurokracją i koniecznością prowadzenia szczegółowej dokumentacji sprawozdawczej. Problemem polskich publicznych instytucji pomocy społecznej jest brak rozróżnienia na „terenowych” (środowiskowych) pracowników socjalnych i pracowników administracyjnych, zajmujących się prowadzeniem dokumentacji.*¹

Z badań, które przeprowadzono wśród pracowników socjalnych z województw łódzkiego i mazowieckiego wynika też, że ponad połowa uznała, iż z powodu innych obowiązków nie ma czasu na pracę socjalną, a ponad połowa nie czuje się bezpiecznie idąc w teren do środowisk trudnych.² Już tylko te wyniki pozwalają wychwycić bariery dla środowiskowej pracy socjalnej, w tym takiej, która wykorzystywałaby doświadczenia pedagogiki społecznej.

To właśnie czynniki środowiskowe są najczęstszą przyczyną szkolnych niepowodzeń. Środowiskowa edukacja powinna więc oddziaływać nie tylko na same dzieci w pozaszkolnym otoczeniu, ale także na to otoczenie. Tak, jak trudno pomóc jednostce, gdy najbliższa rodzina jest dotknięta dysfunkcją i patologią, podobnie trudno zmienić sytuację rodziny, jeśli bez zmian pozostaną realia jej bytowania.

Potwierdzają to wypowiedzi pracowników, z którymi rozmawiałem. Marcin Semenik z warszawskiego Ośrodka Pomocy Społecznej Praga Północ wskazuje, że choć pracownicy wychodzą w teren, często osobisty kontakt z klientem w jego środowisku sprowadza się do wywiadu środowiskowego czy interwencji dopiero, gdy pojawił się jakiś problem. Ograniczone są natomiast możliwości długofalowej, kompleksowej pracy socjalnej. Efektem jest to, że pracownicy socjalni są często postrzegani jako organ kontroli, a nie ktoś, kto może i ma za zadanie pomóc w przezwyciężaniu kłopotów. Mój rozmówca wskazuje, że już sama ustawa o pomocy społecznej pozycjonuje priorytety. W pierwszej kolejności mówi się w niej bowiem o pomocy pieniężnej, a dopiero później o pracy socjalnej.

Z Unią można więcej

Tak wyglądają realia pracy socjalnej w ogóle, a przecież praca socjalna z wykorzystaniem pedagogiki społecznej jest formą szczególnie wymagającą czasu i odpowiedniego przygotowania. Czyli szczególnie trudną do realizacji w obecnych warunkach.

Aleksandra Marczak, współpracująca ze wspomnianym p. Marcinem, wskazuje, że w codziennej pracy nie praktykuje się edukacji środowiskowej. Wyjaśnia natomiast, że udaje się podejmować takie działania w ramach projektów, w których uczestniczy OPS. Jednym



©©©misiak_beauchamp, flickr.com/photos/misiak/545266781

z nich jest współfinansowany z Europejskiego Funduszu Społecznego projekt „Z rodziną mogę więcej”. Działania te adresowane są do osób z rodzin dotkniętych bezrobociem, ubóstwem, bezradnością w sprawach opiekuńczych lub borykających się z innymi problemami.

Jak czytamy w opisie projektu, *Niezmiernie ważnym elementem pomocy jest Klub Samopomocy Rodzinie. Klub ten ma być przyjaznym, bezpiecznym miejscem dla rodziny. Miejscem, w którym w godzinach popołudniowych dzieci i młodzież otrzymują m.in. pomoc w nauce, mają dostęp do Internetu, telewizora. W razie potrzeby mogą liczyć na ciepłą herbatę i kanapkę. Do zorganizowania pracy w Klubie zatrudniony zostanie animator klubu. Osoby dorosłe będą mogły szukać tutaj informacji o pracy, uczyć się prawidłowego sposobu zaspokojenia potrzeb w rodzinie, np. współudziału w odrabianiu lekcji, organizowaniu wspólnych sposobów spędzania czasu z dziećmi itp.*

Pani Mariola Wąsowicz, współkoordynator projektu, oprowadziła mnie po klubie. Gdy rozmawialiśmy w jej biurze za przeszkloną ścianą, w czystej, jasnej i przyjaznej sali odbywały się warsztaty psychoterapeutyczne, w których uczestniczyła grupa osób, głównie młodzieży. Zdaniem mojej rozmówczynie, zatrudnienie przy takim projekcie jest dla pracownika bardzo korzystne, gdyż w odróżnieniu od zwykłej pracy w ośrodku, w dużej mierze polegającej na zajmowaniu się dokumentacją,

tutaj istnieją możliwości prowadzenia faktycznej pracy socjalnej i aktywizacji podopiecznych – zarówno edukacyjnej, jak i zawodowej.

Jest tylko jeden problem. Projekty finansowane ze środków unijnych wkrótce wygasną. Trudno więc uznać je za systemowe rozwiązanie problemów polskiej pomocy społecznej. W ostatnim czasie powstała jednak w polskim prawie instytucja, która poniekąd może odpowiadać na to zapotrzebowanie – asystent rodzinny. Przyjęta niedawno ustawa o wspieraniu rodziny i pieczy zastępczej nakłada na gminy obowiązek zatrudnienia asystenta, który pracowałby z rodziną dysfunkcyjną w sferze wychowawczej.

Wyrównywanie poza szkołą

Wykluczenie edukacyjne dotyczy polskich dzieci na różne sposoby, szczególnie te z rodzin ubogich. Środowisko i jego realia mocno rzutują na szanse edukacyjne dziecka.

Co więcej, współcześnie różnice zakorzenione w środowisku życia są powiększane przez fakt, że w rodzinach zasobnych w kapitał kulturowy i materialny istnieje statystycznie większa skłonność (za sprawą innego poziomu aspiracji) i przede wszystkim zdolność do zapisywania dzieci na korepetycje czy rozmaite kursy i zajęcia. Tam dzieci zdobywają nie tylko wiedzę, ale także obycie ułatwiające przyswajanie dalszej wiedzy.

Istotna jest nie tylko edukacja szkolna, ale także to, co dzieje się poza takimi placówkami.

W obliczu takich zjawisk, jak rozwinięty rynek płatnych korepetycji, tym bardziej na wagę złota są środowiskowe działania kompensacyjne, skierowane do dzieci z uboższych rodzin. Czy Ośrodki Pomocy Społecznej, a więc główna instytucja służąca wsparciu rodzin z problemami finansowymi i innymi, partycypuje choćby pośrednio w zapewnieniu dzieciom wsparcia pozaszkolnego? Praktyka – przynajmniej jeśli chodzi o stołeczne OPS-y – pokazuje, że część z nich podejmuje pewne działania w tym kierunku. We wspomnianym OPS Praga Północ p. Marcin zajął się koordynacją wolontariatu, tyle że jest to efekt jego inwencji i dodatkowego, społecznego zaangażowania. Ośrodki bowiem nie mają ustawowego obowiązku zajmowania się takimi kwestiami.

Choć bazując na własnym doświadczeniu dostrzegam korzyści wolontariatu prowadzonego właśnie za pośrednictwem tego typu instytucji, uważam, że należy mieć świadomość licznych, nieraz wręcz technicznych barier. Jedną z nich jest brak przestrzeni, w której takie zajęcia mogłyby się odbywać. Gdy zaczynałem pracę z pierwszą uczennicą, p. Marcin, koordynując moje działania, stwierdził, iż środowisko zamieszkania dziecka jest na tyle niebezpieczne, że nie wchodzi w grę, abym uczył ją w domu. Wymyśliliśmy więc, że zajęcia będą odbywały się salce Domu Samotnej Matki, który jest instytucjonalnie związany z tymże OPS-em. Wiele placówek nie ma podobnych możliwości, choć bywają takie, które dysponują większą liczbą pomieszczeń. W takich sytuacjach chodzi nie tylko o ewentualne bezpieczeństwo wolontariusza, lecz także o bezpieczeństwo dziecka. Wszak wolontariusze nie przechodzą gruntownej selekcji, często nie mają też przygotowania fachowego. Możliwość formalizacji i pewnej kontroli jest więc zaletą prowadzenia działań edukacyjnych właśnie pod egidą placówki publicznej pomocy społecznej.

Znaczenie odpowiedniej przestrzeni warto pokreślić, gdyż z powodu deficytów w tej materii upadła niejedna inicjatywa. Pan Marcin swego czasu planował powołać – wzorem innych ośrodków – pogotowie edukacyjne. W określonych godzinach w danym miejscu dyżuruowałyby pracownik z wolontariuszami, a dzieci mogłyby ze swoimi zadaniami i problemami szkolnymi zasięgnąć pomocy. Pomysł upadł m.in. dlatego, że nie udało się wygospodarować odpowiedniego pomieszczenia. Przy czym odpowiednie miejsce to nie tylko metraż, lecz także np. otoczenie społeczne i akustyczne. Podczas moich zajęć w Domu Samotnej Matki dobiegające zza cienkich ścian głosy, a także obecność wbiegających do sali dzieci, bardzo często prowadziły do dekoncentracji ucznia i utrudniały naukę.

Trafić do potrzebujących

Podstawową korzyścią związaną z organizowaniem przez MOPS zajęć pozaszkolnych jest to, że instytucja dysponuje udokumentowaną wiedzą na temat rodzin z problemami materialnymi i pozamaterialnym. Dzięki temu możliwy jest w miarę sprawny sposób identyfikacji potrzeb i przyporządkowania ich do określonych form pomocy.

Mechanizm naboru adresatów wsparcia to kwestia zasadnicza. Przekonałem się o tym, gdy przed laty stawiałem pierwsze kroki na polu kompensacyjnej edukacji pozaszkolnej. Wówczas nie pomyślałem o MOPS, lecz poszedłem z grupą przyjaciół do szkoły. Udało się przy pomocy szkolnego katechety wygospodarować salkę w parafii. Głównym zaś sposobem przyciągania uczniów do darmowej edukacyjnej oferty było informowanie o niej przez księdza podczas parafialnych ogłoszeń oraz rozwieszenie ulotek w szkole. Efekt: nie przychodziły osoby wykluczone czy mające szczególne problemy w nauce, lecz takie, których rodzice chcieli dopilnować przy odrabianiu lekcji w sobotnie przedpołudnie.

Tamte, prowadzone przez rok działania nie były zupełnie bezowocne, lecz nie spełniły zasadniczego celu. Natomiast gdy skierowanie dzieci na dodatkowe zajęcia kompensacyjne odbywa się za pośrednictwem pracowników MOPS-u, którzy są zorientowani w ich sytuacji, mechanizm wyłonienia potrzebujących może zadziałać bardziej efektywnie.

Jest jednak i druga strona medalu. Nie wszystkie dzieci wymagające wsparcia są klientami pomocy społecznej. Ba, nie są nimi nawet wszystkie dzieci ewidentnie ubogie. Próg dochodowy, uprawniający do finansowego wsparcia w ramach pomocy społecznej, ustanowiono na bardzo niskim poziomie, a kolejne rządy nie podwyższały go. Efektem jest sytuacja, w której w 2011 r. ów próg jest niższy od kwoty zapewniającej minimalny poziom egzystencji, obliczanej przez ekspertów Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych. Wskutek takiej polityki część rodzin potrzebujących znajduje się poza systemem wsparcia, a więc potrzeby wychowujących się w nich dzieci umykają wiedzy i dokumentacji pracowników

©©© Joanna Kinowska (mentitore), flickr.com/photos/askinowska/413982438





socjalnych. A przecież już samo ubóstwo, nawet jeśli w parze z nim nie idzie wykluczenie w innych wymiarach, sprawia, że dzieci nie mogą sobie pozwolić na pomoce naukowe, nie mówiąc o korepetycjach.

W stronę pracy środowiskowej

Wydaje się, że drogą do przełamania powyższego problemu jest wyjście pracowników ku środowisku. Czy oni sami jednak również widzą taką potrzebę?

Ciekawe wnioski przynoszą badania przeprowadzone przez Instytut Spraw Publicznych na dużej próbie pracowników socjalnych z OPS-ów, Powiatowych Centrów Pomocy Rodzinie oraz placówek specjalistycznych. Jak pisze dr Marek Rymśza, *najbardziej pozytywną konstatacją z przeprowadzonego badania jest to, że polscy pracownicy socjalni postrzegają działania aktywizujące jako działania środowiskowe. [...] To właśnie praca ze środowiskiem lokalnym, nie zaś klinicystyczna praca socjalna, wzorowana na amerykańskich doświadczeniach opartych na psychoterapii i psychoanalizie, ma w Polsce jak się wydaje - największy potencjał [...] Pracownicy socjalni wolą [...] wyjść w teren do ludzi, pracować w środowisku, nie gabinetach. Jest więc wśród nich otwarcie na nowe środowiskowe role zawodowe.*³

Jakie to mogą być role? W innej części raportu wyszczególniono kilka:

- Tzw. edukator - zorientowany na rozwiązanie problemów i zadaniową pracę socjalną. Pracuje z osobami niezaradnymi życiowo nad problemami, z którymi się one zgłaszają, wspiera w poszukiwaniu

i realizowaniu rozwiązań. Jego podopieczni tą drogą nabywają kompetencje życiowe i społeczne.

- Menedżer przypadku - osoba pracująca z rodzinami o wielu problemach i dysfunkcjach. Określa katalog potrzeb, ma stały kontakt z osobami potrzebującymi pomocy i w razie czego interweniuje, jeśli plan nie jest realizowany.
- Animator społeczny - pracuje z członkami danej społeczności, pomagając im się organizować i współpracować w zakresie rozwiązywania lokalnych problemów.
- Organizator sieci społecznych - praca na rzecz wspólnoty poprzez budowanie więzi między członkami, grupami i instytucjami, by ze sobą współdziałały.
- Lokalne planowanie społeczne - praca dla społeczności, polegająca na zbieraniu i analizie danych w kwestii potrzeb i problemów, a także na planowaniu i projektowaniu sposobów ich rozwiązywania.

Czy już dziś role te są praktykowane? Pytani o to pracownicy socjalni nieraz odpowiadali twierdząco, aczkolwiek analizujący tę część badań dr Tomasz Kaźmierczak nieco sceptycznie odnosi się do wyników. Píše on, iż *Bardzo wysoki procent deklaracji wykonywania czynności takich (lub podobnych) jak opisane w charakterystyce ról, zwłaszcza w wypadku edukatora i menedżera przypadku, nie oznacza, że role te profesjonalnie [...] są w rzeczywistości odgrywane - wyniki te pokazują raczej, że idee zawarte w opisach ról są bliskie pracownikom socjalnym, że mają oni poczucie konieczności częstego wprowadzania ich w życie.*⁴

Wspomniany roboczy podział nowych ról pracowników socjalnych pokazuje, jak szeroka jest paleta możliwych działań na rzecz społeczności. Jest to kierunek, który należy wspierać z uwagi zarówno na potrzeby społeczności, takie jak budowanie więzi czy wspólne rozwiązywanie problemów, jak również ze względu na wizerunek służb społecznych. **Zaufanie do służb publicznych, w tym pomocy społecznej, może mieć istotne znaczenie w procesie tworzenia bezpieczeństwa socjalnego. Od tego zależy m.in. skłonność obywateli do zwracania się do tych instytucji, gdy pojawi się jakiś problem życiowy, nie zaś dopiero gdy jest on już w krańcowym stadium i bardzo trudno go przezwyciężyć.** Pracownicy socjalni zaś mogliby zdobyć rzetelnieszą wiedzę na temat procesów zachodzących w danej społeczności, a dzięki temu lepiej adresować wsparcie.

Chodzi o to, aby pracownicy pozyskiwali wiedzę na temat środowiska społecznego oraz sami temu środowisku przekazywali wiedzę i umiejętności w określonym zakresie, a więc prowadzili swoistą edukację środowiskową. Może to być wiedza zarówno na temat sposobów rozwiązywania życiowych problemów (w obecnej sytuacji byłoby to trudne, gdyż pracownicy nie zawsze są wystarczająco przeszkoleni w tym celu), jak i wiedza na temat innych, specjalistycznych instytucji, do których można się zwrócić w poszczególnych przypadkach.

Nie chodzi tylko o instytucje w ramach publicznej pomocy społecznej, ale także na przykład o inicjatywy, które odpowiadają na określone potrzeby społeczne i edukacyjne. Dla przykładu, jeśli mówimy o działaniach socjalizacyjno-wychowawczych, na Pradze Północ działa sporo świetlic socjoterapeutycznych. Pracownicy MOPS zapewne mają ograniczone możliwości, aby pełnić funkcje socjoterapeutyczne, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uzyskali wiedzę na temat zasad

działania tych świetlic i ich rozmieszczenia, którą mogliby przekazać potrzebującym.

Instytucje w społecznym środowisku

W scenariuszu nakreślonym wyżej widać szansę zasypania przepaści między tym, co instytucjonalne a tym, co środowiskowe. Przepaść ta wydaje się w polskim myśleniu i praktyce życia zbiorowego bardzo głęboka. Ma to oczywiście pewne uzasadnienia historyczne, ale spoglądając w przyszłość, a także próbując się zmierzyć z teraźniejszymi problemami, wydaje się, że nie we wszystkich sferach jest to zjawisko korzystne. Pomoc społeczna to jedna ze sfer, gdzie zatarcie podziałów między porządkiem instytucji a dynamiką życia społecznego byłoby szczególnie potrzebne.

Podobnie zatarciu powinna stopniowo ulec granica między pracą socjalną a pedagogiką społeczną. Przedstawiciele służb społecznych muszą stawiać sobie coraz bardziej edukacyjne cele i w tym procesie sami podlegać dalszemu przekwalifikowaniu, by sprostać zadaniu. Tego typu działalność wymaga znacznie bardziej złożonych kompetencji niż działania transferowo-osłonowe.

Trzeba jednak pamiętać, że warunkiem ewentualnej zmiany nie może być wyłącznie zmiana paradygmatu. Konieczne jest także zapewnienie odpowiednich środków finansowych i umiejętne ich rozdysponowanie. W sytuacji, w której w wielu gminach łamie się ustawową normę liczby pracowników socjalnych, bardzo trudno jest im – nawet przy odpowiednich kwalifikacjach i chęciach – skutecznie uczyć sposobów rozwiązywania problemów życiowych, zawodowych czy rodzinnych.

Warto przeznaczyć na to środki, gdyż przy pomocy opisanych działań realne stanie się zmierzanie ku społeczeństwu świadomemu swoich praw i możliwości ich realizacji. Instytucje pomocy społecznej – zwłaszcza partycypując pośrednio lub bezpośrednio w edukacji środowiskowej – mogą, a właściwie powinny sprawić, że w tym bardziej samoświadomym społeczeństwie będą mieli szansę odnaleźć się także jego najsłabsi członkowie.

RAFAŁ BAKALARCZYK

Przypisy:

1. M. Grewiński, *Od administrowania do zarządzania usługami społecznymi* [w:] M. Grewiński, B. Skrzypczak (red.), *Środowiskowe usługi społeczne – nowa perspektywa polityki i pedagogiki społecznej*, Warszawa 2011, s. 32.
2. ibidem.
3. M. Rymśa (red.), *Czy podejście aktywizujące ma szansę? Pracownicy socjalni i praca socjalna w Polsce 20 lat po reformie systemu pomocy społecznej*, Warszawa 2011, s. 251.
4. T. Kaźmierczak, *Pracownicy socjalni wobec nowych ról zawodowych* [w:] M. Rymśa (red.), *Czy podejście aktywizujące...* op. cit., s. 163.



08@ pmi. flickr.com/photos/skrubub/5173873907

Stygmaty i schematy

z dr Anitą Gulczyńską
rozmawia Michał Sobczyk

- **Spędziła Pani trzy lata wśród łodzian dorastających w śródmiejskich bramach, czyli młodzieży określanej jako zagrożona wykluczeniem społecznym.**

- **Anita Gulczyńska:** Nie lubię pojęcia „wykluczenie”. O „chłopakach z dzielnicy” – jak siebie nazywają – myślę jako o społecznie wyłączanych albo wyłączających się. Te dzieciaki na jakimś etapie życia minimalizują relacje wychodzące poza świat „swoich”, gdyż nie używają w nich satysfakcjonującego obrazu samych siebie. W ich wyobrażeniach „normals” to osoba niedostępna, której jest łatwiej i która wobec takich jak oni stosuje różne taktyki znieważające, degradujące. Zasadniczą formułą dla tej relacji bywa odrzucenie, wynikające nie z niechęci, lecz raczej z obawy o bycie odrzuconym.

Myślę, że dla postrzegania innych przez tę młodzież fundamentalna jest także jej identyfikacja z „dzielnicą”. O granicach tego świata nie stanowi terytorium, lecz uwspólnienie znaczeń przypisywanych obserwowanym faktom czy działaniom innych, co wyraża się swoistym ujednoliceniem postępowania chłopaków w podobnych kontekstach sytuacyjnych. Ten świat budowany jest poniekąd w opozycji czy wręcz oporze do naszego. „Dzielnica” to świat ludzi, którzy identyfikują się jako *wrogowie frajerstwa i policji*. Uczestnictwo w nim wiąże się z miejscem zamieszkania, gdzie młody człowiek konstruuje swoją biografię tak, by sprostać społecznym oczekiwaniom i uzyskać satysfakcjonujący status. Jakość obywatelskich przywilejów zależy w tym świecie od tego, ile w obrazie społecznym danej osoby, często konstruowanym przez wiele lat, będzie „nie dającego się”, a ile „lapsa”. Ten, kto się „nie daje”, kto na co dzień umie bronić się przed taktykami degradacji i odrzuca wartości klasy średniej, unika stawiania się lapsem – czyli słabym. W ten obraz wpisujemy także my, co oznacza, że wydajemy się im być trochę lapsami. Nie chciałabym jednak swoją wypowiedź wpisać się w myślenie deterministyczne.

„Chłopakiem z dzielnicy” jest się wtedy, kiedy kontekst działania stanowią „swoi”. W innym kontekście społecznym można sprawnie przyodziewać się w inne szaty.

- **A wyobrażenia drugiej strony tej relacji? Badania dr. Tomasza Rakowskiego nad światem kulturowym bezrobotnych przełamały wiele negatywnych stereotypów, np. na temat ich roszczeniowości czy niezaradności życiowej. Towarzyszyły Pani podobne odkrycia?**

- Jeśli mówimy o zaradności mieszczącej się w granicach normatywnej poprawności, to pewnie „chłopaکی z dzielnicy” za bardzo zaradni nie są. Jeżeli jednak zdefiniujemy ją jako umiejętność twórczego rozwiązywania trudnych problemów, to należy ich uznać za bardzo zaradnych. W ich rodzinach, które nie zawsze są wspierające, dzieją się nieraz sytuacje wymagające od nich olbrzymiej odpowiedzialności, teoretycznie przekraczającej możliwości dziecka, a mimo to potrafią dać sobie z nimi radę. Choć z normatywnego punktu widzenia to są rodziny patologiczne, w wielu z nich jest akceptacja, miłość i zaufanie, które mimo biograficznego obciążenia kreują człowieka wyjątkowo zaradnego.

Dzieciaki są też bardzo twórcze w kontekście materialnej przestrzeni swojego miejsca zamieszkania. Brak wyznaczonych dla nich miejsc powoduje, że kierowane nieograniczonym potencjałem wyobraźni budują w ciemnych podwórkach własne przestrzenie przeżywania dzieciństwa, co wymaga nieprawdopodobnej pomysłowości, zaangażowania i aktywności.

- **Jakie inne pozytywne wartości można odnaleźć w tym świecie, który wielu kojarzy się przede wszystkim z różnymi patologiami?**

- Myślę, że występują tam te same wartości, co u nas, jakkolwiek formy ich realizacji są zróżnicowane na



©©© Piotr Świderek, kooperatywa.org

miarę warunków. Czy wyobraża pan sobie, że nastoletnia koleżanka z podwórka „bierze na siebie” pański akt przestępczy tylko dlatego, że szanuje pana jako starszego kolegę i wie, że jako nieletnia „dostanie za niego” tylko kuratora, a pan, który „ma już kartotekę”, poniosłby większą odpowiedzialność? To chyba najpiękniejszy wyraz solidarności. Oczywiście z normatywnego punktu widzenia można tę formę realizacji solidarności zanegować, nie zmienia to jednak faktu, że w „dzielnicach” znalazłam jednych z najbardziej ciekawych, a nawet wciąż mi bliskich ludzi.

- Zawszą słyszymy frazes, że istotne jest tworzenie dla młodzieży przestrzeni samorealizacji w ramach np. domów kultury.

- Jestem jak najbardziej za instytucjonalizacją czasu wolnego młodzieży, wpisaną w tradycję pedagogiki społecznej. Nie zawsze odpowiada mi jednak celowość i formy tej instytucjonalizacji. Problem w tym, że lokalne instytucje niekoniecznie rozumieją odmienną kulturę osób, dla których zostały powołane. „Chłopak z dzielnicy” trafia do świetlicy ze skierowania pedagoga albo kuratora, będąc kimś, kto od czwartego roku życia wytrwale buduje sąsiedzką, a potem „uliczną” karierę moralną. Ma poczucie ogromnej pracy nad sobą, co przekłada się na szacunek wobec własnej osoby. Tymczasem niektóre świetlice mają to do siebie, że patrzą na podmiot swojej działalności nie jak na kogoś, kto przychodzi do nich wraz z indywidualną historią, lecz na człowieka, którego trzeba wykorzystać: oduczyć, „wyprasować” i zrobić społecznie pięknym, adekwatnym.

Pedagog nie ma szans, jeśli nie będzie prowadził działalności na tyle inkluzywnej, by pozwolić „chłopakowi z dzielnicy” pozostać „chłopakiem z dzielnicy”, oferując jednocześnie wybór innych kontekstów socjalizacji, w których może on osiągnąć satysfakcjonujący obraz siebie, a nie obraz „wykluczonego” czy „potrzebującego pomocy”. Bez tego, tak jak w przypadku badanych przeze mnie chłopaków, instytucje w rodzaju świetlic będą jedynie fragmentarycznie obecne w życiu młodzieży jako miejsca zesłania przez kogoś posiadającego formalną władzę - nigdy nie staną się znaczące w sensie symbolicznym.

- Kolejną instytucją, z którą „chłopaki z bram” mają przymusowy kontakt, jest szkoła.

- Szkoła z założenia służy określonej ideologii, którą jest ideologia normalsów. Dlatego mam wrażenie, że mówimy o jej wymiarze integracyjnym jedynie dla spokoju sumienia. Jeśli faktycznie posiada ów wymiar, to wyłącznie w zakresie odmienności, których zaakceptowanie niewiele nas kosztuje, jak odmienną fizyczną, postrzegana jako niezawiniona.

Nie chciałabym wypowiadać się o szkolnictwie jako takim, powiem tylko o moich doświadczeniach ze szkołami, z którymi poniekąd współpracowałam, starając się pomagać w nauce „moim” chłopcom. Żeby zrozumieć *de facto* ekskluzywny charakter szkoły, trzeba znowu spojrzeć z ich perspektywy. Szkoła jest dla nich bytem kulturowo obcym, w którym na dodatek władzę ma mniejszość. Dlaczego mniejszość? Bo szkoła ma charakter lokalny - idąc do niej dzieciaki znowu zabierają cały swój kapitał społeczny, ponieważ

budują tożsamość ucznia w kontekście społecznie mieszanym. Oprócz nauczycieli i nowych kolegów spotykają się tam z kolegami z podwórka oraz z chłopakami odnoszącymi się w działaniu do symbolicznego świata „dzielnicy”, ale pochodzącymi z innych sąsiedztw, nie rzadko bohaterami legend, społecznych mitów obrazujących postawy oczekiwane w tym świecie. Pracując nad sobą ileś lat w toku socjalizacji dzielnicowej, nie mogą teraz zanegować całego związanego z tym dorobku. Tymczasem szkoła wymaga od nich właśnie tego. Oczekuje podporządkowania się rygorom, które nie pozwalają na zachowanie dobrego obrazu samego siebie w kategoriach znaczeń dzielnicowych. Stąd też szkoła w doświadczeniu moich podopiecznych była instytucją biograficznie nieznaczącą, a wręcz kłopotliwą, z wyjątkiem pojedynczych nauczycieli. Próba rekonstrukcji ich karier szkolnych pozwala mi twierdzić, że stosowane były wobec nich taktyki stygmatyzacji, które zmierzały do swoistej eliminacji „trudniejszych” uczniów z szans czy kontekstów, które pozwalałyby im budować pozytywną karierę moralną poza światem „dzielnicy”.

Nauczyciele zobowiązani są do spełniania określonych oczekiwań, jednak ograniczanie się przez nich do pracy na podłożu autorytetu formalnego prowadzi w nieunikniony sposób do sytuacji konfliktowych z uczniem, który jako „nie dający się” również musi odpowiedzieć w określony sposób. W takim konflikcie zawsze jest dwóch przegranych: nauczyciel jako ten, którego bezsilność komunikacyjna zostaje zdemaskowana (nie będzie przecież mógł doprowadzić do końca swojej odpowiedzi na zniewagę), a z drugiej strony dzieciak, który w skrajnym przypadku może zostać usunięty ze szkoły na skutek wielości sytuacji tego rodzaju. Tymczasem, paradoksalnie, często mu na tej szkole zależy. Niekoniecznie dla siebie – bo często nie rozumie jej znaczenia dla swojego dalszego życia – ale na przykład, jak w przypadku badanych przeze mnie chłopców, dla matki, która w edukacji widzi szansę na lepszą przyszłość.

- **Kim byli nauczyciele, którzy pozostawili pozytywny ślad w pamięci „chłopaków z dzielnicy”?**
- Dwie nauczycielki pojawiały się w bardzo różnych wizerunkach, ale w prawie każdej biografii, co jest najlepszym świadectwem, że były dla chłopaków znaczące. Były to nauczycielki, które negocjowały. Szanowały społecznie budowany wizerunek tego, który jest silny, a trudne sytuacje rozwiązywały w warunkach intymności. Wspomniane nauczycielki fantastycznie, choć być może nieświadomie analizowały rzeczywistość społeczną w kategoriach interakcyjnych. Miały świadomość zmienności tożsamości wraz ze zmianą społecznego kontekstu działania uczniów. Wiedziały, że jeśli uczeń ma publiczność, nie pozwoli im ona dotrzeć do tego, kim ten dzieciak naprawdę jest. Będzie on bowiem grał na zasadach „dzielnicowej” tożsamości



GUL CZYŃ SKA

Anita Gulczyńska (ur. 1973) – pedagog społeczny, adiunkt w Katedrze Pedagogiki Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego. Zajmuje się społeczno-pedagogicznymi aspektami życia w zubożonych społecznościach lokalnych, krytycznie i radykalnie zorientowaną pracą społeczną oraz metodologią badań jakościowych, w tym szczególnie – badań społecznie zaangażowanych. Prowadziła kilkuletnie badanie socjalizacji nastolatków ze starego, zubożonego łódzkiego sąsiedztwa.

społecznej, czyli spełniał oczekiwania publiczności, a nie nauczyciela. Ten ostatni jest w jego życiu ważny tylko kilka godzin dziennie, natomiast koledzy są ważni zawsze, zważywszy choćby na to, że ratują z trudnych sytuacji, np. rodzinnych.

Mowa zatem o pedagogach, którzy szanują odmienność kulturową i potrafią w niej zauważyć przepiękne wątki. Są to nauczyciele, którzy nie zawsze działają zgodnie z wyobrażeniami dyrektora, np. znam takich, którzy pozwalali hersztowi danej klasy palić w łazience, w zamian za co ten pilnował, by młodsi nawet nie zaczęli popalać. Zawierali układ: tracę odrobinę władzy, dostając coś w zamian, szanując tożsamość innego od siebie i nie dążąc do zdominowania go.

- **Nawet przy najlepszych chęciach szkoła raczej nie wystarczy do skutecznego włączania społecznego grupy, o której mówimy. Jakie są niezbędne elementy pracy z młodzieżą w jej najbliższym otoczeniu?**
- Ciągle jestem na etapie budowania swoich poglądów, zarówno teoretycznych, jak i dotyczących praktyki. Mogę już jednak powiedzieć, że najważniejszą sprawą jest nasza – normalsów – obecność w ich środowisku życia. Obecność niezobowiązująca, w ramach której przyjmujemy postawę osoby pragnącej się czegoś nauczyć i która chce w tej społeczności coś zmienić, ale budując celowość tej zmiany odnosi się do racjonalności jej członków. To zadanie dla pedagoga-etnografa, który rozpoznaje rzeczywistość od znaczeń podstawowych, definiując problemy nie w kategoriach normatywnych, lecz z perspektywy badanych. I kolejno, diagnozując z zaprzyjaźnionymi mieszkańcami

sąsiedztwa obszary wymagające naprawy, wspólnie dokonuje zmiany. Mamy tu do czynienia z pracą społeczną rozumianą za Heleną Radlińską (prekursorką pedagogiki społecznej w Polsce) jako zmiana dla celów społecznych, przeprowadzana siłami społecznymi, wrażliwie ujawnianymi i aktywizowanymi przez pedagoga pracującego w danym środowisku.

Drugą zasadę stanowi poszanowanie wewnętrznego zróżnicowania mieszkańców danego sąsiedztwa. Jest we mnie ogromna niezgoda na język, dość popularny również w środowisku naukowym, określający miejsca takie jak to, w którym prowadziłam badania, jako „enklawy biedy”. Efektem ubocznym stosowania tej kategorii jest wyobrażenie ich mieszkańców jako jednolitej zbiorowości, a to są miejsca społecznie zróżnicowane. Spojrzenie etnografa – nie polityka społecznego czy statystyka – pokazuje, że oferta społeczno-pedagogiczna oraz socjalna powinny być dostosowane do różnych naturalnych grup mieszkańców, a nie do reprezentantów określonych problemów społecznych. Myśląc o pracy w środowisku, myślę o zróżnicowaniu jej form ze względu na odmienności pomiędzy tymi grupami w ich codziennych interakcjach. W badanym przez mnie sąsiedztwie była np. grupa matek i babć spotykających się przy wspólnej zabawie dzieci, kilka grup starszych chłopców „wystających pod bramami”, grupy chłopców w wieku szkolnym, którzy aktywnie, acz w sposób nieakceptowany przez większość sąsiadów spędzali czas na podwórkach etc.

Przykładem na zasadność takiego definiowania klientów oferty socjalno-wychowawczej może być jedna ze świetlic, która miała problem z chęcią uczestnictwa dzieci z okolic śródmieścia. Dzieciaki, niezależnie od estetyki wnętrza i bardzo atrakcyjnych zajęć, nie chciały tam przychodzić. Dlaczego? Otóż panie pedagogi, które wcześniej wchodziły w rolę pedagogów ulicy pracujących z naturalnymi grupami dzieci podwórkowych, zorganizowały przestrzeń świetlicy dla nich wszystkich, nie biorąc pod uwagę lokalnego rozkładu sympatii i antypatii, w dużej mierze opartego o kryterium kibicowania określonemu klubowi piłkarskiemu. Nieuwzględnienie naturalnej organizacji życia społecznego na tamtym terytorium stało się powodem odrzucenia oferty pedagogicznej.

- **Kładzie Pani bardzo duży nacisk także na kwestię organizacji przestrzeni sąsiedztwa.**
- To bardzo ważny aspekt pracy w środowisku lokalnym. W etiologii problemów społecznych zwykle zaniedbujemy fakt, że dotyczą one osób żyjących w miejscu, na które nie mają wpływu. W przestrzeni śródmiejskich podwórek nie ma wyznaczonych miejsc dla osób reprezentujących różne kategorie wiekowe, np. piaskownic czy boisk dla dzieciaków, bardzo ważnych z rozwojowego punktu widzenia. A jeśli nie ma formalnego podziału przestrzeni, rozpoczynają się

negocjacje, w których dzieci i młodzież nie mają szans. Ich rodzice z reguły nie są bowiem właścicielami swoich mieszkań, więc nie należą do wspólnoty mieszkaniowej, a tylko jej członkowie mają realną możliwość podejmowania decyzji dotyczących sąsiedztwa. Tymczasem osób ze świata normalsów, które tam mieszkają tylko do czasu, aż stać je będzie na kupno mieszkania w lepszej dzielnicy, zazwyczaj nie interesują potrzeby tych, którzy są tam od pokoleń i wychowują swoje dzieci.

W takich sytuacjach przydaje się osoba, którą nazwałabym adwokatem lub rzecznikiem społecznym. Ktoś, kto rozumie codzienność mieszkańców sąsiedztwa i pomaga im przeformować swój punkt widzenia. Bo niestety za brakiem wpływu na własną przestrzeń idą konflikty społeczne, w których znowu przegrywają młodzi i ich rodziny, choćby ze względu na mniejszą sprawność komunikacyjną. Gdy przyjeżdża policja, najchętniej rozmawia z takimi jak my, a rzadziej uwzględnia perspektywę tych, którzy coś tam krzyczą językiem nie do końca przez nią akceptowanym, ujawniającym niski status społeczny w naszym świecie.

- **Obserwowała Pani bardzo różne postawy dorastającej młodzieży wobec niezaspokojenia jej potrzeb w sąsiedztwie.**

- Jeśli dzieciaki konstruują swoją codzienność w taki sposób, żeby móc sprawdzać się w działaniu, stawiać się społecznie rozpoznawalnym oraz po prostu zwyczajnie przeżywać dzieciństwo, a napotykają ciągłą niezgodę na swoją aktywność, to w sposób naturalny muszą sobie jakoś z tym radzić.

Nieprzyjazny architektonicznie charakter ich najbliższego otoczenia próbują sobie kompensować np. malując bramki na garażach sąsiadów czy wieszając nad wejściem do czyjejś komórki imitację kosza, zrobioną samemu lub przez kogoś z rodziców. Bywają to fantastyczne przykłady ujawniania się sił społecznych w miejscach, które postrzega się często jako skupiska osób „roszczeniowych” czy „niezaradnych” – akty działalności społecznej, ale niestety mniejszościowej, więc odrzucane. Oczywiście działania takie rodzą akcje zwrotne w postaci demolowania tych udogodnień czy zgłaszania do administracji zmian, które nie korelują z wolą tych, którzy sprawują władzę w sąsiedztwie. W odpowiedzi dzieciaki przyjmują taktyki obronne, nieraz społecznie nieakceptowane, np. osadzają się w czyichś komórkach, budując sobie „klub”. „Moi” chłopcy skonstruowali sobie nawet wewnętrzny system ogrzewający, ale oczywiście cały ten akt społecznego aktywizmu został odebrany w kategoriach wandalizmu.

Reakcje na postawy aktywne, lecz negatywne w sensie normatywnym, z czasem prowadzą do postaw biernych, wycofywania się czy demolowania sąsiedztwa, a ostatecznie do przeniesienia przestrzeni życiowej do

obszaru społecznie bezkolizyjnego: do bramy. Nastoletni chłopcy spędzają całe dnie w bramach nie dlatego, że są niedostosowani społecznie, lecz z tego względu, że nie ma dla nich miejsca w sąsiedztwie. Nie są „dziećmi ulicy”, lecz dziećmi na ulicy, które znalazły się tam wskutek presji mieszkańców-normalistów.

- Ma to dalsze konsekwencje społeczne.

- Przejście z podwórek do bram powoduje zmianę kontekstu codziennej aktywności i zmianę partnerów interakcji, którymi stają się przechodnie, policja i ci, którzy „stoją na rogach” – mężczyźni, do których pasuje pojęcie, którego tak nie lubię, czyli „wykluczeni społecznie”. To osoby wykluczone podwójnie – bezrobotni, często bezdomni, bo wyrzuceni z domu np. ze względu na alkoholizm, ale wykluczeni również ze społeczności dzielnic. Są swego rodzaju klakierami, wspierającymi taktykę statusotwórczą chłopaków spod bram, jak i bohaterami lokalnych opowieści o wspólnym mianowniku – upadku moralnym.

Kolejną kwestią jest odbiór przez społeczeństwo. Brama jest miejscem granicznym i samo wystawanie pod nią jest faktem naznaczającym: ci, którzy ją okupują, są automatycznie podejrzani, a wobec podejrzanych stosuje się określone taktyki weryfikujące. Ci, którzy definiują ich jako podejrzanych, to my, przechodząc na drugą stronę ulicy, gdy widzimy w bramie grupę młodych chłopców, a także policja. Relacje z policją są bardzo ważnym i zaniedbywanym elementem w próbach zrozumienia etiologii problemów społecznych w kategoriach interakcyjnych. W starych sąsiedztwach policja jest stałym elementem życia mieszkańców, przybывая tam interwencyjnie oraz prewencyjnie. Wizyty prewencyjne oparte są na założeniu, że wystawanie przed bramą rodzi zagrożenie społeczne, stąd też tamtejsza młodzież jest poddawana ciągłej weryfikacji, a nawet „spisywaniu”, co nie jest przecież powszechnym doświadczeniem. Policja stygmatyzuje ich niejako „od zewnątrz”. Co więcej – jak wynika z moich rozmów z policjantami – ma ona za zadanie sprowadzanie tych dzieciaków do podwórek, skąd z kolei wypierają je mieszkańcy taktykami stygmatyzacji „od wewnątrz”. Zresztą sama obecność funkcjonariuszy ma charakter naznaczający. Jeśli mieszkamy w sąsiedztwie, w którym często jest policja, oznacza to, że jesteśmy „podejrzani”.

- Brak możliwości kreowania tożsamości innych niż stereotypowe wzmacnia orientację na świat „swoich”: brama staje się miejscem schronienia przed stygmatyzującymi relacjami.

- Aspekty stygmatyzujące są wzmacniane przez samą młodzież. Brama jest bardzo małym obszarem, więc co można w niej robić? Można obserwować innych i można – a raczej trzeba, gdy jest się razem – kontynuować budowanie kariery moralnej w „dzielnicy”. Na małym

obszarze mają miejsce działania na tyle twórcze, żeby powodowały przemieszczenia w hierarchii statusów lokalnych. Powoduje to, że aktywność młodych jest bardzo głośna, ekspresyjna, często zewnętrznie oceniana jako wulgarna, obsceniczna. Przeszkadza pozostałym i prowadzi do wtórnego naznaczania.

- Wyróżnia Pani dwa typy idealne pracy socjalnej, odmiennie definiujące pole działania oraz zadania pedagoga społecznego.

- Celem radykalnej pracy społecznej jest w istocie wypracowanie nowego porządku społecznego, transformacja relacji pomiędzy mniejszością i większością. W tym ujęciu źródeł problemów społecznych szuka się nie w jednostkach, lecz w strukturach społecznych, nieadekwatnych do potrzeb zróżnicowanego społeczeństwa. Z kolei tradycyjna praca socjalna wydaje się orientować swoją celowość na poszukiwanie sposobów skutecznej adaptacji – to jednostka musi się dostosować. W tym modelu pomoc we włączaniu społecznym polega na oferowaniu różnego rodzaju zasobów, które mają zwiększyć szanse danej osoby na wyjście z sytuacji trudnej. Przykładem mogą być rozmaite inicjatywy edukacyjne, treningi czy zapomogi.

Jeśli zaś chodzi o działania, które mogą się składać na radykalną pracę społeczną, to odniosę się do swojej praktyki badawczej. W trakcie badań, kiedy ujawniały się nadużycia instytucjonalne wobec „moich” chłopców, w sposób naturalny dla pedagoga społecznego zaczęłam działać, powodowana niezgodą na ten rodzaj relacji. Wśród działań radykalnych w kontekście sąsiedztwa pierwszą sprawą było pełnienie przeze mnie roli adwokata w sytuacjach związanych z „karierrą” przestępczą podopiecznych. Byłam świadkiem ich przesłuchań przez policję, które były bardzo ciekawe pod względem badawczym, natomiast bardzo smutne pod względem ludzkim. Sam sposób formułowania pytań za każdym razem ujawniał postrzeganie rozmówcy jako winnego, nawet dowody świadczące o jego niewinności były weryfikowane w sposób potwierdzający narzuconą tożsamość, związaną z dotychczasową historią danego chłopaka. Dobór źródeł dowodów i interpretacja zeznań wydawały się być wtórne wobec założonej definicji sytuacji, a nie być efektem wnikliwego postępowania.

Myślę, że wszędzie tam, gdzie pojawia się ryzyko konfliktu oczekiwania, związanego z odmiennością kultur i nieuprzywilejowaniem jednej z nich, pojawia się potrzeba takiego społecznego rzecznictwa. Dlatego kolejny wymiar obrony pedagogicznej powinna stanowić szkoła, która ma często charakter instytucji nie wspierającej, lecz szybko osądzającej i eliminującej. Istotnym zadaniem byłoby odczarowanie dotychczasowego odbioru społecznego, pokazanie podopiecznego jako osoby, która w kontekście szkolnym funkcjonuje w określony sposób dlatego, że taka, a nie inna jest jej



Autorzy wystawy:

Rafał Krzeszewski
Kuba Kulesza
Łukasz Lamecki
Rafał Nockowski
Przemek Nowak

Towarzyszyli:

Jerzy Grzegorski
Anita Gulczyńska



podstawowa identyfikacja kulturowa, a następnie taka jej społeczna reorganizacja, która pozwoli uszanować istniejące różnice. Te dzieciaki nieraz fantastycznie działają w innych kontekstach, ukazując oblicza nieznanne w szkole - ich zaprezentowanie jest bardzo ważne.

Kolejny przykład: dzieci często są powodem spotykania się matek, np. w określonych miejscach na podwórkach. Nierzadko są to kobiety, które mają problemy relacyjne ze swoimi mężami czy partnerami, również na tle przemocy. Praca z nimi właśnie w takim naturalnym kontekście, polegająca na obalaniu ich wyobrażeń co do braku możliwości zmiany - również jest formą radykalnego działania społecznego. Bo radykalne działanie to odzyskiwanie kontroli nad własnym życiem i zabieranie władzy tym, którzy na mocy przyzwoleń społecznych mają ją większą.

Punktem wyjścia jest tutaj uświadamianie ludziom systemowego wymiaru ich problemów. Jeśli kobieta nie odchodzi od kogoś, kto sprawia jej ból, gdyż do tej pory zgodnie z ideologią wtłoczoną jej w rodzinie czy ogólnospołecznie była przede wszystkim matką i nie jest plastyczna w sensie edukacyjnym oraz zawodowym - jest to niezbędny pierwszy krok w kierunku zmiany jej położenia. Nie jest winna, nie jest słaba, nie jest złą

kucharką, kochanką czy matką, ale tą, która ze względu na ograniczenia strukturalne, jak np. brak mieszkań czy pracy, ma utrudnione wyjście z krzywdzącej ją sytuacji. Takich kobiet jest bardzo wiele; kiedy się spotkają i zrozumieją swoje uwikłania, wówczas mają szansę uzyskać moc, żeby samemu dokonać zmian.

- **Szczególnie inspirującym nurtem radykalnej pracy społecznej wydaje mi się aktywizacja ludzi do kolektywnej odpowiedzi na dotykające ich problemy, nierówności czy nadużycia.**
- Myślę, że tutaj najbardziej ujawnia się podobieństwo naszych poglądów. Pan myśli o obywatelskości, a ja widzę przyczyny zapobiegające stawianiu się obywatelem już w przestrzeni sąsiedztwa, stąd też działania kolektywne są w niej zdecydowanie bardzo potrzebne. Można zacząć od kwestii demokratycznego dostosowania przestrzeni do potrzeb wszystkich mieszkańców. Budowanie grup, które w sposób komunikatywny okazywałyby sprzeciw wobec niesprawiedliwego podziału przestrzeni, byłoby tutaj początkiem pracy społecznej, prowadzącej do zwiększenia kontroli nad przestrzenią własnego życia i minimalizacji zagrożenia konfliktami. Bo cała ta droga pod bramę i proces

stygmatyzacji wewnętrznej i zewnętrznej są efektami braku dostępu do władzy rozumianej jako możliwość współdecydowania o najbliższym otoczeniu. Stąd też rzecznik czy mediator, wchodzący do sąsiedztwa i ujawniający możliwości wpływu na jego przestrzeń oraz pomagający zwerbalizować związane z tym postulaty w sposób oczekiwany przez kulturę tych, którzy podejmują decyzje, zapoczątkowuje jednocześnie działania zorientowane na krzewienie obywatelskości.

- To dobry moment, aby zapytać o efekty Pani kilkuletniej radykalnej pracy społecznej z bohaterami Pani badania.

- Praca kojarzy mi się z działaniem opartym na planie, ewentualnie na antycypacji określonych zagrożeń. Natomiast w moim przypadku miały miejsce raczej spontaniczne interwencje w toku badań, powodowane niezgodą na to, co stopniowo odkrywałam. Jeśli teraz

mi w organizowaniu wizyt w miejscach poza sąsiedztwem. Pokazywałam im inny świat i inne perspektywy. Byłam jednocześnie świadoma tego, że samo prezentowanie czegoś, co w praktyce codzienności jest dla nich obecnie niedostępne, nic nie znaczy - z przykrością patrzę na te działania pedagogów ulicy, które polegają tylko na tym. Pomyślałam więc o działaniach aktywizujących, które pozwoliłyby innym zobaczyć tych, którzy zawsze stoją w trzecim rzędzie, społecznie niewidzialnych w świecie sukcesu klasy średniej. Chciałam pokazać ich w roli tych, którzy potrafią być twórcami, i w ten sposób doszłam do projektu fotograficznego. Poniekąd przez przypadek, bo miało to być działanie jednej z moich studentek, która ostatecznie się wycofała, w związku z czym to ja zostałam kuratorem wystawy. Wystawy bardzo ciekawej, bo ukazującej świat „dzielniczy” z perspektywy osób, które tam żyją.



mówię o radykalnej pracy społecznej, to mam na myśli orientację działania, która wydaje mi się znaczącą dla tego rodzaju miejsc i której przykłady nieświadomie proponowałam w trakcie pracy badawczej. Do radykalnego myślenia dorastałam w miarę zagłębiania się w sposób odczuwania rzeczywistości przez tych, których badałam.

Zacząło się od spacerów z moim bardzo atrakcyjnym psem, który przykuł uwagę sąsiadów i pozwolił otworzyć interesującą przestrzeń komunikacyjną. Był to czas, gdy poszukiwałam tematu doktoratu, myśląc o aktywizacji społeczności osiedla Księży Młyn. Jak się okazało, byłam tam obca i niekoniecznie chciana zarówno przez instytucje, jak i przez mieszkańców. Pomyślałam sobie: gdzie ty tego szukasz, skoro masz to tutaj? I tak się zaczęło: wspólnie spędzany czas, rozmowy i stopniowe generowanie kategorii oddających przeżywanie świata przez bohaterów mojego badania pozwoliło mi rzeczywiście otworzyć się na nich i żyć z nimi, dlatego gdy widziałam pewne zagrożenia, wówczas reagowałam. To była praca pedagoga ulicy.

Starałam się nawet zinstytucjonalizować pewne działania, z lepszym lub gorszym skutkiem. Rozpoczęłam współpracę z jedną z fundacji, która pomogła

Myszę, że udało nam się osiągnąć poziom artystyczny zaprzeczający działaniom wychowawczym, które budzą mój sprzeciw: projektom opartym na oczekiwaniu od biedoty sztuki przez małe „s”. To była prawdziwa wystawa z pozytywnymi recenzjami. Zadbaliśmy, aby nauczyciele fotografii byli najwyższej klasy i żeby jakość artystyczna wydarzenia była równie ważna, jak jakość społeczna. Spotkanie, którego chłopcy byli bohaterami, artystami, pozwoliło zaproszonym - a często byli to przedstawiciele instytucji mających na ich temat określone zdanie - spojrzeć na nich w zupełnie innym świetle. To też jest rodzaj działania radykalnego: przemianowanie wyobrażeń czy wiedzy o drugiej osobie, pozwalające na nowo zdefiniować wzajemne relacje, odkształcając sądy oparte na dość powierzchownej wiedzy.

Potem dzięki sponsorom udało nam się wyjechać na Kielecczynę na tygodniowy obóz przetrwania, przetrwania przede wszystkim dla mnie [śmiech]. Dla przynajmniej dwóch z tych chłopaków był on pierwszym w życiu wyjazdem poza Łódź. Ogromną przyjemnością było obserwować ich zadziwienie światem poza sąsiedztwem.

- **Pozostaje kwestia trwałości tego typu interwencji pedagogicznych. Bez wątpienia chłopcy inaczej spojrzeli na rzeczywistość i na samych siebie, jednak po zakończeniu projektu wrócili przecież do bram swoich zaniedbanych kamienic. Czy ich życie zauważalnie zmieniło się na lepsze?**

- Bałam się tego pytania. Nawet żeby się na nie przygotować, gdyż je przewidziałam, spotkałam się z jednym z „moich” chłopaków, który dzisiaj bardzo mi kibicował przed wywiadem - mimo to wciąż nie umiem na nie odpowiedzieć. Nigdy nie ewaluowałam wyników swoich działań, bo nigdy nie uważałam, że tam działałam; byłam tam jako człowiek. Gdyby oceniać efekt mojej obecności w kategoriach obiektywnych, robi się smutno: dostaję piękne listy z więzień. Z drugiej strony - także piękne e-maile z zagranicy, co wskazywałoby na to, że radykalna praca społeczna może mieć ogromne znaczenie, skoro po wyjeździe, a więc zmianie warunków strukturyzujących codzienność, taka osoba dobrze sobie radzi.

Nie będę jednak mówiła o wymiarze indywidualnym, bo nie wiem, na ile by sobie tego życzyli uczestnicy moich badań. Jeśli chodzi o wymiar grupowy, pochwalę się tym, co dla mnie było najbardziej znaczące, jednym z najlepszych prezentów i najwspanialszych gratyfikacji, jakie w życiu otrzymałam, mianowicie kartką, którą dostałam po wystawie. Były to przepiękne podziękowania od moich podopiecznych za to, że wreszcie nie byli w tle i w końcu ich było widać, co chyba najpełniej oddaje miejsce tej mniejszości kulturowej w naszym społeczeństwie i jej postrzeganie samej siebie w kontekście naszej kultury. Treść tej kartki jest chyba najlepszym świadectwem efektów mojej pracy. Podobnie jak to, że niektórzy chłopcy wciąż czują się zobowiązanymi do tego, żeby mi relacjonować, co obecnie robią, mają potrzebę, żeby mi się wytłumaczyć. Myślę, że to wskazuje na to, iż działanie proponowane z perspektywy interpretatywnej, a nie normatywnej, powoduje, że pedagog może stać się „znaczącym innym”, a to już bardzo wiele.

Istnieją również wymiary, wciąż poddawane przeze mnie refleksji, które są dla mnie dość bolesne. Najważniejszą chyba kwestią, z której trzeba sobie zdać sprawę będąc pedagogiem w takim środowisku, jest to, że jak powiedział Saint-Exupéry, „Pozostajesz na zawsze odpowiedzialny za to, co oswoiłeś”. Zastanawiam się często, na ile moja obecność spowodowała oswojenie do świata, który na tym etapie uwikłania w różne zależności i stygmaty nie dawał chłopakom zbyt szerokiego wachlarza możliwości, w tym szans na zbudowanie pozytywnej tożsamości społecznej. W którymś momencie znajomości z najbliższą mi osobą z tychże badań zrozumiałam, że dawanie nadziei ma swoje granice. To był przypadek niesamowicie zdolnego chłopaka, jednak bardzo uwikłanego w życie dzielnicowe. Miał co najmniej trzy upadki i wloty szkolne, i gdy po raz kolejny rozpoczynaliśmy tworzenie planu poprawy

wyników w nauce, ja stosowałam wzmocnienia typu: „Słuchaj, X, uda nam się. Zobacz, zrobiłeś to, to i to, ale poniosłeś za to odpowiedzialność. Teraz możemy zacząć od nowa”, on powiedział: „Anita, stop! Ja już nie mam siły, ja się przez to nie przedrę”. To chyba najlepiej pokazuje niebezpieczeństwa łączące się ze zderzeniem osób z różnych kultur, gdy to zderzenie ma miejsce chyba już zbyt późno i niemożliwa jest zmiana odbioru społecznego jednej z nich, a także jej odbioru samej siebie.

Gdy ich poznałam, chłopcy byli już przez życie bardzo silnie ukształtowani. Stąd też spotkania pedagoga z młodymi z sąsiedztwa powinny się rozpoczynać nie wtedy, gdy najmłodszy z nich ma 14 lat, z których jedenaście spędził w domu dziecka, lecz wtedy, gdy rozpoczynają się ich pierwsze harce, interakcje świadczące o konflikcie oczekiwań z otoczeniem.

- **Nie wydaje się niestety realne, by na każdych kilka osób wymagających kompleksowych, wieloletnich zabiegów pedagogicznych przypadał osobny specjalista...**

- Żeby ocenić efektywność takich działań, trzeba mieć świadomość kosztów, jakie państwo ponosi z tytułu np. pracy socjalnej z rodziną zagrożoną umieszczeniem dziecka w instytucji opiekuńczej czy utrzymania więźniów.

Proszę zwrócić uwagę, że jedną rodziną zajmuje się często asystent rodziny, pracownik socjalny, kurator i psycholog. Praca w środowisku, która w odróżnieniu od wspomnianych profesji nie jest pracą z indywidualnym przypadkiem, wydaje się w ostatecznym rozrachunku tańsza. Można pomyśleć o tym, by strukturyzować pracę służb społecznych nie pod kątem jednostek typu rodzina, ale takich jak sąsiedztwo, z uwzględnieniem jego społecznie definiowanych granic. Czy nie bardziej efektywne będzie umieszczenie na stałe dwóch pedagogów w sąsiedztwie, którzy dzięki temu, że odkryją jego specyfikę, będą w stanie przewidzieć dalszy bieg określonych wydarzeń, co zapobiegnie ich rozwojowi do społecznie bardzo kosztownego punktu?

Jednak radykalne działania bardzo często pokazują dysfunkcyjność instytucji powołanych do pomocy ludziom - i być może stąd się bierze dość duży opór przed myśleniem w tych kategoriach. Kolejną sprawą jest trudność wyobrażenia sobie miejsca takiego radykalnie zorientowanego pracownika społecznego w strukturze zawodów społecznych, które najczęściej łączone są z sektorem publicznym. To ogromne zadanie dla organizacji pozarządowych. Ich misją jest właśnie aktywizacja i pomoc ludziom, których potrzeby nie zawsze są właściwie rozpoznane przez instytucje.

Dziękuję za rozmowę.

Łódź, 22 lipca 2011 r.

Równi i równiejsi



©©© mr · p, philipp daun, flickr.com/photos/daunphilipp/2995916443

JANINA PETELCZYC

Edukacja to narzędzie, które jak żadne inne może sprzyjać tworzeniu egalitarnego społeczeństwa. Jednak w Polsce system edukacyjny, zamiast niwelować nierówności społeczne, nierzadko je pogłębia.

Art. 70. Konstytucji RP zapewnia każdemu prawo (i obowiązek) do bezpłatnej nauki do 18. roku życia. Z kolei Ustawa o systemie oświaty wyróżnia trzy obowiązkowe okresy uczenia się: przedszkole lub przygotowanie przedszkolne w wieku 6 lat, szkoła – do ukończenia gimnazjum, a także okres nauki – do ukończenia 18. roku życia. To standard zalecany ze względu na proces wyrównywania szans i w teorii spełniany przez Polskę. Jednak, jak zauważa prof. Marta Zahorska, przeszkodą jest swoisty dualizm polskich warunków.

Z jednej strony otwarty system szkolny nie tworzy barier selekcyjnych w dostępie do kolejnych etapów kształcenia. Z drugiej natomiast struktura społeczna i rosnące zróżnicowanie materialne znacznie ograniczają dzieciom i młodzieży szanse na edukację na odpowiednim poziomie¹. Tworzą się przez to dwie drogi, „lepszą” i „gorszą”. Pomimo braku formalnych barier, możliwości ludzi młodych przy wyborze kolejnych etapów kształcenia, a później podjęcia dobrej pracy są znacznie większe w przypadku osób od początku podążających „lepszą ścieżką” edukacyjną.

Na starcie

Przedszkola to nie tylko forma opieki nad dzieckiem, ale także stymulacji jego rozwoju oraz przygotowania do szkoły. Placówka ta jest miejscem, które wpływa na umiejętność obcowania z rówieśnikami, a dzieciom z rodzin o niskim kapitale kulturowym dostarcza bodźców do rozwoju intelektualnego. Dzięki temu w przyszłości lepiej radzą sobie w szkole od tych, które do przedszkola nie uczęszczały, co potwierdzają liczne badania. Jednym z najważniejszych czynników oddziałujących na sukcesy szkolne uczniów w niższych klasach szkół podstawowych jest co najmniej trzy-, a najlepiej czteroletni pobyt w przedszkolu.

Tymczasem dzieci, które najbardziej tego potrzebują – zaniedbane, pochodzące z rodzin uboższych lub gorzej wykształconych – trafiają do przedszkola zazwyczaj dopiero jako sześciolatki². W zakresie powszechności kształcenia czterolatek w placówkach przedszkolnych Polska wciąż plasuje się na odległych pozycjach europejskich rankingów. Mimo że odsetek czterolatek w systemie oświaty w Polsce wzrasta, to wciąż jest

Tabela 1. Odsetek 4-latków objętych opieką przedszkolną w wybranych krajach UE. Opracowanie własne na podstawie Eurostatu.

2009 r.	UE27	Belgia	Bugaria	Czechy	Wochy	Holandia	Polska	Szwecja	Rumunia
Odsetek 4-latków objętych opieką przedszkolną	90,5	99,3	71,8	86,4	97,6	99,5	53,2	92,6	78,4

niemal o połowę niższy niż przeciętny wskaźnik dla 27 krajów należących do UE. W 2009 r. 90,5% czterolatków w 27 państwach Unii Europejskiej uczęszczało do przedszkoli, podczas gdy w Polsce było to tylko 53,2%³.

W ciągu ostatnich lat zachodzą pozytywne zmiany, ponieważ rozwój wczesnego szkolnictwa stał się ważnym celem dla władz. Do 2012 r. sześciolatki będą już uczniami klas pierwszych, a do oddziałów przygotowawczych trafią dzieci w wieku 5 lat. Powstało też wiele ułatwień dla osób tworzących przedszkola. Należy jednak zwrócić uwagę na tempo wprowadzanych zmian, np. w krajach skandynawskich takie reformy rozkładane są na ok. 10 lat. Powstaje więc pytanie, czy szkoły i przedszkola będą gotowe na przyjęcie młodszych dzieci. Poza aspektem ilościowym, nie mniej ważna jest jakość opieki i nauki w przedszkolach i szkołach. Liczą się zatem nie tylko pomieszczenia i programy, lecz także odpowiednio przygotowana kadra pedagogiczna⁴. Upowszechnienie przedszkoli jest ważnym wstępnym warunkiem wyrównywania szans, muszą za nim jednak iść kolejne zmiany jakościowe, które stworzą szanse dzieciom zaniedbanym i żyjącym w biedzie.

Szkolny obowiązek?

Wobec niewielkiej liczby dzieci objętych opieką przedszkolną to szkoły podstawowe, gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne powinny przyczyniać się do wyrównywania szans. Pierwszą kwestią jest pytanie – czy polscy uczniowie rzeczywiście chodzą do szkół?

Dane dotyczące szkół podstawowych i średnich wydają się optymistyczne. Ze względu na ustawowy obowiązek, oficjalnie bardzo niewielki jest odsetek uczniów, którzy nie kończą rozpoczętej edukacji. Tak zwany odpad szkolny wynosił według danych GUS w 2008 r. zaledwie 0,2% wszystkich uczniów. Z raportów NIK wynika jednak, że dyrektorzy szkół, którzy mają pilnować przestrzegania obowiązku kształcenia, bardzo często zniekształcają wyniki. Różnice między danymi przedstawianymi przez szkoły a tymi, które zebrali kontrolerzy NIK w 2003 r., były aż dziesięciokrotne!⁵

Drugim znaczącym problemem jest opuszczanie lekcji przez uczniów. Problem wagarów jest jednym z największych w polskich szkołach. „Ukrytym odpadem szkolnym” określa się ukrywanie absencji uczniów, przepychanie ich siłą do następnej klasy i ostatecznie wydawanie świadectw ukończenia szkoły. W efekcie szkoły mogą kończyć ludzie, którzy nie nabyli podstawowych umiejętności, także społecznych. Im już nie

grozi wykluczenie – oni są wykluczeni. Jednak absencja jest tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Nierówne społeczeństwo

Społeczne nierówności edukacyjne to zależności, które występują pomiędzy pochodzeniem społecznym, statusem społeczno-ekonomicznym rodziców a osiągnięciami ucznia w szkole⁶. Ten typ nierówności występuje w każdym kraju, lecz od rodzaju prowadzonej polityki społecznej i edukacyjnej zależy, jak wielkie one są oraz jak znaczny mają wpływ na kariery szkolne poszczególnych dzieci.

Ostatnia reforma edukacyjna w Polsce wprowadziła system zewnętrznych egzaminów. Dzięki niemu nierówności edukacyjne widać jak na dłoni. Po pierwsze, istnieje ogromna rozpiętość między wsią a miastem. Również w samych miastach następuje coraz większe zróżnicowanie pomiędzy gimnazjami i wzmacnia się podział na „lepsze” i „gorsze” szkoły. Już na poziomie szkoły podstawowej pojawia się bardzo duża grupa uczniów (według szacunków: 10-20%), którzy mają problemy z podstawowymi umiejętnościami, jak czytanie czy liczenie. Osoby te trafiają do gimnazjów, które utrwalają podziały przyniesione ze szkół podstawowych.

Pod względem innych cech społecznych osoby te są podobne niezależnie od zamieszkiwania na wsi czy w miastach. Najczęściej to dzieci rodziców z niskim wykształceniem, o niskich dochodach, bez pracy, korzystających z pomocy społecznej. Jakkolwiek uczniowie tacy znajdują się w całej Polsce, to istnieją „zagłębienia biedy”, które pokrywają się z „zagłębieniami złych stopni”⁷.

Należy podkreślić, że bieda jest podstawowym czynnikiem wpływającym na obniżenie zdolności edukacyjnych dzieci. Efektem wychowywania w rodzinach o niskich dochodach są opóźnienia w rozwoju fizycznym, wynikające z niedożywienia lub nieodpowiednich posiłków, zaburzenia pamięci wywołane przez stres, brak odpowiedniej opieki lekarskiej (doskwierający zwłaszcza teraz, gdy w zasadzie zlikwidowano medycynę szkolną), a także poczucie niższej wartości i w efekcie spadek motywacji do nauki. Jest to olbrzymi polski problem, ponieważ według statystyk liczba osób, które nie osiągają minimum socjalnego zwiększyła się trzykrotnie między 1989 a 2008 r. – tego poziomu dochodów nie osiąga w Polsce 16 milionów obywateli, co oznacza, że 43% Polaków nie jest w stanie samodzielnie zaspokoić elementarnych potrzeb⁸.



0000 Bartek nie wypada, flickr.com/photos/no_leaf_clover

W takiej sytuacji nic dziwnego, że 45% gospodarstw domowych deklaruje, iż nie stać ich na inwestowanie w wykształcenie i rozwój dzieci. Skutki biedy są szczególnie dotkliwe właśnie dla młodszych obywateli. Według raportu Komisji Europejskiej, co czwarte dziecko w naszym kraju żyje w niedostatku lub na skraju ubóstwa⁹. Poziom zagrożenia ubóstwem dzieci mamy najwyższy w Unii Europejskiej. Wynikają z tego oczywiste konsekwencje: nawet jeśli rodzinom żyjącym w ubóstwie wystarcza na bieżące utrzymanie, to nie mają już środków na zaspokojenie potrzeb związanych z rozwojem. Dotyczy to zakupu książek, dostępu do placówek kulturalnych, możliwości rozwijania zainteresowań, wyjazdów na wakacje, a często nawet zakupu podręczników i pomocy szkolnych.

Największą szansę na dotarcie do wyższych szczebli edukacji mają dzieci rodziców zamożnych i dobrze wykształconych. Dzieci pochodzące z rodzin ubogich

rzadziej odnoszą sukcesy w szkole i częściej wybierają szkoły niższego szczebla. Nawet jeśli kończą formalnie ten sam etap nauczania, to te z domów o niższych dochodach zazwyczaj nie uczęszczają do szkół renomowanych, co także może mieć negatywny wpływ na ich sytuację na rynku pracy¹⁰. W rodzinach o niskich dochodach drastycznie słabną szanse edukacyjne i perspektywy życiowe potomstwa. Z tego powodu nierzadko dochodzi do „dziedziczenia biedy” i minimalizacji szans na awans społeczny, niezależnie od posiadanych zdolności.

Nożyce edukacyjne

Na szczególną uwagę zasługuje sytuacja na wsi. Dzieci ze środowisk wiejskich gorzej radzą sobie na egzaminach zewnętrznych, a także podczas procesu edukacyjnego. Mniejsze są też ich szanse na dostęp do edukacji, co przedstawia poniższa tabela:

	Miasto + 500 tys.	Miasto 100-200 tys.	Miasto poniżej 20 tys.	Wieś
Dzieci 0–6 lat korzystające z przedszkola/żłobka	31,5%	27%	23%	12,6%
Dzieci 7–15 lat uczęszczające do szkół	88%	93,5%	92,2%	89,8%
Młodzież 16–19 lat uczęszczająca do szkół	96,5%	97,1%	96,4%	94,2%
Młodzież 20–24 lata korzystająca z usług edukacyjnych w trybie szkolnym i pozaszkolnym	83%	66,9%	58%	47,6%

Tabela 2. Odsetek osób uczęszczających do placówek edukacyjnych, wedle grup wiekowych, w 2009 r. Opracowanie własne na podstawie „Diagnoza społeczna 2009 r.”.

Szczególnie duże różnice widać na etapie „nieobowiązkowym”, a więc w wieku przedszkolnym i szkoły wyższej. Odsetek osób mieszkających na wsi i korzystających z edukacji na tych poziomach jest dwukrotnie niższy. Nierówności w dostępie do edukacji na wsi uwarunkowane są wieloma czynnikami.

Braki infrastruktury. Część barier związana jest z funkcjonowaniem systemu oświatowego. Należy do nich m.in. poziom kwalifikacji nauczycieli pracujących na tych terenach, liczba placówek oświatowo-wychowawczych i fizyczna dostępność szkół, zwłaszcza ponadpodstawowych. Panuje tendencja do likwidacji szkół w małych miejscowościach. Problem niewystarczającej infrastruktury edukacyjnej pojawia się jednak już na poziomie przedszkoli. Mimo że od 2004 r. nastąpiła zwiększona liczba urodzin, nie doszło do znacznego zwiększenia miejsc w żłobkach i przedszkolach na wsi. Natomiast w miastach znacznie rozwinął się rynek tych usług, szczególnie prywatnych. Stawia to więc w gorszej sytuacji, zwłaszcza że usługi opiekuńcze na tym etapie, dostępne dla rodziców w odpowiednio niskiej cenie, są skutecznym sposobem zmniejszania nierówności edukacyjnych¹¹.

Nierówności między miastem a wsią pogłębia także ograniczona dostępność do szkół na poziomie ponadpodstawowym oraz wyższym. Najtrudniejsza jest sytuacja młodzieży wiejskiej, która chce się kształcić w zawodach nierolniczych. Na terenach wiejskich najwięcej jest bowiem szkół zawodowych i techników rolniczych, bardzo mało natomiast liceów ogólnokształcących. W roku szkolnym 2009/2010 w Polsce były 2362 licea ogólnokształcące, z czego aż 2161 w miastach i tylko 201 na wsiach¹². Zatem problemy dostępu do tego rodzaju placówek pogłębiają znaczne odległości od miejsca zamieszkania, którym często towarzyszy niedostosowana infrastruktura komunikacyjna. Należy też dodać, że wydatki na dojazdy stanowią dodatkowe obciążenie budżetu rodzin wiejskich. Z tego powodu **młodzież wiejska o wiele rzadziej uczęszcza do szkół uważanych za dobre, które otwierają możliwości dalszej nauki i wstępu na elitarne kierunki studiów.**

Niewielki odsetek osób zainteresowanych szkołami wyższymi jest efektem biedy, mniejszych szans na dostęp do dobrych szkół na wcześniejszych etapach kształcenia, a także braku perspektyw zatrudnienia po studiach¹³.

Koszty kształcenia. Kolejną poważną barierą jest obciążenie gospodarstw wiejskich wydatkami na kształcenie. Nawet nauka w bezpłatnych szkołach publicznych pociąga za sobą znaczne koszty. Są to wydatki na podręczniki, korepetycje, obowiązkowe imprezy szkolne etc. W przypadku rodzin wiejskich często dochodzi do tego poważny wydatek na opłacenie dojazdów do szkoły lub zakwaterowanie poza domem. Od tego roku książki objęte 5-procentowym podatkiem VAT będą jeszcze poważniejszym wydatkiem dla rodzin z dziećmi w wieku szkolnym.

Należy podkreślić, że bieda jest podstawowym czynnikiem wpływającym na obniżenie zdolności edukacyjnych dzieci.

Im gorsza jest sytuacja dochodowa, tym większa presja w kierunku ograniczeń finansowych, udaremniających możliwości dalszej nauki. Najczęściej rodzice rezygnują z zajęć dodatkowych lub nie opłacają korepetycji dziecku, które tego potrzebuje¹⁴ – co dodatkowo zwiększa jego dystans wobec dzieci, które mają możliwość dodatkowego kształcenia. Część rodziców rezygnuje z zakupu dziecku obiadów (6,6% gospodarstw domowych na wsi w 2007 r. zdecydowało się na ten krok)¹⁵, a wiadomo, że dzieci niedożywione o wiele gorzej radzą sobie z nauką. Zdarza się nawet, że ze względów finansowych rodzice rezygnują z posyłania dziecka do szkoły – ostatnie dostępne dane na ten temat, z 2003 r., wskazują, że zdecydowało się na to 1,7% wiejskich gospodarstw domowych¹⁶.

Dzieci na wsi częściej mają też gorsze warunki do nauki. W 2007 r. 7,6% z nich nie miało w domu miejsca do nauki. Warunki te pogarszają się wraz ze wzrostem liczby osób w rodzinie. W rodzinach, w których jest co najmniej troje dzieci, brak własnego miejsca do nauki deklaruje dwukrotnie więcej dzieci niż w rodzinach z dwojgiem dzieci i aż czterokrotnie więcej niż w małżeństwach z jednym dzieckiem. Brak miejsca do nauki najczęściej spotykany jest w rodzinach rolników, emerytów, rencistów i bezrobotnych¹⁷.

Aspiracje edukacyjne. Kolejną barierą na drodze do równości szans dzieci w mieście i na wsi są niższe aspiracje edukacyjne rodziców tych drugich. Poziom aspiracji edukacyjnych wśród rodziców reprezentujących gospodarstwa domowe rolników, rencistów i utrzymujących się ze źródeł niezarobkowych, jest niższy niż wśród innych grup zawodowych. W 2009 r. gospodarstwami domowymi, które jako pożądaną poziom wykształcenia swoich dzieci uznały ukończenie technikum lub liceum zawodowego, najczęściej były gospodarstwa utrzymujących się ze źródeł niezarobkowych i rolników (40 i 34%)¹⁸.

Różnice w aspiracjach edukacyjnych odzwierciedla także poziom wykształcenia rodziców. Osoby o wykształceniu średnim lub podstawowym częściej

W Finlandii edukacja jest bezpłatna na każdym poziomie, a do ukończenia przez uczniów 16. roku życia każdy ma prawo do bezpłatnych podręczników, zeszytów, przyborów szkolnych, transportu do szkoły i jednego gorącego posiłku dziennie. Również dodatkowe zajęcia są nieodpłatne. W każdej szkole znajdują się dostępne dla uczniów po lekcjach pracownice internetowe, multimedialne i kserokopiarki. Aby nie tworzyć różnic między poszczególnymi regionami, terytorium całego kraju pokryte jest siecią szkół wyższych. Znajdują się one również w niewielkich miejscowościach, takich jak 40-tysięczne Kajaani czy 60-tysięczne Seinäjoki. Wszyscy uczniowie mają prawo do uzyskania stypendium, dodatku mieszkaniowego lub kredytu gwarantowanego przez państwo. W efekcie badania wskazują, że finscy uczniowie – którzy osiągają w międzynarodowych testach jedne z najwyższych wyników – nie różnią się znacznie między sobą w zależności od szkoły, jaką ukończyli. Świadczy to o zbliżonej jakości kształcenia w szkołach niezależnie od regionu oraz o niewielkim wpływie różnic wynikających z pochodzenia społeczno-ekonomicznego uczniów²¹.

Polsce bardzo daleko do Finlandii. Jednak zmiany, jakie przechodzi w ostatnich latach polskie szkolnictwo, wprowadzane programy czy wydłużanie okresu obowiązkowej edukacji przez rozszerzenie go na sześciolatek, stanowią pierwsze kroki ku wyrównywaniu społecznych nierówności edukacyjnych. Konieczne są jednak dalsze działania. Jednym z głównych przedsięwzięć powinno być stworzenie odpowiedniego systemu stypendialnego dla dzieci z rodzin najgorzej sytuowanych, także na wsi. Obecnych problemów w zaspokajaniu potrzeb edukacyjnych nie jest w stanie zniwelować marginalna pomoc ze strony szkoły, jaką uzyskuje niewielka część rodzin uczniów.

Konieczne są też zmiany w infrastrukturze edukacyjnej i kulturalnej, która jest na wsi niewystarczająca, niedofinansowana i niedowartościowana. Wskaźnik skolaryzacji to nie wszystko – liczą się także warunki realizacji obowiązku szkolnego. Niezbędne jest podniesienie poziomu szkół wiejskich, łatwiejszy dostęp do szkół średnich ogólnokształcących i w rezultacie także na studia wyższe. W tym celu należy dążyć do podwyższania atrakcyjności terenów wiejskich, tak by chętniej kierowali się tam wykwalifikowani nauczyciele. Im lepsze wykształcenie będą osiągały dzieci na wsi, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo ich przyszłego bezrobocia, a kolejne pokolenia mieszkańców

provincji otrzymają większą szansę uzyskania odpowiedniego wykształcenia.

Wciąż największe nierówności w polskim systemie edukacyjnym wynikają z różnic społecznych, cywilizacyjnych oraz z miejsca zamieszkania. Szkolnictwo nie poradziło sobie jeszcze z niwelowaniem tego zjawiska. I choć zwiększa się w ostatnich latach ilość mieszkańców wsi, które objęte są opieką przedszkolną czy uzyskują wykształcenie wyższe, to nadal dystans pomiędzy prowincją a miastem w dostępie do edukacji wymaga śmiałych i głębokich rozwiązań systemowych.

JANINA PETELCZYC

Przypisy:

1. M. Zahorska, *Równi, równiejsi i najmniej równi, czyli o społecznych barierach w dostępie do edukacji*, „Polityka Społeczna” XXXVI nr 9, 2009 r., s. 52.
2. Ibidem, s. 53.
3. Eurostat: Four-year-olds in education, Participation rate (%). <http://epp.eurostat.ec.europa.eu/tgm/table.do?tab=table&init=1&language=en&pcode=tps00053&plugin=1>
4. M. Zahorska, *Równi, równiejsi...* op. cit., s. 53.
5. Ibidem.
6. M. Zahorska, *Społeczne nierówności edukacyjne*, konferencja 23 kwietnia 2009 r. w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich
7. Ibidem.
8. E. Leś, S. Bernini, *Przemiany rodziny w Polsce i we Włoszech i ich implikacje dla polityki rodzinnej*, Warszawa 2010 r., s. 258.
9. European Commission, *Child poverty and Well-Being in the EU, Current status and way forward*, The Social Protection Committee, Luxembourg 2008.
10. E. Leś, S. Bernini, *Przemiany...* op. cit., s. 274.
11. I. Grabowska, I. Kotowska, *Edukacja*, [w:] (red.) J. Czapieński, T. Panek, *Diagnoza społeczna 2009 r.*, s. 89.
12. GUS, *Oświata i wychowanie w roku szkolnym 2009/2010*, s. 242.
13. K. Gutkowska, A. Murawska, *Dzieci wiejskie – środowiskowe uwarunkowania dostępu do edukacji*, „Polityka społeczna”, nr 9/2009 r., s. 22.
14. T. Panek, *Kształcenie dzieci*, *Diagnoza Społeczna 2009*, s. 101.
15. K. Gutkowska, A. Murawska, *Dzieci wiejskie...* op. cit., s. 25.
16. Ibidem.
17. Ibidem, s. 28.
18. T. Panek, *Kształcenie...* op. cit., s. 101.
19. *Rządowy program rozwoju edukacji na obszarach wiejskich na lata 2007–2013*.
20. *Sprawozdanie z realizacji w 2009 r. Programu rozwoju edukacji na obszarach wiejskich na lata 2008–2013 r.*, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Warszawa 2010, ss. 127–131.
21. W. Woźniak, *System edukacyjny jako instrument wyrównywania szans. Przypadek Finlandii*, „Polityka Społeczna” nr specjalny – „Wyrównywanie szans”, Warszawa 2008 r., s. 33.

Dbajmy o siebie, czyli patriotyzm konsumencki (i więcej)

(część II)

DR JOANNA SZALACHA
DR TOMASZ JARMUŻEK



©© *Mars, flickr.com/photos/markusschoepke/79775592

Zaprezentowana w poprzednim numerze część I analizy zjawiska patriotyzmu konsumenckiego (PK) stawiała następującą diagnozę:

1. Dotychczasowe kampanie promujące patriotyzm konsumencki w Polsce nie posiadają zakładanej przez ich twórców mocy mobilizacyjnej. Wiele konsumentów nie zna bowiem nadal kraju pochodzenia nabywanych produktów czy kraju pochodzenia marki.
2. Kampanie te, bazując na bardzo wąskim wachlarzu emocji, nie dały żadnych narzędzi konsumentom i w małym stopniu podejmowały działania na rzecz wytworzenia automatyzmu kupowania krajowych produktów/ marek.
3. Wśród polskich konsumentów dość powszechnie występuje mylenie marki i produktu, co w połączeniu z brakiem wyraźnej informacji o kraju pochodzenia towarów oraz sprzedażą marek firmom zagranicznym utrudnia świadomy wybór.
4. Duża grupa konsumentów deklaruje jednak gotowość do świadomej konsumpcji, zwłaszcza w przypadku ujawnienia nieetycznych działań producentów określonych dóbr (wielu konsumentów chce kierować się swoistą moralnością podczas zakupów).

Co w takiej sytuacji można zrobić lepiej, bardziej efektywnie? Jak powinniśmy działać? Jeśli przyjmujemy założenie o potrzebie tworzenia skutecznego ruchu PK oraz o sensowności budowania potrzeby świadomej konsumpcji w tym zakresie, to musimy uruchomić działanie, które stworzy masę krytyczną, wywołującą modyfikację postaw większej grupy konsumentów. Działanie to na pewno powinno zapełnić lukę wiedzy o kraju pochodzenia produktów, dać szerszy wachlarz mobilizujących emocji oraz pozwolić na wytworzenie skutecznych automatyzmów u konsumentów i przedsiębiorców.

Mobilizujące emocje - przyczepny egoizm

Tradycyjnie pojmowana ekonomia w swoich miarach i opisach procesów ekonomicznych oraz decyzji handlowych pomija wiele czynników, które uchodzą za zbyt subiektywne i nieistotne. Nie byłoby w tym nic dziwnego (każda dyscyplina akcentuje to, co uniwersalne, pomijając cechy incydentalne), gdyby nie to, że procesy ekonomiczne nie dzieją się w próżni.

Zachodzą one w specyficznych skupiskach jednostek ludzkich, które łączy wprawdzie wspólna natura, ale dzieli wiele cech kulturowych, społecznych,

światopoglądowych, geograficznych, religijnych itd. Skoro te czynniki mają wpływ na życie wszystkich grup społecznych, to dlaczego nie miałyby mieć wpływu na decyzje handlowe/gospodarcze jednostek? Cemu jednostki miałyby nagle wyzbywać się swojego „społecznego oprogramowania”, gdy idą do sklepu lub zakładają firmę?

Jednym z czynników akceptowanych przez ekonomistów a skłaniających ich do minimalizowania „społecznego oprogramowania”, jest egoizm. To właśnie on ma nas popychać do maksymalizacji przyjemności i minimalizacji przykrości. To skierowanie wektora działań na nas samych jest głównym motorem procesu szacowania kosztów i zysków. Jest bowiem czymś jasnym, że każdy podmiot w gospodarce próbuje zminimalizować koszty oraz zmaksymalizować zyski.

Niestety, bardzo często owe koszty – za zgodą twórców i wykonawców prawa – są przerzucane na podmioty zewnętrzne, nie będące beneficjentami transakcji (vide koszty społeczne i przyrodnicze). Często również zysk jest rozumiany bardzo wąsko, np. wówczas, gdy państwo sprzedaje firmę, aby uzyskać szybki wpływ do budżetu. **Chociaż doraźnie i w kalkulacji lokalnej decyduje tu zysk bezpośredni, to jednak pośrednim zyskiem, który został utracony, są nie tylko podatki i wzrost potencjału kapitału miejscowego, czyli dochody państwa, ale również korzyści społeczne, związane z zatrudnieniem oraz kooperacją firm miejscowych.** Osobną kwestią jest oczywiście kwestia utraty kontroli w sferach tak newralgicznych, jak energia, przemysł zbrojeniowy, media czy ochrona zdrowia lub edukacja.

Wydaje się więc, że chociaż egoizm ekonomiczny jest ideą „przyczepną”, czyli naturalną, łatwo akceptowalną, to w rachunku ekonomicznym oraz teorii ekonomicznej należy brać pod uwagę coś więcej niż tylko indywidualny egoizm. A jeśli nawet tylko jego, to nie wyłącznie w kontekście potrzeb naturalnych, lecz w szerszym, biorącym pod uwagę potrzeby społeczne, kulturowe, religijne i inne.

Od wieków ludzie dyskutują, ile w nas egoizmu, a ile altruizmu. „Altruści” twierdzą, że często działamy dla innych bez korzyści dla nas samych, a nawet ze stratą. „Egoiści” z kolei mówią, iż działamy dla własnej przyjemności, pomagając innym. Spór ten zapewne jest nierozstrzygalny. Na pewno jednak, oceniając nasze decyzje nawet z perspektywy egoistycznej, musimy brać pod uwagę coś więcej niż wąskie ego. W najgorszym razie kierujemy się egoizmem rozszerzonym na innych ludzi, na czas i przestrzeń, a jednostki, które tak nie czynią, popadają w poważne problemy prawne i społeczne.

Ma to również swoją ekonomiczną manifestację. Przykładowo, dobry (zwykły!) rodzic woli kupić całą rodzinie po lodzie (z hurtowym rabatem) po dwa złote za sztukę, niż samemu i po kryjomu zjeść jednego loda w cenie detalicznej 3 PLN. Podejmując taką decyzję wiele – wąsko sprawę rozumiejąc – traci, bowiem

zamiast wydać trzy złote, wydaje wielokrotność dwóch, a zatem przynajmniej cztery. Jego zysk ma jednak inny charakter, trudny do zmierzenia w kategoriach czysto ekonomicznych, a jednak oczywisty dla każdego, kto nie jest dewiantem lub nie kieruje się jeszcze innymi, szczególnymi czynnikami.

Ten przykładowy rodzic wie, że warto kierować się rozszerzonym egoizmem. Owa wiedza jest mu na szczęście jeszcze dana. Ilu z nas wie jednak, jak kierować się szerszym egoizmem, który uwzględnia nasz interes nie zawsze teraz, ale na pewno tu?

Mobilizujące emocje

Salus Reipublicae Suprema Lex, czyli dobro Rzeczy Wspólnej najwyższym prawem – tak mawiali nasi przodkowie, zarówno ci z I, jak i z II Rzeczypospolitej. Rzymska maksyma podkreślała republikańskie, wspólnotowe korzenie i myśl przewodnią, które towarzyszyły ich twórcom. Chociaż różnym środowiskom pojęcie patriotyzmu wydaje się kontrowersyjne, to niewielu odrzuci piękne przesłanie tego stwierdzenia.

Mimo iż jest to inny temat – choć komplementarny wobec tego, o czym piszemy – warto wspomnieć, że niemal zawsze, a w porównaniu z innymi państwami niezwykle często, polska kultura, państwowość i polityka miały inkluzywny charakter. Oznacza to, że Polakiem, czyli współwłaścicielem Rzeczy Wspólnej, był każdy, kto nim chciał być, czyli ten, kto swój los i powodzenie łączył z Rzeczpospolitą i jej interesem. Zresztą powodzeniu i wielkości Rzeczypospolitych przysłużyło się niezliczenie wielu, którzy nie mieli polskich korzeni, ale politycznie służyli jej i przez to faktycznie byli Polakami, polonizując się z własnej woli i wnosząc wkład w bogactwo naszej kultury oraz przejmując część odpowiedzialności za wspólnotę i państwo. Dopiero niedawno Polska stała się krajem etnicznie homogenicznym oraz ograbionym terytorialnie, kulturowo i osobowo wskutek działań – mówiąc eufemistycznie – niezbyt przyjaznych sąsiadów. Z tej tradycji troski o Rzeczpospolitą można bez problemu wywieść jej współczesne ekonomiczne składowe.

Patriotyzm można rozumieć jednak różnie, można go też negocjować. Nie można jednak negocjować tego, że w interesie każdego z nas jest zamożność naszego państwa i zamożność naszych sąsiadów, rodaków, godność ich życia oraz materialne bezpieczeństwo. Jasne, że pieniądze to nie wszystko, ale deficyt pieniędzy w skali państwa to rozwój patologii, nędza powszechna, która ucieleśnia się w braku pieniędzy na emerytury, ochronę zdrowia, przyrody, edukację i kulturę, modernizację infrastruktury. Zatem Rzecz Wspólna to sprawa każdego z nas. Możemy mieć wpływ nie tylko na rządy i władze lokalne – mamy go również na generowanie zysków, które płyną do kasy państwa, samorządu i do współobywateli. Wpływ ten jest domeną działań, które nazywamy patriotyzmem konsumenckim.



© Peacock Modern, flickr.com/photos/peacockmodern/4974562286

Wspominaliśmy o tradycji inkluzywności jako takim aspekcie patriotyzmu, który dopuszcza każdego do udziału w dbałości o dobro wspólne. Inaczej rzecz biorąc, jest to podejście, które namawia do kooperacji oraz tworzenia synergii poprzez wymianę dóbr, współpracę i przepływ informacji, właśnie dla dobra wspólnego. Tę stronę ekonomicznej troski o państwo i społeczeństwo oraz sprzężenie jej z ekonomicznym interesem własnych przedsięwzięć nazywamy patriotyzmem gospodarczym.

Oba te aspekty nazywamy z kolei patriotyzmem ekonomicznym. Uważamy, że w obecnej globalnej grze o pieniądze i władzę, w której słabsze państwa próbują się sprowadzić do poziomu neokolonii, patriotyzm ekonomiczny jest poglądem, który każda rozsądna siła polityczna - czy to prawicowa, czy lewicowa - powinna popierać. Ponieważ jednak to ludzie kształtują rynek, więc do kalkulacji koszty/zyski musimy dodać kolejną zmienną: czy wspólnie nam się to opłaca.

Wiedza: patriotyzm konsumencki

Kto nie wie, ten błądzi. Kto wie, ma szansę wybierać. Wierząc, że nawet jeśli człowiek nie jest z natury dobry, to przynajmniej ma potencjał dobra, pozostaje nam

jedynie dawać mu wiedzę oraz impuls do korzystania z niej, aby czynił dobro. Patriotyzm konsumencki powinien być kształtowany poprzez wysyłanie stałych sygnałów, pokazujących sprzężenie pomiędzy dokonywanymi wyborami konsumenta i zaspakajaniem jego potrzeb a ich wpływem na jego środowisko społeczno-państwowe, na warunki życia jego samego, rodziny, sąsiadów itp. Sygnały te powinny być nadawane systematycznie, spójnie oraz szeroką falą.

Patriotyzm konsumencki jest motywowany przekonaniem, że w przypadku, gdy towar i usługa są w podobnej cenie, to bardziej opłaca się kupić je od firmy związanej z naszym środowiskiem, gdyż w ten sposób zyskujemy pośrednio. W przypadku zakupów samorządowych czy państwowych towar lub usługa droższa, chociaż pochodząca od lokalnej firmy, może się okazać bardziej korzystna niż zakup od międzynarodowej korporacji, która traktuje Polskę tylko jak kolejny rynek zbytu. Zarówno bowiem w naszym prywatnym interesie, jak i w interesie państwa (czyli teoretycznie interesie całego narodu, a więc całego zbioru interesów prywatnych) jest to, abyśmy mieli własne firmy. One bowiem płacą tutaj podatki, są odpowiedzialne za własne działania, zatrudniają obywateli naszego

państwa, kooperują z innymi polskimi firmami, sponsorują pozaekonomiczne inicjatywy w Polsce, a wreszcie nie wstydzą się kraju swego pochodzenia.

Te wszystkie czynniki razem wzięte budują ekonomiczną podmiotowość kraju. Dzięki tysiącom małych decyzji konsumentów powstaje znacząca siła. Dzięki niej wzrosną i przywiążą się do naszego rynku firmy, które pracują dla nas wszystkich. Dzięki wsparciu konsumentów, firmy zmuszone będą również do czystej i społecznie uczciwej działalności, gdyż to się im opłaca, jeśli ruch konsumencki będzie dostatecznie silny.

W projekcie patriotyzmu konsumenckiego potrzebni są tzw. maweni, czyli – jak opisał to M. Gladwell – osoby gromadzące wiedzę konsumencką i z chęcią dzielące się nią z innymi. Maweni to dzisiaj ludzie gromadzący się wokół serwisów internetowych, jak zakupy grupowe, portale porównujące ceny towarów lub dające możliwość dyskusowania o jakości usług w poszczególnych branżach. Maweni mogą skutecznie rozpowszechnić dany trend. Projekt powinien więc wyszukiwać maweni w różnych środowiskach i utwierdzać ich w atrakcyjności kupowania produktów „stąd”.

Zadaniem koordynatorów ruchu patriotyzmu konsumenckiego jest rzetelne informowanie konsumentów, tworzenie zobiektywizowanych skal pomiaru pozytywnego wpływu firm na polską gospodarkę oraz **znakowanie usług i produktów uczciwymi znakami informacyjnymi. Takimi znakami, których wartość nie sprowadza się jedynie do dziesięciu tysięcy złotych, które należy zapłacić, aby je mieć.** Być może nawet znaki te nie powinny nieść ze sobą przekazu elitarności (jak dotychczasowe „Teraz Polska”), lecz być sygnałem trwałej, potwierdzonej obecności danej firmy w krajowej gospodarce oraz polskim budziecie.

Współpraca: patriotyzm gospodarczy

Siła własnej ekonomii to nie tylko siła przywiązania konsumentów do marek/firm oraz przywiązania firm do swojego kraju i jego obywateli-konsumentów. W naszym interesie jest również powszechna kooperacja firm, które popieramy konsumenckimi wyborami. To ona buduje gospodarczą niezależność i samowystarczalność.

Dlatego o ile po stronie konsumentów leży patriotyzm wyborów, o tyle po stronie firm leży patriotyzm współpracy. Dla nas wszystkich lepiej jest bowiem budować zaufanie pomiędzy podmiotami, które jako konsumenci wspieramy, gdyż wywołuje to efekt synergii. Dzięki niemu mniejsze podmioty mogą podjąć się większych działań, co z kolei powinno spotkać się z pozytywnymi reakcjami świadomego rynku. Im bowiem większy przepływ towarów i usług pomiędzy polskimi firmami, tym większa korzyść dla społeczeństwa.

Konieczne jest zatem poszukiwanie nie tylko kupujących maweni i przekonywanie ich do idei PK, ale także poszukiwanie producentów posiadających cechy „sprzedawców”. Czyli ludzi skłonnych modyfikować swoje działania pod wpływem pomysłu, idei i przekonywanie ich w działania. Projekt PK powinien koncentrować się na usieciowieniu małych i średnich firm, oczywiście nie porzucając współpracy z „lokomotywami” biznesu, dużymi firmami z rodzimym kapitałem. Projekt musi tworzyć masę krytyczną poprzez ilość firm/



©©© Matt Hinsa, flickr.com/photos/matt_hinsa/404178189

W przypadku, gdy towar i usługa są w podobnej cenie, to bardziej opłaca się kupić je od firmy związanej z naszym środowiskiem, gdyż w ten sposób zyskujemy pośrednio.

producentów działających na małą skalę, ale przyjmujących wizję współpracy pomiędzy podmiotami kierującymi się patriotyzmem gospodarczym.

Patriotyzm gospodarczy to także współpraca i „wciąganie” w naszą wymianę podmiotów i osób związanych z Polską, ale pozostających na trwałe poza krajem. To poprzez te środowiska, które sympatyzują ze starą ojczyzną, możemy przestać być postrzegani jako kraj wyłącznie eksportowych pielęgniarek i hydraulików – z całym szacunkiem dla przedstawicieli tych zawodów – a stać się importerem towarów wyprodukowanych przez nas i sprzedawanych pod naszą banderą w krajach, gdzie znajduje się polska diaspora lub w państwach, w których po zmianach granic zostali potomkowie rodaków.

Nie bez znaczenia w kształtowaniu patriotyzmu gospodarczego jest także tworzenie przejrzystego lobby polskiego interesu, gotowego i posiadającego wystarczające środki, aby negocjować z rządem i parlamentem dobre warunki brzegowe dla propaństwowego biznesu. To dzięki takim zabiegom będziemy mogli wymagać od każdej władzy, aby reprezentowała przede wszystkim nas, a nie szemrane interesy lobbystów i ich fasadowe organizacje, które rzekomo w „imieniu społeczeństwa i polskiego biznesu” patrzą, z czego by tu jeszcze „ukręcić lody” do wywiezienia za granicę.

Zadaniem koordynatorów patriotyzmu gospodarczego powinno być usieciowienie firm propaństwowych (a więc nie unikających płacenia podatków, uczciwie rozliczających koszty zatrudnienia pracowników, nie działających na szkodę lokalnego środowiska biznesowego), tworzenie forów przepływu informacji o zasobach i potrzebach oraz budowanie zaufania – czynnika w kapitalizmie bezcennego, a wielokrotnie niszczonego przez ostatnich 70 lat.

Konieczność – w stronę pozytywnych automatyzmów

Działania, które tu opisujemy, nie są fantazją. W wielu krajach, które są podmiotowe i osiągają sukcesy gospodarcze (nawet jeśli nie chcą lub nie potrafią przekuć ich w sukces społeczny) mają one miejsce. Podobno japońska kadra zarządzająca podtoruńskiej strefy ekonomicznej w Łysomicach, gdzie siedziby mają m.in. firmy Sharp i Orion, w początkach obecności w Polsce kupowała w Toruniu japońskie samochody – Hondy i Toyoty. Jeśli to prawda, to tysiące kilometrów od domu zadziałał u tych osób automatyzm wybierania „swoich” produktów. Oczywiście mieli to szczęście, że ich produkt ma dobrą renomę, jest sprawdzony itd. Ale nie zmienia to faktu, że nie kupili renomowanych samochodów z Niemiec czy Francji. Nie skorzystali z okazji wyrwania się z kraju, aby poszaleć po europejskich drogach Mercedesem lub Renaultem. Automatyzm ten musi być jednak efektem wieloletnich działań państwa, firm i innych instytucji społecznych.

To skumulowane, systematyczne działania wspierające ideę PK również są powodem tego, że rządy takich państw jak Japonia stają murem za swoimi przedsiębiorcami, co skutkuje bogactwem w budżetach i społecznym dobrobytem. To wreszcie poprzez promowanie współpracy i zaufania łatwo jest takim państwom strzec własnych rynków, a jednocześnie zalewać rynki słabszych państw swoją nadprodukcją.

Patriotyzm ekonomiczny nie jest fanaberią, lecz sprawdzoną strategią narodowej współpracy i solidarności. Jest także koniecznością, jeśli mamy przestać się zadłużać i liczyć na cud gospodarczy. **Samodzielność i niezależność zdobywa się własną pracą. Owoce tej pracy skonsumujemy my sami, gdy pracą organiczną zorganizujemy struktury patriotyzmu ekonomicznego. Do tego potrzebny jest ruch apolityczny, społeczny, którego siła kiedyś zmusi także polityków wszystkich opcji, żeby zaczęli pracować dla nas, dla społeczeństwa.**

Pewien nasz rozmówca powiedział, że zanim powstała japońska korporacja Honda, gdzieś kiedyś jakiś pan Honda musiał mieć mały warsztat, w którym kuł np. podkowry. Naszym marzeniem jest, aby i warsztat pana Kowalskiego urósł kiedyś do pozycji, która pozwoli mu z dumą otworzyć filię w Kraju Kwitnącej Wiśni, gdzie będzie ona stanowiła okręt flagowy polskiej gospodarki, manifestując kraj pochodzenia.

Propozycja

Niniejszym artykułem chcemy zainicjować dyskusję nad tworzeniem ruchu patriotyzmu ekonomicznego, czyli postawy spajającej patriotyzm indywidualnych konsumentów oraz podmiotów gospodarczych. Przedstawiliśmy jego ogólne ramy, większość szczegółów wymaga społecznych konsultacji. Nic bowiem nie może powstawać na siłę, zwłaszcza gdy ma realizować potrzeby społeczne, a taką misję powinna przebieżnieść zarysowana inicjatywa. Zachęcamy więc do refleksji m.in. nad takimi problemami, jak:

- Idea patriotyzmu konsumentckiego: odpowiedzialność konsumentów, rola mawenów w promowaniu PK; PK jako zdrowy egoizm
- Słabości dotychczasowych kampanii wspierających polskie produkty – skuteczne/nieskuteczne hasła, formy działania itp.
- Idea patriotyzmu gospodarczego – współpraca krajowych firm, usieciowienie małych i średnich przedsiębiorstw, atrakcyjność patriotyzmu gospodarczego dla firm

Osoby zainteresowane dyskusją, wymianą poglądów lub pomysłów zapraszamy na stronę www.patriotyzmekonomiczny.pl.

DR JOANNA SZALACHA
DR TOMASZ JARMUŻEK

Refleksje o autonomii śląskiej

PROF. DR HAB. MARIAN MAREK DROZDOWSKI

W 1997 r. wojewoda śląski poprosił mnie o wygłoszenie uzasadnienia przyznania pośmiertnie przez Prezydenta RP Orderu Orła Białego Wojciechowi Korfantomu. Gdy stanąłem na podium przed gmachem siedziby władz województwa, zwolennicy autonomii regionu rozwinęli transparent i wznosili okrzyki „Precz z kolonializmem warszawskim na Górnym Śląsku”. Jestem synem powstańca śląskiego. Okrzyk ten potraktowałem jako zaprzeczenie sensu starań mego Ojca.



Geneza autonomii Górnego Śląska związana jest z historią tego regionu i jego skomplikowaną strukturą narodowościową. Partia Centrum, „partia niemieckiego katolicyzmu politycznego”, działająca z dużym udziałem kleru oraz poparciem właścicieli ziemskich i przemysłowców, wystąpiła w czasach Kulturkampfu (1871-1878) przeciw polityce wyznaniowo-narodowościowej kanclerza Bismarcka. Obrońcy ludności polskiej na G. Śląsku, Karol Miarka i Adam Napieralski, przejściowo podkreślali potrzebę sojuszu obozu polskiego z Centrum.

Jak czytamy w „Encyklopedii Powstań Śląskich”, 9 grudnia 1918 r. w Kędzierzynie na konferencji partii politycznych działających na G. Śląsku wysunięto postulat utworzenia samodzielnej republiki górnośląskiej, z niemieckim i polskim językiem urzędowym, o trwale neutralnym charakterze, gwarantowanym przez Niemcy, Polskę i Czechosłowację. Projektem tym usiłowano zainteresować Tomasza Garrigue Masaryka, prezydenta Czechosłowacji. W tym okresie Centrum sympatyzowało z ruchem górnośląskich autonomistów. Od połowy 1919 r., kiedy wskutek podpisanego traktatu wersalskiego znikło niebezpieczeństwo natychmiastowej inkorporacji Górnego Śląska do Polski, Centrum wysunęło postulat nadania Górnemu Śląskowi statusu kraju związkowego w ramach Rzeszy.

Przypomnijmy, że w efekcie wystąpień Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego na konferencji pokojowej, komisja ds. polskich początkowo przewidywała przyłączenie całego Górnego Śląska do Polski. Jednak pod wpływem premiera Wielkiej Brytanii, Lloyd George’a, przeforsowano plebiscyt wśród mieszkańców regionu. Decyzja ta miała istotny wpływ na zmianę stanowiska Partii Centrum.

Ideę autonomii śląskiej popularyzował ks. Karol Ulitzka (1873-1953), jeden z przywódców Centrum, żądając utworzenia separatystycznego państwa górnośląskiego. Później, jako ekspert delegacji niemieckiej na konferencję pokojową prowadził ożywioną działalność na rzecz utrzymania Górnego Śląska w granicach tego kraju. Po klęsce Niemiec autonomia śląska miała być dla niego etapem integracji regionu z Rzeszą.

Z badań Bogdana Cimały wiemy, że na zorganizowanej przez Centralną Radę Ludową konferencji we Wrocławiu (20 XII 1919), poświęconej zakresowi przyszłych uprawnień autonomicznych G. Śląska, przygotowano projekt ustawy przewidujący przyznanie Górnemu Śląskowi autonomii administracyjnej (sejmik górnośląski) i kulturalnej (równouprawnienie języka polskiego i niemieckiego i wymagana zgoda sejmiku na wprowadzenie na Śląsku ustaw dotyczących Kościoła). Przedstawiciele rządu, przeciwni autonomii, poparli jedynie postulaty dotyczące Kościoła i religii. Inicjatywa CRL upadła. [...] Centrum zarzuciło propagowanie autonomii. W wyniku uchwalenia 15 lipca 1920 r. w Polsce statutu organicznego województwa śląskiego, Niemcy na nowo podjęli kwestię autonomii G. Śląska. Ustawa Reichstagu o Górnym

Śląsku z 27 XI 1920 przewidywała, że w dwa miesiące po objęciu władzy na tym terenie przez administrację niemiecką przeprowadzony zostanie plebiscyt w sprawie nadania prowincji górnośląskiej statusu kraju związkowego Rzeszy. Plebiscyt przeprowadzono w postaci referendum 3 IX 1922. Przy frekwencji 74,3% zdecydowana większość wyborców wypowiedziała się przeciw autonomii Górnego Śląska.

Powstała więc asymetria. Na niemieckim Górnym Śląsku nie było autonomii, którą mogłaby wykorzystać ludność polska w obronie swych praw konstytucyjnych. Na polskim G. Śląsku istniała autonomia wykorzystywana przez mniejszość niemiecką. Autonomiści górnośląscy mieli w pierwszym okresie silne poparcie finansowe niemieckich właścicieli ziemskich i przemysłowych. Ich hasło programowe „Górny Śląsk dla Górnoślązaków” oznaczało w praktyce zachowanie niemieckich, jej pozycji politycznej, gospodarczej i kulturalnej oraz zahamowanie oddziaływania kultury polskiej i polskich partii politycznych na nieuświadomionych narodowościowo Ślązaków, będących pod wpływami Centrum i niemieckiej hierarchii kościelnej oraz większości kleru śląskiego.

Już w 1918 r. wyodrębniły się dwie grupy: autonomistów, którzy propagowali odrębność Śląska w ramach Rzeszy Niemieckiej i tzw. independentów, którzy opowiadali się za proklamowaniem samodzielnego, neutralnego państwa śląskiego.

Grupą pierwszą dowodził Hans Lukaschek (1885-1960), prominentny działacz Centrum, w latach 1916-1918 burmistrz Rybnika i komisarz landrat rybnicki, znienawidzony przez polskich robotników, którzy na taczce wywieźli go z urzędu w czasie listopadowej rewolucji 1918 r. Lukaschek współtworzył Freie Vereinigung zum Schutze Oberschlesiens (Wolne Stowarzyszenie dla Obrony Górnego Śląska). Organizacja walczyła na dwóch frontach: przeciw polskiemu ruchowi niepodległościowemu i antyklerykalnej lewicy niemieckiej. Dysponując olbrzymimi możliwościami finansowo-propagandowymi, stowarzyszenie skupiło ok. 17 tys. tzw. mężów zaufania, głównie nauczycieli, urzędników i przedstawicieli wolnych zawodów. Obok prasowych tytułów niemieckich, próbowało indoktrynować Ślązaków za pośrednictwem „Poradnika Domoowego” i „Dzwonu”, setek tysięcy ulotek oraz antypolskich wieców, prelekcji, odczytów, seansów filmowych, przedstawień teatralnych i zabaw ludowych. Zbierało także podpisy pod petycjami domagającymi się pozostawienia G. Śląska w granicach Rzeszy.

Pod koniec 1919 r. organizacja przekształciła się w Vereinigte Verbände Heimattreuer Oberschlesier (Zjednoczenie Związków Wiernych Ojczyźnie Górnoślązaków), federację stowarzyszeń niemieckich z siedzibą we Wrocławiu. W grupie śląskiej organizacja skupiła ok. 42 tys. sympatyków.

Lukaschek był ekspertem delegacji niemieckiej na konferencję pokojową w Paryżu i aktywnym

współpracownikiem niemieckiego komisariatu plebiscytowego, w latach 1922–1927 przedstawicielem Niemiec w Komisji Mieszanej dla Górnego Śląska w Katowicach. Za szpiegostwo polityczne został w 1927 r. usunięty z woj. śląskiego jako persona non grata.

Grupa independentów natomiast założyła w połowie stycznia 1919 r. Bund der Oberschlesier – Związek Górnośląski. Jak podaje B. Cimała, ich programem było *natychmiastowe zniesienie pruskich ustaw wyjątkowych, przeciw polskim Górnoślązkom, niezwłoczne wprowadzenie równouprawnienia języka polskiego z niemieckim, powołanie na urzędy państwowe Górnoślązaków mówiących oboma językami, zapewnienie wolności wyznania, zaniechanie rozdziału Kościoła od państwa, utworzenie odrębnej górnośląskiej delegatury kościelnej, najszerwsze rozwinięcie ustawodawstwa socjalnego, opieka nad oświatą ludową, niepodzielność G. Śląska. Główne hasło: „Górny Śląsk dla Górnoślązaków”. [...] W czasie kampanii plebiscytowej [zajmowali] stanowisko proniemieckie, po plebiscycie próba nawrotu do hasła neutralizacji.*

Autonomię śląską propagował także „Der Oberschlesier”, tygodnik założony w Opolu jesienią 1919 r. przez Georga Wenzla. Lansował ideę istnienia „narodowości górnośląskiej”, jednocześnie podkreślał wyższość cywilizacyjną i kulturalną Niemiec. Do 1944 r. kontynuował „pracę u podstaw” w duchu krzewienia kultury niemieckiej. Separatystyczny charakter miał również Związek Obrony Górnoślązaków, w którym kluczową rolę odgrywał Jan Kustos, aresztowany w 1923 r. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Wniosek wypływający z podanych informacji jest taki, że **ruch na rzecz autonomii Śląska był forsowany przed plebiscytem (20 marca 1921 r.) głównie przez stronę niemiecką, a postulaty takie kierowano przede wszystkim do nieuświadomionych narodowo Górnoślązaków z myślą o pozyskaniu ich z czasem dla sprawy włączenia G. Śląska do Rzeszy. Ruch ten finansowany był przez rząd niemiecki oraz wpływowo w owym regionie niemieckie koła ziemiańskie i wielkoprzemysłowe. Twierdzenie o równouprawnieniu wszystkich Górnoślązaków uzupełniał drugim: o wyższości cywilizacji i kultury niemieckiej nad polską. W plebiscycie śląskim ruch ten wzywał zazwyczaj do oddawania głosów za opcją niemiecką.**

W związku z trwającymi dziś dyskusjami warto też odpowiedzieć, jaka była geneza i charakter polskiej ustawy konstytucyjnej z 15 lipca 1920 r. o statucie organicznym województwa śląskiego, na którą powołuje się obecnie Ruch Autonomii Śląska.

Samorząd śląski miał posiadać prerogatywy w takich m.in. kwestiach: ustawodawstwo w sprawie używania języka polskiego i niemieckiego, ustrój i podział władz administracyjnych, organizacja sił policyjnych i żandarmerii, szkolnictwo podstawowe i zawodowe, opieka socjalna, ustalanie dorocznego budżetu

śląskiego, nakładanie podatków i opłat publicznych zgodnie z przepisami ustawy. Kwestie podatkowe, z inicjatywy Rządu RP, miały być regulowane drogą ustaw państwowych, konsultowanych z Sejmem Śląskim. Część dochodów Skarbu Śląskiego miała być oddawana na potrzeby ogólnopaństwowe, stosownie do liczby mieszkańców Śląska i jego siły podatkowej.

Ustawa zapowiadała wprowadzenie waluty polskiej jako jedyne go prawnego środka płatniczego. Nie wprowadzała pojęcia „autonomii śląska”. Suwerenność oznaczała w tym przypadku rozbudowę terytorialnego samorządu śląskiego, bez prawa do własnego rządu, reprezentacji międzynarodowej i innych prerogatyw pełnej autonomii. Autorem wspomnianego aktu prawnego był prof. Józef Buzek (1873–1936), stryjeczny dziadek Jerzego Buzka. Był on wybitnym znawcą polityki germanizacyjnej na Śląsku, czemu dał wyraz m.in. w studium „Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków” (Lwów 1909).

Główny autor ustawy i polskie elity polityczne wdziały w niej drogę do powolnej integracji Górnego Śląska z resztą ziem polskich. Konstytucja kwietniowa z 1935 r. zniosła wiele jej ustaleń. Była to konieczność państwowa w obliczu powstania w Niemczech agresywnego systemu totalitarnego, zagrażającego integralności terytorialnej i istnieniu II RP, w obliczu nazistowskiej indoktrynacji wielu Ślązaków, szczególnie młodszego pokolenia, korzystającego z rynku pracy III Rzeszy.

Co skłoniło rząd i Sejm do uchwalenia ustawy o statucie organicznym województwa śląskiego? Przede wszystkim obawa o wyniki plebiscytu w sytuacji, gdy wojska bolszewickie zbliżały się do Warszawy. Ponadto decyzje delegatów polskich i czeskich w Spa z 11 lipca, którzy zrezygnowali z plebiscytu i zgodzili się na arbitraż Rady Najwyższej, oraz przegrany w tym dniu plebiscyt na Warmii i Mazurach.

Polska bała się także skutków współdziałania sowiecko-niemieckiego. Kilkanaście tysięcy niemieckich komunistów zasililo szeregi Armii Czerwonej. Niemieccy dokerzy Gdańska odmówili obsługi dostaw żywności, lekarstw i odzieży z Amerykańskiej Administracji Pomocy dla Polski. Minister Spraw Zagranicznych Rządu RP, Eustachy Sapieha, tak analizował wielką propagandową – i nie tylko – ofensywę niemiecką na temat „sezonowości Polski”: *Przygotowując swoją propagandę prasową opinię europejską na nieuniknioną klęskę Polski, starali się Niemcy ją przyspieszyć [...] przez dostarczenie bolszewikom efektywnej pomocy przez wyszkolonych oficerów, ochotników, inżynierów itd. i w pewnym stopniu materiałów wojennych, przez zorganizowanie na rzecz bolszewików służby wywiadowczej na terenach pogranicznych, [...] przez szkodliwą dla Polski interpretację ogłoszonej neutralności, [...] przez niepokoje opinii polskiej szeregiem incydentów granicznych, inscenizowanych w chwili największych naszych niepowodzeń, [...] przez oświadczenie kierujących mężów stanu, zapowiadające przedsięwzięcie środków celem zabezpieczenia*

komunikacji z Prusami Wschodnimi i ochrony doprowadzonej rzekomo do rozpaczki mniejszości niemieckiej w Polsce, [...] przez podjęcie efektywnych prób obalenia traktatu przez wywołanie ruchu zbrojnego na Śląsku, który to ruch mógł być łatwym pretekstem do uregulowania sporu z Polską drogą oręża.

Obok wniosków z analizy stosunków międzynarodowych w 1920 r., o przyjęciu statutu organicznego dla Śląska zadecydowały przesłanki wynikające z analizy miejscowych stosunków wewnętrznych. Nie było tu właściwie polskiej klasy posiadającej, z wyjątkiem chłopów na „Śląsku Zielonym”, czyli w powiatach rolniczych. Nie było polskich ziemian, przemysłowców, urzędników, policjantów, oficerów i wyższych duchownych: warstwy posiadające i kierownicze prawie w całości były niemieckie. Dysponowały one olbrzymimi środkami na akcję plebiscytową, dobrze uzbrojonymi formacjami ochotniczymi, większością śląskich tytułów prasowych. Na Śląsku – pisze Paweł Zaremba w „Historii Dwudziestolecia” – ksiądz Polak, jeśli chciał prowadzić polską działalność kulturalną, walczyć musiał nie tylko z niemieckim urzędnikiem, nauczycielem, fabrykantem czy właścicielem ziemskim, lecz także z przedstawicielami własnej hierarchii, z potężnym arcybiskupem wrocławskim na czele. Były więc niewątpliwie na Śląsku elementy łączące dążenia narodowe z walką klasową. Zwłaszcza w środowisku robotniczym. Lecz i te aspiracje narodowe nie znajdowały sprzymierzeńców ani w opanowanych przez Niemców związkach zawodowych, ani w stronnictwach politycznych. Przeciwnie, niemieckie kierownictwo ruchu robotniczego polskie aspiracje

narodowe zwalczało nie gorzej, a na pewno skuteczniej niż ugrupowania prawicowe czy katolickie „Centrum”.

Komuniści niemieccy w porozumieniu z polskimi prowadzili na G. Śląsku zaciętą propagandę antypolską. W takich warunkach bardzo trudne było przekonanie do głosowania za Polską robotnika polskiego, którego warunki egzystencji były znacznie lepsze od egzystencji robotników sąsiednich zagłębi przemysłowych – dąbrowskiego i krakowskiego, i który do niedawna korzystał z dobrej koniunktury i zamówień wojennych.

Polacy na Górnym Śląsku – podkreśla Zaremba – musieli więc pokonać przeszkody bez porównania większe niż w każdej z pozostałych dzielnic Polski. Bo nie tylko stawali twarzą w twarz z potęgą niemiecką, która – choć pokonana przez sprzymierzonych – miała w swej dyspozycji zarówno siłę fizyczną i środki nacisku gospodarczego, jak i bogaty arsenał argumentów znajdujących posłuch w stolicach zachodnich. Musieli się także liczyć z wrogim nastawieniem tak krańcowo sprzecznych ze sobą interesów, jak kapitału międzynarodowego i dezyderatów politycznych ośrodków rewolucji komunistycznej w Rosji i Berlinie. Musieli się także liczyć z faktem, że ich żądanie przyłączenia do Polski było zupełną nowością w opinii światowej, lecz także w Polsce, gdzie dla wielu było zupełną nowością, na pewno radosną, lecz trudną do wycenienia i do wyciągnięcia politycznych wniosków.



Zaremba pisze ponadto, iż *Żądanie zjednoczenia Górnego Śląska z odrodzoną Polską postawione zostało formalnie 21 października 1918 r. przez Wojciecha Korfante go na posiedzeniu parlamentu Rzeszy*. Korfanty inspirował uchwalenie statutu organicznego, realistycznie oceniając trudności polskiej akcji plebiscytowej. Sprzeciwiał się szybkiej integracji regionu z resztą ziem polskich. Stopniowo chciał pozyskać przede wszystkim krajanów o słabej świadomości narodowej, których liczebność oceniał na 1/3 mieszkańców Górnego Śląska. Statut, poprzez uszanowanie praw mniejszości niemieckiej, miał ułatwiać im lojalność wobec państwa polskiego.

Po śmierci Korfante go kontynuatorzy jego poglądów politycznych nie byli w stanie przewidzieć sytuacji na G. Śląsku po zajęciu go przez Armię Czerwoną. Śląskiem administrowano wówczas pod dyktando polskich komunistów i ich sowieckich kontrolerów, szczególnie w aparacie bezpieczeństwa i wojsku. Z regionu wywieziono kilkadziesiąt tysięcy górników do niewolniczej pracy w kopalniach sowieckich, narzucono Polsce darmowe dostawy węgla z kopalń śląskich do Kraju Rad. Dopiero dzięki staraniom Gomułki, który wykorzystał osłabienie Związku Sowieckiego, część z tych górników wróciła do Polski oraz zrewaloryzowano wartość węgla wywożonego do ZSRR.

Górny Śląsk odegrał kluczową rolę w powojennej odbudowie kraju, szczególnie totalnie zniszczonej Warszawy, a także w zagospodarowaniu tzw. Ziem Odzyskanych. Jako region autonomiczny nie mógłby spełnić takiej roli. Znaczna część robotników śląskich wyjechała do RFN, ich miejsce zajęli przybysze z przeludnionych regionów Polski, rodzinnie i mentalnie związani z Małopolską, Mazowszem, Podlasiem i Kresami Wschodnimi. Wielu rdzennych Ślązaków rozproszyło się po kraju, m.in. wskutek pracy zawodowej.

Los mieszkańców G. Śląska jest dziś ściśle związany z resztą kraju. Lansowanie hasła „Precz z kolonializmem warszawskim na Górnym Śląsku” jest demagogią ambitnych polityków, którym marzą się stanowiska ministerialne i urzędnicze w rządzie śląskim i jego administracji, diety poselskie w Sejmie Śląskim czy reprezentowanie regionu na forum międzynarodowym. **Głosiciele wspomnianego hasła zapominają o historii tej części kraju, o skutkach wojny przegranej przez hitlerowską Rzeszę, o składzie narodowościowym i społecznym dzisiejszego Górnego Śląska.**

Ruch Autonomii Śląska walczy o przekształcenie Rzeczypospolitej w państwo regionalne, a w dalszej perspektywie w państwo federalne na wzór Niemiec. Zabiega o przywrócenie Sejmu Śląskiego, regionalnego rządu i Skarbu Śląskiego, który dbałby o to, by niewielka część zgromadzonych środków zasilala budżet centralny. Zwolennicy ruchu godzą się, by na razie w gestii władz centralnych pozostała dyplomacja, wojsko i polityka monetarna. Na łamach organu RAŚ, „Jaskółki

Śląskiej”, można znaleźć wypowiedzi kwestionujące podstawowe twierdzenia historiografii polskiej, dotyczące dziejów Śląska, oceny Hakaty i Komisji Kolonizacyjnej, powstań śląskich i plebiscytu. Polski wkład do kultury i cywilizacji Śląska jest przez RAŚ pomijany. Kwestionuje się także powojenny wysiłek milionów napływowych mieszkańców przy odbudowie i rozbudowie gospodarki i kultury na Śląsku.

Przewodniczący RAŚ, Jerzy Gorzelik, deklarował wręcz: *Jestem Ślązakiem, nie Polakiem. Moja ojczyzna to Górny Śląsk. Nic Polsce nie przyrzekałem, więc jej nie zdradziłem. Państwo zwane Rzeczpospolitą Polską, którego jestem obywatelem, odmówiło mi i moim kolegom prawa do samookreślenia i dlatego nie czuje się zobowiązany do lojalności wobec tego państwa*. Myślę, że J. Gorzelik nie zna historii i sensu ustawy o statucie organicznym województwa śląskiego, o której propolskiej genezie już wspominałem. Nie przypadkiem była ona popierana m.in. przez Józefa Piłsudskiego, Wincentego Witosa czy wybitnego działacza endecji, Wojciecha Trąpczyńskiego. W pierwszym artykule owej ustawy czytamy m.in., że *Województwo Śląskie będzie nieodłączną częścią składową Rzeczypospolitej Polskiej*.

Rozwój demokracji terytorialnej i społeczeństwa obywatelskiego uzasadniają wysiłki zmierzające do rozszerzenia uprawnień samorządu wszystkich regionów III Rzeczypospolitej, a także pielęgnowanie lokalnych tradycji, gwary czy zwyczajów. Jednak los Górnego Śląska i innych regionów Polski jest ściśle związany z polityką gospodarczą państwa polskiego, z wielkim, ogólnokrajowym wysiłkiem modernizacji infrastruktury, z dostosowaniem przemysłu do współczesnych wymogów energetycznych, z wdrażaniem nowoczesnych technologii w wielu branżach, z rozbudową wszystkich typów szkolnictwa i instytucji kulturalnych. Te trudne zadania nie mogą być zrealizowane pod hasłem „Śląsk dla Ślązaków”.

Na pytanie, czy istnieje naród śląski, odpowiedziały negatywnie Sąd Najwyższy i Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Poza tym musimy pamiętać o ruchach ludnościowych na Śląsku w następstwie II wojny światowej oraz polityk ludnościowych PRL i RFN. Ślązacy współcześni nie są mniejszością narodową czy etniczną, lecz grupą regionalną o bogatej kulturze, podobną do grupy kaszubskiej czy góralskiej. Stanowią integralną część narodu polskiego. Autonomia w warunkach XXI wieku, pełnego trudnych decyzji związanych z koniecznością ograniczenia deficytu budżetu państwowego i terytorialnego, nieuchronnością rewolucyjnych przemian w polityce energetycznej, drogowej czy żywnościowej, byłaby hamulcem tych zmian, generując nowe konflikty wokół regionalnych obciążeń. W takiej sytuacji trzeba odróżnić dwie kwestie: „Co jest korzystne dla mieszkańców Śląska” oraz „Co jest korzystne dla liderów śląskich ruchów autonomicznych”.

PROF. DR HAB. MARIAN MAREK DROZDOWSKI

Przerwać spektakl

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ



Marks miał rację! Miał rację twierdząc, że państwo jest organizacją klas posiadających, ponieważ w XIX stuleciu – gdy nawet w krajach dysponujących parlamentami obowiązywał cenzus majątkowy – taka była rzeczywistość. Jednak od tego czasu wiele się zmieniło. Bardzo wiele.

Najpierw postępująca demokratyzacja sprawiła, że klasy niższe zyskały wpływ na państwo. Z organizacji klasowej stało się ono wówczas strukturą międzyklasową. Oczywiście w jej ramach znaczenie różnych warstw nie było wprost proporcjonalne do ich liczebności, jednak choć bardziej liczyła się zamożność czy wykształcenie, mimo wszystko wpływ klas niższych na politykę państwa stawał się realny. Można tu rzecz jasna wybrzydząć, że „demokracja burżuazyjna” to demokracja pozorna, że niezliczone instrumenty manipulacji w rękach posiadaczy deformowały wolę ludu. Fakt, że w żadnym kraju drogą parlamentarną nie została przeprowadzona rewolucja socjalistyczna. Ale też trzeba być ślepym, by nie dostrzec związku między rozszerzaniem praw wyborczych a budową *welfare state* w rozwiniętych krajach Zachodu: od Bismarcka przez Roosevelta po Palmego.

Później jednak nastąpiło załamanie tego modelu. Pierwszym winowajcą jest globalizacja, sprawiająca, że realna władza uszła poza państwo: do organizacji międzynarodowych i ponadnarodowych koncernów. W rezultacie głos obywateli w wyborach staje się mniej ważny od głosu rynków finansowych. Wystarczy, że te groźnie zmarszczą brew, a „suwerenne” rządy uciekają do budy z podkulonymi ogonami. W takich warunkach wybory stają się farsą. W ten sposób dokonało się to, co już przed czterdziestu laty opisywali sytuacjoniści: „społeczeństwo spektaklu”.

Drugi powód pośrednio wynika z pierwszego: globalizacja, turbokapitalizm przynoszą ogromne zyski nielicznym. Pojawiła się klasa spekulacyjnej hiperburżuazji, żyjącej ponad anachronicznymi strukturami państwowymi. Dużo liczniejsze od warstewki turbokapitalistów są zastępy „klasy średniej”, pełniące wobec tych pierwszych taką rolę, jak szlachecka klientela wobec magnatów.

Bogatom państwo przestaje być potrzebne. Mają dość pieniędzy, żeby kupić sobie wszelkie usługi. Stać ich na prywatne szkoły, kliniki i ubezpieczenia, na wakacje spędzane z dala od „hołoty”, na mieszkanie w luksusowej enklawie, na wynajęcie agencji ochroniarzkiej, bez porównania skuteczniejszej niż policja. To prawdziwi obywatele Pierwszego Świata, ich paszportem jest karta kredytowa. Jacques Attali kreśli wizję globalnego społeczeństwa przyszłości, w której klasę panującą będzie stanowiła kosmopolityczna kasta wysoko kwalifikowanych nomadów.

Na łaskę i niełaskę tychże zdane są dziś rządy. Zygmunt Bauman opisuje proces dobrowolnej abdykacji państwa: z premedytacją zrzeka się ono swoich prerogatyw na rzecz wędrownego kapitału ponadnarodowego. Rządy mają już tylko jeden cel: zapewnić owemu kapitałowi jak najlepsze warunki. Natomiast obywatele, przypisani – z konieczności – do ziemi, są stopniowo wyzuwani ze swych praw, a zwłaszcza z prawa stania o losach państwa. Większość państw to (według

określenia Baumana) „okręgi policyjne”, protektoraty wielkich koncernów.

Co robić? Ruchy opozycyjne bądź to bezradnie drepczą w miejscu, bądź to desperacko rzucają się na oślep w poszukiwaniu mniej lub bardziej fantastycznych rozwiązań.

Metoda pierwsza, preferowana przez neoreformistów (tj. socjaldemokratów i alterglobalistów typu Negriego), to ucieczka do przodu – marzenia o demokracji kontynentalnej czy nawet globalnej. Przyznam, że pozostają nieodmiennie sceptyczny wobec tej utopii. Jak by to miało działać? Demokracja bezpośrednia jest w takiej skali nierealna. Ktoś powie, że demokracja bezpośrednia jest nierealna również w skali wielu państw narodowych. Odpowiadam: **demokracja ma sens wtedy, gdy legitymizuje ją wola jakiejś samoświadomej zbiorowości – ludzi, którzy nie tylko mówią o sobie „my”, ale też czują się ze sobą emocjonalnie związani i dlatego skłonni są do wzajemnych ustępstw. Naród taką zbiorowością jest – ludzkość nie jest. Co więcej – nie będzie.**

Nie będzie też takową – przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości – Europa. Decyduje o tym proste prawo psychologiczne: pojęcie „my” definiowane jest zawsze w opozycji do pojęcia „oni”, musimy więc czymś się odróżniać. Tymczasem Unia Europejska zbudowana jest na fundamencie wartości pretendujących (nieważne, na ile realnie) do bycia uniwersalnymi. To piasek, nie skała.

W przeciwnym kierunku idą anarchiści, przynajmniej ta część z nich, która nie chce ani faktycznej kolaboracji z Systemem za parawanem Politycznej Poprawności, ani aspołecznego awanturnictwa. Chcą oddolnej samoorganizacji społeczeństwa, które ma tworzyć niezależne od państwa i kapitału enklawy, „stałe strefy autonomiczne”, które w przyszłości, połączwszy się, obalą obecny ustrój. Problem w tym, że i ta koncepcja jest utopijna, z powodu dezintegracji społeczeństwa i kontroli mas przez media. Masy zostały zatamizowane i spacyfikowane. Uspiono je. Co robi człowiek zamożny po pracy? Idzie do pubu, na fitness, na tenisa, jedzie na wycieczkę. Co robi człowiek biedny? Siada przed telewizorem. Biedni wycofują się z życia społecznego w dużo większym stopniu niż bogaci. Wstydzą się zabierać głos publicznie. A gdy już to robią, to najczęściej powtarzają komunały zasłyszane w mediach. Środki masowego przekazu pozbawiły ich intelektualnej autonomii, pozostają oni pod ideologiczną okupacją.

Ale brodzenie w czarnowidztwie jest bezpłodne. Znów nawiążemy do Marksa – nie chodzi tylko o to, by świat opisywać, lecz także o to, żeby go zmieniać. Nie wystarczy postawić diagnozę, trzeba zaproponować kurację. Kilkaście lat temu opublikowałem w brytyjskim periodyku „Alternative Green” króciutki tekst pt. „Reclaim the State” (nawiązujący do kampanii „Reclaim the Streets”). Stwierdziłem w nim m.in., że należy odzyskać państwo i uczynić zeń rodzaj „strefy autonomicznej” wobec ponadnarodowego kapitału. Ponieważ

państwa pełnią dziś rolę żywicieli dla kapitału spekulacyjnego, właściwą strategią byłoby odcięcie pasożyta.

Ale jak to uczynić, jak odzyskać państwo dla obywateli?

Po pierwsze, należałoby sformować jak najszerzy sojusz wszystkich – coraz liczniejszych! – klas degradowanych przez turbokapitalizm. To nie tylko tradycyjny sektor pracowniczy, to także prekariat, to nowe warstwy średnie („białe kołnierzyki”), to również samozatrudniający się (wliczając tu resztki rolników). Coś takiego proponowali pod szyldem „demokracji antymonopolistycznej” eurokomuniści w zamierzonych latach 70. XX w. Tu najtrudniej będzie wyeliminować zadawnione antagonizmy i resentymenty pomiędzy poszczególnymi składowymi potencjalnego sojuszu, ale w obliczu wspólnego wroga jest to możliwe.

Po drugie, ów sojusz musiałby wstąpić w szranki wyborcze, żeby wykorzystać formalne, konstytucyjne prawa obywatelskie, zwłaszcza prawo do stanowienia o własnym życiu i własnym kraju. **Demokracja nie działa, bo jest nieużywana – trzeba ją reanimować, trzeba z państwa na powrót uczynić instrument społeczeństwa.** Tu pojawia się jednak trudność zasadnicza: korumpujący wpływ władzy. Ileż to razy byliśmy świadkami, gdy popularni politycy, zdobywszy ster rządu, realizowali politykę odwrotną od zapowiadanej, albo gdy ludowe ruchy protestu degenerowały się w siłwy karierowiczów.

I dlatego, po trzecie, „partia demokracji antymonopolistycznej” powinna przyjąć formułę bazującą na osiągnięciach anarchistycznej taktyki samoorganizacji. Miałyby to być – wedle hasła antyglobalistów – „ruch ruchów”. Mówiąc konkretnie: ani amorficzny populizm, ani leninowska „partia nowego typu”, oparta na „centralizmie demokratycznym”. **Właściwą formułę odkryli już stulecie temu brytyjscy związkowcy, tworząc Partię Pracy, która była federacją związków zawodowych.** Również współczesna „partia demokracji antymonopolistycznej” powinna mieć tylko członkostwo zbiorowe – organizacji reprezentujących konkretne grupy społeczne. Zasada delegacji w połączeniu z mandatem imperatywnym chroniłaby ruch przed alienacją i oligarchizacją.

Po czwarte – niezbędny jest inter-nacjonalizm: obrona państwa narodowego skoordynowana w skali międzynarodowej. Zwycięstwo demokracji antymonopolistycznej w jednym kraju to za mało. A zatem: solidarność przy wzajemnym uszanowaniu tożsamości i autonomii.

Czy taki ruch miałby szansę zwyciężyć? Obiecać nic nie można, proroctwa szczęśliwego świata rzadko się spełniają. Optymizm to tchórzostwo, jak mawiał Spengler. Możemy mieć tylko nadzieję, że wydarzenia potoczyłyby się tak, jak w „Gwiezdnym wojnach”, gdzie Obrońcy Starej Republiki ostatecznie wygrali z Imperium.

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Cztery dylematy demokracji radykalnej

WOJCIECH CZABANOWSKI · BŁAŻEJ SKRZYPULEC

Zwiększanie udziału obywateli w procesach sprawowania i kontroli władzy powoli staje się tematem modnym. Coraz więcej osób mówi o demokracji bezpośredniej oraz innych mechanizmach partycypacyjnych. Trend taki bez wątpienia należy przyjąć z zadowoleniem. Jednak rozmaite demokratyczne postulaty mogą stać ze sobą w sprzeczności lub nastroczać trudności innego typu. Warto im się przyjrzeć.

Niekontrowersyjnym, jak by się mogło wydawać, projektem partycypacyjnym jest działające w Wielkiej Brytanii narzędzie Fix My Street (FMS). Pozwala ono obywatelom zgłaszać problemy, które zaobserwowali w najbliższym otoczeniu. W efekcie, pojawiają się one na specjalnej mapie. Dostęp do niej mają urzędnicy, których zadaniem jest ich rozwiązywanie. Zgodnie z nazwą – chodzi o problemy techniczne, polegające na tym, że coś zepsuło się lub zostało zdemolowane.

Wprowadzeniem podobnego narzędzia w Polsce zajmuje się Pracownia Badań i Innowacji Społecznych „Stocznia”. W koordynowany przez „Stocznnię” projekt zaangażowanych jest wiele organizacji pozarządowych, które współuczestniczyły w opracowywaniu założeń teoretycznych i technicznych. Jednym z nich jest Stowarzyszenie „DoxoTronica”, do którego obaj należymy. Ponieważ jesteśmy szczególnie zainteresowani promocją demokracji bezpośredniej i rozwiązań zwiększających partycypację, regularnie uczestniczyliśmy w pracach przygotowawczych przedsięwzięcia.

Należy zaznaczyć, że w pierwszych fazach projektu nie przesądzano jeszcze, czy tworzone narzędzie



będzie sprowadzało się jedynie do mechanizmu raportowania problemów administracji publicznej. W dyskusji pojawiały się głosy za poszerzeniem jego funkcjonalności w stronę umożliwiającą komunikację także w drugim kierunku – aby władze lokalne mogły również pytać się o zdanie obywateli – i inne pomysły. Ostatecznie zdecydowano się na wąską funkcjonalność, choć nie wykluczono w przyszłości działań mających na celu jej poszerzenie.

Choć wszystkim osobom biorącym udział we wspomnianych przygotowaniach zależało na tym samym – stworzeniu efektywnego, demokratycznego narzędzia – to podczas spotkań dały się zaobserwować ciekawe różnice ideologiczne. Między innymi na ich kanwie spróbujemy omówić dylematy, z którymi warto się zapoznać, jeśli jesteśmy entuzjastami radykalnej demokracji. Będziemy odnosić się jedynie do tych problemów, które można określić jako ideologiczne, nie poruszamy natomiast kwestii technicznych, chyba że ich techniczność byłaby wtórna wobec roli politycznej.

Mówiąc najogólniej, w toku prac ujawniło się pięć problemów: (1) czy ważniejsza jest efektywność, czy potencjał społeczny narzędzia; (2) czy narzędzie powinno być oparte o jakieś fundamentalne zasady/wartości, czy też mieć charakter jedynie formalny, zapełniany się dowolnymi treściami, dostarczany przez użytkowników; (3) czy narzędzie powinno służyć przede wszystkim deliberacji i wzajemnemu przekonywaniu się, czy też ma ono umożliwiać użytkownikom wyrażanie swojej woli; (4) czy narzędzie powinno przede wszystkim szanować prawo mniejszości do nie bycia wykluczonym, czy też prawo większości do demokratycznego decydowania; (5) jaką wizję wspólnoty powinno realizować narzędzie.

Ponieważ problem pierwszy nie jest specyficzny dla mechanizmów partycypacyjnych, lecz dla wszelkich instytucji, omówimy go zwięźle, pozostałe natomiast rozwinie my. Nazwalimy je czterema dylematami demokracji radykalnej.

Biurokratyczne artefakty kontra przewlekłe procedury

Mechanizm partycypacyjny, jakim jest Fix My Street, wydaje się stosunkowo prosty. W trakcie dyskusji pomiędzy członkami organizacji pozarządowych a przedstawicielami administracji lokalnej na pierwszy plan wysuwały się problemy techniczne. Spośród nich szczególnie istotny wydaje się konflikt pomiędzy efektywnością a potencjałem społecznym wprowadzanego mechanizmu. Przez efektywność rozumiemy to, jak szybko oraz na ile skutecznie rozwiązywane są problemy zgłaszane przez obywateli za pośrednictwem systemu. Pod pojęciem potencjału społecznego kryje się zdolność mechanizmu do rozwiązywania tych problemów, które mają największe znaczenie dla lokalnej społeczności oraz do uczynienia tego zgodnie z preferencjami obywateli. Niestety niejednokrotnie okazuje się,

że rozwiązania zwiększające efektywność zmniejszają potencjał społeczny, i odwrotnie – wzrost potencjału społecznego odbywa się przy spadku efektywności.

W przypadku FMS wzrost efektywności można osiągnąć poprzez ustanowienie nadzoru urzędniczego w postaci moderatora. Odrzucałby on postulaty wykraczające poza kompetencje władz lokalnych lub takie, których spełnienie byłoby zbyt trudne, kosztowne itp. Dzięki temu do urzędników docierałyby jedynie te sprawy, które rzeczywiście mogą załatwić sprawnie i w krótkim czasie. Jednak tego rodzaju moderacja mogłaby prowadzić do powstawania „biurokratycznych artefaktów” – zgłaszane postulaty są sprawnie rozpatrywane, jednak rozwiązuje się tylko te problemy, których podejmowanie jest wygodne dla urzędnika, nie zaś najistotniejsze dla obywateli.

Przykładem rozwiązania zwiększającego potencjał społeczny FMS byłoby wprowadzenie narzędzi, które pozwalałyby nie tylko zgłaszać postulaty władzom, ale także na dyskusje między użytkownikami systemu. Wówczas obywatele mogliby wypracować optymalne rozwiązanie problemu lub nawet zorganizować się, aby samodzielnie załatwić ważną dla nich sprawę. Tego rodzaju rozszerzenie narzędzia najprawdopodobniej przyczyniłoby się jednak do spadku jego efektywności. Urzędnicy otrzymywaliby zbyt wiele roszczeń i propozycji rozwiązań, często wzajemnie sprzecznych lub niejasnych co do treści czy zgodności z prawem.

Każdy, kto poważnie myśli o wprowadzeniu mechanizmów partycypacyjnych, musi znaleźć sposób na uzyskanie akceptowalnego kompromisu między efektywnością a potencjałem obywatelskim. Jednak to nie problemy techniczne są głównym przedmiotem naszego zainteresowania. Postaramy się pokazać, że wbrew potocznym skojarzeniom, wprowadzenie nawet prostego mechanizmu w rodzaju FMS wymaga nie tylko rozwiązania problemów technicznych, lecz także dokonania niełatwych wyborów ideologicznych.

Dylemat I: Obiektywne zasady czy prawo do narracji?

Pierwszy dylemat dotyczy tego, czy każda grupa obywateli powinna mieć prawo do udziału w dyskusji oraz wpływ na rozwiązanie dowolnego problemu. Negatywna odpowiedź na to pytanie może przybrać dwie główne formy.

Po pierwsze, można argumentować, że są pewne grupy, które nie powinny być dopuszczone do debaty nad jakąkolwiek sprawą. Za przykład, często spotykany w dyskusjach, mogą posłużyć ugrupowania faszystowskie. Wiele osób uważa, że aby mieć dostęp do udziału w demokratycznych procedurach, trzeba samemu spełnić pewne minimalne kryteria, np. wyrzec się stosowania przemocy fizycznej. Argumentuje się, że demokracja jest możliwa tylko w określonych warunkach – używając skrajnego przykładu, trudno prowadzić demokratyczną dyskusję, gdy nie mamy pewności,

czy wygłoszenie jakichś poglądów nie będzie skutkowało zagrożeniem dla naszego życia. Jeśli grupa nie zamierza działać w sposób umożliwiający zaistnienie demokratycznego porządku, to również nie powinna mieć udziału w przywilejach, jakie ten porządek oferuje. Patrząc z tej perspektywy, grupa podważająca fundamenty demokracji nie powinna mieć dostępu do mechanizmów partycypacyjnych, nawet gdy dotyczą, jak w przypadku FMS, kwestii o zasięgu lokalnym.

Przeciwnicy takiej wizji mogliby kontrargumentować, że wyłączenie jakiejś grupy z mechanizmów partycypacyjnych jest zawsze zabiegiem ideologicznym. Punktem wyjścia nie powinny być ogólnie ustanawiane reguły – rzekomo obiektywne, a naprawdę wynikające z partykularnego światopoglądu. Rozpocząć należy raczej od „prawa do narracji”: każda grupa powinna mieć szansę przedstawienia własnych poglądów i podjęcia prób przekonania innych do swojej wizji. Ponadto wykluczając antydemokratyczne ugrupowania z dyskusji przyczyniamy się tylko do ich radykalizacji. Zamiast tego powinniśmy starać się przekonać ich przedstawicieli do zaakceptowania minimalnych zasad umożliwiających debatę.

Możliwa jest także inna forma negatywnej odpowiedzi: pewne grupy powinny być wykluczone z decydowania o pewnych sprawach, ponieważ są np. nazbyt silne i ich udział w dyskusji przesądziłby z góry sprawę albo ponieważ dana grupa jest przyczyną dyskusyjnego problemu i jej udział utrudniałby jego rozwiązanie. Możemy wyobrazić sobie sytuację, w której dyskutuje się nad zagospodarowaniem terenu w pobliżu osiedla mieszkaniowego. Jedną z grup interesu są przedstawiciele dużej firmy, chcący w tym miejscu zrealizować inwestycję. Ze względu na posiadany kapitał finansowy, a także wiedzę prawniczą, znajomość technik erystycznych, pełnienie ról związanych z dużym prestiżem, prawdopodobnie będą zdolni do narzucenia mieszkańcom swojej wizji, niekoniecznie najkorzystniejszej z perspektywy dobra wspólnego. Być może należałoby ograniczyć udział takiej grupy w dyskusji i podejmowaniu decyzji?

Weźmy zupełnie odmienny przykład: grupa bezdomnych przesiedlona w pewnym miejscu osiedla, co wywołuje poczucie zagrożenia u większości mieszkańców. Być może sami bezdomni nie powinni mieć równego głosu w dyskusji, gdyż we własnym interesie będą dążyć do utrzymania stanu ocenianego przez większość jako problem?

Ponownie przeciwnicy ograniczenia dostępu do mechanizmów partycypacyjnych mogą użyć argumentów związanych z ideologicznym wykluczeniem i prawem do narracji. Szczególnie narażeni na tego typu wykluczenie będą członkowie grup stojących nisko w hierarchii społecznej, tacy jak bezdomni z przywołanego przykładu. Z nieuzasadnionych merytorycznie powodów traktuje się ich jako przyczynę problemu, a nie jako część jego rozwiązania. Ponadto można twierdzić,

że osoby orzekające, kto powinien mieć ograniczony dostęp do procesu decyzyjnego także stanowią grupę interesu. Nie podejmie ona decyzji bezstronnie, lecz mniej lub bardziej świadomie kierując się własnymi poglądami i dobrem.

Niezależnie jaką formę przybiera odpowiedź negatywna, opiera się ona na dwóch przesłankach. Po pierwsze, istnieją obiektywne (lub przynajmniej intersubiektywne) warunki, które trzeba spełnić, aby uczestniczyć w demokratycznej debacie. Po drugie, istnieje możliwość bezstronnego stwierdzenia, które grupy te warunki spełniają. Zwolennicy odpowiedzi pozytywnej zajmują stanowisko, które można by nazwać postmodernistycznym. Ustalenie rzekomo obiektywnych warunków dostępu do debaty jest nieuprawnionym zabiegiem ideologicznym – każdy powinien mieć prawo do przedstawienia własnej narracji, nie ma także „trybunału” zdolnego obiektywnie rozstrzygać, kto takie warunki spełnia, bo rozstrzygnięcie dokona się zawsze z jakiejś światopoglądowej perspektywy i w jakimś politycznym interesie. Tego rodzaju postmodernizm czerpie w dużej mierze z J.-F. Lyotarda koncepcji wielkich i małych narracji wyrażonej w „Kondycji ponowoczesnej” oraz tez na temat nierozwiązywalnych sporów, przedstawionych w „Poróżnieniu”. Z tego punktu widzenia obrońców istnienia obiektywnych zasad i bezstronnych trybunałów można określić jako modernistów.

Dylemat II: Wyrażenie woli czy wzajemne przekonywanie?

Sposób podejmowania decyzji w mechanizmach partycypacyjnych może przyjąć dwie główne formy. Według pierwszej, osoby zainteresowane rozwiązaniem problemu wymieniają poglądy i przekonują się do swoich racji, aby ostatecznie wybrać rozwiązanie akceptowalne dla wszystkich lub przynajmniej dla większości. Druga jest prostsza: dyskusja nie ma miejsca, zainteresowani anonimowo głosują na preferowane rozwiązanie, a realizowane jest to, co wybierze najwięcej osób.

Pierwszy, „dyskusyjny” sposób podejmowania decyzji, może intuicyjnie wydawać się bardziej atrakcyjny. Pozwala na zapoznanie się z argumentami strony przeciwnej, zrozumienie cudzych racji, uzyskanie szerszej wiedzy nt. problemu, przezwyciężenie początkowych uprzedzeń, wreszcie na refleksję nad pierwotnym stanowiskiem i jego ewentualną modyfikację.

Można jednak wskazać również wady tego rozwiązania, które nie występują w drugim, prostszym modelu. Model dyskusyjny uprzywilejowuje osoby, które mają wystarczająco dużo czasu na angażowanie się w debatę oraz posiadają odpowiedni kapitał kulturowy, pozwalający atrakcyjnie argumentować na rzecz swoich racji. Poglądy takich osób nie muszą być reprezentatywne dla społeczności. Co więcej, pewne poglądy, choć podzielane przez członków wspólnoty, mogą nie zostać wypowiedziane w dyskusji, gdyż są uznawane za

„obciachowe” lub za ich wyrażenie mogą spotkać różne nieprzyjemności. Model zakładający anonimowość unika tego problemu. Idąc dalej, można twierdzić, że sam postulat refleksyjności stanowi wątpliwe narzędzie ideologiczne. Premiuje on poglądy umiarkowane i kompromisowe kosztem zdecydowanych i radykalnych, co nie musi prowadzić do optymalnego rozwiązania danego problemu oraz może wykluczać pewne stanowiska.

Główny konflikt w obrębie tego dylematu wydaje się występować na linii refleksyjność - wola. Zwolennicy modelu dyskusyjnego uważają, że sposób podejmowania decyzji powinien opierać się na przekonaniach odpowiednio przemyślanych i zmodyfikowanych po wysłuchaniu różnorodnych argumentów. Przeciwnicy sądzą, że najistotniejsze jest proste wyrażenie autentycznej woli, a narzędzia wymuszające refleksyjność w rzeczywistości dyskryminują pewne grupy i w ideologicznie podejrzany sposób wpływają na poglądy członków wspólnoty.

Dylemat III: Walka z wykluczeniem czy prawo do decydowania?

Nowoczesne mechanizmy partycypacyjne w naturalny sposób łączone są z użytkowaniem Internetu. Towarzyszy temu napięcie związane z oczekiwaną inkluzyjnością danego narzędzia. Posłużenie się Internetem umożliwia dotarcie w prosty sposób do wielu ludzi, co nie byłoby wykonalne/tanie za pomocą innych narzędzi. Wykorzystanie Sieci automatycznie wyklucza jednak cały szereg grup pozbawionych dostępu do Internetu. Problem nie ogranicza się do wykorzystywania nowoczesnych technologii. Wykluczenie ekonomiczne, informacyjne czy symboliczne to również problem tradycyjnych rozwiązań demokratycznych, takich jak wybory powszechne czy prawo do sądu.

Opisane napięcie jest zazwyczaj rozwiązywane przez wybór nadrzędnych wartości przyświecających przedsięwzięciu oraz określenie tego, o jaką inkluzyjność chodzi. Możliwe są tutaj dwie postawy, a każda daje się scharakteryzować za pomocą pięciu cech.

Dla przyjmujących pierwszą postawę najważniejszą wartością jest walka z wykluczeniem mniejszości. W ramach tej postawy inkluzyjność rozumiana jest synchronicznie - chodzi o to, by w danym momencie dziejowym jak najwięcej podmiotów (optymalnie - wszystkie) miało możliwość udziału w sprawowaniu i kontroli władzy. Postulat synchronicznej inkluzyjności bywa najczęściej realizowany za pomocą mechanizmów mających na celu angażowanie grup wykluczonych lub poprzez rezygnację z prostych, większościowych procedur demokratycznych. Jego konsekwencją antropologiczną jest posługiwanie się takimi konstruktami, jak profilowane za pomocą narzędzi socjologicznych klasy lub grupy. Ponieważ realizowanie postulatów synchronicznej inkluzyjności wymaga rezygnacji z narzędzi, których stosowaniu



może towarzyszyć wykluczenie, przedsięwzięcia partycypacyjne opierają się zwykle nie na bezpośredniości, lecz na reprezentacji.

Paradoksalnie, przyjęcie tej postawy skutkuje premiowaniem aktywizmu. Dokonuje się ono na dwóch poziomach. Do angażowania wykluczonych konieczni są ludzie. Ludzie ci posiadają przekonania, które wyrażają się choćby w tym, że zdecydowali się podjąć taką pracę, posiadają oni także własne interesy. Na drugim poziomie premiowany jest aktywizm uczestników - w przedsięwzięciu brać będą udział tylko ci, którzy mają chęci i czas. W odróżnieniu od prostych rozwiązań internetowych, branie udziału np. w spotkaniach dyskusyjnych jest męczące i czasochłonne.

Wreszcie, u podstaw walki z jakimś wykluczeniem leży eksternalistyczny stosunek do sądów i zachowań drugiego człowieka. Eksternalizm rozumiemy tu jako pogląd, że aby przekonanie było uzasadnione, muszą zachodzić pewne fakty zewnętrzne wobec podmiotu żywiącego to przekonanie, o których w ogóle nie musi on wiedzieć. Właśnie eksternalizm umożliwia posługiwanie się pojęciem fałszywej świadomości, jak również zdania typu „oni nie wiedzą, że tak naprawdę potrzebują...”.

Pierwsza postawa daje się zatem określić jako inkluzyjna synchronicznie, posługująca się konstruktami społecznymi, oparta o zasadę reprezentacji, premiująca aktywizm i eksternalistyczna.

Dla postawy przeciwnej najważniejszymi wartościami jest umożliwianie dostępu do władzy każdemu, kto chce w niej uczestniczyć oraz poszanowanie prawa większości do decydowania. Inkluzyjność jest rozumiana diachronicznie - niekoniecznie ważne jest, by w konkretnym momencie każdy mógł rzeczywiście uczestniczyć w danym mechanizmie partycypacyjnym. Inkluzyjność ma się raczej realizować w procesie

historycznym - aby krąg ludzi mających dostęp do władzy był systematycznie coraz szerszy.

Najbardziej oczywistym przykładem poglądu opartego o postulat inkluzyjności diachronicznej jest przekonanie, że demokracja parlamentarna powinna być zastąpiona bezpośrednią demokracją internetową. Inaczej niż w przypadku postawy wcześniejszej, niekonieczne jest tutaj posługiwanie się konstruktami społecznymi - atomem jest jednostka, a decyzja dokonuje się przez prostą większość głosów. Inkluzyjność diachroniczna nie obywa się jednak bez innego rodzaju konstruktów - fikcji prawnych. Jeżeli faktycznie nie wszyscy mają dostęp do danego narzędzia lub frekwencja jest rażąco niska, należy posłużyć się fikcją prawną w postaci domniemania, że ci, którzy nie zabrali głosu, zgadzają się na decyzję.

Znów inaczej niż w poprzednim przypadku - przy okazji inkluzyjności diachronicznej nie jest premiovany aktywizm. Wszyscy bierni, mający dostęp do narzędzia, mogą w prosty sposób „kliknąć” wybraną opcję. Próg trudności może być postawiony tak nisko, że domniemanie zgody nieuczestniczących faktycznie bardzo przybliża się do rzeczywistości.

Wreszcie, zwolennicy omawianej postawy to internaliści. Internalizm rozumiemy jako pogląd mówiący, że do uzasadnienia przekonań wystarczą wewnętrzne stany mentalne osoby. Innymi słowy, należy jej wypowiedzi zawsze traktować tak, jakby wiedziała, co mówi i świadomie wyrażała wolę.

Druga postawa daje się zatem opisać jako inkluzyjną diachronicznie, posługującą się konstruktami prawnymi, oparta o zasadę bezpośredniości i prostej większości, nie premiuje aktywizmu i internalistyczna.

Jest jasne, że zwolennicy każdej z alternatywnych postaw uważają się za demokratów - nierzadko radykalnych. Istotą demokracji dla tych pierwszych jest walka z wykluczeniem, dla drugich natomiast prawo większości do decydowania. Obie postawy można określić jako inkluzyjne, jest to jednak odmiennie rozumiana inkluzyjność.

Dylemat IV: Wspólnota kompromisu czy wspólnota postulatów?

Ostatni dylemat związany jest z pojmowaniem wspólnoty. Część stanowisk demokratycznych można określić jako opowiadające się za wizją wspólnoty kompromisu, a część za wspólnotą postulatów.

Wspólnota demokratyczna oparta o kompromis to taka, w której centralnym punktem jest uczestnictwo w powszechnie obowiązujących procedurach, mające na celu wypracowanie stanowiska odpowiadającego wszystkim. W ramach takiej wspólnoty ważne jest, aby dzięki uczestnictwu w procedurach wyzbyć się uprzedzeń i dążyć do realizacji dobra wspólnego, rozumianego jako wypadkowa poglądów poszczególnych jednostek lub rozwiązanie najbardziej umiarkowane. Przynależność do takiej wspólnoty nie będzie

się raczej wiązać z silnym zaangażowaniem emocjonalnym. Jedyne, co łączy jej członków, to procedura i dążenie do kompromisu - wszystko inne może ich dzielić. Jakkolwiek wspólnotom takim udaje się często uniknąć wykluczenia wynikającego z przeforsowania decyzji niekorzystnych dla grup mniejszościowych, charakteryzują się one wykluczeniem grup o przekonaniach zdecydowanych lub bezkompromisowych.

Wspólnota demokratyczna oparta o postulat to taka, w której centralnym punktem są podzielane przez wszystkich cele czy wartości. Dla wspólnot tego typu nieistotne jest osiągnięcie kompromisu lub rozwiązania umiarkowanego. Ważniejsze jest wcielanie w życie własnych postulatów, urzeczywistnianie celów czy wartości. Oczywiście, w przypadku wspólnot opartych o postulat(y) łatwiej o zaangażowanie emocjonalne. Wspólnoty takie za istotę demokracji uważają walkę polityczną, nie deliberację.

Charakterystyczne, że wśród współczesnych teoretyków politycznych myśliciele o przekonaniach liberalnych skłonni są popierać raczej model pierwszy, podczas gdy myśliciele lewicowi skłaniają się ku drugiemu.

Demokracja deliberatywna kontra demokracja bezpośrednia

Odmienne odpowiedzi na dylematy II, III oraz IV wydają się być wzajemnie powiązane i tworzyć dwa spójne stanowiska. Po jednej stronie znajdzie się sposób podejmowania decyzji kładący nacisk na refleksyjność, walkę z wykluczeniem i kompromis. Natomiast po drugiej stronie ideologicznej barykady mamy pogląd stawiający na pierwszym miejscu wyrażanie woli, prawo większości do decydowania i budowanie wspólnoty na bazie postulatów.

Dla zbudowania procesu decyzyjnego kładącego nacisk na refleksyjność potrzebne jest zapewnienie reprezentacji mniejszości. W przeciwnym razie osoby biorące udział w debacie nie będą w stanie zapoznać się z szerokim wachlarzem poglądów na daną sprawę. Z drugiej strony, walka z wykluczeniem będzie fikcyjna bez refleksyjnego mechanizmu, gdyż wówczas głosy przedstawicieli grup niszowych pozostaną niezauważone w masie głosujących. Ponadto połączenie tych elementów sprzyja budowie wspólnoty opartej na kompromisie, ponieważ debatujący muszą zwrócić uwagę na wspólne cechy swoich stanowisk, na podstawie których będzie można wypracować stanowisko akceptowalne dla wszystkich. Model łączący refleksyjność, walkę z wykluczeniem i wspólnotę opartą na kompromisie można nazwać demokracją deliberatywną, ze względu na centralną rolę dyskusji i uzgadniania stanowisk między różnymi grupami.

Z kolei nacisk na wyrażanie woli dobrze współgra z prawem większości do decydowania. W takim układzie obywatele głosują opierając się na własnych, nie zrewidowanych opiniach i zostaje podjęta taka decyzja, za którą stały przekonania największej liczby

głosujących. Prowadzi to do agonicznego budowania wspólnoty, w którym dzieli się współobywateli wedle schematu „my” (uznający te same postulaty) i „oni” (głosujący odmiennie od nas). Modelowi kładącemu nacisk na wyrażanie woli, prawo większości oraz wspólnotę postulatu można nadać nazwę demokracji bezpośredniej, gdyż podjęta decyzja w niezapośredniczony sposób wynika z poglądów większości głosujących.



© 2012 tmmx 2, flickr.com/photos/tmmx2/4369207285/

Kwadrat demokratyczny

Wobec powyższych rozważań, można powiedzieć, że dysponujemy dwoma podstawowymi kryteriami opisu stanowisk związanych z radykalną demokracją. Pierwsze kryterium wyznaczone jest za pomocą opozycji dyktatu pierwszego - obiektywne zasady albo prawo do narracji. Drugie natomiast przez opozycję demokracja bezpośrednia - demokracja deliberatywna. Jeżeli skrzyżujemy te dwa kryteria, okaże się, że mamy zasadniczo do czynienia z czterema typami stanowisk, spośród których każde stanowi jedną z ćwiartek kwadratu demokratycznego.

Modernistyczna demokracja deliberatywna w swojej modernistycznej części pozostaje wierna przekonaniu, że istnieje jakiś obiektywny porządek aksjologiczny,

dzięki czemu w jej ramach możliwe jest wykluczenie z debaty publicznej faszystów czy wrogów demokracji. W swojej części deliberatywnej opierać się będzie natomiast na wspólnocie kompromisu i postulat inkluzyjności synchronicznej.

Stanowisko drugie - postmodernistyczna demokracja deliberatywna - podobne jest do poprzedniego. Jednak brak odwołania do jakiegokolwiek obiektywnego porządku i uznanie prawa do narracji z jednej strony uniemożliwiają wykluczenie faszystów, z drugiej zaś zapewniają pełniejszą reprezentację różnorodnych poglądów.

Modernistyczna demokracja bezpośrednia odwołuje się do obiektywnych zasad, ale realizuje postulat inkluzyjności diachronicznej, a także opiera się na mechanizmach podejmowania decyzji większością głosów.

Wreszcie stanowisko czwarte - postmodernistyczna demokracja bezpośrednia - nie odwołuje się do żadnego obiektywnego porządku, opiera się na mechanizmach podejmowania decyzji większością głosów oraz stanowi najpełniejszy wyraz manifestacji woli.

Należy również dodać, że stanowisko pierwsze wydaje się najkosztowniejsze i najbardziej czasochłonne w realizacji oraz oparte o najbardziej rozbudowane konstrukty społeczne. Dzieje się tak, ponieważ konieczne jest uzasadnienie danych mechanizmów deliberacji (konstrukty) oraz późniejsze ich realizowanie (koszty i czas).

Stanowisko czwarte jest najprostsze i najtańsze w realizacji (wystarczy proste głosowania), wymaga jednak oparcia o najbardziej rozbudowane fikcje prawne.

Co przyniesie przyszłość?

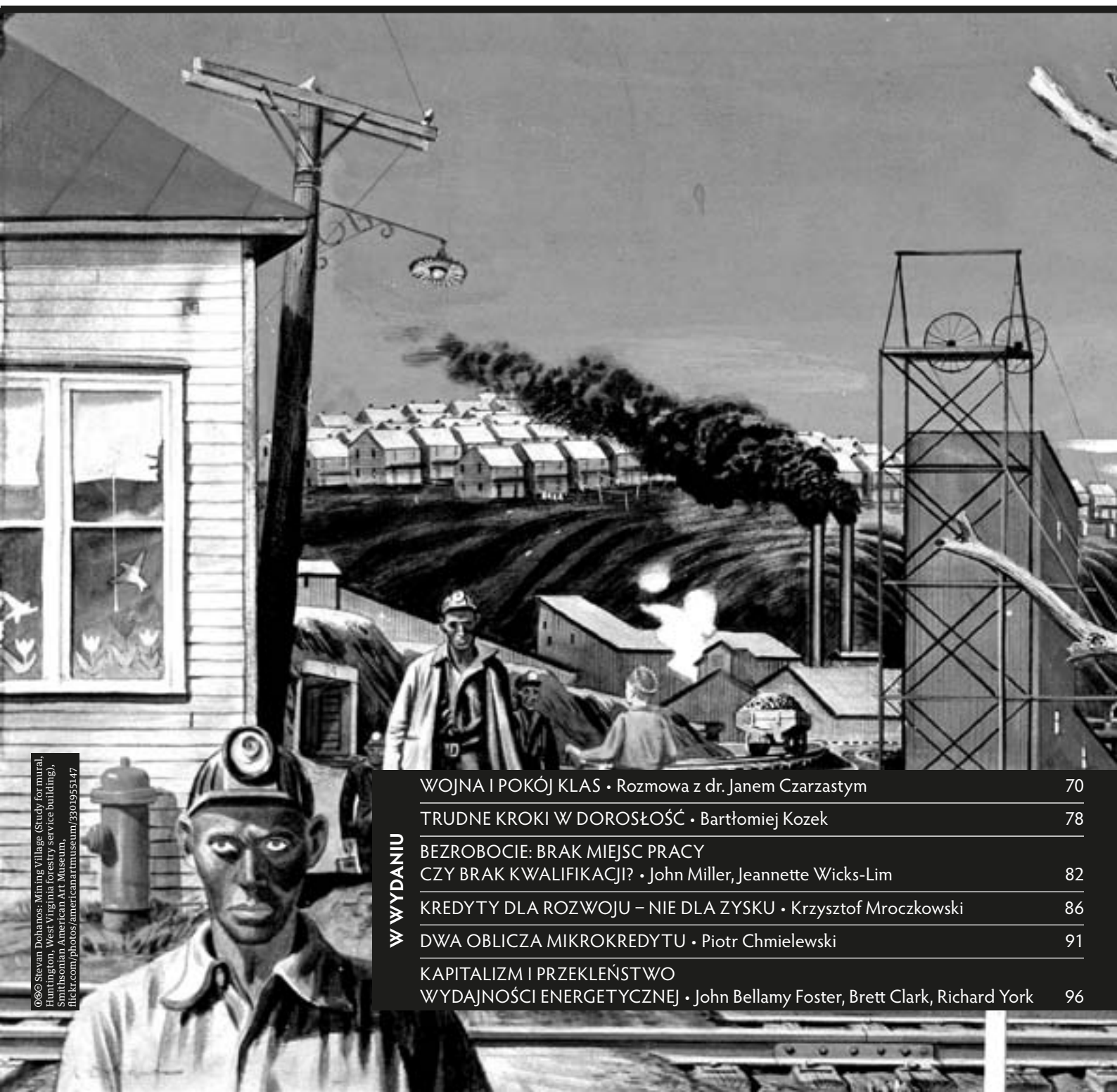
Wydaje się, że dzisiejsze spory toczone wokół dyktotomii lewica - prawica lub trychotomii socjaliści - konserwatyści - liberałowie, będą musiały ustąpić sporom bardziej fundamentalnym. Mianowicie takim pomiędzy postępowymi zwolennikami demokracji radykalnej a konserwatystami spod znaku demokracji przedstawicielskiej. Warto jednak zauważyć, że nawet wśród radykałów możliwe są różnice wynikające z zasadniczych podziałów ideologicznych, które być może będą stanowiły najważniejsze podziały demokratycznej sceny politycznej w przyszłości.

WOJCIECH CZABANOWSKI
BŁAŻEJ SKRZYPULEC

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 11
MMXI

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”



©©© Stevan Dohanos: Mining Village (Study for mural, Huntington, West Virginia forestry service building), Smithsonian American Art Museum, flickr.com/photos/americanartmuseum/2301955147

W WYDANIU

WOJNA I POKÓJ KLAS • Rozmowa z dr. Janem Czarzastym	70
TRUDNE KROKI W DOROSŁOŚĆ • Bartłomiej Kozek	78
BEZROBOCIE: BRAK MIEJSC PRACY CZY BRAK KWALIFIKACJI? • John Miller, Jeannette Wicks-Lim	82
KREDYTY DLA ROZWOJU – NIE DLA ZYSKU • Krzysztof Mroczkowski	86
DWA OBlicZA MIKROKREDYTU • Piotr Chmielewski	91
KAPITALIZM I PRZEKLEŃSTWO WYDAJNOŚCI ENERGETYCZNEJ • John Bellamy Foster, Brett Clark, Richard York	96

Wojna i pokój klas

z dr. Janem Czarzastym
rozmawia Michał Sobczyk

- **Jak Pan ocenia natężenie konfliktu przemysłowego w Polsce w ostatnim dwudziestoleciu?**

- **Jan Czarzasty:** Mieliśmy do czynienia z dwoma krótkimi okresami, w których dochodziło do wyraźnej erupcji tego konfliktu, mierzonego liczbą strajków. Pierwszy to lata 1992-93, czyli początkowa faza restrukturyzacji przemysłu, która zgodnie z logiką zbiorowych stosunków pracy musiała być zarzewiem konfliktu. Nieprzypadkowo tuż po nim nastąpiła pierwsza próba uruchomienia w Polsce instytucji dialogu społecznego: podpisano Pakt o Przedsiębiorstwie Państwowym - jedyny do dziś pakt społeczny w pełnym tego słowa znaczeniu, który udało się zawrzeć; powołano też Komisję Trójstronną. Konflikt w lepszy czy gorszy sposób został załagodzony i od roku 1994 widzimy wśród polskiej klasy pracowniczej malejącą tendencję w kwestii takich postaw.

Później mamy stosunkowo długi okres ciszy - z anomalią w 1999 r., gdy reformy rządu Buzka przyniosły chwilowy wzrost liczby konfliktów, zwłaszcza w oświacie. Lata 2007-2008 to drugi okres wzmagania się konfliktu przemysłowego, mierzonego liczbą strajków. Był to czas wyjątkowo dobrej koniunktury na rynku zatrudnienia, związanej m.in. z odpływem prawie miliona ludzi do krajów UE. Bezrobocie rejestrowane po raz pierwszy spadło poniżej 10%, co dało bardzo mocny efekt psychologiczny. W większości regionów zjawisko nadpodaży siły roboczej nagle zniknęło, dzięki czemu pracownicy znaleźli się w o wiele lepszej sytuacji. Zdziałał tutaj, znany ze schematu strategii zachowań indywidualnych Hirschmana, mechanizm „exit/voice” - wyjście lub głos. Najpierw pracownicy korzystali raczej

z tej pierwszej opcji, gdy ona się otworzyła na szeroką skalę, ale ci, którzy pozostali, zaczęli coraz śmielej zabiegać o poprawę położenia w miejscowym kontekście społecznym, w tym w stosunkach pracy. Manifestowało się to wzrostem liczby strajków. Pracownicy byli bardziej odważni, ponieważ dostrzegli, że aktywne zabieganie o własne interesy ma szansę powodzenia.

Po roku 2008 dotarło do nas echo kryzysu światowego. W związku z tym sytuacja na rynku pracy uległa pogorszeniu, a jednocześnie opcja „exit” - wskutek stanu gospodarek krajów UE-15 - stała się o wiele mniej atrakcyjna. Wydaje się, że będzie to ograniczało liczbę strajków.

- **Powstaje pytanie, jak dobrze liczba zarejestrowanych strajków odzwierciedla stopień zantagonizowania pracowników i pracodawców. Spadek tego wskaźnika po okresie pierwszej fali restrukturyzacji można tłumaczyć nie tylko ustanowieniem instytucji dialogu społecznego, ale także przejściem znacznej części pracowników dużych zakładów do sektora prywatnego, w którym nie było związków zawodowych.**

- Aktywność strajkowa, rejestrowana przez statystykę publiczną, może posłużyć do diagnozowania ogólnej sytuacji w dziedzinie stosunków przemysłowych, ale oczywiście tworzenie obrazu zjawiska wyłącznie na jej podstawie jest niemożliwe.

To, że udało się ustanowić instytucjonalny dialog trójstronny, miało niewątpliwie znaczenie. Jednak jak świetnie wiemy, zjawisko to dotyczy coraz węższej grupy pracowników - głównie tych, którzy pozostali w instytucjach i przedsiębiorstwach będących własnością



© FaceMePLS, flickr.com/photos/faceme/2015427556/

publiczną, czyli obecnie ok. 20% ogółu zatrudnionych. Zwrócił pan uwagę na bardzo ważną rzecz: zmianę struktury zatrudnienia. 96% działających w Polsce podmiotów gospodarczych zatrudnia do 9 osób. Między innymi właśnie dlatego statystyka publiczna jest często zawodna, gdyż te najmniejsze podmioty w wielu zestawieniach są pomijane, co daje znacznie zafałszowany obraz rzeczywistości.

Często popełnia się także grzech pewnego lenistwa intelektualnego, gdy opisując zbiorowe stosunki pracy w Polsce koncentruje się na firmach co najmniej średnich, czyli takich, które mają powyżej 50 pracowników. W efekcie tracimy z oczu zdecydowaną większość zatrudnionych, którzy nie mają dostępu do zorganizowanej reprezentacji swoich interesów: ani do związków zawodowych, ani do rad pracowników. W efekcie stosunki pracy w tych miejscach przybierają zupełnie inną formę - mamy tam do czynienia z czymś, co można nazwać bardzo daleko posuniętą indywidualizacją stosunków pracy. Nie zapominajmy także o rzeszy samozatrudnionych - jednoosobowych firmach, z których lwią część jest nimi wyłącznie z nazwy.

Można powiedzieć, że odkąd stosunki pracy zaczęły być w sposób systematyczny badane, historia zaczęła koło. Wyszliśmy od liberalnych stosunków pracy z XIX w., w których relacja pracownika z pracodawcą była kontraktowa, regulowana wyłącznie prawem cywilnym (o prawie pracy nikt wtedy nie słyszał), i dotarliśmy do punktu, w którym są one pod wieloma względami podobne. Oczywiście prawo pracy obowiązuje i nikt przy zdrowych zmysłach nie postuluje jego zniesienia, przynajmniej nie oficjalnie. Warto przypomnieć,

że Komisja Kodyfikacyjna Prawa Pracy przygotowała dwa odrębne kodeksy, indywidualnego i zbiorowego prawa pracy, jednak ten godny szacunku wysiłek intelektualny grupy wybitnych prawników poszedł na marne. W efekcie mamy nadal do czynienia z prawem niedostosowanym do realiów.

Wracając do konfliktu przemysłowego: przy obecnej strukturze zatrudnienia nie można go sprowadzać do strajków i sporów zbiorowych. Problem polega jednak na tym, że w mikrofirmach bardzo trudno badać to zagadnienie. Są robione badania jakościowe, niestety istnieje problem z przebicciem się z ich wynikami do szerszego obiegu publikacyjnego, choć są media, które odgrywają tutaj pozytywną rolę, jak wasz kwartalnik.

Takie badania mają wszakże zasadniczą wadę: zawsze można zanegować ich wartość, twierdząc, że trudno w oparciu o nie pokusić się o generalizacje. Co innego badania ilościowe na dużych, reprezentatywnych próbach. Przykładem mogą być dwie edycje „Polaków pracujących”, które realizowaliśmy w drugiej połowie poprzedniej dekady. Pozwoliły one uchylić przynajmniej rąbka tej kotary i zajrzeć również do świata małych firm.

Panuje tam specyficzny model kultury organizacyjnej, tzw. paternalizm małego przedsiębiorcy. Pracownikom trudno artykułować interesy, szczególnie ponadjednostkowe, ponieważ wszystko rozgrywa się na poziomie kontaktów interpersonalnych. Poza tym w mikroprzedsiębiorstwie nie mamy rozdzielonej własności i zarządzania, bo to zbyt wczesny etap rozwoju firmy. Badania „Polscy przedsiębiorcy”, które realizujemy obecnie, pozwolą nam być może

w bardziej precyzyjny sposób odpowiedzieć na liczne pytania, jakie nasuwają się wobec tego „świata nieprzedstawionego”.

- Jednym z obszarów Pańskich dociekań jest właśnie kultura organizacyjna, która nieraz bardzo znacząco wpływa na stosunki przemysłowe.

- W naszych badaniach zaobserwowaliśmy wyraźnie szerszy zakres partycypacji pracowniczej w zakładach pracy typu szkoła czy należących do sektora publicznego, niż w sektorze prywatnym. Nie jest to nowa konstatacja. W połowie lat 90. prof. Witold Morawski stwierdził, że wkrótce prawdopodobnie będziemy mieli do czynienia z istnieniem dwóch równoległych światów: korporatystycznego w sektorze publicznym (silna pozycja aktorów zbiorowych, a więc reprezentacji interesów jednej i drugiej strony, a co za tym idzie - powstawanie mechanizmów partycypacyjnych) oraz pluralistycznego w sektorze prywatnym (rozbieżność, rozproszenie interesów, indywidualizacja stosunków pracy).

Nasze badania pokazały również, że i w obrębie sektora prywatnego występują pewne ciekawe zróżnicowania. Swego czasu postawiłem tezę, że na naszych oczach formuje się podział nie dychotomiczny, lecz na

trzy odrębne światy: w ramach sektora prywatnego szczególną enklawą miałyby stać się przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego. To oczywiście nie jest nowy, autorski pogląd, już dawno temu pojawiały się głosy, że firmy zagraniczne, szczególnie z krajów „starej Unii”, stworzą kanał transmisji wartości charakterystycznych dla europejskiego modelu społecznego. Wiązano z tymi firmami nadzieje na ucywilizowanie stosunków pracy - rzeczywiście można zaobserwować takie zjawisko, gdy się poruszamy w wymiarze instytucjonalnym. W przedsiębiorstwach z kapitałem zagranicznym instytucje reprezentacji interesów pracowniczych występują bardziej powszechnie niż w rdzennie polskich. Częściej znajdziemy tam związki zawodowe, układy zbiorowe, rady pracowników prawdopodobnie też, choć akurat tego nie mogliśmy sprawdzić.

Jednak jeśli chodzi o kulturę organizacyjną, okazuje się, że obraz jest bardziej złożony. Średnie i duże firmy z udziałem kapitału zagranicznego zdradzają pewne cechy, które z punktu widzenia pracowników trudno uznać za korzystne, jak np. popieranie indywidualnej konkurencji jako podstawowego mechanizmu regulacji stosunków w miejscu pracy. Jeśli mamy rozwinięty wewnętrzny rynek pracy w firmie, ludzie raczej rywalizują. Taka sytuacja nie sprzyja powstawaniu postaw wspólnotowych, ani nawet tworzeniu trwalszych więzi społecznych poza więziami formalnymi. To jest taka kultura nowoczesnej autokracji.

Zatem obraz partycypacji pracowniczej, uwłasności, upodmiotowienia pracownika w zakładach pracy różnego typu jest bardzo złożony.

- Podjąłby się Pan próby zgeneralizowania postaw pracowników i pracodawców w ramach konfliktu przemysłowego jeśli chodzi o gotowość do kompromisu, umiejętność myślenia w kategoriach długofalowych itp.?

- Mimo wszystkich zastrzeżeń można się pokusić o takie uogólnienia, tym bardziej, że mamy do nich pewne empiryczne podstawy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w świadomości zbiorowej, przynajmniej w tym jej wymiarze, który wiąże się ze stosunkami pracy, dokonuje się ewolucja. Odwołam się do wiedzy, którą sam zgromadziłem. W latach 2005-2006 badałem pracowników sieci handlowych. Wyczuwało się u nich silne przywiązanie do konfliktowej wizji stosunków pracy. Bardzo specyficznie definiowano rolę związku zawodowego: jego racją bytu miało być pozostawanie w konflikcie z pracodawcą i próby realizowania interesów zbiorowych tą właśnie drogą. Natomiast w ubiegłym roku, gdy realizowałem badanie poświęcone społecznej odpowiedzialności biznesu w środowisku pracy, 90% badanych uznało, że związki zawodowe powinny współpracować z pracodawcą. Oczywiście trudno bezpośrednio porównywać wyniki tych badań ze względu na odmienne założenia metodologiczne, jednak wskazują one na pewne przewartościowania roli reprezentacji pracowniczej.



©©© CmdrFire, flickr.com/photos/cmdrfire/3338209197

- Wywołane kryzysem?

- Trudno powiedzieć, na pewno miał on tutaj wpływ, ale to był czynnik o charakterze bieżącym. Obstawiałbym przy twierdzeniu, że to, co wykazały badania, jest przejawem pewnej głębszej, trwalszej zmiany. Z czego ona może wynikać? Być może z tego, że wchodzenie w otwarty konflikt z pracodawcą zostało przez pracowników uznane za niezbyt produktywne. Oczywiście są pewne wyjątki, jak spółki surowcowe czy sektor energetyczny, gdzie pracownicy odnoszą sukcesy w bezpośredniej konfrontacji, ale to niewielka enklawa w gospodarce, choć zajmuje ona nieproporcjonalnie dużo miejsca w przekazie medialnym. Wejście w otwarty konflikt z pracodawcą ma sens, jeśli pracownicy posiadają dużą siłę przetargową ze względu na wysoki stopień uzwiązkowienia i relatywną jednolitość interesów. Jeżeli natomiast reprezentacja pracowników i sami pracownicy są słabi w relacji do pracodawcy, bardziej racjonalna wydaje się strategia współpracy i uzyskiwania korzyści czy ustępstw taką drogą.

To powinno dać do myślenia nie tylko związkom. Przyzwyczailiśmy się bowiem stawiać znak równości między związkiem zawodowym a reprezentacją pracowniczą. Tymczasem w pejzażu instytucjonalnym pojawiły się rady pracowników, a dodatkowo reprezentowania interesów pracowniczych w ostatnich latach coraz częściej podejmowały się organizacje społeczne. Pierwszym i spektakularnym przykładem było Stowarzyszenie Poszkodowanych Przez Wielkie Sieci Handlowe „Biedronka”, dużą rolę odgrywa Helsińska Fundacja Praw Człowieka.

Podsumowując, uważam, że mamy do czynienia ze zmianą wizji stosunków pracy. Preferencja dla kooperacji z pracodawcą jest wśród pracowników większa, natomiast dyspozycja do konfliktu - mniejsza.

- A czy można mówić o jakiejś zmianie, jeśli chodzi o postawę pracodawców wobec reprezentacji pracowników?

- Myślę, że ma miejsce ewolucja tego stosunku, który zmienia się na korzyść strony pracowniczej. Jest to jednak proces bardzo powolny, który nie powinien nam przesłonić tego, że w bardzo wielu sektorach, jak przedsiębiorstwa rdzennie prywatne - w których, w odróżnieniu od np. spółek giełdowych, mamy do czynienia z koncentracją własności i zarządzania w jednych rękach - miejsca na partycypację oczywiście nie ma. W tej sytuacji jakiegokolwiek niezależne byty, jak związki czy rady pracowników, nie będą postrzegane w kategoriach potencjalnego współpracownika, lecz przeciwnika. W dużych przedsiębiorstwach nastawienie na współpracę z reprezentacją pracowników jest bardziej wyraźne.

Warto spojrzeć, jak preferencje zmieniały się pod wpływem kryzysu, czyli przesłanek pragmatycznych. Pakiet antykryzysowy z 2009 r., negocjowany na forum Komisji Trójstronnej, jest przykładem tego, jak poczucie zagrożenia płynącego z zewnątrz pozwala odnaleźć



CZARZASTY

Jan Czarzasty (ur. 1975) - absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, doktor nauk ekonomicznych, pracownik Katedry Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej. Specjalizuje się w problematyce zbiorowych i indywidualnych stosunków pracy, dialogu społecznego i kultury organizacyjnej. Jako ekspert Instytutu Spraw Publicznych, w ramach projektów EIRO i EWCO uczestniczy w monitoringu stosunków przemysłowych i warunków pracy w Polsce. Współpracuje z Fundacją Eberta.

interesy łączące obie strony. Przeczując uderzenie recesji, przedsiębiorcy bali się, czy firmy w ogóle uda się utrzymać przy życiu, a pracownicy - czy nie zlikwidują ich miejsc pracy. To pozwoliło określić pole kompromisu, na którym obie strony się spotkały i wynegocjowały coś, co było moim zdaniem bardzo interesujące, bo był to pierwszy przypadek, gdy w Polsce na szczeblu krajowym zadziałał autonomiczny dialog społeczny.

Niestety, ta czysto pragmatyczna motywacja do współpracy zniknęła z chwilą, gdy stało się jasne, że kryzys nie jest taki straszny, jak się wydawało. Stracili ją przede wszystkim przedsiębiorcy, dlatego związki zawodowe mogły się poczuć rozczarowane, bo jako reprezentacja pracownicza wykazywały się bardzo dużą odpowiedzialnością i powściągliwością. Proszę zwrócić uwagę, że w latach 2009-2010 nie miały miejsca żadne sytuacje konfliktowe odgórnie animowane przez centrale związkowe. To się zaczęło zmieniać właściwie w tym roku, wraz z nasilaniem się presji społecznej, żeby związki wreszcie coś zrobiły w obliczu pogarszającego się poziomu życia klasy pracującej.

- Tego rodzaju zjawiska każą zadać pytanie, do jakiego stopnia dialog społeczny jest w stanie zastąpić tradycyjny konflikt przemysłowy jako narzędzie realizacji interesów pracowników najemnych.

- Klasyczny podział wyróżnia dwie podstawowe kategorie stosunków przemysłowych: przetarg zbiorowy, a więc negocjacje prowadzące do zawierania układów zbiorowych, oraz konflikt przemysłowy. Istnieją one równolegle: gdy negocjacje się załamują, wówczas aktorzy wchodzą w konflikt. Oczywiście może on przybierać różne formy, to nie musi być od razu strajk, ale także spór zbiorowy, protesty, pikiety, „strajk włoski”

czy wzmożona absencja chorobowa. Moim zdaniem nie ma co liczyć, że z czasem dialog i to, co uznaje się za jego najwyższe stadium rozwojowe, a więc partnerstwo społeczne, zastąpią konflikt; te dwa procesy będą współistnieć.

Zresztą zasięg oddziaływania dialogu społecznego, przynajmniej tego prowadzonego za pośrednictwem instytucji, dotyczy niewielkiej grupy. Niechęć pracowników i pracodawców do organizowania się to naprawdę ogromny problem, jeśli chodzi o zbiorowe stosunki pracy w Polsce. Uzwiazkowienie mamy na poziomie 16%, jednak w sektorze prywatnym jest to ok. 3%. W dodatku jedynie 20-25% pracowników jest zatrudnionych w podmiotach zrzeszonych w organizacjach pracodawców, co stanowi jeden z najniższych odsetków w Europie. Z tego powodu siła sprawcza organizacji, które cieszą się statusem reprezentatywnych partnerów społecznych, jest ograniczona. W efekcie, dialog społeczny na poziomie centralnym oraz regionalnym ma dość ograniczone skutki.

Dialog na poziomie zakładu pracy jest czymś zupełnie innym i to na nim powinna się koncentrować nasza uwaga. Nie wyeliminuje on całkiem konfliktu, ale być może zyska stopniowo silniejsze podstawy w wyniku wspomnianego przewartościowania w świadomości pracowników, że kooperacja realizuje się w dialogu, a nie w sporze. Główną barierą dla jego rozwoju będzie właśnie niechęć Polaków do zrzeszania się. Specyficzny polski indywidualizm, który ma głębokie historyczne korzenie, będzie niestety przesądzał o tym, że stosunki pracy w naszym kraju zachowają pluralistyczny charakter. Co za tym idzie – dużo większy wpływ będą miały powszechnie obowiązujące normy prawa, niż porozumienia zawierane przez reprezentacje zbiorowe stron. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to pozycja pracownika będzie ulegać dalszemu osłabieniu.

- **Wśród Pańskich zainteresowań znajduje się także tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu (CSR). Znów zapytam: do jakiego stopnia ten nowy instrument jest w stanie zastąpić czy trwale załagodzić naturalny antagonizm między pracownikiem a pracodawcą?**
- Samo to pojęcie jest modnym słowem-wytrychem, natomiast jego definicje czy indywidualne interpretacje są bardzo różne. Bez wątpienia jednak CSR może być instrumentem wpływającym cywilizująco na stosunki pracy. Wszystko zależy od tego, jak jest rozumiana. Wiele firm, szczególnie dużych, niestety bardzo spłaszcza tę ideę, sprowadzając ją do jednego z narzędzi kształtowania wizerunku. Poza tym mamy do czynienia z selektywnym stosunkiem do społecznej odpowiedzialności biznesu: wybiera się to, co albo nie wiąże się z kosztami, albo te koszty bilansują się z możliwymi do uzyskania korzyściami, przede wszystkim wizerunkowymi. Dlaczego dbałość o środowisko naturalne jest czymś, do czego firmy zazwyczaj odwołują się w pierwszej kolejności? Bo to jest

wartość, wokół której panuje powszechny konsensus, przynajmniej na poziomie deklaracji; nie spotkamy chyba nikogo, kto negowałby konieczność takich zachowań przedsiębiorstw, żeby możliwie najmniej szkodziły środowisku. Natomiast często się zapomina, że wśród kryteriów społecznej odpowiedzialności biznesu znajdują się także np. stopień uzwiązkwienia pracowników czy istnienie zbiorowych układów pracy.

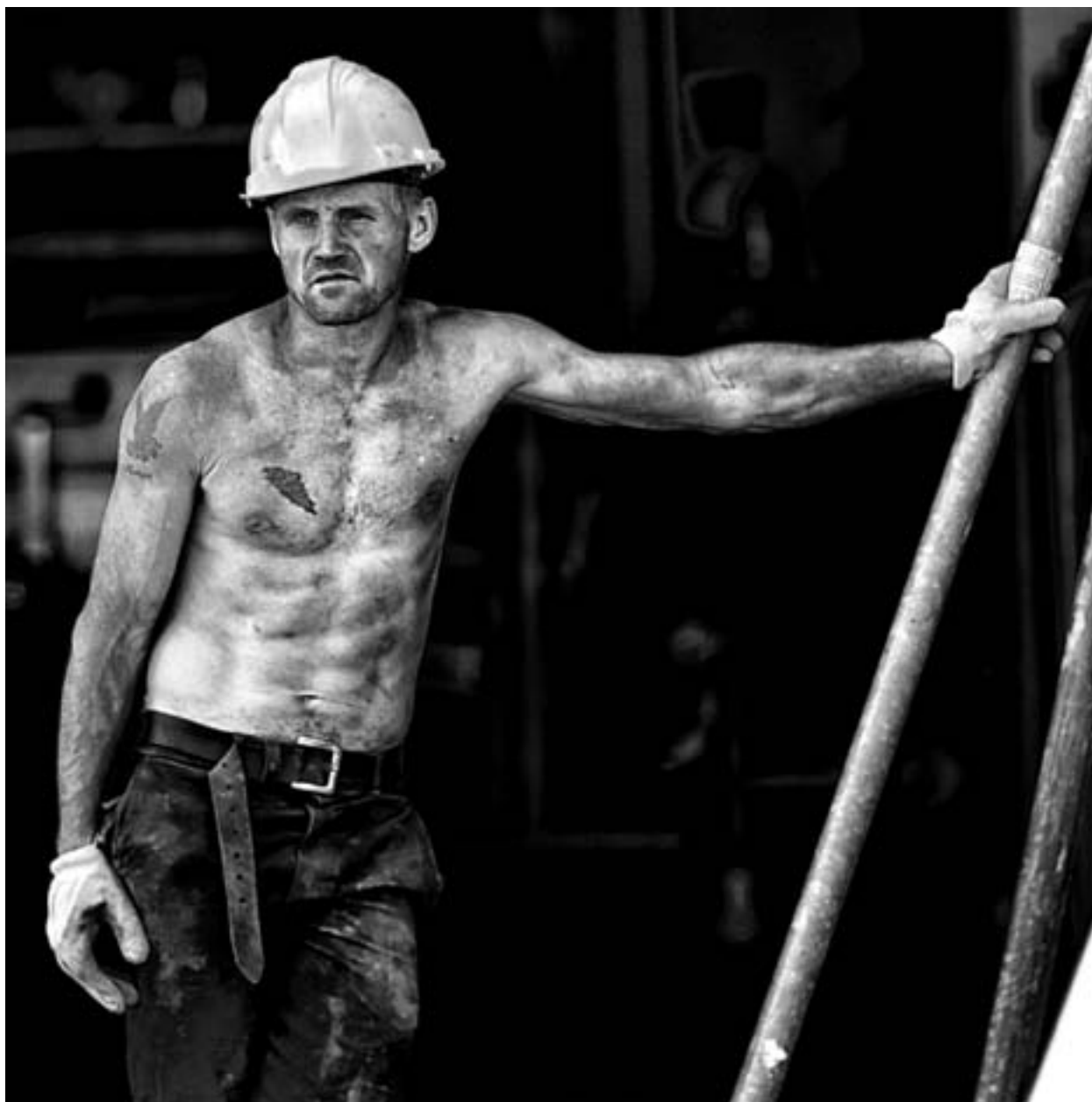
Uważam, że właściwie rozumiana CSR nie może ograniczać się wyłącznie do, mówiąc jej językiem, interesariuszy (*stakeholders*), którzy są na zewnątrz przedsiębiorstwa, czyli np. konsumentów, a ponadto – w przypadku spółek publicznych – akcjonariuszy. Powinna dotyczyć także pracowników, którzy zarazem są np. konsumentami i członkami społeczności lokalnej. To pokazuje, jak dalece złożony jest problem stosowania CSR w praktyce.

Z drugiej strony, CSR tworzy nową płaszczyznę aktywności nie tylko związków zawodowych, ale również innych reprezentacji interesów pracowniczych. W sytuacji, gdy na całym świecie obserwujemy odwrót pracowników od związków, myśląc strategicznie powinny one szukać nowych nisz i źródeł legitymizacji swego istnienia. Sięgnięcie po CSR jest z ich punktu widzenia potencjalnie korzystne, gdyż są naturalnym nośnikiem zasad społecznej odpowiedzialności biznesu. Uzyskanie tą drogą umocnienie ich pozycji może dać w przyszłości silniejszy mandat do zabiegania o realizację partykularnych interesów samych pracowników.

- Za pomocą jakich mechanizmów państwo mogłyby wzmocnić instytucje reprezentujące interesy pracownicze?

- Są różne postulaty, przy czym większość stanowi nawiązanie do wzorów sprawdzonych gdzie indziej. W Wielkiej Brytanii za rządów Blaira związki zawodowe zostały przez państwo w sposób celowy bardzo mocno włączone w realizację tego, co określa się jako aktywną politykę rynku pracy. Powierzono im odpowiedzialne zadania publiczne, związane z kształceniem ustawicznym, a w ślad za tymi zadaniami i odpowiedzialnością poszły również fundusze. Można sobie wyobrazić przekazanie polskiemu związkowi podobnych zadań – jak prowadzenie programów dokształcania czy przekwalifikowania, co stanowi obecnie jedno z najważniejszych wyzwań polityki edukacyjnej – a to by je znacząco wzmocniło. Na pewno wpłynęłoby także na ich odbiór społeczny, gdyż wciąż mocno zakorzenione jest postrzeganie ich jako instytucji destruktywnych.

Są również inne zadania publiczne, które mogą wykonywać związki. Skąd się bierze tak wysoki wskaźnik uzwiązkwienia w krajach skandynawskich? Z tego, że członkostwo w związku wiąże się tam z dodatkowymi ubezpieczeniami na wypadek bezrobocia. To znakomity przykład bardzo prostego rozwiązania, które świetnie się sprawdza we wszystkich krajach, gdzie zostało wdrożone. Jest zatem sporo instrumentów, brak



©©© Fouquier, flickr.com/photos/fouquier/4945673508

natomiast u nas klimatu politycznego do wzmacniania partnerów społecznych przez państwo – silne są raczej tendencje przeciwne.

- **W Polsce ugruntowane wydaje się przekonanie, że silne związki zawodowe oraz istotna rola koordynacyjna państwa w przetargach interesów są hamulcami rozwoju.**
- Ten argument można bez trudu obalić przykładem krajów skandynawskich, plasujących się w czołówkach rankingów zamożności, innowacyjności, ale i jakości życia. Weźmy także Niemcy, będące lokomotywą gospodarki europejskiej. Stosunkowo dobrze obroniły się one przed skutkami kryzysu właśnie dzięki typowo korporatystycznemu modelowi stosunków pracy oraz aktywnej polityce państwa, współtworzonej w toku negocjacji z partnerami społecznymi.

Naturalnie, siła związków zawodowych nie jest w żadnym razie determinantą sprawności gospodarki danego kraju. Można natomiast przyjąć, że w określonych warunkach wysoki poziom uzwiązkowienia sprzyja stabilności gospodarki, m.in. dlatego, że partycypacja pracownicza działa jako swego rodzaju bezpiecznik, który np. powstrzymuje zarządy firm przed podejmowaniem zbyt ryzykownych decyzji inwestycyjnych.

- **Badał Pan stosunki pracy w sieciach handlowych - zjawisko niezwykle istotne i ciekawe zwłaszcza w kontekście rosnącego udziału szeroko rozumianych usług w strukturze zatrudnienia.**
- W handlu jak w soczewce ogniskuje się problem bardzo wyraźnego rozbiegu pomiędzy modelami stosunków przemysłowych w małych i dużych zakładach pracy.



©© Fouquier, flickr.com/photos/fouquier/5140067139

Sieci handlowe konkurują przede wszystkim poziomem cen, rentowność osiągając w dużej mierze dzięki bardzo rygorystycznej kontroli kosztów, w tym również wysokości wynagrodzeń.

Małe sklepiki stanowią kwintesencję tego, co nazwać można modelem paternalistycznym, zresztą często pracują tam członkowie rodziny właściciela. W dużych sklepach jest natomiast, przynajmniej potencjalnie, miejsce na budowę reprezentacji pracowniczej. Przy czym należy pamiętać, że handel sieciowy nie powinien być już utożsamiany z handlem wielkopowierzchniowym, gdyż sieci stawiają obecnie przede wszystkim na otwieranie mniejszych obiektów.

Nieprzypadkowo związki zawodowe, próbując penetrować sektor prywatny, zaczęły od sieci handlowych. Szczególnie w ich dużych sklepach panują stosunki posiadające wiele cech, które wcześniej występowały w zakładach przemysłowych. Przykładowo, stosunkowo wysoki poziom zatrudnienia (personel przeciętnego hipermarketu liczy ok. 200 osób) w świecie, w którym mamy do czynienia z tendencją do rozdrabniania, albo dość jednolite interesy zatrudnionych, co sprzyja organizowaniu się.

Są to zakłady, w których warunki pracy są naprawdę trudne, co nie musi wynikać z nieprawidłowości czy z celowego działania pracodawcy, lecz z samego modelu. W większości przypadków jest to ciężka, fizyczna praca o charakterze zmianowym. Na dodatek jest mało płatna, skoro wymaga niewielkich kwalifikacji (co nie znaczy, że ludzie, którzy tam pracują, kwalifikacji nie mają), a sieci handlowe konkurują przede wszystkim poziomem cen, rentowność osiągając w dużej mierze dzięki bardzo rygorystycznej kontroli kosztów, w tym również wysokości wynagrodzeń.

- Czy wzrost uzwiązkowienia w sieciach handlowych przełożył się na istotne zmiany w tym sektorze?

- Niewątpliwie widać, że pomogło to cywilizować wzajemne relacje. Nie było przypadku, gdzie przedsiębiorstwo podjęłoby otwartą próbę wyrugowania związków zawodowych poza swój teren; one nadal istnieją, a ich relacje z pracodawcą są znormalizowane, wręcz weszły w pewną utartą koleinę. Związkom udało się proces „infiltrowania” wielkich sieci handlowych, bo stworzyły tam własną infrastrukturę. Problem w tym, że jak dotąd nie przyciągnęły na tyle dużej części pracowników, żeby wypracować silną pozycję przetargową. Tym można tłumaczyć stosunek pracodawców do nich: jeżeli są słabym partnerem, to właściwie nie ma powodu, żeby podejmować wobec nich działania jawnie konfrontacyjne, zwłaszcza że akcja wymierzona wprost w reprezentację pracowniczą mogłaby wyrządzić przedsiębiorstwu szkody wizerunkowe. Natomiast symptomatyczne jest to, że w żadnej sieci handlowej nie udało się związkowi wynegocjować układów zbiorowych. Stosunki przemysłowe, które w nich obecnie panują, można zatem uznać za cywilizowane, gdyż są unormowane, problem jednak w bardzo wyraźnej dysproporcji sił między stronami.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 28 czerwca 2011 r.



* Pragniesz zmieniać rzeczywistość na lepszą?

* Chcesz skutecznie i etycznie pozyskiwać
fundusze dla Twojej organizacji?

* Marzysz o hojnych i wiernych darczyńcach?

Szukaj nas na



Trudne kroki w dorosłość

BARTŁOMIEJ KOZEK

Osoby między 16. a 25. rokiem życia uważane są za idealnych konsumentów, cieszących się pełnią życia. Rzeczywistość bywa jednak nieco mniej ciekawa, a władze publiczne nie podejmują skoordynowanych działań, mogących służyć poprawie sytuacji młodych. Problematykę taką podejmuje natomiast ciekawy raport brytyjskiej Fundacji Nowej Ekonomii.

Bardzo rzadko w debacie publicznej mówi się o specyficznych potrzebach osób we wspomnianym wieku. Za istotną cezurę uznaje się przeważnie jedynie otrzymanie praw wyborczych, ewentualnie możliwości swobodnego nabywania alkoholu i tytoniu. Choć z kulturowego punktu widzenia rozpoznaje się odmienną wzmiankowanej grupy wiekowej zarówno od osób młodszych, jak i od „w pełni dorosłych”, to jednak w praktyce życia społecznego brakuje działań skierowanych przede wszystkim do niej. Tymczasem powszechnie wiadomo, że ryzyka związane z poznawaniem życia, wpadanie w nałogi czy też nie zawsze trafne wybory miłosne, prowadzące m.in. do niechcianych ciąży czy zarażenia chorobami wenerycznymi, mają olbrzymi wpływ na to, czy szanse, jakie przed młodzieżą stawia rzeczywistość, nie zostaną już na wstępie stracone.

Dodajmy do tego czynniki socjalne i ekonomiczne, na które osoby młode często nie mają wpływu. To, w jakiej rodzinie przyjdzie im się urodzić i wychowywać, posiada istotne znaczenie dla sposobu późniejszej komunikacji ze światem, aspiracji zawodowych i osobistych czy też nabywanego kapitału kulturowego. Niedostateczny poziom rozwoju tych czynników prowadzi często

do dziedziczenia statusu społecznego i uniemożliwia wyrwanie się z zakłętego kręgu biedy.

Na szanse młodzieży na przyszły dobrostan w dorosłym życiu składają się tak zróżnicowane kwestie, jak poziom edukacji, promowane w niej treści (kooperacja czy konkurencja, twórczość lub odtwórczość), dostęp – albo jego brak – do szkolnej opieki zdrowotnej, zajęć wyrównawczych, językowych czy hobbystycznych, warunki egzystencji, bliskość i stopień interakcji z instytucjami kulturalnymi. Listę tę można ciągnąć jeszcze długo, szczególnie w momencie, gdy młoda osoba trafia na studia. Co gorsza, polskie problemy coraz wyraźniej odzwierciedlają negatywne trendy z innych państw europejskich. Społeczeństwo i gospodarka oparte na wiedzy ukazały swoje drugie, mniej ciekawe oblicze. Zamiast wielu interesujących, dobrze płatnych zawodów, na sporą grupę osób młodych spadła konieczność utrzymania się z pracy w sieciach fast foodów czy w telemarketingu. Elastyczny rynek pracy, któremu nie towarzyszy, inaczej niż w krajach takich jak Dania czy Holandia, hojny system zabezpieczenia społecznego, został nad Wisłą wykorzystany do przerzucenia dużej rzeszy pracowników – szczególnie młodszych – do sektora pozakodeksowych umów o pracę.



© CharlesFred, flickr.com/photos/charlesfred/3736068435

Wszystkie te kwestie pochodzą z różnych dziedzin życia i ukazują konieczność ich integracji. Trudno uznać, że z taką tendencją mamy do czynienia w Polsce. Zamiast tego widzimy istnienie skomplikowanej łataniny oderwanych od siebie polityk państwowych, niemrawych z powodu budżetowych ograniczeń działań samorządów oraz szerokiej przestrzeni zostawionej na pastwę „niewidzialnej ręki rynku”. Przypatrzmy się zatem, jak mogłoby wyglądać tworzenie spójnej polityki na rzecz rozwoju osób młodych na przykładzie intelektualnego eksperymentu z Wysp Brytyjskich.

Z założenia, że okres przechodzenia z dzieciństwa w dorosłość ma znaczenie kluczowe dla naszej przyszłości, wyszła brytyjska organizacja Catch 22 (Paragraf 22). Poprosiła ona Fundację Nowej Ekonomii (NEF, The New Economics Foundation) o wyliczenie, w jaki sposób brak spójnej polityki państwa i samorządów, skierowanej do tej grupy, negatywnie wpływa na rozwój społeczny. Tak powstał raport „Improving Services for Young People”, zawierający wiele ciekawych informacji i wniosków. W orbicie zainteresowań badaczy znalazła się kwestia społecznej i ekonomicznej wyceny usług publicznych, świadczonych na rzecz osób młodych (w wieku 16-25 lat) przez państwo i samorządy. Ekonomiczne wyliczenia uzupełniły wywiady z młodymi ludźmi z całej Anglii, znajdującymi się w jednej lub kilku grupach zagrożonych wykluczeniem społecznym, m.in. z osobami dotkniętymi narkomanią, bezdomnością, popełniającymi wykroczenia, samotnymi matkami. Przyjrzyjmy się wynikom.

Na wstępie należy jednak podkreślić, że w Wielkiej Brytanii aktywne działania publiczne są znacznie bardziej rozbudowane niż w Polsce, choć i nad Tamizą nierówności dochodowe stanowią istotny problem. Warto przytoczyć takie np. dane z raportu, jak 19,1% bezrobocia wśród osób między 16. a 25. rokiem życia oraz

wyższy niż w innych krajach europejskich wskaźnik więźniów w wieku 18-21 lat (10,3% ogółu osadzonych wobec 7,3% we Francji i 3,2% w Szwecji). Mnogość programów wsparcia i niedostateczny przepływ informacji między realizującymi je instytucjami, sztywne kryteria wiekowe, uniemożliwiające otrzymywanie pomocy mimo faktu, że czynniki powodujące zagrożenie wykluczeniem społecznym nie zostały zlikwidowane, koszty więzienia dla osób popełniających przestępstwa czy też zapewniania opieki nad dziećmi młodych osób, które z różnych powodów nie są w stanie ich wychowywać - wszystko to wiąże się zarówno z nieefektywnym wydawaniem środków, jak i zmniejszaniem szans ok. 200 tys. osób w Zjednoczonym Królestwie, zmagających się z takimi problemami, jak nałóg narkotykowy, bezdomność czy zagrożenie przestępczością.

Inne dane z raportu wskazują na bardzo wymierne koszty zachowania status quo w polityce społecznej i ekonomicznej Wielkiej Brytanii. **8,1 miliarda funtów rocznie kosztują społeczeństwo zasiłki dla młodych bezrobotnych oraz związane z tym koszty utraty produktywności gospodarki. Koszty społeczne przestępczości wśród osób młodych to dalsze 4,4 mld, leczenia depresji - 340 milionów (wraz z innymi kosztami, jak np. utrata efektywności pracy, sięgają nawet 1,5 mld), kolejne 3 mld strat ponosi kraj wskutek uzależnienia „dorosłej młodzieży” od narkotyków. Sumując te liczby otrzymujemy całkiem pokaźną kwotę oraz panoramę wielu ludzkich problemów i tragedii.**

Ponieważ spora część wspomnianych kosztów społecznych pozostaje sprywatyzowana (koszty złych wyborów życiowych przeniesione są na jednostki i ich najbliższe otoczenie) i nie figuruje w budżetach państwa lub samorządów, bywa lekceważona przez politycznych decydentów. Tymczasem sumując choćby koszty indywidualnych problemów ze znalezieniem pracy,



©© Scott the Hobo, flickr.com/photos/dapperscoo/120145735

Zamiast wielu interesujących, dobrze płatnych zawodów, na sporą grupę osób młodych spadła konieczność utrzymania się z pracy w sieciach fast foodów czy w telemarketingu.

otrzymać możemy pokątną kwotę, jaką tracą państwo i gospodarka na powstrzymywaniu się od bardziej aktywnych działań, takich jak wsparcie psychologiczne dla opuszczających zakłady karne, uzależnionych od substancji psychoaktywnych czy młodych matek. Jeśli nie wizja bardziej szczęśliwych ludzi, radzących sobie w życiu, to chociaż perspektywa wzrostu wpływów z podatków czy wyższych wydatków konsumpcyjnych powinna zachęcać polityków do działania – niestety, dzieje się tak zbyt rzadko.

Kilka lat temu NEF opracowała system mierzenia Społecznego Zwrotu z Inwestycji (Social Return on Investment, SROI), uwzględniający w wyliczeniach również trudniej policzalne efekty danego działania. Wymaga on precyzyjnego zidentyfikowania zakresu analizy oraz interesariuszy, których dotknąć mają systemowe zmiany, dialogu z nimi na temat potrzebnych przeobrażeń oraz ich skutków w krótkim i długim czasie. Następnie zaś – zbadania prawdopodobnych kosztów i zysków z planowanych zmian, ale także potencjalnych negatywnych skutków. Trudno dotychczas było np. zmierzyć, jakie są finansowe efekty zwiększenia w ludziach pewności siebie, kluczowej dla podjęcia przez osoby w trudnej sytuacji życiowej działań mogących wpłynąć na poprawę ich losu. Efekty te można tymczasem oszacować, choćby licząc zyski i oszczędności spowodowane odpowiednim zmniejszeniem się wskaźników złych (np. statystyki uzależnionych od środków psychoaktywnych, bezrobotnych czy bezdomnych) i zwiększeniem dobrych (wpływy z podatków).

Jeśli dana osoba przestaje czuć się gorsza i otrzymuje wsparcie umożliwiające zdobycie pracy, wówczas zamiast otrzymywać zasiłki, zaczyna odprowadzać pieniądze z podatków. Wyłapanie takich zależności na podstawie dostępnych badań i obliczenie ich wymiernych następstw to żmudna praca, jednak raport pokazuje, iż jest to możliwe. Dla przykładu, jedna osoba mniej w więzieniu oznacza rocznie 43 tysiące funtów oszczędności w budżecie państwa, a każdy człowiek,

który wychodzi z narkomanii – prawie 8,5 tys. Natomiast każdy znajdujący pracę, nawet tę nisko płatną, przynosi z kolei niemal 3,3 tys. więcej w publicznym skarbcu w postaci podatków, a dodatkowo 2,7 tys. funtów zaoszczędzonych na zasiłkach dla bezrobotnych. Można zżymać się na tego typu przeliczanie ludzkich problemów na pieniądze, jednak to głównie liczby trafiają dziś do wyobraźni zarówno osób stojących nad wyborczą kartką, jak i decydentów, operujących ograniczonymi zasobami finansowymi.

Czas na poprawę jakości usług publicznych skierowanych do osób młodych nie jest najlepszy – konserwatywno-liberalny rząd brytyjski wdraża drakońskie cięcia budżetowe. Jednak, jak wskazują NEF i Catch 22, istnieją możliwości poprawy jakości świadczonych usług, mogące zarazem zmniejszyć wydatki odpowiednich instytucji. Aby to wykazać, autorki raportu – Faiza Shaheen i Helen Kersley – odbyły szereg dyskusji z młodymi ludźmi, korzystającymi z publicznego wsparcia. Dla przykładu, doskwiera im słaby obieg informacji i brak integracji baz danych osób uprawnionych do różnego typu pomocy, co przyczynia się do wydłużenia procesu jej przyznawania.

Również spełnienie innego kluczowego postulatu raportu wydaje się niespecjalnie drogie. Chodzi mianowicie o wielokrotnie wyrażaną przez młodych ludzi potrzebę współpracy z osobą opiekującą się nimi, która zarówno poprowadzi je przez biurokratyczne meandry, jak i podniesie na duchu, zachęcając np. do wykończenia telefonu w poszukiwaniu pracy. Są to sprawy pozornie drobne, lecz mające fundamentalne znaczenie. Same oszczędności z tytułu lepszej koordynacji działań mogłyby, zdaniem autorek raportu, sięgnąć ponad 150 mln funtów rocznie.

Większa elastyczność w działaniu urzędów zajmujących się pomocą ludziom młodym w Wielkiej Brytanii byłaby również bardzo mile widziana przez osoby chcące skorzystać z ich usług. Obecnie coraz częściej poszczególne rodzaje wykluczenia (ze względu na



© John Perivolaris, flickr.com/photos/dr_john2005/6024627313

status społeczny, płeć, rasę, orientację seksualną itp.) zazębiają się ze sobą - np. 28% osób w wieku od 16 do 24 lat, zajmujących się opieką nad dzieckiem, zarazem nie pracuje, nie uczy się ani nie zwiększa kwalifikacji. Propozycją NEF jest kumulowanie różnych środków finansowych wokół osoby potrzebującej pomocy, m.in. dzięki lepszemu obiegowi informacji między instytucjami. Szybki dostęp do danych o sytuacji osoby zwracającej się np. o zasiłek pozwoliłby jej uzyskać pełen pakiet przysługującego wsparcia, zamiast zmuszać do wielogodzinnego stania w kolejkach po każde uprawnienie osobno.

Innym udogodnieniem byłaby rezygnacja ze sztywnych kryteriów wieku, w obrębie których można otrzymywać pomoc. Wiele świadczeń kończy się po ukończeniu 18. roku życia. Trudno tymczasem uwierzyć, by wraz z formalną pełnoletnością kończyły się wszelkie materialne zmartwienia danej osoby. Wręcz przeciwnie, jeśli mamy mówić o realnym awansie społecznym, będą one rosły, choćby w przypadku studiowania na uniwersytecie, które w Anglii jest płatne, a rząd Camerona podwyższył niedawno trzykrotnie pułap maksymalnej wysokości czesnego.

Poza wyliczeniami stricte finansowymi, niewątpliwą wartością tego typu analiz jest pokazanie, jak złożone są procesy ponownej integracji społecznej osób

wykluczonych. Nie sposób pawić sloganów o „dawaniu wędki, a nie ryby”, gdy zaczyna się dostrzegać dużo bardziej subtelne efekty różnych działań możliwych do podjęcia przez służby socjalne. Na przykład przyjmowanie założenia o istnieniu „naturalnego instynktu macierzyńskiego” staje się wymówką dla odmawiania młodocianym matkom wsparcia w wychowaniu dzieci, podczas gdy aktywna pomoc (od psychologicznej do finansowej) może mieć niebagatelne znaczenie dla losów takiej osoby. Zależą one od tego, czy kobieta będzie w stanie podołać psychicznie i finansowo kontynuowaniu edukacji, łączeniu opieki nad dzieckiem z pracą czy też dobremu wychowaniu potomstwa, aby nie straciło ono szans rozwojowych.

Działania takie wymagają jednak zarówno wizji, jak i empatii, a tych cech po polskich decydentach niestety się nie spodziewam. Jak na razie jedyną receptą polityków na problemy młodych ludzi, tak w Polsce, jak i w Wielkiej Brytanii, jest podkręcanie „wyścigu szczurów”.

BARTŁOMIEJ KOZEK

Raport można pobrać za darmo w wersji elektronicznej na stronie NEF: <http://www.neweconomics.org/publications/improving-services-for-young-people>

Bezrobocie: brak miejsc pracy czy brak kwalifikacji?

JOHN MILLER · JEANNETTE WICKS-LIM

Politycy i ekonomiści próbują przedstawiać obecną zapaść na amerykańskim rynku pracy jako skutek braku odpowiednich umiejętności u potencjalnych pracowników. Czy tak jest w istocie?

© Alex E. Proimos, flickr.com/photos/proimos/5867600649

Pomimo iż w chwili pisania tekstu minęło niemal półtora roku od oficjalnego ogłoszenia końca Wielkiej Recesji, miliony Amerykanów nadal pozostają bez pracy. Oficjalny wskaźnik bezrobocia utrzymuje się na poziomie ok. 10%. Dlaczego? Według oficjalnie obowiązującej teorii, przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak wystarczających kwalifikacji wśród kandydatów na stanowiska oferowane przez pracodawców.

W następstwie najsilniejszego tąpnięcia krajowej gospodarki od czasów Wielkiego Kryzysu, niektórzy decydenci i komentatorzy - wśród nich również ekonomiści - rozpoczęli pewną kampanię. Jej celem jest powiązanie wysokiego bezrobocia z niewystarczającymi umiejętnościami siły roboczej. W żargonie ekonomicznym zjawisko to nosi nazwę bezrobocia strukturalnego, stanowiącego przeciwieństwo bezrobocia cyklicznego, związanego z powtarzającym się spadkiem koniunktury gospodarczej.

Powyższy pogląd znajduje zwolenników w wielu kręgach. Pierwszy wśród decydentów, prezydent Obama, poinformował Kongres w lutym 2009 r., że w *dzisiejszych czasach ¾ spośród najbardziej dynamicznie rozwijających się zawodów wymaga kwalifikacji wyższych niż świadectwo maturalne. A rzeczywistość jest taka, że niemal połowa naszych obywateli nie osiągnęła tego poziomu wykształcenia*. Inaczej mówiąc: robotnicy muszą wrócić do szkoły, jeśli chcą znaleźć zatrudnienie.

Również Bill Clinton, ostatni przedstawiciel Partii Demokratycznej zasiadający przed Obamą w Białym Domu, został zarażony tym wirusem. W wywiadzie z września 2010 r. powiedział: *Ostatni raport*

poświęcony bezrobociu wskazywał - i miało to miejsce po raz pierwszy za mojego życia, a do najmłodszych przecież nie należę - że obecnie, w momencie wychodzenia z recesji, liczba nowych ofert pracy rośnie dwukrotnie szybciej niż liczba nowo zatrudnianych osób. Z drugiej strony każdy z nas potrafi z łatwością przywołać przypadki, kiedy na jedną ofertę pracy zgłosiło się kilkuset kandydatów. Jak to możliwe? Ludzie po prostu nie mają wymaganych kwalifikacji.

Wszystko wskazuje, że źródłem tej teorii są ekonomiści oraz inni tzw. eksperci. W sierpniu 2010 r. Narayana Kocherlakota, szef oddziału Banku Rezerw Federalnych (FED) w Minneapolis, napisał w biuletynie instytucji: *W jakim stopniu obserwowany wskaźnik bezrobocia rzeczywiście wynika z niedopasowania kwalifikacji, a więc z czynników, na które FED praktycznie nie ma wpływu? Wydaje się, że odpowiedź brzmi: w znaczącym*. Kocherlakota zmierzał do tego, że chociaż polityka monetarna może stymulować wzrost gospodarczy, nie poprawi to sytuacji słabo lub niewłaściwie wykwalifikowanych bezrobotnych: *FED nie ma możliwości przekwalifikowania robotników budowlanych w mechaników precyzyjnych*.

Takie wyjaśnienie problemu bardzo odpowiada politykom i urzędnikom Banku Rezerw Federalnych. Zrzuca ono bowiem odpowiedzialność za dotkliwą sytuację ekonomiczną 17% Amerykanów - bezrobotnych lub zatrudnionych w niepełnym wymiarze - na nich samych. Wskazuje ono, że nawet jeśli politycy i bankowcy zrobiliby wszystko, co w ich mocy, aby zwiększyć poziom wydatków publicznych, wskaźnik bezrobocia

najprawdopodobniej pozostałby na niezmiennym poziomie dopóki bezrobotni nie podnieśliby kwalifikacji.

Szkopuł w tym, że powyższe wytłumaczenie jest błędne. Istnieje wiele dowodów, że **główną przyczyną kryzysu na rynku pracy nie są nieodpowiednie kwalifikacje pracowników, lecz brak odpowiedniej liczby ofert pracy.**

Tylko dla specjalistów?

Dane przytoczone przez Obamę, wskazujące, że nowe miejsca pracy wymagają coraz wyższych kwalifikacji, mogłyby być argumentem popierającym tezę o „luce umiejętności”. Jednak jego interpretacja całkowicie omija sedno sprawy. W swoim wystąpieniu prezydent oparł się na przewidywaniach Departamentu Pracy, dotyczących struktury zatrudnienia w latach 2006-2016. Mowa w nich, że spośród 30 najszybciej rozwijających się profesji, 22 zasadniczo wymaga wykształcenia wyższego niż ukończona szkoła średnia. Do zawodów tych zaliczono m.in. specjalistów ds. zarządzania sieciami komputerowymi, fachowców z sektora telekomunikacji, programistów i doradców finansowych. Obama jednak ani słowem nie wspomniał, że te 22 profesje stanowią mniej niż 3% całego rynku pracy w USA.

Dużo większe znaczenie dla 27 mln obywateli bezrobotnych lub z konieczności zatrudnionych na niepełny etat mają raczej zawody, w ramach których ma szansę powstać najwięcej nowych miejsc pracy. Spośród 30 takich zawodów, 70% (21) zwykle wymaga co najwyżej ukończenia szkoły średniej. Aby być w pełni gotowym do rozpoczęcia ich wykonywania, wystarczy przeszkolenie bezpośrednio w miejscu pracy. Według prognoz Departamentu, te 21 zawodów, do których zalicza się m.in. sprzedawców, pracowników branży gastronomicznej oraz osoby zatrudnione jako pomoc domowa lub pielęgniarska, będzie miało ¼ udziału w rynku pracy w 2016 r.

Co więcej, prognozy zatrudnienia zakładają, że ponad ⅔ (68%) miejsc pracy w 2016 r. będzie wymagało od pracownika wykształcenia średniego lub nawet niższego. W połączeniu z faktem, że obecnie prawie 2/3 aktywnych zawodowo dorosłych (62%) brało udział w jakichś zajęciach prowadzonych na wyższych uczelniach, teza o rzekomym rozdźwięku pomiędzy kwalifikacjami pracowników a wymaganiami rynku pracy jako głównej przyczynie utrzymywania się wysokiego poziomu bezrobocia, nie brzmi przekonująco.

Niewykwalifikowani?

Jeżeli rzeczywiście mielibyśmy do czynienia z sytuacją, w której pracodawcy napotykają na ogromne trudności w poszukiwaniach na oferowane miejsca pracy osób o odpowiednich kwalifikacjach, to osoby spełniające te wymagania byłyby rozchwytywane na pniu. Statystyki wskazują jednak, że zastój w zatrudnieniu dotyczy także bezrobotnych doświadczonych zawodowo oraz osób, które pracując na część etatu szukają

dodatkowego zajęcia. I dotyczy to branż, na które przypada względnie dużo nowych ofert pracy, jak edukacja, opieka zdrowotna, produkcja dóbr trwałych (np. sprzętu AGD) czy górnictwo.

Problem ten najlepiej widać w przypadku „półbezrobotnych” - zatrudnionych na część etatu, ale chcących pracować w pełnym wymiarze. Jak pokazują dane przytoczone przez Arjuna Jayadeva i Mike’a Konczala w niedawnej publikacji Roosevelt Institute, obecnie odsetek takich osób w każdym z podstawowych sektorów jest większy niż w okresie 2000-2007. Nawet w gałęziach generujących największą liczbę ofert pracy, takich jak edukacja i opieka zdrowotna, doradztwo i usługi dla biznesu, transport i usługi publiczne, turystyka i wypoczynek oraz branże produkcyjne - wskaźnik „półbezrobocia” wśród pracujących utrzymuje się na poziomie dwukrotnie wyższym niż przed recesją.

Głosicielom „teorii niedopasowania” byłoby trudno wyjaśnić, dlaczego osoby, które chciałyby pracować w pełnym wymiarze godzin, nie posiadają wystarczających kwalifikacji, aby na cały etat wykonywać pracę polegającą na tym samym, co obecnie robią przez np. 20 godzin w tygodniu.



© Grantuking, flickr.com/photos/grantuking/335614739

W wyniku Wielkiej Recesji zatrudnienie stracili pracownicy rozmaitych specjalności, nie tylko robotnicy budowlani. Wielu z nich wciąż szuka zatrudnienia. W każdym spośród 16 najważniejszych sektorów gospodarki wskaźnik bezrobocia we wrześniu 2010 r. był wciąż znacznie wyższy niż na początku kryzysu w grudniu roku 2007. W przypadku branż z największą liczbą ofert pracy w okresie wychodzenia z kryzysu, a więc edukacji i służby zdrowia, doradztwa i usług dla biznesu, oraz produkcji - wykwalifikowani pracownicy muszą się zmierzyć ze wskaźnikami bezrobocia

dwukrotnie wyższymi niż w grudniu 2007 r. Wielu doświadczonych pracowników wciąż szuka pracy w branżach, gdzie bez przerwy pojawiają się nowe oferty zatrudnienia.

Aby obronić swoją tezę, Kocherlakota i inni zwolennicy teorii niedopasowania musieliby wykazać, że te osoby, które nie dalej jak trzy lata temu pracowały w przemyśle, obecnie nie posiadają już umiejętności pozwalających na ich zatrudnienie w tej samej branży. Wydaje się to mało prawdopodobne.

Błędy statystyczne

Jak zatem wyjaśnić zjawisko przywołane przez Billa Clintona oraz licznych ekonomistów? Skoro liczba oferowanych miejsc pracy rośnie w przyzwoitym tempie, liczba nowo zatrudnianych osób – znacznie wolniej, a statystyki bezrobocia nie zmieniają się, to może rzeczywiście pracodawcy mają problemy ze znalezieniem osób o odpowiednich kwalifikacjach. Powyższe wytłumaczenie jest jednak przekonujące tylko dopóki nie przyjrzymy się statystykom.

Po pierwsze, zmiany w czasie liczby ofert pracy oraz zatrudnianych osób nie są właściwymi parametrami opisującymi tendencje rynku pracy. Tym, co powinno nas interesować, jest porównanie liczby miejsc pracy, na które nie udało się znaleźć pracowników, z liczbą wykwalifikowanych pracowników przyjętych w tym samym miesiącu. Jeżeli pracodawcy rzeczywiście mieliby problem, o którym mówimy, wówczas liczba wakatów na koniec miesiąca powinna być względnie duża w porównaniu z liczbą osób przyjętych do pracy. Innymi słowy, jeżeli stosunek liczby wakatów do liczby osób nowo zatrudnionych byłby wyższy niż podczas minionych okresów wychodzenia z kryzysów gospodarczych, to mogłoby to stanowić potwierdzenie większych niż zwykle problemów pracodawców z naborem pracowników.

Tymczasem okazuje się, że wspomniana proporcja jest dziś niemal taka sama, jak w trakcie wychodzenia z kryzysu w 2001 r. We wrześniu 2010 r., a więc 15 miesięcy po oficjalnym zakończeniu kryzysu i rozpoczęciu wychodzenia z niego, stosunek nieobsadzonych miejsc pracy do liczby nowych zatrudnień wynosił 69%, a więc był bardzo zbliżony do wartości 67% z lutego 2003 r., 15 miesięcy po poprzednim kryzysie gospodarczym. Dane te świadczą, że miejsca pracy są dzisiaj obsadzane w tym samym tempie, jak miało to miejsce w przeszłości.

Porównywanie wyłącznie wskaźnika bezrobocia, a pomijanie w analizie liczby nowych zatrudnień grozi w jeszcze większym stopniu wyciągnięciem błędnych wniosków. Ponieważ liczba nowych zatrudnień silnie wzrasta na początku wychodzenia z kryzysu, osoby, które przestały już aktywnie szukać pracy, wracają na jej rynek. W ten sposób zasilają oni oficjalne statystyki bezrobotnych, co powoduje, że wskaźnik bezrobocia nie ulega zmniejszeniu, pomimo wzrostu liczby ofert pracy i rosnącego zatrudnienia.

Deficyt miejsc pracy

Rzeczywistość rynku pracy – obejmujące coraz szersze kręgi bezrobocie połączone z długim, bezowocnym poszukiwaniem zatrudnienia przez wykwalifikowanych pracowników – pokazuje jasno, że **podstawowym problemem jest brak wystarczającej liczby miejsc pracy w gospodarce, a nie brak umiejętności wśród osób szukających zajęcia.**

Choć na koniec każdego miesiąca pozostaje pewna liczba ofert pracy, do której nie udało się znaleźć odpowiednich osób, całkowita liczba miejsc pracy stworzonych w okresie wychodzenia z recesji jest znacznie niewystarczająca, by przywrócić zatrudnienie wszystkim, którzy je uprzednio stracili. Nawet gdyby na wszystkie wolne etaty na koniec września 2010 r. udało się przyjąć nowych pracowników, to wciąż prawie 12 mln zarejestrowanych bezrobotnych pozostawałoby bez pracy.

Obecne wychodzenie z kryzysu charakteryzuje się znacznie mniejszą liczbą tworzonych miejsc pracy nawet od tzw. bezpracowego okresu odbudowy po zapaści z roku 2001. Lawrence Mishel, Heidi Shierholz i Kathryn Edwards, ekonomiści z Economic Policy Institute, podają, że **łączna liczba nowych miejsc pracy stworzonych w pierwszym roku przełamania ostatniego kryzysu jest o ok. ¼ mniejsza niż w analogicznym okresie po recesji 2001 r.** Oznacza to 10 mln miejsc pracy mniej. Nawet w przypadku gałęzi gospodarki generujących obecnie najwięcej nowych miejsc pracy ich liczba pozostaje daleko w tyle w porównaniu z miejscami pracy utworzonymi przez te branże w ramach wychodzenia z zapaści dekadę wcześniej. Wyjątkami są przemysł wydobywczy i drzewny, na które jednak w 2007 r. spadało zaledwie ok. 0,5% całkowitego zatrudnienia.

Dlaczego wzrost zatrudnienia po Wielkiej Recesji jest wolniejszy niż zwykle? Prosta odpowiedź brzmi: gdyż kryzys był głębszy niż zwykle. Nagły i ostry spadek produkcji oraz zatrudnienia bardzo negatywnie wpłynął na popyt wewnętrzny – ludzie po prostu nie mieli pieniędzy na zakupy. Skutkiem tego był spadek sprzedaży, co z kolei znacznie ograniczyło inwestycje i zatrudnienie; błędne koło się domknęło, doprowadzając do trwałego spadku popytu.

Powolny wzrost zatrudnienia nie wynika bynajmniej z braku zysków przedsiębiorstw. Według danych na koniec drugiego kwartału 2010 r., były one (po uwzględnieniu inflacji) o ok. 60% wyższe w porównaniu do dołka z końca 2008 r. oraz na dobrej drodze do osiągnięcia poziomu z połowy 2006 r., gdy były najwyższe. Co więcej, na początku 2010 r. firmy działające poza sektorem bankowo-finansowym posiadały ok. 2 bilionów dolarów w gotówce. Istniała zatem możliwość nowych inwestycji i tworzenia miejsc pracy. Zabrakło natomiast zachęty do tego, czyli pewności w kwestii wzrostu popytu i sprzedaży. Jak dobrze wiadomo, małe i średnie przedsiębiorstwa odpowiadają za lwią część rynku pracy. Tymczasem przedsiębiorcy z tego sektora



©©© Rob Chandanais (Blue Robot), flickr.com/photos/bluerobot/5507964073

od początku Wielkiej Recesji konsekwentnie wskazywali na słabą sprzedaż jako swój kluczowy problem. Najprawdopodobniej jest to w ich przypadku także czynnik ograniczający wzrost zatrudnienia.

Rola popytu

Niezależnie od braku dowodów potwierdzających teorię niedopasowania, przebiła się ona do medialnych relacji na temat stanu gospodarki. Weźmy niedawną serię audycji w ogólnokrajowym radiu publicznym pt. „Brak kwalifikacji: przyczyna stagnacji na rynku pracy”. W jednym z odcinków reporterka Wendy Kaufman prezentowała liczne przykłady pracodawców zmuszonych odrzucać rekordowe wręcz liczby podań na nowe miejsca pracy, które często pozostają nieobsadzone. W odpowiedzi, ekonomista Peter Capelli zauważył, że *20 lat temu byłoby nie do pomyślenia oczekiwać, że osoba przyjmowana na stanowisko wymagające ponadprzeciętnych umiejętności od razu wykaże się ponadprzeciętnymi osiągnięciami. To zupełnie nowy rodzaj wymagań*. Łatwo zauważyć, że ten komentarz w żadnym miejscu nie wskazuje na to, iż dzisiejsi pracownicy mają mniejsze umiejętności lub wiedzę. To raczej pracodawcy podnieśli poprzeczkę: stali się bardziej wybredni.

Takie wytłumaczenie wydaje się sensowne. Jak już wiemy, pracodawcom udaje się przyjmować pracowników na nowo tworzone miejsca pracy w podobnym tempie, co w nieodległej przeszłości. Różnica polega

jednak na tym, że dzisiaj o jeden wakat ubiega się sześciu bezrobotnych. To zdecydowanie najwyższy wskaźnik od 2000 r. W czasie spowolnienia gospodarki, do którego doszło w 2001 r., średnio dwie osoby bezrobotne ubiegały się o jedno miejsce pracy. W pierwszych latach przewyżczania skutków owej recesji proporcja ta wprawdzie nadal rosła, ale nigdy nie przekroczyła poziomu 3:1. Dane te uprawniają do przedstawiania alternatywnej interpretacji problemów rynku pracy w USA. Niestety, Kaufman nie bierze jej nawet pod uwagę.

To wielka szkoda. Uświadomienie sobie, że to brak popytu na dobra i usługi jest istotną przyczyną dramatycznego bezrobocia, prowadzi do wniosku, iż piłka jest po stronie rządu oraz Banku Rezerw Federalnych. Mają oni możliwości pobudzenia popytu, a przez to złagodzenia problemu bezrobocia, jeśli tylko istniałaby wola polityczna takich działań. Miliony bezrobotnych, zorganizowanych w grupy nacisku i uzbrojonych w adekwatną diagnozę sytuacji, mogą stać się siłą zdolną wymusić taką wolę. Nie mogą jednak dać się zmylić interpretacji, która uparczywie każe im szukać winnych ich problemu – w nich samych.

JOHN MILLER, JEANNETTE WICKS-LIM

tłum. Sebastian Maćkowski

Tekst ukazał się pierwotnie w magazynie „Dollars & Sense”, styczeń – luty 2011.

Kredyty dla rozwoju – nie dla zysku

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Uwład polskiego przemysłu oraz trwale wysokie bezrobocie wskazują na potrzebę zmian miar sukcesu ekonomicznego naszego kraju oraz odmiennych metod działania. Mogłaby to zmienić ponowna industrializacja Polski. Kredyt „non profit” jest narzędziem dostarczającym potrzebnej maszynierii finansowej do tego zadania.

Niedawno Polskie Lobby Przemysłowe opublikowało raport na temat przyczyn i konsekwencji światowego kryzysu finansowo-gospodarczego. Zawarto w nim także rekomendacje dla polskiego rządu, których wdrożenie, zdaniem ekspertów, powinno odwrócić obecny trend obniżania poziomu życia i wysokiego bezrobocia. Wśród rekomendacji na pierwszym miejscu znalazła się taka:

Podjęcie emisji obligacji Skarbu Państwa upoważniających państwowe banki do udzielania niskoprocentowego kredytu „non profit”, nie dla finansowania deficytu budżetowego, jak to ma miejsce obecnie, lecz w celu rozbudowy potencjału gospodarczego kraju w określonych dziedzinach gospodarki (w przemyśle, budownictwie, energetyce, infrastrukturze). Udzielane kredyty byłyby narzędziem zwiększającym popyt rynkowy, zatrudnienie i krajowy wolumen dóbr i usług.

Realizacja tego postulatu stałaby się, jak postulują w eksperci PLP, instrumentem reindustrializacji kraju. W tej i innych rekomendacjach wspomnianego raportu kluczowe jest poczynienie umownego rozróżnienia między „realnym” a „wirtualnym” sektorem



© 96dpi, flickr.com/photos/96dpi/3227807209/in/photostream/

gospodarki. W jednym z punktów postulowana jest regulacja derywatów (instrumentów finansowych), których brak odseparowania od „realnej” gospodarki i tradycyjnej bankowości depozytowo-kredytowej stał się wielkim obciążeniem dla sektorów produkujących oraz dla podatników, ponoszących koszty spekulacji.

Tym samym autorzy raportu wskazują na **potrzebę zredefiniowania wartości w gospodarce. Wartością nie są bowiem bilionowe kwoty instrumentów finansowych, rosnące w tym samym czasie, gdy spada wytwórczość rolnictwa i przemysłu. Wartością jest to, co przyczynia się do powiększenia siły i dobrobytu państwa. Kwalifikatorem wartości jest więc sam system kredytu. Przykładowo, inwestycje w hazard nie mogłyby liczyć na kredyt „non profit”. Natomiast inwestycje, które powiększają ilość fizycznych dóbr, mostów, maszyn czy megawatów przesłanej energii, mogłyby taki kredyt uzyskać. To, o czym zapomnieli analitycy z Wall Street, i niestety także wielu nauczycieli akademickich, to fakt, iż rozwój mierzy się jako wzrost produktywności, łatwiejsze tworzenie większej ilości i lepszej jakości nowych dóbr. Kluczowa zatem jest leibnizowska fraza**

„billiges Feuer” (tani ogień) i hamiltonska „artificial labor” (sztuczna praca).

Model państwowego kredytu „non profit” różni się znacząco od dzisiejszej metody dokonywania przez państwo – zresztą nader rzadko – wielkich projektów infrastrukturalnych. W systemie państwowego kredytu „non profit”, państwo byłoby nie pożyczkobiorcą, lecz pożyczkodawcą! Decyzją rządu, zatwierdzaną przez parlament, tworzony byłby kredyt o określonej wartości. Różne transze kredytu miałyby różny okres trwania i wielkość, zależne od przeznaczenia, czyli typu projektu, który byłby finansowany w taki sposób. Instytucją udzielającą kredytu byłby bank państwowy.

Zwolennicy monetarnej ortodoksji wskazują, iż jakakolwiek państwowa ingerencja, tworząca zwiększenie agregatów monetarnych, może łatwo powodować inflację. W rzeczywistości mechanizm kredytu „non profit” jest na tyle „nie-monetarny” w swych zasadach, które opiszemy poniżej, iż taki efekt nie występuje. Natomiast przyrost ilościowy i jakościowy krajowych dóbr i usług wskutek jego zastosowania, eliminuje jakąkolwiek inflację „pieniężną”.

Amerykański systemu kredytu

Jeden z Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych i pierwszy Sekretarz Skarbu tego kraju, Alexander Hamilton, jest słusznie uważany za kreatora nowożytnego systemu kredytu narodowego. W swych raportach dla kongresu (Raport o Publicznym Kredycie, Raport o Banku, a także definiujący wartość Raport o Manufakturach) Hamilton propagował ideę zamiany długu

państwa w wartość (kredyt), dzięki której państwo będzie mogło dokonywać inwestycji w wytwórczość i infrastrukturę. Przekonywał, że odpowiednie inwestycje mogą pomnożyć bogactwo państwa, co jest zaprzeczeniem brytyjskiej idei „niewidzialnej ręki”. **W przypadku, gdy państwo nie posiada gotówki, aby uruchomić ubogacające obywateli inwestycje powinno ono wytworzyć na bazie długu kredyt. Zostanie on w przyszłości spłacony dzięki wytworzeniu bogactwa, które w momencie emisji kredytu jeszcze nie istniało.**

Ten optymistyczny, postępowy ton, przeciwny teorii gospodarki jako gry o sumie zerowej, jest charakterystyczny dla polityki Hamiltona i jego duchowych następców. Już w 1791 r., jak pisał Noah Webster: *Ustanowienie funduszy dla utrzymania publicznego kredytu daje wspaniały efekt dla interesów i całego kraju. Handel odżywa i kraj jest całkiem zaopatrzony. Manufaktury wielce wzrastają, a w dużych miastach wielkie ulepszenia są czynione w drogach i chodnikach. Zwroty z inwestycji regularnie przekraczały 10% rocznie, i to po odliczeniu odsetek dla kupujących obligacje*¹.

System kredytu był fundamentem, na którym zbudowano potęgę USA. Ta potęga, wskazywał Hamilton, budowana jest poprzez manufaktury wspierane odpowiednią infrastrukturą, w tym finansową. Ponieważ ugruntowanie zaufania dla amerykańskich obligacji nie rozwiązywało problemu niewystarczającego kredytowania dla krótkoterminowych przedsięwzięć prywatnych, zadanie to miał spełniać Pierwszy Bank Stanów Zjednoczonych, powołany w 1791 r. przez Kongres z inicjatywy Hamiltona. **Parlament USA został uznany władnym do przegłosowywania aktów emisji kredytu, które następnie za pośrednictwem Banku przeznaczano na cele inwestycyjne. Sam Bank szczylił się (częściowo państwowym, częściowo prywatnym) kapitałem założycielskim 10 milionów dolarów, głównie w formie państwowych obligacji. W przeliczeniu na dzisiejsze kwoty pozwoliłoby mu to zostać właścicielem ponad połowy firm z indeksu giełdowego Dow Jones**².

Poszczególne decyzje o przyznaniu kredytu należały do Banku, jednak bezpośrednią intencją w każdym przypadku był wzrost produktywności oraz tzw. ulepszenia wewnętrzne, jak nazywano szeroko rozumianą infrastrukturę. Państwowy Bank współpracował ręką w rękę z Departamentem Skarbu, udzielając często rządowi pożyczek. Bank państwowy z prawem do emisji kredytu był, obok taryfy celnej i rządowych inwestycji infrastrukturalnych, jednym z trzech kluczowych filarów tzw. Systemu Amerykańskiego, zwanego również Szkołą Amerykańską ekonomii politycznej.

Istnienie Banku od początku napotykało, podobnie jak inne założenia Systemu Amerykańskiego, na wielki opór arystokratycznych właścicieli ziemskich z Południa. Latyfundiści, opierający swą pozycję na pracy niewolników, niechętnie patrzyli na wspieranie z federalnego budżetu postępowych gałęzi produkcji, innowacyjności i ulepszeń. W 1811 r. Kongres nie przedłużył



© WSDOT (Washington State Department of Transportation), flickr.com/photos/wsdot/5936964989/in/photostream/

Karty inkorporacyjnej Pierwszemu Bankowi Stanów Zjednoczonych, który tym samym zakończył istnienie.

Jednak już po pięciu latach, ze względu na koszty wojny 1812 r. i narastającego długu, zdecydowano się powołać Drugi Bank Stanów Zjednoczonych, który funkcjonował przez dwie dekady (1816-1836) do wygaśnięcia Karty. Mimo iż zgodność z konstytucją państwowego Banku została potwierdzona przez proces McCulloch kontra Maryland w 1819 r., przeciwnikom Banku (głównie nowojorskim bankom komercyjnym) udało się storpedować - dzięki wetu prezydenta Jacksona - przedłużenie jego funkcjonowania. Przeniesienie państwowych depozytów do zainteresowanych zyskiem banków komercyjnych i koniec Drugiego Banku spowodowały kryzys 1837 r., a przede wszystkim, co gorsza, praktycznie unieruchomiły rozwój wielkich inwestycji infrastrukturalnych.

Kolejne dekady to okres tzw. dzikiej bankowości, nacechowany wielkimi wahaniami ilości pieniądza w obiegu. Dopiero nowe prawo bankowe Lincolna uporządkowało ten sektor, odbierając lokalnym bankom stanowym prawo wydawania banknotów, tworząc system małych banków narodowych, powiązanych z Departamentem Skarbu. To pozwoliło, mimo wojny domowej, finansować wielkie inwestycje infrastrukturalne, z których największą była Kolej Transkontynentalna, łącząca oba krańce USA.

Niestety, planowany jeszcze przez Daniela Webstera Trzeci Bank Stanów Zjednoczonych nie rozpoczął nigdy działalności, zaś wytworzone przez bankierów kryzysy płynności spowodowały, że administracja Grovera Clevelanda skapitulowała przed potęgą domu bankowego JP Morgan, oddając de facto w jego ręce kontrolę nad pieniądzem. Utworzona kilka dekad później Rezerwa Federalna jest niekontrolowaną przez Kongres groteskową parodią hamiltonskiego Banku. Swymi liniami kredytowymi służy działalności spekulacyjnej, a wykupując toksyczne instrumenty finansowe pogrąża gospodarkę w chaosie.

Kredyt kontra nazizm

Hamiltonski system kredytu, ze swą wyznaczoną w Raplocie o Manufakturach definicją wartości, był jednym z kluczowych czynników, dzięki którym młode amerykańskie państwo stało się jeszcze w XIX w. najbogatszym państwem świata. Standard życia obywateli przekraczał tam uzyskiwany przez Wielką Brytanię dzięki swemu wolnohandlowemu imperium.

Nie był to jednak w ścisłym sensie model emisji kredytu „non profit”. Jak wskazują autorzy raportu Polskiego Lobby Przemysłowego, tzw. eksperyment niemiecki z lat 30., polegający na kredytowaniu produktywnych inwestycji w przemysł oraz infrastrukturę zainteresował ekonomistów (m.in. Michała Kaleckiego) swym nowatorskim mechanizmem. Warto jednak przypomnieć, iż to nie naziści byli autorami tego programu. Ich wątpliwą „zasługą”

było jedynie wypaczenie dobrze zaprojektowanego systemu poprzez ukierunkowanie wysiłku inwestycyjnego w stronę zbrojeń oraz wprowadzenie pracy przymusowej.

Niemcy w czasie Wielkiego Kryzysu, w obawie przed powtórką doświadczeń hiperinflacyjnych, zdecydowały się pod kierownictwem kanclerza Heinricha Brüninga (1930-1932) na politykę deflacji. Rząd beczynn timer patrzył na rosnące szeregi bezrobotnych, wierząc, iż kryzys ten jest jedynie zwyczajowym cyklem gospodarczym. Paradoxem jest iż polityka nie-interwencji i ograniczania wydatków państwa, powiększała deficyt budżetowy zamiast spowodować jego spadek. W warunkach depresji, cięcia państwowych wydatków okazywały się mieć zgubny wpływ na sektor prywatny, skutkiem czego rzesze bezrobotnych szybko rosły. Do 3 milionów bezrobotnych w roku 1930 dołączyło w ciągu zaledwie dwóch lat kolejne 2,5 miliona bezrobotnych.

Drastyczne pogorszenie warunków życia i wszechogarniające poczucie niestabilności spowodowało, że poparcie dla partii narodowych socjalistów zaczęło bardzo szybko rosnąć także wśród grup do tej pory będących gwarantami łagodnego kursu Republiki Weimarskiej, takich jak nauczyciele czy sklepikarze. Liczba głosujących na NSDAP zwiększyła się z ok. 6,4 miliona w wyborach z września 1930 r. do niemal 14 milionów w lipcu 1932 r.

Oczywista katastrofa polityki nie-interwencjonizmu gospodarczego i spowodowane przez nią bezrobocie stały się przedmiotem krytyki niemieckich związkowców (m.in. V.S. Voitinsky), którzy domagali się zarządzenia przez państwo wielkich inwestycji w przemyśle i infrastrukturze w celu wytworzenia impulsu zmniejszającego bezrobocie. Tego rodzaju politykę gospodarczą wkrótce wprowadzono w USA przez Franklina D. Roosevelta. Tymczasem środowiska niemieckich przemysłowców i ekonomistów przedstawiły własne propozycje. Pierwszą przygotował ekonomista, urzędnik ministerstwa finansów, Wilhelm Lautenbach. We wrześniu 1931 r., już po reakcji łańcuchowej powodującej upadek kluczowych banków komercyjnych, Lautenbach zaproponował na zebraniu Stowarzyszenia Fryderyka Lista metodę ożywienia gospodarki poprzez kredyt.

Jak wskazywał, taki kredyt byłby dostępny jedynie na użytek projektów potrzebnych gospodarce. Miał on być w zamierzeniu autora pomysłu źródłem finansowania ambitnego programu budowy i modernizacji infrastruktury, co odrodziłoby gospodarkę i dało zatrudnienie bezrobotnym³. Jego propozycje byłyby finansowane poprzez emisję państwowych weksli, wymienianych między składającym zamówienie (państwowym przedsiębiorstwem) a podwykonawcą. Banki byłyby zmuszone do uznania takich weksli, podwykonawca zaś otrzymywałby w zamian gotówkę, choć ta nie byłaby potrzebna w większości transakcji (tylko do

płatności pracowniczych). Dzięki temu zwiększyłaby się krótkoterminowa płynność, zaś weksle byłyby po okresie 12-15 miesięcy wymieniane na obligacje skarbu państwa⁴. Efektem byłyby zwiększona aktywność gospodarcza - wzrost ilości dóbr i usług oraz rozwój infrastruktury.

Uproszczenie powyższego schematu zostało zaproponowane przez przemysłowca Heinricha Draegera. Przewodząc Grupie Studiującej Pieniądz i Gospodarkę Kredytową, Draeger zaproponował wiosną 1932 r. system kredytu „non profit”. W eseju „Stwarzanie pracy poprzez stworzenie systemu produktywnego kredytu” przekonywał do wsparcia szerokiego programu rozbudowy infrastruktury, energetyki i miast za pomocą kredytu dla trwałych i produktywnych przedsięwzięć. W jego propozycji weksle składane byłyby w banku państwowym - Reichsbanku, który nie żądałby od składającego przedsiębiorstwa zysku w postaci odsetek, tym samym dodatkowo wynagradzając przedsięwzięcia twórcze⁵.

Propozycje Draegera znalazły posłuch wśród najwyższych kręgów rządowych w Niemczech po dojściu do władzy kanclerza Schleichera. Program został niestety rozpoczęty zbyt późno, bo 28 stycznia 1933 r., czyli dwa dni przed objęciem władzy przez Adolfa Hitlera. Sukces programu przyczynił się do legitymizacji i popularyzacji rządów nazistów, choć ci bardzo szybko zmienili jego założenia, nie stawiając na pierwszym miejscu wzrostu produktywności, lecz przygotowania wojenne. Bezrobocie zdążyło już jednak znacząco spaść, a widoczne znaki poprawy (takie jak autostrady) dały zmęczonemu społeczeństwu krótkotrwałe poczucie stabilizacji.

Lekcja dla Polski

Uwład polskiego przemysłu oraz trwale wysokie bezrobocie wskazują na potrzebę redefinicji miary sukcesu ekonomicznego naszego kraju. Brak silnego i nowoczesnego przemysłu wytwórczego odbija się na sytuacji materialnej przeciętnego Polaka. Jak wskazywał prezydent USA, William McKinley, taniość wyprodukowanych za granicą produktów jest relatywna względem zasobności krajowego portfela. Zatem **kluczowe dla dobrobytu społeczeństwa jest posiadanie rozwiniętych gałęzi przemysłu, oferujących dobre miejsca pracy dzięki produkcji wysokiej wartości dodanej.**

Zwraca na to uwagę również grono ekspertów PLP, wskazując na potrzebę intencjonalnej interwencji państwa z zamiarem reindustrializacji kraju. Kredyt „non profit” jest narzędziem znakomicie dostarczającym potrzebnej maszynarii finansowej do realizacji tego zadania. Rekomendacje raportu to przypomnienie, że obowiązkiem każdej generacji jest zostawić przyszłym pokoleniom coś trwałego, a obecnym oferować dobrobyt.

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Przypisy:

1. Robert E. Wright i David J. Cowen, *Financial Founding Fathers: The Men Who Made America Rich*, University Of Chicago Press, 2006, ss. 10-37.
2. Tamże.
3. Webster Griffin Tarpley, *Surviving The Cataclysm: Your Guide through the greatest Financial Crisis in Human History*, Progressive Press, 2009, ss. 10-15.
4. Tamże.
5. Frank Hahn, *Where Do We Get The Money To Pay For Great Infrastructure Projects?*, „The American Almanac”, styczeń 1992.



KAŻDA DAROWIZNA ma sens

nowyobywatel.pl/wspieraj

Przekaz darowiznę na fundusz wydawniczy:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Łodzi, nr konta:
78 8784 0003 2001 0000 1544 0001
(tytuł: Darowizna – „Nowy Obywatel”)

Dwa oblicza mikrokredytu

PIOTR CHMIELEWSKI



©©© IFPRI-IMAGES, flickr.com/photos/ifpri/4860364992

Gdy w 2006 r. główny propagator idei mikrokredytu – profesor Muhammad Yunus i założony przez niego Grameen Bank otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla, rola mikrofinansów w rozwoju najbiedniejszych społeczeństw stała się niezwykle popularnym tematem.

Koncepcja mikrokredytu stanowiła wyjątkowo interesujące zagadnienie w kontekście licznych porażek dotychczasowej polityki rozwojowej w krajach ubogich oraz dyskusji o efektywności zewnętrznej pomocy, świadczonej przez kraje rozwinięte. Nie opierała się bowiem na zasadach pomocy charytatywnej, nie pochodziła z krajów bogatych, charakteryzowała się natomiast niespotykaną dotąd skutecznością w walce z ubóstwem. W swojej przemowie przed komisją noblowską prof. Yunus stwierdził, iż znalazł skuteczny sposób walki z biedą i jest w stanie sprawić, że nasze wnuki będą znały to pojęcie jedynie z lekcji historii.

W kilka lat po ogłoszeniu tych słów bengalski „bankier ubogich” został oskarżony o defraudację zagranicznych dotacji, „wysysanie krwi ubogich pod przykrywką walki z ubóstwem”, a rząd Bangladeszu

usunął go ze stanowiska prezesa Grameen Banku. Te same media, które kilka lat wcześniej ogłaszały rychły koniec biedy, zaczęły donosić o fali samobójstw wśród zadłużonych klientów instytucji mikrofinansowych, a mikrokredyt okrzyknęły współczesną lichwą. Czy słuszna jest tak brutalna rewizja poglądów?

Historia współczesnego systemu mikrofinansów sięga początku lat 70. i klęski głodu, która wówczas nawiedziła Bangladesz. Yunus, wówczas wykładowca na Uniwersytecie Chittagong, opuścił mury uczelni, by przeprowadzić badania terenowe w pobliskiej wsi Jobra. Pomysłodawca Grameen Banku **dostrzegł bezużyteczność wykładanych przez siebie teorii ekonomicznych wobec realnych problemów najuboższej części społeczeństwa Bangladeszu**. W Jobrze spotkał Sufię Begum – młodą matkę, która zarabiała na życie wyplatając bambusowe stołki. Rozmowa z nią uświadomiła mu, **jak ważne jest zapewnienie ubogim dostępu do usług finansowych**. Zapoczątkowała także formułowanie teorii, która kilka lat później zrewolucjonizowała systemy finansowe w krajach rozwijających się.

Begum do wytworzenia stołków potrzebowała materiałów o wartości 5 taka (0,22 USD), lecz wskutek braku kapitału niezbędnego do tej niewielkiej inwestycji zawierała niekorzystną umowę z dostawcą – pożyczając od niego materiały i zobowiązywała się sprzedać pod koniec dnia gotowe produkty za 50 paisa (0,02 USD). Tak mały dzienny zarobek nie pozwalał na jakiegokolwiek oszczędności. **Brak równowartości 22 centów uniemożliwiał jej zatem wyrwanie się z błędnego koła niekorzystnych umów**.

W ciągu tygodnia naukowiec znalazł w Jobra 42 osoby w podobnej sytuacji. Cała grupa potrzebowała w sumie 856 taka (27 USD), by wyrwać się z zależności od pośredników. Dla ubogich z Jobry jedynym źródłem kapitału na inwestycje było zapożyczenie się u lokalnych lichwiarzy. Takie nieformalne źródło kredytu nie cieszyło się popularnością, ponieważ pozyskawszy nowego klienta lichwiarz robił wszystko, by nie mógł on się uniezależnić.

Z kolei komercyjne banki w Bangladeszu nie uznawały ubogich za godnych zaufania, z uwagi na brak majątku do poręczenia i niskie dochody. Dlatego nie udzielały im pożyczek. Przez wiele lat dominowało przekonanie, że kredyty dla ubogich gospodarstw domowych są skazane na porażkę. Koszty takich transakcji są za wysokie, ryzyko zbyt duże, a oszczędności tych gospodarstw – zbyt małe.

Na przekór tym opiniom, Muhammad Yunus postanowił przekonać menedżera lokalnego banku do eksperymentu polegającego na przyznawaniu ubogim mikrokredytów. Projekt rozpoczął się w 1976 r. Na początku eksperymentem objęty był tylko jeden oddział Krishi Banku w Jobrze. W pierwszym dniu oddział, Grameen, udzielił pożyczek na 52 000 taka (1 500 USD) 24 mieszkańcom wsi. W ciągu kilku miesięcy suma ta zwiększyła się do 15 tys. USD dla 400 osób, z czego ¼ stanowiły

kobiety. Eksperymentalna faza projektu (1977-1979), przeprowadzona w rejonie Chittagong, zakończyła się wielkim sukcesem. Projektem obejmowano coraz to nowe części Bangladeszu, a w październiku 1983 r. Grameen został przekształcony w niezależny bank, który w swą misję wpisał likwidację ubóstwa.

Ideolodzy Grameen Banku uważali, że **biedni pozostają biedni nie dlatego, że nie mają umiejętności lub unikają ciężkiej pracy, lecz przez instytucjonalne rozwiązania, które nie pozwalają wydostać się z ubóstwa**. Pomoc charytatywna, uzależniając ubogich, nie tylko nie rozwiązuje problemu biedy, lecz go pogłębia. Wszyscy ludzie mają potencjał przedsiębiorczości i jedynie, czego potrzebują, to sprzyjających okoliczności, żeby go uwolnić.

Począwszy od lat 80., na całym świecie zaczęły powstawać repliki bengalskiej instytucji, a idea walki z ubóstwem poprzez udzielanie mikropożyczek zyskiwała coraz więcej zwolenników. Jednak przejście od mikrofinansowej ewolucji do dynamicznej rewolucji wyznacza rok 1997, w którym zorganizowany został pierwszy World Microcredit Summit. Uczestniczyło w nim ponad 3000 polityków, szefów organizacji międzynarodowych, działaczy społecznych, ludzi biznesu i przedstawicieli agencji rozwojowych ze 137 krajów. Wyznaczono wówczas cel – zapewnienie do 2005 r. dostępu do mikrokredytu 100 mln najbiedniejszych rodzin na świecie. Zadeklarowano także środki na jego realizację: 21,6 mld dolarów na pomoc w zakładaniu organizacji typu Grameen Bank.

Od tamtej pory mikrokredyt stał się światowym narzędziem walki z ubóstwem. Prof. Muhammad Yunus podczas ceremonii otwarcia World Microcredit Summit podkreślał doniosłość tego momentu: ***Ten szczyt jest okazją do pożegnania się z finansowym apartheidem. Tym szczytem udowodniliśmy, że kredyt to coś więcej niż biznes. Tak jak jedzenie, kredyt jest prawem człowieka.***

Szczyt z 1997 r. rozpoczął proces scalania globalnego ruchu mikrofinansów, który wyszedł naprzeciw olbrzymiemu zapotrzebowaniu na usługi finansowe dla ubogich. W 1998 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ w uznaniu dla roli mikrokredytu w zwalczaniu ubóstwa ogłosiło rok 2005 Międzynarodowym Rokiem Mikrokredytu. Tym samym ONZ uznała mikrokredyt za jeden z głównych środków do osiągnięcia Milenijnych Celów Rozwoju, szczególnie celu nr 1: ***Zmniejszenia o połowę liczby ludzi, których dochód nie przekracza 1 dolara dziennie i zmniejszenia o połowę liczby ludzi, którzy cierpią głód.***

W roku 2007 osiągnięto cel ustanowiony dziesięć lat wcześniej na międzynarodowym szczycie mikrokredytu. Przyjmując, że średnia wielkość rodziny w krajach rozwijających się to pięć osób, oznacza to, że instytucje mikrofinansowe wpłynęły na życie ponad pół miliarda najuboższych ludzi. Pomimo tego, że cel został zrealizowany z dwuletnim opóźnieniem, było to przełomowe osiągnięcie w walce z ubóstwem. Wzrost z 7,6 mln



© Michael Foley, flickr.com/photos/michaelfoleyphotography

klientów w 1997 r. do ponad 106 mln w 2007 r., oznacza, że w ciągu dekady sektor mikrofinansów powiększył się o ponad 1300%.

W 2006 r. prof. Yunus i założony przez niego Grameen Bank otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla. Komitet Noblowski uzasadniał decyzję wielkim wpływem nagrodzonych na życie milionów ludzi oraz pozytywnymi zmianami, które idea mikrokredytu wywołała we współczesnym systemie bankowym. Zanim Yunus wprowadził w życie swą koncepcję, pożyczki dla najbiedniejszych wydawały się czymś nierealnym. W ciągu trzech dekad naukowiec za pośrednictwem Grameen Banku przekształcił mikrokredyty w jeden z najważniejszych instrumentów w walce z ubóstwem. *Trwały pokój nie może być osiągnięty, póki wielkie grupy społeczne nie znajdą drogi ucieczki od ubóstwa. Mikrokredyt jest jedną z tych dróg. Oddolny rozwój społeczeństw służy umacnianiu się demokracji i praw człowieka. Każda jednostka na świecie ma zarówno potencjał, jak i prawo do dostatniego życia. Działając w różnych kręgach kulturowych i cywilizacyjnych Yunus i Grameen Bank udowodnili, że nawet najbiedniejsi z biednych mogą skutecznie pracować dla swojego rozwoju* – usłyszeli uczestnicy ceremonii wręczenia nagrody.

Obecnie na całym świecie działa olbrzymia liczba prywatnych i państwowych, komercyjnych i nie nastawionych na zys instytucji, które mają na celu pomoc ubogim poprzez udostępnianie usług finansowych.

Sektor mikrofinansów nieustannie się rozszerza i działa coraz bardziej profesjonalnie i efektywnie, nawet konwencjonalne banki zaczynają otwierać się na usługi dla ubogich.

Od początku historii mikrokredytu nie brakuje jego krytyków, którzy podważają skuteczność tego narzędzia. Nie zgadzają się oni z podstawowym dla wizji prof. Yunusa twierdzeniem, że każdy człowiek ma w sobie przedsiębiorczy potencjał, który można uwolnić zapewniając mu jedynie środki na inwestycje.

Według wielu ekonomistów, możliwość korzystania z usług mikrofinansowych nie stanowi gwarancji sukcesu nowo powstałego mikroprzedsiębiorstwa. Ich zdaniem, bez powiązań na rynku oraz odpowiednich szkoleń wiele inicjatyw ekonomicznych osób ubogich skazanych jest na porażkę. Ponadto według krytyków wizji prof. Yunusa samozatrudnienie nie stanowi remedium na problem ubóstwa, ponieważ tylko niewielka część społeczeństwa ma tzw. zmysł przedsiębiorczości i jest w stanie prowadzić własną działalność gospodarczą. Dlatego osoby ubogie, zamiast otwierać własne przedsiębiorstwa, zazwyczaj wolą zostać zatrudnione.

Sukces Grameen Banku często przypisywany jest wyjątkowym zdolnościom przywódczym i charyzmie jego założyciela, a nie rewolucyjnym rozwiązaniom nowoczesnego sektora mikrofinansów. Krytycy tego systemu zarzucają mu również uzależnianie ubogich od kredytu, porównując organizacje mikrofinansowe do



© World Economic Forum, flickr.com/photos/worldeconomicforum/4312996007

lichwiarzy. Ponadto, zdaniem przeciwników mikropożyczek nie są one zazwyczaj przeznaczane na inwestycje, lecz na bieżącą konsumpcję, co przyczynia się do wzrostu popytu na dobra oferowane przez zamożniejszych przedsiębiorców i światowe koncerny. Dlatego – ich zdaniem – cały system nie wspiera najuboższych, lecz pomaga umocnić hegemonię bogatych.

Paradoksalnie, z największą krytyką Grameen Bank spotyka się w kraju, o którego rozwój walczy od ponad 30 lat. Przedstawiciele bengalskiego rządu oficjalnie zarzucają Yunusowi nadużycia finansowe oraz brak efektywności jego instytucji. Ich zdaniem, jeśli Grameen Bank faktycznie skutecznie zwalczałby ubóstwo, to po trzech dekadach działalności na tak wielką skalę, Bangladesz nie pozostawałby wciąż jednym z najbiedniejszych krajów świata. Od początku 2011 r. władze prowadzą otwartą wojnę z instytucją prof. Yunusa, do której rozpoczęcia sygnał dały oskarżenia duńskich dziennikarzy o defraudację niemal 100 mln dolarów z dotacji rządu Norwegii. I choć norweskie śledztwo w tej sprawie, o które zaapelował sam podejrzan, nie wykazało żadnych nieprawidłowości, rząd Bangladeszu nie zszedł z wojennej ścieżki. Yunus na początku 2007 r. stwierdził, że dramatyczna sytuacja ekonomiczna Bangladeszu jest wynikiem nieudolności tamtejszych polityków. Prezes Grameen Banku zarzucił im nepotyzm, korupcję, egoizm i krótkowzroczność w działaniu. Od tamtego czasu nie mógł liczyć na przychylność miejscowej klasy rządzącej. W marcu 2011 r. decyzją Sądu Najwyższego został usunięty ze stanowiska prezesa Grameen Banku. Oficjalnym powodem był jego wiek – zgodnie z bengalską konstytucją, 71-latek powinien przejść na emeryturę 11 lat temu.

Oprócz zarzutów skierowanych pod adresem Grameen Banku, nie brak również krytycznych uwag co do samego systemu mikrofinansowego. Jednym z głównych zastrzeżeń jest wysokość oprocentowania pożyczek. Te oferowane przez Grameen Bank oprocentowane są zazwyczaj w wysokości ok. 20%, lecz na świecie

nie brak instytucji, gdzie ów wskaźnik znacznie przekracza 30%. Tak wysokie oprocentowanie mikrokredytu usprawiedliwiane jest specyfiką sektora, która implikuje znaczną liczbę transakcji o niewielkiej wartości. Koszty administracyjne są więc znacznie wyższe niż w tradycyjnych bankach, co rekompensowane jest wysokim oprocentowaniem. Nie ulega jednak wątpliwości, że taka praktyka stwarza duże pole do nadużyć wobec najuboższych, którzy pozbawieni są innych źródeł finansowania.

Istnieje również pewien dysonans między ideami, które zapoczątkowały nowoczesny system mikrokredytowy, a rzeczywistością. W większości przypadków najubożsi z ubogich (*poorest of the poor*) nadal znajdują się poza zasięgiem usług finansowych. Instytucje mikrofinansowe kierują produkty przeważnie do osób, które już prowadzą jakąś działalność gospodarczą. W praktyce mikrokredyt sprawia, że „biedni stają się odrobinę zamożniejsi”, natomiast osoby najuboższe pozostają ekonomicznie marginalizowane. „Finansowy apartheid”, którego upadek prof. Yunus ogłosił w 1997 r., nadal istnieje.

W odpowiedzi na te zarzuty w 2003 r. Grameen Bank wprowadził tzw. *beggar loan* – nieoprocentowany mikrokredyt przeznaczony dla osób, których jedynym źródłem dochodu jest jałmużna. Produkt nadal znajduje się w fazie eksperymentalnej, jednak dotychczasowe wyniki (m.in. stopy zwrotu oraz wpływ na status materialny beneficjentów) są optymistyczne.

Najpoważniejszym oskarżeniem wobec współczesnego systemu mikrofinansowego jest wykorzystywanie najuboższych, których wpędza w spiralę długów zamiast emancypować ekonomicznie. Na początku 2011 r. świat obiegły doniesienia o fali samobójstw klientów indyjskich instytucji mikrofinansowych. Od tego czasu coraz częściej dało się słyszeć, że idea, za którą prof. Yunus został wyróżniony Nagrodą Nobla, jest zakamuflowaną formą lichwy.

Weryfikacja takiego zarzutu nie jest możliwa bez analizy pierwotnej idei mikrokredytu i zmian, jakie w niej zaszły w ciągu 30 lat. Po pierwsze, w założeniu mikrokredyt przeznaczony był przede wszystkim dla kobiet. Według Yunusa, koncentrowanie się na udzielaniu pożyczek kobietom ma nie tylko kluczowe znaczenie dla równouprawnienia płci, lecz jest również poparte przesłankami ekonomicznymi. Z doświadczeń Grameen Banku wynika, że kredyt udzielany kobietom jest wykorzystywany efektywniej. Kobiety lepiej radzą sobie podczas procesu samozatrudnienia, dlatego przyznawane im środki szybciej przyczyniają się do poprawy sytuacji materialnej rodzin. Ponadto, kobiety częściej inwestują w gospodarstwo domowe oraz w edukację dzieci. Dlatego kredyt korzystnie wpływa na sytuację ekonomiczną całej rodziny oraz gospodarstwa domowego, a nie tylko osoby kredytobiorcy, co często zdarza się w przypadku środków przyznawanych mężczyznom.

Po drugie, główną formą zabezpieczenia spłaty mikrokredytu nie jest poręczenie majątkowe. Co więcej, w systemie zaprojektowanym przez prof. Yunusa osoby, którym nie udaje się spłacić zobowiązań, nie ponoszą konsekwencji prawnych. Współpraca Grameen Banku z klientami opiera się przede wszystkim na zaufaniu oraz stałym i bliskim kontakcie. Dlatego w przypadku problemów ze spłatą bank renegocjuje warunki umowy (zmniejsza raty, wydłuża czas spłaty). Jeśli i to nie przyniesie skutku, kredyt zostaje odpisany bez możliwości egzekucji komorniczej lub udziału bengalskiego aparatu wykonawczego.

Poza tym w systemie wymyślonym przez Yunusa to nie klienci przychodzą do banku, lecz bank wychodzi do klienta. Dzięki temu pracownicy instytucji mikrofinansowych mogą upewnić się, że mikrokredyt przeznaczony jest na cel inwestycyjny, a nie konsumpcyjny. Poprzez częste kontakty z klientem oraz wywiady środowiskowe bank dba, aby jego klienci nie zadłużali się w kilku instytucjach jednocześnie oraz nie spłacali rat kredytu poprzez zaciąganie kolejnego.

Instytucje mikrofinansowe, które odpowiedzialne są za falę samobójstw swoich klientów, łączy z takim modelem jedynie niewielka wysokość kredytu. Troszczyć się one wyłącznie o zysk z działalności pożyczkowej, dlatego śrubują oprocentowanie oraz stosują agresywne metody ściągania należności, całkowicie pomijając wszystkie zasady, na których zbudowany został system mikrofinansów. Muhammad Yunus nazywa je *wilkami w owczej skórce, które pod szyldem pomocy ubogim niszczą reputację całego sektora*.

Jego zdaniem, wydarzenia z początku 2011 r. nie są wynikiem błędnej koncepcji systemu mikrofinansów, lecz patologicznych zmian, jakie zaszły w nim przez koncentrowanie się tylko na jednym celu – maksymalizacji zysku. *Nie jesteśmy cierpliwi. Nie jesteśmy powściągliwi. Nie potrafimy się postawić w sytuacji drugiego człowieka. Wykorzystujemy go do robienia pieniędzy. To nas oślepia w świecie, w którym liczy się głównie pieniądź. Musimy zacząć widzieć ludzi, nie zysk* – przekonywał Yunus w jednym z wywiadów.

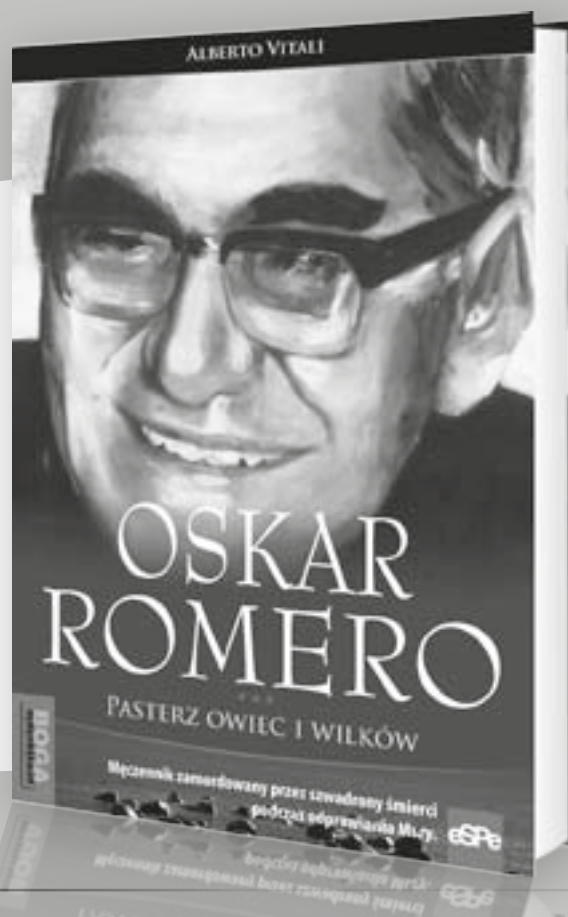
Nie ulega wątpliwości, że działalność organizacji mikrofinansowych powinna być rentowna. Odróżnia ją to od pomocy charytatywnej i ma ścisły związek z nie-spotykaną dotąd w polityce rozwojowej skutecznością. Jednak coraz częściej koncept stanowiący fundament całego systemu jest zniekształcany i wykorzystywany przez instytucje, dla których walka z biedą pozostaje pustym zapisem w statucie. Ostatnie 30 lat pokazało, że mikrokredyt stanowi niezwykle skuteczną broń w walce z biedą, lecz jest to broń obosieczna – instytucje mikrofinansowe zamiast emancypować najuboższych mogą również pogłębiać zjawisko ubóstwa.

Skuteczność produktów mikrofinansowych zależy od równowagi pomiędzy ekonomicznymi i społecznymi celami instytucji, które je oferują. Dlatego warunkiem koniecznym stabilnego rozwoju sektora mikrofinansów jest zahamowanie jego komercjalizacji. Instytucje mikrofinansowe muszą na powrót bardziej koncentrować się na najuboższych niż na chęci zysku.

PIOTR CHMIELEWSKI

Biografia obrońcy ubogich, który został zamordowany przez szwadrony śmierci.

Portret prawdziwego świadka Ewangelii, który pomimo gróźb i szykan nie wahał się krytykować rządzących i bogatych, występując w obronie prześladowanych i wyzyskiwanych. Za swoją niezłomną postawę zapłacił życiem. Zginął męczeńską śmiercią z rąk nasłanych przez rządzącą juntę siepaczy w trakcie odprawiania mszy. Błyskotliwa, wciągająca narracja tej biografii przedstawia życie bohatera na tle politycznych i społecznych wydarzeń jego czasów, „zanurzone w zapachu, zgiełku i sprzecznościach historii”, jak napisał w posłowniu Angelo Casati.



przylacie
BOGA

Kapitalizm i przekleństwo wydajności energetycznej

JOHN BELLAMY FOSTER · BRETT CLARK · RICHARD YORK

Przekleństwo wydajności energetycznej, znane jako paradoks Jevonsa, to zjawisko opisane po raz pierwszy przez Williama Stanleya Jevonsa w XIX w. Zjawisko polega na tym, że wzrost wydajności energetycznej, a także bardziej wydajne wykorzystywanie zasobów, nie prowadzi do zachowania tychże, lecz do ich zwiększonego zużycia.

Chociaż teoria ta była zapomniana przez większą część XX wieku, w ostatnich dziesięcioleciach została odkryta na nowo i jest istotnym głosem w debacie dotyczącej ochrony środowiska.

Wiek XIX był wiekiem węgla. To właśnie węgiel napędzał brytyjski przemysł, a więc i całe Imperium. W 1863 r. przemysłowiec sir William George Armstrong w mowie skierowanej do Brytyjskiego Stowarzyszenia Popierania Rozwoju Nauki zastanawiał się, czy wiodąca w skali świata pozycja Wielkiej Brytanii w produkcji przemysłowej nie jest zagrożona perspektywą wyczerpania się dostępnych rezerw węgla. W tamtych czasach nie prowadzono jeszcze rozległych badań na temat zużycia węgla i jego wpływu na wzrost gospodarczy.

Odpowiedzi Armstrongowi udzielił William Stanley Jevons, jeden z twórców neoklasycznej szkoły ekonomii, w książce „Problem węgla. Rozwój narodowy a prawdopodobne wyczerpanie się zasobów naszych kopalń” („The Coal Question: An Inquiry Concerning the Progress of the Nation, and the Probable Exhaustion of Our Coal-Mines”, 1865). Jevons twierdził, że rozwój brytyjskiego przemysłu jest uzależniony od taniego węgla. Wzrost cen surowca – spowodowany koniecznością sięgania po niego coraz głębiej – doprowadzi prawdopodobnie „w ciągu jednego pokolenia” do utraty „dominacji handlowej i produkcyjnej”,

a „w ciągu stulecia” do „bezruchu” w gospodarce. Nie zmieni tego jego zdaniem ani postęp technologiczny, ani zastępowanie węgla innym źródłem energii.

Książka Jevonsa zyskała szeroki rozgłos. John Herschel, ważna postać brytyjskiej nauki, zgadzał się z Jevonsem, pisząc: *W stale rosnącym tempie trwonimy nasze zasoby i podwyższamy poziom życia – prędzej czy później musi nadejść straszny dzień zapłaty*. W kwietniu 1866 r. John Stuart Mill chwalił „Problem węgla” w Izbie Gmin, skłaniając się jednocześnie ku pomysłowi Jevonsa, by w odpowiedzi na kurczenie się złóż tego ważnego surowca zmniejszyć dług publiczny. Sprawę podjął również ówczesny minister skarbu William Gladstone, który wezwał parlament do działań na rzecz zmniejszenia zadłużenia, uzasadniając to obawą przed rychłym wyczerpaniem się zasobów węgla. Nic zatem dziwnego, że książka Jevonsa szybko stała się bestsellerem.

W swoich obliczeniach autor jednak bardzo się pomylił. Produkcja węgla w Wielkiej Brytanii zwiększyła się w ciągu 30 lat od publikacji książki – wraz ze wzrostem popytu – ponad dwukrotnie. W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych wzrosła ona dziesięciokrotnie, pozostając jednak nadal na poziomie niższym niż w Wielkiej Brytanii. Mimo to, na przełomie wieków nie wybuchła żadna panika na tle obaw przed



© anbar, flickr.com/photos/54625520@N00/353214613

wyczerpaniem się dostępnych zasobów surowca. Zasadniczym błędem Jevonsa - w którym nie był osamotniony wśród wybitnych postaci swoich czasów - była nieumiejętność przewidzenia takich alternatywnych źródeł energii dla przemysłu, jak ropa naftowa czy elektrownie wodne. W 1936 r., siedemdziesiąt lat po sensacji, jaką w parlamencie wzbudziła książka Jevonsa, John Maynard Keynes odniósł się do wizji autora, oceniając, że prognozy na temat spadku dostępności węgla były *naciągane i przesadzone*. Można by jeszcze dodać, że perspektywa Jevonsa była dość wąska.

Paradoks Jevonsa

Sam paradoks Jevonsa jest jednak w ekonomii ekologicznej wciąż uważany za przełomowy. W rozdziale siódmym „Problemu węgla”, zatytułowanym „O ekonomii paliwa”, Jevons odniósł się do popularnego poglądu, że *nowe, bardziej efektywne i oszczędne sposoby wykorzystania węgla rozwiążą problem zmniejszającej się dostępności tego surowca, oraz że pożytek z węgla można zwielokrotnić, utrzymując jego zużycie na takim samym poziomie lub nawet je zmniejszając*. Jevons zdecydowanie odrzucił ten pogląd, stwierdzając, iż **bardziej efektywne wykorzystywanie węgla prowadzi - wbrew temu, czego można by się spodziewać - jedynie do zwiększonego popytu na ten surowiec**.

Wraz ze wzrostem wydajności następuje bowiem dalsza ekspansja ekonomiczna. *To wielkie nieporozumienie przypuszczać, że oszczędne wykorzystywanie paliwa równa się jego zmniejszonemu zużyciu. Jest wprost odwrotnie. Nowe, bardziej ekonomiczne sposoby gospodarowania prowadzą do zwiększonego zużycia danego zasobu. Pokazują to doświadczenia z wielu podobnych przypadków. [...] Tym bardziej tyczy się to tak powszechnie wykorzystywanego surowca jak węgiel. To właśnie bardziej efektywne gospodarowanie węglem prowadzi do jego zwiększonego zużycia* - pisał.

Opisując szczegółowo rozwój silników parowych, autor „Problemu węgla” wskazywał, iż każde usprawnienie w ich produkcji sprawiało, że były bardziej wydajne pod względem termodynamicznym. Wraz z ulepszeniami wzrastało jednak zużycie węgla. Silnik Savery’ego, jeden z pierwszych silników parowych, miał tak niską wydajność, że - jak stwierdził Jevons - *nie opłacało się go używać; jego współczynnik spalania był tak wysoki, że nie zużywał on węgla wcale*. Kolejne modele, takie jak słynna maszyna parowa Watta, były bardziej wydajne, co sprawiało, że zapotrzebowania na węgiel rosło. *Za każdym razem, gdy do użytku została wprowadzona ulepszona maszyna, zużycie węgla wzrasta. Jest to bowiem bodziec dla każdej gałęzi przemysłu - praca robotników zastępowana jest przez pracę maszyn,*

a duże przedsięwzięcia, które wcześniej były nieopłacalne ze względu na wysoki koszt energii parowej, mogą zostać zrealizowane.

Chociaż Jevons uważał, że paradoks ten dotyczy nie tylko węgla, w swej książce skoncentrował się właśnie na tym surowcu, który postrzegał jako główny czynnik industrializacji i bodziec dla branż dóbr inwestycyjnych. Węgiel był nie tylko paliwem dla nowoczesnych silników parowych. W połowie XIX w. stanowił także główny surowiec wykorzystywany w wielkich piecach wytapiających żelazo – najważniejszy produkt przemysłu i fundament dominacji gospodarczej¹. Z racji ogromnego rozwoju tej branży, w 1870 r. Wielka Brytania, nazywana „warsztatem świata”, odpowiedzialna była za produkcję mniej więcej połowy żelaza na ziemi. Wzrost wydajności w wykorzystaniu węgla sprawił, że można było wyprodukować więcej żelaza. To doprowadziło do rozwoju całego przemysłu, a więc do wzrostu zapotrzebowania na węgiel.

Jevons ujął to w następujący sposób: *Jeśli ilość węgla zużywanego w wielkim piecu zmniejszy się w stosunku do ilości gotowego produktu, zysk sektora wzrośnie, przyciągnie to nowy kapitał, cena surowki spadnie, ale popyt na nią wzrośnie. Wraz ze wzrostem liczby pieców – mimo większej wydajności każdego z nich – zużycie węgla zwiększy się. Nawet jeśli nie zawsze dzieje się tak w przypadku pojedynczej gałęzi przemysłu, należy pamiętać, że rozwój dowolnej gałęzi jest bodźcem dla nowej aktywności w większości pozostałych. To prowadzi pośrednio, jeśli nie bezpośrednio, do zwiększonego wydobycia naszego węgla.*

Takie spostrzeżenie było wówczas niezwykle istotne. Zdawano sobie bowiem sprawę, że rozwój przemysłowy uzależniony jest od możliwości taniej produkcji żelaza. Mniejsza ilość węgla potrzebnego w piecach oznaczała ekspansję przemysłową, zwiększenie zdolności produkcyjnej, zawładnięcie nowymi rynkami, a także – w efekcie – wzrost zapotrzebowania na czarne złoto. W 1869 r. zużycie węgla przez brytyjski przemysł żelazny i stalowy wynosiło 32 miliony ton i przekraczało poziom jego łącznego zużycia w produkcji ogólnej (28 mln ton) oraz na potrzeby kolei (2 mln ton)².

Była to era kapitału i przemysłu. O sile gospodarki decydowała wówczas ilość produkowanego węgla i surowki. Produkcja węgla i żelaza rosła w tym czasie w Wielkiej Brytanii w jednakowym tempie – pomiędzy 1830 a 1860 r. potroiła się. Jak stwierdził Jevons: *Zaraz po węglu [...] fundamentem naszej potęgi jest żelazo. To kręgosłup naszego systemu wytwórczego. Pisarze polityczni słusznie uznawali wynalezienie wielkiego pieca na węgiel za najważniejsze źródło naszego bogactwa [...] Produkcja żelaza, surowca, z którego zbudowane są nasze maszyny, jest najlepszym miernikiem naszego bogactwa i potęgi.*

Czytając książkę Jevonsa nie można nie dostrzegać wpływu, jaki na przemysł miałyby bardziej wydajne użycie węgla i jego zwiększone wydobycie, do którego

by w rezultacie doszło. *Ekonomiczność* – pisał Jevons – pomnaża wartość i wydajność naszego najważniejszego surowca; nieskończenie zwiększa nasze bogactwa i ilość środków potrzebnych do życia, prowadzi do wzrostu populacji, rozwoju naszych manufaktur i handlu – to wszystko daje nam w tym momencie zadowolenie, ale nie będzie trwało wiecznie.

Prawo naturalne

Opisując węgiel jako „najważniejszy surowiec” dla brytyjskiego przemysłu, Jevons zwrócił uwagę na zastąpienie jednego „produktu podstawowego dla przemysłu” przez inny. Wielki spór wokół ustaw zbożowych pokazał (zwracał na to uwagę już m.in. ojciec Jevonsa, Thomas), że niższa cena produktu podstawowego napędza popyt i ostatecznie prowadzi do niedoborów, co w przypadku zboża oznaczało konieczność jego importu. Pod koniec XIX w. o niedoborze w sensie maltuzjańskim mówiono już jednak nie w kontekście zboża, lecz węgla.

Jevons postawił w swojej książce tezę – zwracał uwagę Keynes – że warunkiem utrzymania dobrobytu i przywództwa gospodarczego przez Wielką Brytanię jest stały rozwój przemysłu ciężkiego, co przełoży się na geometryczny wzrost zapotrzebowania na węgiel. Jevons zaproponował tę zasadę jako uzupełnienie statycznej teorii zasobów Malthusa i nazwał ją naturalnym prawem rozwoju społecznego [...] Stąd już tylko krok do zastąpienia w teorii Malthusa zboża węglem.

Jevons podkreślał, że o ile liczba ludności wzrosła od początku XIX w. czterokrotnie, to zużycie węgla wzrosło szesnastokrotnie. Wzrost produkcji węgla był jego zdaniem konieczny dla szybkiego rozwoju przemysłowego, który prędzej czy później musi się skończyć. Autor „Problemu węgla” nie poświęcił uwagi zasadniczej sprzeczności, która jest sednem opisywanego przez niego paradoksu – dynamice akumulacji lub rozszerzonej reprodukcji, właściwym dla kapitalizmu. Jako jeden z pierwszych ekonomistów neoklasycznych, Jevons w odróżnieniu od ekonomistów klasycznych nie skupiał się na klasach i akumulacji. Jego analiza ekonomiczna przybrała formę statycznej teorii równowagi. Jevonsowi brakowało zatem odpowiedniego aparatu pojęciowego, by poradzić sobie z problemami akumulacji i wzrostu gospodarczego.

Przyrost liczby ludności, rozwój przemysłu, a także wzrost zapotrzebowania na węgiel (jako głównego surowca w przemyśle) był zdaniem Jevonsa, który bazował na teorii Malthusa, po prostu wynikiem abstrakcyjnego „naturalnego prawa rozwoju społecznego”. Autor „Problemu węgla” postrzegał kapitalizm nie jako pewien twór społeczny, lecz w kategoriach czegoś naturalnego. Nic więc dziwnego, że wytłumaczenia wciąż rosnącego popytu szukał on w jednostkowym zachowaniu, maltuzjańskiej demografii i mechanizmie cenowym. Zamiast skupić się na motywie zysku, odwoływał się do abstrakcyjnego prawa siły, sformułowanego

przez Justusa von Liebiga: *Cywilizacja, twierdzi baron Liebig, to ekonomia siły, a naszą siłą jest węgiel*. Jevonsowi brakowało też realistycznego spojrzenia na ekonomię i społeczeństwo kapitalistyczne. Świadczy o tym fakt, że siły stymulujące ekspansję gospodarczą i industrializację – a więc prowadzące do wzrostu zapotrzebowania na węgiel – przedstawił on, o dziwo, jako słabe i nierozwinięte.

Przemysłowa dominacja – tak, zrównoważony rozwój – nie

Jevons nie przejmował się ekologią. Zamiast tego martwiła go perspektywa utraty przez Wielką Brytanię dominującej pozycji na świecie. Chociaż poświęcił dużo uwagi problemowi kurczenia się zasobów, nie zastanawiał się nad konsekwencjami, jakie dla środowiska będzie miało wyczerpanie się zasobów energii. Ignorował nawet spowodowane przez produkcję węgla zanieczyszczenie powietrza, ziemi i wody. Milczał również w kwestii chorób zawodowych i niebezpieczeństw czyhających na robotników kopalni i fabryk, w których jest on spalany.

Jevons zakładał po prostu, że masowa degradacja powierzchni ziemi jest czymś naturalnym. Chociaż perspektywa wyczerpania się węgla prowokowała pytanie o możliwość zatrzymania wzrostu gospodarczego, autor ten nie podjął nigdy kwestii zrównoważonego rozwoju. Odnawialne źródła energii, jak woda i wiatr, były w opinii Jevonsa niepewne, ograniczone do konkretnego czasu i przestrzeni. Gospodarka musi jego zdaniem przecież pozostawać w ciągłym ruchu. Węgiel zapewniał natomiast kapitałowi uniwersalne źródło energii zasilające produkcję i nie zakłócające dotychczasowego modelu działalności.

Autor „Problemu węgla” nie znał odpowiedzi na opisany przez siebie paradoks. Wielka Brytania mogła postąpić ze swoim tanim źródłem energii na dwa sposoby: zużyć węgiel szybko lub wolniej. Jevons opowiadał się za pierwszym rozwiązaniem: *Jeżeli będziemy ponadprzeciętnie pomnażać nasze bogactwa, zarówno materialne jak i intelektualne, trudno nie docenić korzystnego wpływu, jaki obecnie możemy wywierać [na resztę świata]. Utrzymanie takiej pozycji jest jednak fizycznie niemożliwe. Musimy dokonać historycznego wyboru pomiędzy krótkotrwałą, ale prawdziwą potęgą, a długotrwałą przeciętnością.*

Jeżeli stawia się sprawę w taki sposób, wiadomo, co wybrać: ścieżkę chwały dziś i drastyczne obniżenie poziomu życia jutro. Jevons nie wiedział jak zaradzić nieuniknionemu i szybkiemu – jak sam twierdził – wyczerpaniu się krajowych złóż węgla. Brytyjski kapitał i rząd nie widziały zaś alternatywy dla *business as usual*. Ostatecznie, co ciekawe, książka Jevonsa posłużyła jako argument na rzecz ograniczenia zadłużenia państwa. W obliczu spodziewanego zahamowania wzrostu gospodarczego miał to być środek zapobiegawczy. Jak pisał Keynes: *Teza, że trwonimy nasz kapitał naturalny*

sprowokowała nieracjonalną reakcję, iż potrzebne jest szybkie obniżenie długu publicznego martwego.

Cała uwaga świata polityki skupiła się, jak na ironię, na przedostatnim rozdziale książki Jevonsa, zatytułowanym „Podatki i dług narodowy”. Jevons oraz inne osoby podzielające jego pogląd, jak Mill czy Gladstone, nigdy nie opowiedzieli się za zachowaniem złóż węgla. Engels pisał w jednym z listów do Marksa, że przemysłowy kapitalizm *trwoni energię słoneczną z przeszłości, czego dowodem jest, że marnotrawi on nasze zapasy energii, nasz węgiel, kruszec, lasy itd.* W analizach Jevonsa próżno szukać podobnych tez. Obcy był mu pogląd, że społeczne stosunki produkcji powinny być kształtowane nie przez pogoń za zyskiem, lecz przez ludzkie potrzeby oraz społeczną i ekologiczną równowagę. Użycie innych niż węgiel paliw kopalnych (jak ropa i gaz ziemny) oraz elektrowni wodnych, a także wykorzystywanie zasobów całej planety, sprawiło, że problemy, które przewidział Jevons, zostały odsunięte w czasie. Dziś, gdy stajemy przed globalnym problemem ekologicznym, paradoks Jevonsa powraca.

Ponowne odkrycie paradoksu Jevonsa

Paradoks Jevonsa był zapomniany przez trzy czwarte XX w. – w erze ropy naftowej. Powrócił w latach 70. wraz z rosnącym niepokojem wywołanym perspektywą wyczerpania się zasobów. Obawy te przybrały na sile podczas kryzysu naftowego lat 1973–74. Wraz z wprowadzeniem pomiarów efektywności energetycznej, ekonomiści zaczęli zastanawiać się nad ich skutecznością. To sprawiło, że **na przełomie lat 70. i 80. ponownie zwrócono uwagę na zasadniczą w paradoksie Jevonsa kwestię, którą nazwano efektem zwrotnym.**

Jest to pogląd, że wraz ze wzrostem wydajności produkcyjnej cena efektywna danego towaru spada, co prowadzi do zwiększonego popytu na ten towar. W ten oto sposób korzyści z wzrostu wydajności nie przekładają się na zmniejszenie zużycia towaru. Paradoksem Jevonsa nazywano często skrajną postać efektu zwrotnego, gdzie wraz z „oszczędnościami w produkcji” następuje nie spadek, lecz wzrost zużycia danego zasobu. Optymiści przekonywali, że efekt zwrotny jest niewielki, co oznacza, iż problemy ekologiczne można rozwiązać w dużej mierze dzięki innowacjom technicznym. Doprowadzą one do bardziej wydajnego zużycia energii i surowców (dematerializacja). Istnieją jednak mocne dowody na to, że efekt zwrotny jest znaczny.

Na przykład techniczne usprawnienia w pojazdach silnikowych doprowadziły po 1980 r. w USA do 30-procentowego wzrostu średniej liczby mil przejechanych na jednym galonie paliwa. Całkowite zużycie energii przez te pojazdy jednak nie spadło. O ile zużycie paliwa przez jeden pojazd pozostało na tym samym poziomie, o tyle wzrost wydajności sprawił nie tylko, że zwiększyła się liczba samochodów i ciężarówek na drogach (i przebytych mil), ale też ich wielkość i osiągi (przyspieszenie, prędkość itd.). Na autostradach

w USA królują teraz samochody sportowo-użytkowe (SUV) i minivany.

W skali makro paradoks Jevonsa ujawnia się w tym, że chociaż wydajność energetyczna (oszczędność zużycia prądu przez dane urządzenia) w Stanach Zjednoczonych po 1975 r. wzrosła dwukrotnie, drastycznie zwiększyło się zużycie energii. Juliet Schor zauważa, że przez ostatnie 35 lat: *zużycie energii na dolara PKB zmniejszyło się o połowę. Zapotrzebowanie na energię, zamiast spaść, wzrosło jednak o 40%. Warto dodać, że popyt wzrasta najszybciej w tych sektorach, w których odnotowano największy wzrost wydajności – w transporcie i gospodarstwach domowych. Wydajność lodówek zwiększyła się o 10%, ale liczba tych urządzeń wzrosła o 20%. W lotnictwie zużycie paliwa na milę spadło o ponad 40%, lecz w związku ze wzrostem liczby osobomil, całkowite zużycie paliwa wzrosło o 150%. Podobnie wygląda sytuacja w przypadku samochodów. Wzrostowi popytu towarzyszył zaś wzrost emisji dwutlenku węgla – w tych dwóch sektorach wyniósł on 40%.*

Ekonomiści i ekolodzy, którzy próbują ocenić bezpośredni wpływ wydajności na obniżenie ceny i występowanie efektu zwrotnego, uważają zazwyczaj, że ów efekt jest stosunkowo niewielki. Ich zdaniem, wynosi on 10-30% w branżach, w których zużywane jest dużo energii, takich jak chłodnictwo i ciepłownictwo czy motoryzacja. Gdy jednak weźmie się pod uwagę pośrednie efekty na poziomie makro, paradoks Jevonsa okazuje się bardzo istotny. To właśnie na poziomie makro dają się we znaki efekty skali – **zwiększenie wydajności energetycznej może obniżyć efektywny koszt różnych produktów, napędzając całą gospodarkę i zwiększając całkowite zużycie energii.** Mario Giampietro i Kozo Mayumi, ekonomiści zajmujący się ekologią, twierdzą, że paradoks Jevonsa może być zrozumiany tylko poprzez model makroewolucyjny, gdzie lepsza wydajność prowadzi do zmian w tablicach przepływów, co ostatecznie prowadzi do wzrostu skali i tempa systemu jako całości.

Analizy paradoksu Jevonsa są zazwyczaj dość ogólne. Autorzy skupiają się w nich na pojedynczych skutkach technologicznych, nie uwzględniając kontekstu historycznego. Tak samo jak Jevons, ignorują oni charakter industrializacji. Brakuje im również realistycznego spojrzenia na rozwój kapitalistyczny, napędzany przez akumulację. **System ekonomiczny nastawiony na zysk, akumulację i ekspansję, będzie bez końca wykorzystywał każdy wzrost wydajności oraz każdą redukcję kosztów, by zwiększyć skalę produkcji.** Technologiczna innowacyjność jest podporządkowana tym samym ekspansywnym celom. Każdy ze sztandarowych wynalazków wieków XVIII, XIX i XX (tj. silnik parowy, kolej, samochód) był dlatego przełomowy, że stymulował akumulację kapitału i prowadził do wzrostu całej gospodarki. Efekty skali, będące rezultatem ich rozwoju, z konieczności przewyższyły wzrost wydajności technologicznej. Zachowanie zasobów jest co

prawda w kapitalizmie niemożliwe, stosunek wyjście/wejście może jednak w procesie produkcji danego dobra zostać zwiększony. Dzieje się tak, ponieważ wszystkie oszczędności są bodźcem dla dalszych inwestycji, oczywiście jeśli dostępne są rynki zbytu. Prawdopodobnie ta dotyczy zwłaszcza zasobów o zasadniczym znaczeniu dla przemysłu – „produktów podstawowych”, jak pisał Jevons.

Mit dematerializacji

Paradoks Jevonsa to wytwór systemu kapitalistycznego, który w skali makro jest niezdolny do zachowania zasobów naturalnych. System ten dąży wciąż do maksymalizacji przepływu energii i materiału – od źródła do ścieku. Energia zaoszczędzona w kapitalizmie, wykorzystywana jest na dalszy jego rozwój. Jak ujął to Alfred Lotka, **zamiast minimalnej produkcji energii, system ten powoduje jej „maksymalną cyrkulację”.** **Bezwzględna oszczędność energii (w odróżnieniu od względnej) nie leży w naturze kapitalizmu.** System ten zaprzedał się bogom produkcji i zysku. Jak szydził Marks: *Akumulujcie, akumulujcie! Tak rzeczce Mojżesz i prorocy!*

Jeżeli spojrzymy na paradoks Jevonsa w kontekście społeczeństwa kapitalistycznego, zobaczymy, iż demaskuje on współczesny mit, że problemy ekologiczne trapiące ludzkość mogą zostać rozwiązane wyłącznie dzięki technologii. Ekonomiści ekologiczni głównego nurtu odwołują się często do zjawiska „dematerializacji” lub „rozdzielenia” (ang. *decoupling*) wzrostu gospodarczego od zużycia energii i zasobów. Wzrost wydajności energetycznej jest często traktowany jako żelazny dowód na to, że problemy ochrony środowiska przechodzą do przeszłości. Oszczędności materiału i energii w kontekście danego procesu produkcji nie są, jak widzieliśmy na powyższych przykładach, czymś nowym; są one wpisane w rozwój kapitalizmu. Każdy nowy silnik parowy, podkreślał Jevons, był bardziej wydajny od poprzedniego. Jak zauważył socjolog ochrony środowiska, Stephen Bunker, *Działania mające na celu oszczędność surowców są starsze niż rewolucja przemysłowa i ewoluowały na przestrzeni dziejów kapitalizmu.*

Każdy pogląd, że wyższa wydajność energetyczna zazwyczaj prowadzi do oszczędności energii, nie bierze pod uwagę faktu, na który zwracał uwagę Jevons. **To, co zostaje zaoszczędzone, służy dalszym inwestycjom i mnożeniu towarów, co z kolei prowadzi do zwiększonego zapotrzebowania na zasoby.** Fakt, że wzrost wydajności skutkuje zwiększeniem zużycia energii i surowców, nie jest w „systemie władzy kapitału” czymś nadzwyczajnym. Jak stwierdzają autorzy „Wagi narodów” („The Weight of Nations”, 2000), ważnego dzieła prezentującego badania na temat przepływów materiałowych w ostatnich dekadach w pięciu krajach przemysłowych (Austrii, Niemczech, Holandii, USA i Japonii), *Wzrosty wydajności, będące efektem rozwoju*

technologii i nowych sposobów zarządzania, były równoważone przez skalę wzrostu gospodarczego.

W efekcie mamy do czynienia z wciąż rosnącymi górami towarów, zmniejszającymi się kosztami jednostkowymi i jeszcze większym marnotrawstwem zasobów. W kapitalizmie monopolistycznym towarom nadawana jest sztuczna wartość użytkowa – substytut dla autentycznych ludzkich potrzeb. Odpowiada za to potężna machina marketingowa, a celem jest zwiększenie popytu na te towary i wzrost znaczenia ich wartości wymiennych dla konsumentów. Produkcja zbytecznych dóbr służy jedynie osiągnięciu lepszych wyników ekonomicznych i odbywa się kosztem środowiska naturalnego. W obecnym systemie każda próba zahamowania procesu degradacji środowiska oznacza jednak ekonomiczną katastrofę.

Zdaniem Jevonsa, „historyczny wybór” w warunkach *business as usual* jest prosty: albo „krótkotrwała, ale prawdziwa potęga”, albo „długotrwała przeciętność”. Jevons opowiadał się za pierwszą opcją – maksymalną cyrkulacją energii. Półtora wieku później w naszej dużo większej, bardziej globalnej gospodarce stawką w grze nie jest już tylko narodowa supremacja, lecz los całej planety. Oczywiście są tacy, którzy utrzymują, że powinniśmy „żyć na wysokiej stopie i pozwolić, by przyszłe pokolenia same o siebie zadbały”. Taka ścieżka prowadzi jednak do globalnej katastrofy. Jedynym skutecznym rozwiązaniem dla ludzkości (w tym przyszłych pokoleń) i całej planety jest zmiana społecznych stosunków produkcji i stworzenie systemu, w którym wydajność nie jest już przekleństwem – lepszego systemu, w którym równość, rozwój społeczny, wspólnota i zrównoważony rozwój są najwyższymi celami.

JOHN BELLAMY FOSTER

BRETT CLARK

RICHARD YORK

tłum. Mateusz Batelt

Przedruk za „Monthly Review”, listopad 2010 r. Poczyniono drobne skróty oraz pominięto większość przypisów, przeważnie mających charakter stricte bibliograficzny i odnoszących się do literatury anglojęzycznej.

Przypisy:

1. Jeszcze w 1842 r. piece w brytyjskich domach odpowiadały za $\frac{2}{3}$ krajowego zużycia węgla. Gdy Jevons pisał książkę dwie dekady później – już tylko za $\frac{1}{5}$. Dlatego autor „Problemu węgla” nie poświęcił temu dużo uwagi. Skoncentrował się zaś na wykorzystaniu węgla w przemyśle – głównym źródle popytu na ten surowiec. Pisał on: *Nie mówię tu o zużyciu węgla w gospodarstwach domowych. Można je bowiem zredukować, a jedyna szkoda byłaby taka, że zmniejszyłaby się nasza wygoda i zmieniły nasze narodowe przyzwyczajenia.*
2. Do 1903 r. proporcje te zmieniły się – zużycie węgla przez przemysł żelazny i stalowy wyniosło 28 mln ton (mniej niż w czasach Jevonsa), w produkcji ogólnej wzrosło do 53 mln ton, a na potrzeby kolei do 13 mln ton.



Polska satelicka

JERZY WAWROWSKI

Satelickość jako stan i postawę zwykło się u nas wiązać z okresem sowieckiego panowania. Niekiedy zauważa się, że miała ona miejsce już w czasach zaborów, gdy nadzieje na dalszy byt narodowy wiązano bądź z jednym z mocarstw zaborczych, wobec którego zajmowalibyśmy pozycję satelity, bądź, jak to było np. w epoce napoleońskiej, z mocarstwem pozostającym z nimi w konflikcie, wobec którego zajmowalibyśmy analogiczną pozycję. Jednak satelickość ma sens nie tylko polityczny. Właściwe jej wzory myślenia i zachowań kształtowały się w Polsce na długo przed utratą niepodległości.

Należy je wiązać z uwarunkowaniami gospodarczymi i społecznymi, stanowiącymi konsekwencję odmiennej od zachodniej drogi rozwoju, na którą wkroczyliśmy na przełomie XV i XVI w. Od tego czasu w niektórych krajach kształtują się kapitalistyczne formy produkcji i odpowiadające im stosunki społeczne, w innych proces ten przebiega wolniej lub ulega zahamowaniom. To zróżnicowanie doprowadziło do wyodrębnienia się obszarów charakteryzujących się suwerennym wzrostem gospodarczym oraz takich, które cechował wzrost satelicki. Rezultatem tego ostatniego było wytworzenie się stosunków zależności.

Centra i peryferie

Z perspektywy procesów akumulacji, co jest równoznaczne z możliwościami inwestycji, XVII-wieczną Europę można podzielić pod względem tempa wzrostu gospodarczego na trzy grupy krajów.

Do pierwszej należą Anglia i Niderlandy, gdzie najszybciej przebiegał rozkład stosunków feudalnych i kształtowanie się kapitalizmu. Anglia, nie wyróżniająca się jeszcze w XVI w. niczym szczególnym, już w wieku XVIII była potęgą gospodarczą o silnym przemyśle i najbardziej rozwiniętym handlu w Europie. Dominowały produkcja sukiennicza i metalurgiczna. Na coraz większą skalę zagospodarowywano minerały. Zajęciami przemysłowymi objęto także wieś, co sprzyjało usuwaniu przeszkód społecznych w rozwoju kapitalizmu. Zwiększano areał upraw dzięki coraz powszechniejszemu stosowaniu melioracji. Ulepszano narzędzia i systemy rolnicze. Postępowała specjalizacja gospodarstw.

Jedną z głównych przesłanek rozwoju stanowiło to, że wytwórczość można było oprzeć tylko na najemnej sile roboczej. W przeciwieństwie do szlachcica wschodnioeuropejskiego, dysponującego chłopem pańszczyźnianym, któremu mógł zwiększać obciążenia, angielski



© Wojciech Gerson, Gdańsk w XVII w., commons.wikimedia.org/wiki/File:Wojciech_Gerson_-_Gdańsk_in_the_XVII_century.jpg

właściciel ziemski czy przedsiębiorca mógł znacząco obniżyć koszty pracy tylko poprzez innowacyjność. W efekcie gospodarka wytwarzała coraz więcej lepszych i bardziej konkurencyjnych towarów, a Anglia skutecznie wypierała rywali z rynków światowych. Kraj ten osiągał także zyski z kolonii. Najistotniejsza była tutaj nie tyle ich wysokość, lecz to, że pomnażały nadwyżkę ekonomiczną, a jej przyrost, od razu w formie skoncentrowanej, trafiał do kapitalistów, którzy przeznaczali go na inwestycje. Analogicznie wyglądało to z nadwyżką z handlu. Taka droga uczyniła Wielką Brytanię największą potęgą świata w XIX w.

Najpierw jednak przewagę miały Zjednoczone Prowincje Niderlandów. Impulsem dla ich rozwoju było najgęstsze zaludnienie na kontynencie, co sprzyjało intensyfikacji upraw. Charakterystyczną cechą była rolnicza specjalizacja poszczególnych regionów. Rozwijał się przemysł sukienniczy i rolno-spożywczy. Holandia była także największą potęgą handlową i transportową. Jednak tempo wzrostu jej handlu już na początku XVIII w. było niższe niż od angielskiego i być może francuskiego. Choć rozwój poszczególnych działów gospodarki był w XVII w. dość proporcjonalny, później nastąpiło zachwianie na rzecz dominacji kapitału kupieckiego w produkcji przemysłowej i rolniczej, co negatywnie odbiło się na zdolności konkurowania z Anglią.

Drugą grupę stanowiły w XVII w. Francja, kraje skandynawskie, Niemcy, Czechy i Austria. Słabiej

uczestniczyły w ekspansji kolonialnej lub w ogóle nie brały w niej udziału. Rozkład stosunków feudalnych był mniej zaawansowany, co sprawiało, że dynamika wzrostu była niższa. Wprawdzie zniszczenia w wyniku wojny trzydziestoletniej były ogromne, ale generowała ona także wzrost zapotrzebowania na różne dobra, co ożywiało produkcję i wymianę. Odbudowa po wojnie dokonała się już w oparciu o nowocześniejsze formy gospodarowania. Te dobre tendencje hamowała szlachta, która, włączając się w nurt stosunków towarowo-pieniężnych, nie dopuściła do zamknięcia dopływu korzyści pochodzących z przywileju feudalnego. Jednak rosnące mieszczaństwo coraz skuteczniej zmniejszało jej przewagę.

Trzecia grupa to w XVII w. kraje stagnacji i regresu – Hiszpania, Portugalia, Włochy i Turcja, a także Polska.

Złudna koniunktura

Zapoczątkowany w XVI w. podział na rolniczy i zrefeudalizowany Wschód oraz rozwijający kapitalizm i industrializujący się Zachód umożliwił temu drugiemu znacznie szybszy wzrost gospodarczy i uzależnienie Europy Wschodniej. Jednak w pierwszym etapie funkcjonowania dualizmu rozwojowego to właśnie kraje rolnicze, w tym przede wszystkim Rzeczpospolita, wyciągały z tego układu więcej bezpośrednich korzyści. Wiek XVI był bowiem w całej niemal Europie okresem znakomitej koniunktury na produkty rolne. Spowodowane



© Herman Heyenbrock, <http://commons.wikimedia.org/wiki/File:1890heyenbrock.jpg>

to było rozwojem gospodarki towarowo-pieniężnej, przemianami demograficznymi i wzrostem zamożności mieszczaństwa. Nie należy zapominać, że produkty rolne były wówczas także głównym surowcem energetycznym - pomijając energię z wody i wiatru, wszystko, co pracowało, „chodziło” na żywność.

Wzrost cen w Polsce najszybszy był właśnie dla produktów rolnych, np. na rynkach Krakowa i Gdańska ceny żywności wzrosły w XVI w. o ok. 300%, a odzież tylko o ok. 100%. Zarówno koniunktura krajowa, jak i ogólnoeuropejska stanowiły o największej opłacalności produkcji rolnej.

Aby zwiększać dochód, producent musiał dążyć do poszerzania arealu i obniżania kosztów pracy. Ziemia, która czekała na zagospodarowanie, było dużo. Jednak ta okoliczność sprzyjała gospodarce ekstensywnej. Szybko okazało się też, że znaczącego obniżenia kosztów pracy można dokonać bez stosowania nakładów na usprawnienia. Szlachta, z racji przewagi w stanovowej strukturze ustrojowej, powiększała folwarki głównie poprzez zagarnianie folwarków sołtysich i gospodarstw chłopskich (poddanych przenoszono na gorsze grunty) oraz zabieranie pustych łąnów. Mogła również korzystać z darmowej pracy poddanych, a także udało jej się uzyskać taniego robotnika poprzez ograniczenie praw tzw. ludzi luźnych.

Przez cały XVI w. model folwarczny był bardzo dochodowy. Jeden łąn ziemi folwarcznej przynosił właścicielowi 35-55 złotych polskich, gdy z łąnu ziemi chłopskiej pan osiągał w postaci świadczeń 2,5-3,5 złp.

Dlatego w ciągu XVI w. w gospodarce Rzeczypospolitej dominującą pozycję zdobyło rolnictwo, a w jego ramach zarysowała się silna tendencja do monokultury zbożowej. Folwark pańszczyźniany stał się podstawową formą gospodarki.

Jego upowszechnienie spowodowało początkowo szybki wzrost produkcji. Na eksporcie płodów rolnych opierał się dodatni bilans w handlu zagranicznym. Ten, jak się wydawało, znakomity interes zbożowy stworzył jednak solidne fundamenty naszej gospodarczej i cywilizacyjnej satelickości, która trwa do dzisiaj.

Regres

Od lat 80. XVI w. uległy zahamowaniu wzrosty cen najpierw na mięso, a później na zboże. W drugiej połowie XVII w. nastąpiła natomiast ich znaczna obniżka - najpierw w Europie Zachodniej, jednak z uwagi na rolę eksportu zboża w gospodarce Rzeczypospolitej, to na tej ostatniej odbiła się szczególnie negatywnie. Natomiast spadek cen na wyroby rzemieślnicze i przemysłowe był znacznie mniejszy, więc relacja stawała się coraz mniej korzystna dla rolnictwa.

Szlachta zareagowała zgodnie z feudalną logiką. Zwiększyła produkcję, ale nie poprzez zmodernizowanie procesu wytwórczego, co wymagałoby nakładu kapitałów, lecz przez poszerzanie arealu ziemi folwarcznej, często zagarniając grunty chłopskie. Koszty pracy ponownie ograniczano poprzez zwiększenie pańszczyzny z tygodniowego poziomu 3 do 4 lub więcej dni z łąnu. Redukowano też personel folwarczny,



© Józef Chełmoński, Orka

przerzucano na poddanych troskę o narzędzia i inwentarz pociągowy oraz zmniejszano hodowlę, co pogłębiało monokulturę zbożową. Doraźnie osiągano cel. W pierwszych dziesięcioleciach XVII w. notowano największy eksport. W 1618 r. wyeksportowano przez Gdańsk rekordowe 115 521 łasztów. Jednak wskutek pogorszenia nawożenia oraz obniżenia jakości pracy, wynikającego ze zwiększonych obciążeń, doprowadzono do wyjałowienia gleb i spadku plonów, a więc i globalnej produkcji. Zmniejszyła się ona w stosunku do poziomu z końca XVI w. o ok. 30%.

Musiało się to odbić negatywnie na międzynarodowej pozycji Polski. O ile wcześniej wojny dotyczyły tylko terenów peryferyjnych, to od 1648 do 1720 r. dochodziło do pustoszenia centralnych części kraju. Fakt ten był przejawem słabości państwa, niezdolnego już wtedy do obrony granic. Ogromne zniszczenia wojenne pogłębiały tę słabość. Momentem krytycznym była wojna ze Szwecją z lat 1655-1660. Wybuchła ona, gdy wojska rosyjskie opanowały większą część Wielkiego Księstwa Litewskiego, a na Ukrainie bardzo silna była pozycja Chmielnickiego. Po raz pierwszy został realnie zagrożony byt państwa oraz pojawiła się koncepcja rozbioru. Utrata większości Inflant i zwierzchności nad Prusami Książęcymi poważnie osłabiły naszą pozycję nad Bałtykiem. Doszedł do tego głód i zarazy. Liczba ludności spadła o $\frac{1}{3}$ w stosunku do początku XVII w.

Mimo ujawnienia się słabości ustroju, nie zdobyto się na żadne reformy. Wręcz przeciwnie. Zmiany, które się wtedy dokonały, zamknęły przed Rzeczpospolitą

jakiegokolwiek perspektywy rozwojowe. Rozpoczął się proces koncentracji produkcji rynkowej w folwarku, co prowadziło do zwiększania dystansu ekonomicznego między magnaterią a średnią szlachtą. Straty, jakie poniosło chłopstwo, doprowadziły do jego ostatecznego przekształcenia w klasę quasiniewolniczą. Oznaczało to utratę ogromnego potencjału pracy, ponieważ praca niewolnika nie jest tak efektywna jak wolnego człowieka, który ma perspektywy podniesienia poziomu życia. Straty wśród mieszczaństwa przesądziły o upadku miast i wyeliminowaniu czynnika podatnego na pro wzrostowe rozwiązania kapitalistyczne.

Wspomniany wzrost dystansu ekonomicznego w obrębie szlachty sprawiał, że od II połowy XVII w. miało miejsce pogłębianie się klientelizmu politycznego. Służąc magnatowi, średni szlachcic mógł osiągnąć sukces. Magnat, uczestniczący w fakcyjnych walkach o władzę, nagradzał popierającego go klienta lukratywnymi urzędami i dzierżawami oraz zapewniał ochronę przed możniejszymi konkurentami. Tego rodzaju system powodował, że środek ciężkości podnoszenia własnej pozycji ekonomicznej przez średniego szlachcica przesunął się z niezależnej aktywności gospodarczej w kierunku aktywności politycznej klienta.

Pod powierzchnią demokratycznych i republikańskich form ustrojowych kształtowała się niemal klasyczna drabina feudalna. Średni i drobny szlachcic związany był z magnatem i bardziej lojalny wobec niego niż wobec króla i państwa. Jednocześnie co możniejszy klient budował swój lokalny układ z drobniejszej

szlachty. Potwierdzała się zasada, iż ustrój determinuje rzeczywiste stosunki gospodarcze, a nie jego prawny opis.

W początku XVIII w. nasz eksport spadł do 10 tys. łasztów rocznie, a **zdolności produkcyjne Rzeczypospolitej w końcu XVIII w. były mniejsze niż 200 lat wcześniej!** W tej sytuacji nie tyle fakt likwidacji państwa przez sąsiadów musi budzić zdumienie, lecz raczej to, że dokonano jej tak późno...

Dysproporcje

Dysproporcje tempa. Produkt społeczny wzrastał tym szybciej, im większa jest stopa akumulacji oraz wydajność środków produkcji. W XVI w. różnice między poszczególnymi krajami pod tym względem są już widoczne. Stały się one jeszcze większe w wieku XVII. Tempo rozwoju i stopa wzrostu gospodarczego były najwyższe tam, gdzie najszybciej rozwijała się akumulacja kapitalistyczna, zaś akumulacja drobnotowarowa miała tendencję zniżkową na rzecz kapitalistycznej, czemu towarzyszył wzrost wydajności środków produkcji. Działo się tak w krajach wspomnianej pierwszej grupy. W krajach drugiej grupy, gdzie występowały akumulacja feudalna, kapitalistyczna i drobnotowarowa, tempo rozwoju i stopa wzrostu były mniejsze. Najniższe jednak były w trzeciej grupie, do której zaliczała się Rzeczpospolita ze swoją zrefeudalizowaną gospodarką. Właściwością bowiem gospodarki feudalnej są niski poziom akumulacji dla inwestycji produkcyjnych oraz niewielka wydajność środków produkcji, utrzymująca się wskutek możliwości korzystania z darmowej lub taniej pracy poddanych.

Dysproporcje ładu. W fazie startowej kapitalizmu kluczowe znaczenie miały właściwe proporcje między produkcją rolniczą i przemysłową. W krajach, w których zostały one zachwiane na rzecz rolnictwa, kształtowanie się kapitalistycznych, pro wzrostowych stosunków produkcji rozciągało się na znacznie dłuższy okres. Prowadziło to także do zacofania rolnictwa. Rynek wewnętrzny bowiem, wskutek braku przyrostu ludności trudniącej się zajęciami pozarolniczymi, nie generował potrzeby zwiększania nadwyżek w rolnictwie i doskonalenia produkcji rolnej. Słabość przemysłu powodowała także gorsze wyposażenie techniczne rolnictwa, co obniżało jego wydajność. Słaby był również czynnik kulturowy przedsiębiorczości oraz innowacyjności w sferze technicznej i organizacyjnej, niewielka była wreszcie presja na zmiany ustrojowe w kierunku rozwiązań pro wzrostowych.

Na początku kształtowania się gospodarki folwarcznej kondycja miast i rzemiosła w Polsce nie była zła, a nawet notowano rozwój produkcji rzemieślniczej. Około 23% ludności mieszkało w miastach. Dominowała produkcja cechowa, ale na niektórych obszarach i w pewnych dziedzinach pojawiały się już formy nakładu. Powstawały większe warsztaty i pierwsze manufaktury. Pojawiły się nowe dziedziny, jak papiernictwo

i drukarstwo. Poważnie rozwijało się górnictwo i hutnictwo, na co znaczący wpływ miały kapitał i energia przedsiębiorców mieszczańskich. Jednak skierowanie wysiłku zdecydowanej większości społeczeństwa na produkcję rolną wpłynęło negatywnie na rozwój miast, rzemiosła i przemysłu. Gospodarka została zdominowana przez rolnictwo, a ustrój kształtował się pod kątem interesów właścicieli ziemskich. W efekcie **mieliśmy do czynienia nie tylko z zahamowaniem wyłaniania się stosunków kapitalistycznych, ale także z recydywą feudalizmu.**

Kto od kogo zależał

Pozornie wybór orientacji rolniczej był racjonalną i suwerenną odpowiedzią na uwarunkowania rynkowe. Jednak uwarunkowania te nie kształtują się same, lecz wynikają z określonych procesów rozwojowych. W gospodarce europejskiej XVI w. zaczęły odgrywać rolę czynniki, które wcześniej nie miały aż tak istotnego wpływu na rozwój: położenie geograficzne, warunki klimatyczne, cechy ludności itp. Państwa, które pod tymi względami znalazły się w sytuacji uprzywilejowanej, posiadały premię startową. Dawała ona lepszą pozycję na rynku. Dzięki temu uzyskiwano środki, które mogły być inwestowane. I tutaj dochodzimy do kwestii, jak potrafią one owe środki zagospodarować.

W dobie odkryć geograficznych, rozwoju żeglugi oceanicznej i ekspansji kolonialnej, do krajów najbardziej uprzywilejowanych należała Hiszpania. Premia startowa z tego tytułu była ogromna i przesądzała o jej pozycji w Europie. Jednak w chwili rozpoczęcia ekspansji kolonialnej nie ukształtował się jeszcze układ sił społecznych i gospodarczych umożliwiający racjonalne inwestowanie tej premii. W efekcie Hiszpania szybko stoczyła się do poziomu kraju satelickiego i peryferyjnego. Premię nie tylko stracono, ale wręcz przyczyniła się do regresu gospodarczego właśnie przez to, że przechwyciły ją i zagospodarowały kraje rozwijające przemysł i handel.

Odwrotnie Anglia i Zjednoczone Prowincje Niderlandów. Do ekspansji kolonialnej wystartowały, gdy wytworzył się już u nich układ sił społecznych i typ stosunków gospodarczych umożliwiający racjonalne wykorzystywanie nadwyżek. Kraje te potrafiły także znakomicie wykorzystać premię hiszpańską na rzecz własnego rozwoju. Również Francja dołączyła do beneficjentów ekspansji kolonialnej i hiszpańskiego sukcesu w momencie, gdy już ukształtował się tam układ społeczno-gospodarczy pozwalający racjonalnie korzystać z nadwyżek ekonomicznych z tego tytułu. W przeciwieństwie do Hiszpanii, w tych krajach premia kolonialna napędzała rozwój i sprzyjała ewolucji w kierunku pro wzrostowym.

Nawet największe uprzywilejowanie geograficzne nie dawało trwale silnej pozycji. Dawał ją natomiast wcześniejszy i zakrojony na szerszą skalę start kapitalistyczny. Kształtujące się struktury sprzyjające

wzrostowi i modernizacji, tempo samego wzrostu oraz coraz silniejsza orientacja na wytwórczość przemysłową i handel sprawiały, że kraje wcześniejszego startu niejako narzucały pozostałym – mając największy wpływ na rynek międzynarodowy – określoną specjalizację produkcyjną.

W Polsce pojemność rynku wewnętrznego, która wzrosła poważnie na przełomie XV i XVI w., odegrała ogromną rolę. Nie należy jednak nie doceniać czynnika zewnętrznego. Po pierwsze, stopień zaawansowania rozwoju produkcji rzemieślniczej i wczesnoprzemysłowej był w XVI w. na Zachodzie wyższy niż u nas. Postępujący tam wzrost cen na korzyść produktów rolnych objął również nasze ziemie, wskutek powiązań handlowych Polski z wieloma krajami zachodnimi. A zatem na niezwyklej koniunkturę zbożową decydujący wpływ miały procesy gospodarcze na Zachodzie. Po drugie, w tych warunkach Polska mogła osiągać dodatni bilans handlowy z tymi krajami przede wszystkim korzystając z koniunktury na zboże, a nie konkurując z ich produkcją przemysłową. Dzięki dodatniemu bilansowi, do kraju napływały kruszce szlachetne, niezbędne do realizacji wojskowych i administracyjnych funkcji państwa oraz umożliwiające gromadzenie bogactwa. Zwiększający się ponad potrzeby ówczesnej gospodarki obieg pieniądza skutkował jego deprecjacją i ogólnym wzrostem cen. Import towarów z krajów zachodnioeuropejskich, stopniowo po coraz wyższych cenach, także osłabiał siłę nabywczą pieniądza. Stabilność

walutowa kraju zależała więc ostatecznie od eksportu produktów rolnych.

Gdy szlachta polska orientowała się na eksport zboża, podporządkowywała się uwarunkowaniom określonym przez kraje wcześniejszego startu. A zatem wybór specjalizacji produkcyjnej był przejawem satelickiej pozycji gospodarki Rzeczypospolitej względem gospodarek bardziej zaawansowanych. Jak się okazało, wybór ten prowadził do uzależnienia dwójakiego rodzaju. Po pierwsze, od eksporterów wyrobów przemysłowych, po drugie – od popytu na zboże, kształtowanego przez procesy gospodarcze w krajach, które rozwijały stosunki kapitalistyczne. Utrzymywanie się takiego stanu skutkowało utrwalaniem stosunków gospodarczych, społecznych i politycznych, które uniemożliwiały reorientację gospodarczą w przypadku zmiany koniunktury. Tego rodzaju niemożność pogłębiała uzależnienie.

Wzrost satelicki, uzależniony od wzrostu suwerennego, nie zawsze jest mniejszy od tego drugiego. Gdy relacje cen kształtowały się korzystnie dla produkcji zbożowej, można mówić wręcz o pewnym uprzywilejowaniu geograficzno-klimatycznym i osiąganiu premii z tego tytułu. Premia ta mogła być inwestowana w rozwój przemysłu i handlu, co sprzyjałoby szybszemu kształtowaniu się kapitalizmu. Jednak korzystna dla rolnictwa relacja cen sprawiała, że nie było wystarczającego impulsu, aby inwestować w rozwój przemysłu, skoro jego produkty można było kupić za granicą



© Jacob Gerritz Loef, *Ships on the coast*, http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Schepen_inder_kust_-_Jacob_Gerritz_Loef_-_1670%29.jpg

za dochody ze sprzedaży płodów rolnych. Zyski z polskiego eksportu były zatem inwestowane w rozwój przemysłu w innych krajach. Taka sytuacja sprzyjała umacnianiu się pozycji rolnictwa kosztem wytwórczości rzemieślniczej i przemysłowej, co pogłębiało naszą satelickość. Umacniała się też pozycja szlachty, posiadającej dobra ziemskie. Bezpośredni interes klasy rządzącej i wąsko rozumiany interes kraju, nakazujący powiększać dochód z dobrej koniunktury, doskonale współgrały zatem z logiką uzależnienia gospodarczego.

W tego rodzaju gospodarce nie ma wystarczającej ilości czynnika ludzkiego, który charakteryzowałby się właściwym kapitalizmowi typem przedsiębiorczości równoznacznej z innowacyjnością. Nie ma wystarczająco silnych motorów modernizacji, a więc brak skutecznej presji na gospodarcze i ustrojowe formy pro wzrostowe. Nie kształtuje się też kultura kapitalistyczna, która indukowałaby procesy modernizacyjne w rolnictwie. To także sprawiało, że **szlachta bogacąca się na produkcji zboża nie inwestowała nadwyżek w modernizację, lecz przeznaczala je na luksusową konsumpcję (napędzając wzrost gospodarczy krajów, z których importowano towary luksusowe)** lub teauaryzowała, przez co nie pracowały one na rzecz rozwoju. Podobnie jak w przypadku Hiszpanii, szlachta polska wchodząc w XVI w. do gry gospodarczej z krajami bardziej zaawansowanymi w rozwoju stosunków kapitalistycznych nie posiadała jeszcze rozwiniętego zmysłu rzeczywistej przedsiębiorczości. Premia startowa została zatem przechwycona przez innych.

Kraje rozwijające stosunki kapitalistyczne modernizowały rolnictwo, czego konsekwencją była rosnąca zdolność zaspokojenia własnych potrzeb. Polski właściciel ziemski musiał na rynku międzynarodowym konkurować z coraz bardziej efektywnym zachodnim przedsiębiorcą rolnym, a także z rosyjskimi dostawcami jeszcze tańszego zboża, którzy właśnie pojawili się na tym rynku. Jednocześnie w krajach rolniczych rynek wewnętrzny kurczył się wskutek upadku miejskiej wytwórczości. Brak kapitalistycznych mechanizmów rozwojowych oraz odpowiednich wzorów myślenia i zachowań powodowały, że szlachta ratowała swoje przedsięwzięcia poprzez natężenie eksploatacji poddanych i gospodarkę prowadzącą do wyjałowienia gleb. Wydajność i produkcja globalna systematycznie spadały. Dodatni bilans handlowy Rzeczypospolitej z krajami zachodnimi trwał do pierwszej połowy XVII w., a w drugiej był już melodią przeszłości. Satelicki wzrost gospodarczy zamienił się w trwałą i postępujący satelicki regres.

W dodatku niemal wszystkie towary z Polski były eksportowane morzem przez Gdańsk na statkach kupców holenderskich. Darmowa praca chłopów sprawiała, że właściciel folwarku, dla którego liczył się globalny dochód, a nie zysk wynikający z relacji do wartości kapitału włożonego w produkcję, mimo wysokich kosztów transportu godził się na ceny proponowane przez

kupców gdańskich i holenderskich. Koszty te i tak rekompensował sobie większą eksploatacją poddanych. Holendrzy przechwytywali część zysków z koniunktury zbożowej. W ten sposób traciliśmy szansę na powstanie wielkiego rodzimego kapitału kupieckiego, który byłby inwestowany w operacje handlowe, finansowe i przemysłowe oraz tworzył przesłanki dla rozwoju stosunków kapitalistycznych. Napędzaliśmy zaś rozwój takich stosunków w Niderlandach. Również importując sukno holenderskie przyczynialiśmy się do rozwoju tamtejszego przemysłu sukienniczego. Przez Śląsk do krajów niemieckich eksportowaliśmy skóry, futra, wełnę, len i konopie. Nieraz po przeróbce towary te wracały do Polski w postaci wyrobów gotowych. I w tym wypadku napędzaliśmy przemysł poza naszymi granicami.

Ogólnie polska wymiana handlowa wyglądała następująco: eksport - zboże, drewno, popiół, smoła, skóry, futra, wełna, len, konopie, woły; import - stal, narzędzia metalowe, noże, kosy, sierpy, sukna, płótna, barchan, jedwab, wina. Taka struktura prowadziła do pogłębiania zależności naszej gospodarki od zagranicznego przemysłu. Dla szlachty sytuacja taka była niezwykle korzystna, gdyż nie kształtowała się dzięki temu silna klasa handlowo-przemysłowa, zagrażająca jej pozycji ekonomicznej oraz politycznej.

Idee i złudzenia

Pojawia się pytanie, czy w tamtych czasach istniała świadomość konsekwencji przebiegu procesów rozwojowych, czy też wszystko odbywało się w sposób niejako spontaniczny. Odpowiedzi należy szukać w ideach ekonomicznych i ich związkach z praktyką poszczególnych państw. Bodaj najstarszym teoretycznym ujęciem zjawisk gospodarczych był bulionizm, wczesna koncepcja merkantylistyczna. Wedle niej, bogactwo było równoznaczne ze szlachetnymi kruszcami, których obfitość zapewniał dodatni bilans handlowy. Już wtedy uświadamiano sobie, że w przeciwieństwie do dóbr żywnościowych, które są nietrwałe, kruszce są wartością trwałą i ich posiadanie decyduje o potędze kraju. W Polsce stanowisko takie reprezentowali m.in. Wojciech Gostkowski, Szymon Starowolski i Stanisław Ciekowski. Popierali gospodarkę folwarczną, gdyż ta kreowała dodatni bilans w obrotach z zagranicą, co zapewniało napływ kruszców.

Merkantyliści zachodni jednak, obserwując, że w Hiszpanii kruszce nie umacniały gospodarki, lecz były przeznaczane na import dóbr konsumpcyjnych, sformułowali założenia teoretyczne, które miały trwale zapewnić dodatni bilans handlowy i zabezpieczyć przed wypływem kruszców z kraju. Istotą tej koncepcji były z jednej strony orientacja na rozwój wytwórczości własnej i jej ochronę przed obcą konkurencją, z drugiej interes kupca, którego aktywność ma bezpośrednio zapewnić dodatni bilans handlowy. Realizację tych zasadniczych celów należało osiągać przez protekcjonizm

celny, zwolnienia podatkowe i subwencje umożliwiające rozwój szczególnie nowych przemysłów o charakterze antyimportowym, dążenie do samowystarczalności w zakresie produkcji surowców strategicznych na potrzeby armii i floty, uniezależnienie się od importu zboża, popieranie polityki kolonialnej, aby zabezpieczyć dostawy surowców i towarów, stymulowanie wzrostu liczby ludności, dążenie do optymalnego wykorzystania potencjału pracy, sprowadzanie fachowców z zagranicy i zakaz emigracji fachowców własnych, aktywne kształtowanie gustów i przyzwyczajzeń konsumpcyjnych społeczeństwa, aby były zorientowane na wyroby krajowe.

Odmianą rozwijanego od drugiej połowy XVI do pierwszych dziesięcioleci XVIII w. merkantylizmu był u schyłku wspomnianego okresu kameralizm, praktykowany w krajach niemieckich. Przyjmując wszystkie zasady merkantylizmu, skupiał się na dochodach osoby panującej, uosabiającej państwo. Wzrost tych dochodów można było zapewnić poprzez takie zorganizowanie gospodarki, aby możliwie najpełniej wykorzystać krajowy potencjał pracy. Dążono zatem do pełnego zatrudnienia ludności oraz uczono ją pracowitości i oszczędności. Kameralizm usprawniał działania praktyczne i podporządkowywał życie gospodarcze administracji centralnej, na czele której stał monarcha. Stosowano również skrajny protekcjonizm, co miało ożywić przemysł krajowy.

Te idee uwidaczniają, że kwestią centralną było osiągnięcie suwerenności gospodarczej, a jednocześnie dążenie do narzucenia własnej dominacji gospodarkom słabszym. W warunkach rozwijającego się kapitalizmu idee te odpowiadały bezpośrednim interesom przedsiębiorców przemysłowych, rolnych i kupców, którzy w dążeniu do maksymalizacji zysków potrzebowali takich narzędzi do skutecznego zwalczania obcej konkurencji. Siły społeczne związane z kapitalistycznymi formami produkcji, wzrastając podporządkowywały państwo swoim interesom. Jednocześnie powodzenie tych interesów zwiększało potęgę państwa. Nie można więc powiedzieć, że problemy suwerenności czy satelickości gospodarczej, aczkolwiek niekoniecznie wyrażane tego rodzaju terminami, były poza zasięgiem refleksji teoretycznej, lub że refleksja ta nie przekładała się na praktyczne działania.

W Rzeczypospolitej szlachta dążyła do wprowadzenia swobody handlowej, ale tylko w odniesieniu do eksportu produktów rolnych. Już w 1496 r. została zwolniona z opłat celnych za wywóz towarów wytworzonych w swoich dobrach i za import na własne potrzeby. Skutecznie ograniczała wolność handlu polskiego mieszczaństwa, zwłaszcza jeśli chodzi o eksport zboża. Cła nie były w Polsce narzędziem polityki gospodarczej, lecz miały charakter wyłącznie fiskalny. **Można powiedzieć, że Rzeczpospolita rozwinęła swoisty liberalizm dla uprzywilejowanych. Duży wpływ na to miał brak konsekwentnej polityki gospodarczej**

państwa – słabego i podporządkowanego interesom właścicieli ziemskich.

Podsumowując, od przełomu XV i XVI w. Polska, mająca wówczas solidne perspektywy rozwojowe, zaczęła przekształcać się w peryferyjny i satelicki rejon eksploatacji gospodarczej dla krajów bardziej rozwiniętych. W efekcie, już w I połowie wieku XVIII charakteryzowała się wąskim rynkiem wewnętrznym, gospodarką ekstensywną, opartą na niewolniczej pracy poddanych, monokulturą eksportową, stosunkami społeczno-gospodarczymi i politycznymi utrwalającymi satelickość oraz rządami klasy właścicieli ziemskich, zhierarchizowanej według zasad klientelizmu, mającej interesy bezpośrednio skorelowane z logiką zewnętrznej zależności gospodarczej.

Ostatni etap

Początek akumulacji pierwotnej, a więc takiej, gdy zgromadzone środki zostają zaangażowane w inwestycje służące kształtowaniu się układu kapitalistycznego, przypada u nas dopiero na drugą połowę XVIII w. W tym okresie wzrasta koniunktura na żywność. Polski eksport osiąga wielkość 100 tys. łasztów. Zaczynamy ponownie notować wzrost gospodarczy. Jednak jego tempo było dwukrotnie niższe niż w Anglii czy Francji, a on sam – uwarunkowany rosnącym uprzemysłowieniem, wzrostem liczby ludności i powtarzającymi się wojnami na Zachodzie.

W okresie tym, chociaż dominuje pańszczyzna, postępuje jej zamiana na czynsz pieniężny. Zjawisko to, w połączeniu z narastającym zróżnicowaniem ekonomicznym na wsi, zapoczątkowało rynek pracy w Polsce. Wtedy też powstały w naszym kraju załazki przemysłu, związane z tworzeniem manufaktur. W większości należały do wielkiej własności ziemskiej, która dysponowała wystarczającymi środkami do uruchamiania takich przedsięwzięć. Ale fakt zatrudniania w nich chłopów pańszczyźnianych sprawił, że wzrost podaży siły roboczej nie dynamizował procesu industrializacji.

Korzystna dla mieszczaństwa polityka państwa przywróciła mu możliwość uczestnictwa w handlu wewnętrznym, a zmiana systemu celnego sprzyjała aktywności. W drugiej połowie XVIII w. podejmowały działalność instytucje kredytowe, coraz częściej udzielające pożyczek na cele przemysłowe. Wywodzące się z wczesnokapitalistycznych operacji handlowych spółki szlachecko-mieszczańskie, tworzone w celu przyspieszenia akumulacji, u nas zaczęły powstawać także dopiero w tym okresie. Chociaż kapitał handlowy i bankowy nie przejawiał tak dużej aktywności jak na Zachodzie, to manufaktury mieszczańskie, w które inwestowano ostrożnie, miały stosunkowo trwały żywot, oparty na dobrej kalkulacji rynkowej. Natomiast inwestycje magnatów, oparte na eksploatacji surowców, wyzyskiwaniu taniej siły roboczej i zapewnieniu sobie odbiorców wśród poddanych, niekiedy zawodziły. Stąd krótkotrwały żywot wielu tego typu przedsięwzięć.

W Polsce nie było subwencji państwowych dla manufaktur prywatnych, co na Zachodzie stanowiło normę. Nie może to dziwić, skoro dochody skarbowe Rzeczypospolitej nie dorównywały nawet połowie wpływów skarbu brytyjskiego z papieru stemplowego, a na tle efektownego wzrostu dochodów skarbowych Rosji i Prus w okresie od 1700 do 1788 r., nasz skarb gwałtownie ubożał. Warto też pamiętać, że ta forma wytwórczości pojawiła się już w XIII w. we Flandrii i we Włoszech, rozwijała się w południowych Niemczech (XIV w.), Francji, Niderlandach i Anglii. Dotarła wprawdzie w XVI w. do Rzeczypospolitej, jednak w warunkach zrefeudalizowanej gospodarki nie miała szans na rozwój. Gdy w Polsce tego rodzaju przedsięwzięcia były szczytem nowoczesności, po skonstruowaniu maszyny parowej Europa Zachodnia stała u progu produkcji fabrycznej.

Satelickość polityczna

Pogłębienie zacofania gospodarki musiało dać skutki polityczne, tym bardziej, że naszymi sąsiadami były, łącznie z Rosją, kraje szybko się modernizujące i unowocześniające potencjał militarny. Dominacja magnaterii kierującej się własnymi interesami, postępująca anarchizacja typu feudalnego, walki fakcyjne, instytucje wolnej elekcji i liberum veto, sprzyjające bezprecedensowej korupcji politycznej, słabość władzy wykonawczej oraz instytucji egzekwowania prawa – stwarzały doskonałe możliwości ingerencji obcych potęg w wewnętrzne sprawy kraju.

Nasza satelickość stała się czymś oczywistym, niemal immanentną cechą naturalnego porządku świata. Świadczyło o tym także przekonanie bardziej oświeconej części elity, że w dziele uzdrawiania stosunków w kraju należy oprzeć się bądź na Rosji Katarzyny II (Familia przed pierwszym rozbiorem), bądź korzystając z antagonizmu między Prusami a Austrią i Rosją odwołać się do poparcia Prus (obóz reform po pierwszym rozbiore). Ów bazujący na iluzjach i chwilowych zmianach koniunktur irracjonalizm polityczny wynikał z jednej strony z konieczności liczenia się z satelicką rzeczywistością, z drugiej zaś z przeświadczenia, że na drodze samej gry sił wewnętrznych nie da się wprowadzić kraju na tory rozwoju.

Powyższa sytuacja generowała satelickie myślenie i zachowania, więc nawet gdy działania podejmowano w imię słuszných celów, przyczyniała się do zakorzeniania takich wzorów w kulturze.

Konsekwencje

Najtrafniej zacofanie Rzeczypospolitej można określić odnosząc je do stadiów rozwoju, autorstwa ekonomisty Walta Rostowa. Stadium społeczeństwa przejściowego datuje on na koniec XVII i pierwszą połowę XVIII w. Charakteryzowało się ono postępowaniem w rozwoju narzędzi produkcji (inwestycje w produkcję manufakturową) i handlu światowego, zmianami w strukturze społecznej, upowszechnianiem się idei racjonalizmu, wyłanianiem elit kreujących programy

Karykatura Europy z 1870 roku, autor nieznan. Ze zbiorów biblioteki uniwersyteckiej Uniwersytetu Vrije w Amsterdamie. Źródło: <http://imagebase.uvu.vu.nl/getobj.php?ppn=330027220>



rozwoju społeczno-gospodarczego. W tym czasie Rzeczpospolita wykazywała wszelkie cechy społeczeństwa i gospodarki tradycyjnej: dominacja rolnictwa, ograniczone możliwości produkcyjne, wynikające z niedostatecznego poziomu postępu technicznego, słabe wykorzystanie zasobów ludzkich i bogactw naturalnych, skupienie władzy w rękach posiadaczy ziemskich, mała mobilność i inicjatywa ludzi, hierarchiczna struktura.

Tak drastyczne przesunięcie w fazie rozwojowej mogło tylko pogłębić w nowej epoce naszą satelickość, tym bardziej, że utraciliśmy własną państwowość, czynnik kluczowy w tworzeniu i wdrażaniu wszelkich strategii niwelowania dystansu.

W epoce nowożytnej, w której nastąpiło rozejście się dróg rozwojowych między obiema częściami Europy, wykrywały się kulturowe fundamenty współczesnych narodów. W toku historycznego procesu uzależniania kształtowały się właściwe satelickości wzory myślenia i postępowania.

Można mówić o wzorach dwójakiego rodzaju. Pierwsze odnosiły się do relacji gospodarczych z innymi krajami. Relacje te, obiektywnie satelickie, przez długi czas nie były postrzegane jako takie. Mogły być nawet rozumiane jako świadczące o wyższości Rzeczpospolitej i jej urządzeń ustrojowych. Do nierozpoznania satelickiego charakteru relacji gospodarczych z krajami bardziej zaawansowanymi przyczyniało się to, że nie dotyczyły one sfery bezpośrednio politycznej. Jeśli zaś nie uświadamiano sobie tego na co dzień, tym silniej satelickie wzory utrwały się w kulturze.

Drugi rodzaj wzorów myślenia i zachowań nie dotyczył bezpośrednio relacji zewnętrznych, lecz odnosił się do wewnętrznych stosunków gospodarczych i społecznych, determinowanych w istotnym stopniu przez satelicki status naszej gospodarki. Stanowiąc barierę dla procesów modernizacyjnych, wzory te uniemożliwiały tym samym zmianę owego statusu. Wytworzona konfiguracja wyuczonych zachowań stopniowo obejmowała kolejne sfery życia, a od pewnego momentu była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Przekazywane były także, poprzez kontakt społeczny i system stosunków międzyludzkich, określone dyspozycje psychiczne. W ten sposób formowały się, utrwały i były internalizowane normy i reguły właściwe satelickości.

Widoczna w XVIII w. przewaga obszaru metropolitalnego budziła już wtedy w części naszych elit prowincjonalną fascynację. Wyrażało się to w dążeniu do naśladowania zewnętrznych przejawów kultury metropolii, nie zaś w absorpcji jej istotnych i użytecznych elementów. W ten sposób redukowano napięcia generowane przez dysonans poznawczy, którego źródłem był nasz obiektywnie niższy status cywilizacyjny. Taka postawa skutkowałą zanikiem zdolności do samodzielniego kreowania nowych wartości, umacniając kulturową

i mentalną satelickość. Symptomatyczne, że podobna postawa cechuje „elity” i społeczeństwo III RP.

Istotnym czynnikiem kształtowania kultury satelickiej było to, że XVIII-wieczni reformatorzy nie tworzyli swoich koncepcji w sposób intelektualnie suwerenny, lecz czerpali inspiracje i wzory z krajów centrum. Dobrze i to. W kraju tak zacofanym, jak XVIII-wieczna Rzeczpospolita, tendencja do wzorowania się na lepszych jest naturalna. Po pierwsze dlatego, że lepsze rozwiązania już istnieją, są sprawdzone i łatwiej spróbować je skopiować, niż trudzić się nad poszukiwaniem rozwiązań oryginalnych. Zwłaszcza, że w zrefeudalizowanym kraju rolniczym, a więc statycznym, nawet wśród światłej części elit mobilność intelektualna jest niższa niż w kraju należącym do czołówki rozwojowej. W tym drugim bowiem elity nieustannie muszą szukać odpowiedzi na problemy, które nigdy i nigdzie wcześniej się nie pojawiły. Wreszcie, odwoływanie się do istniejących wzorów obcych pozwala żywić w kraju zacofanym iluzję, że jest się człowiekiem nowoczesnym i pracuje na rzecz podniesienia własnej ojczyzny.

Tego rodzaju postawa również stanowi przejaw mentalności satelickiej, a przez to, że jest reprezentowana przez warstwę kulturotwórczą, upowszechnia taką mentalność w społeczeństwie. Niestety, od elity kraju takiego, jak Polska wtedy i dziś, należy wymagać suwerenności intelektualnej, która jest matką wszystkich rodzajów suwerenności. **Kraj zacofany, chcąc nadrobić dystans, potrzebuje rozwiązań skuteczniejszych niż te, które funkcjonują w krajach zaawansowanych.** Jeżeli elita kraju takiej suwerenności nie wykazuje, jest tylko lokalnym pasem transmisyjnym władzy krajów tworzących centrum danej cywilizacji do krajów stanowiących jej peryferia.

Okres zaborów owe negatywne zjawiska tylko pogłębił. W PRL-u satelickie myślenie i zachowania osiągnęły rangę dogmatu. Dzisiaj bez protestów przyjmujemy narzucany nam kapitalizm zależny i godzimy się na peryferyjny status, traktując to jako rzecz normalną. Niepokoju „elit” i społeczeństwa nie budzi to, że w ramach współczesnego dualizmu rozwojowego – zbudowanego na różnicach między starymi i nowymi dziedzinami wytwórczości oraz na różnicach w zdolności do kreowania nowych technologii – plasujemy się w obszarze produkcji o niskiej wartości dodanej. Charakteryzuje się ona niskimi wskaźnikami innowacyjności, a tym samym intensywnym wykorzystaniem niskopłatnej siły roboczej. Natomiast stosunek importu do eksportu przyczynia się do dynamicznego wzrostu zadłużenia, a to, co jest jeszcze istotne dla rozwoju cywilizacyjnego, pozostaje w rękach lub pod kontrolą obcego kapitału. Taka postawa nie powinna dziwić. Satelickość ma bowiem w Polsce bardzo starą genezę i mocne korzenie.

JERZY WAWROWSKI

Marks, dług publiczny i neoliberalizm

DR EDWARD KAROLCZUK

Wielu ludzi sądzi, że dług publiczny jest długiem nas wszystkich. Są oni przekonani, iż wszyscy ponosimy jednakową odpowiedzialność za jego powstanie oraz odnosimy podobne korzyści lub straty w związku z jego istnieniem. Tak jednak nigdy nie było.

Dług publiczny nie jest zjawiskiem wiecznym, ani niezmiennym w swej genezie i strukturze. Warto przypomnieć, co na ten temat sądzili Karol Marks i Fryderyk Engels. Ten ostatni pisał, że w społeczeństwie opartym na ustroju rodowym nie było podatków. Organy ustroju rodowego cieszyły się szczerem, powszechnie uznawanym autorytetem. Jednak wraz z rozwojem cywilizacji, urzędnicy stanęli ponad społeczeństwem, a podatki przestały wystarczać. Zatem, *państwo wystawia weksle na przyszłość, zaciąga pożyczki - „długi państwowe”*¹.

W republice demokratycznej bogactwo zaczęło sprawować władzę pośrednio, przy wykorzystaniu powszechnego prawa wyborczego, m.in. poprzez sojusz giełdy i rządu. Stał się on tym łatwiejszy, im bardziej rosły długi państwa i towarzystwa akcyjne opanowywały coraz to nowe sfery produkcji.

Marks zamiennie używa pojęć „dług publiczny” i „dług państwowy”, gdyż o jego powstaniu decydowały rządy państw, wówczas jeszcze bez udziału samorządów czy towarzystw ubezpieczeniowych. Marks, niezależnie od tego, jaki był ustrój w danym państwie, widział ogromną polityczną rolę długu publicznego. Określał go jako „wyprzedaż państwa”, która *wyciska swe piętno na erze kapitalistycznej*. Ponieważ dług publiczny przekładany był przez rząd na

całe społeczeństwo, z ironią pisał on: *Jedyną częścią tak zwanego bogactwa narodowego, która istotnie u nowoczesnych narodów znajduje się w posiadaniu zbiorowym, jest ich dług państwowy*². Część narodu tym bardziej wzbogacała się, im bardziej cały naród pogrążał się w długach.

Zdaniem Marksa, dług publiczny był jedną z najpotężniejszych dźwigni akumulacji pierwotnej kapitału. Pozwolił burżuazji na zdobycie przewagi nad szlachtą i właścicielami ziemskimi. Nie był on jednak obojętny dla funkcjonowania systemu politycznego. Każdy ustrój staje się zależny od tego, kto mu pożycza. Dzięki długowi publicznemu, nieproduktywny pieniądz był zamieniany w kapitał, bez ryzyka typowego dla inwestycji przemysłowych. Jednocześnie obligacje posiadane przez wierzycieli funkcjonowały w ich rękach, jak gdyby były gotówką. Powstała „próżniacza klasa rentierów”, spółki akcyjne, nowoczesna bankokracja. Bogacili się dzierżawcy podatkowi, kupcy, prywatni fabrykanci, zaś finansjści zaczęli odgrywać rolę pośredników między rządem a narodem.

Dług publiczny pozwolił na rozwój ażytażu, czyli spekulacji na giełdzie, polegającej na wywoływaniu i wykorzystywaniu różnic kursów papierów wartościowych. Rosły wówczas kursy akcji banków, wierzycieli rządów. Powstały banki narodowe już nie tylko

z nazwy, ale również ze względu na zasięg swojej działalności. Jedną ręką dawały, *aby drugą więcej wziąć z powrotem*, stawały się depozytariuszami krajowych zapasów złota. Pieniądz legł u podstaw istniejących stosunków społecznych. *W tym samym czasie, gdy w Anglii przestano palić czarownice, zaczęto wieszać fałszyżerzy banknotów*³.

Dług publiczny nie pełniłby funkcji redystrybucyjnej i nie byłby źródłem akumulacji pierwotnej, gdyby przejrzyste i uczciwe było wszystko, co z nim związane. Specjaliści od finansów i skarbowości stosowali w czasach Marksa i Engelsa cały szereg środków, żeby zamaskować „prymitywne chwyt”. Marks określał te metody jako „obrzydliwą scholastykę giełdową” i „alchemię finansową”⁴.

Wraz z długiem publicznym powstał międzynarodowy system kredytowy. Również on zaczął służyć pierwotnej akumulacji kapitału. Marks znajdował przykłady na to, że wierzycielami państw były inne państwa, które same przeżywały kryzysy. Dług publiczny ułatwiał budowę systemów represji wewnętrznej oraz prowadzenie wojen handlowych i podbojów kolonialnych. Torował przejście od *staroświeckiego do nowoczesnego sposobu produkcji*⁵.

Nadzwyczajne wydatki rządu, finansowane z długu państwowego, nie były od razu odczuwane przez podatników. Rządy zaciągały jednak ciągle nowe kredyty. Wcześniej czy później musiało to wywołać konieczność podniesienia podatków. Podwyżki podatków pośrednich i bezpośrednich stały się ogólną zasadą. Dług publiczny miał daleko idące konsekwencje dla klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy. Zdaniem Marksa, ówczesni mężowie stanu doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Uważali oni wszakże, że był to *najlepszy system, aby uczynić robotnika najemnego uległym, skromnym, pracowitym i... przeciążonym pracą*⁶. Z punktu widzenia pierwotnej akumulacji kapitału, Marksa bardziej interesowało jednak *spowodowane przezeń przymusowe wywłaszczenie chłopów, rzemieślników, słowem, wszystkich warstw składających się na drobną burżuazję*⁷.

Analizując doświadczenia Wiosny Ludów, Marks wskazywał, że dług publiczny był jedną z jej przyczyn pośrednich. Trudności finansowe rządu uzależniły monarchię lipcową (ustanowioną w 1830 r.) od wielkiej burżuazji, to zaś doprowadziło do ciągłego pogłębiania kryzysu finansowego. Dług publiczny wpłynął na demoralizację aparatu państwowego. Dopóki nie było równowagi budżetowej, trudno było budżet podporządkować „interesom produkcji narodowej”. Zadłużenie państwa leżało w interesie wielkiej burżuazji finansowej. Deficyt państwowy był akurat właściwym przedmiotem jej spekulacji i głównym źródłem jej bogacenia się. *Co roku - nowy deficyt. Co 4-5 lat nowa pożyczka. A każda nowa pożyczka dawała arystokracji finansowej nową sposobność ograbiania państwa, sztucznie utrzymywanego na skraju bankructwa - państwo musiało zawierać umowy z bankierami na najbardziej niekorzystnych*



©©© eyewash, flickr.com/photos/eyewash/3002054152

*dla siebie warunkach. Każda nowa pożyczka nastęczała dalszą sposobność ograbiania publiczności lokującej swe kapitały w państwowych papierach procentowych*⁸.

Jest bardzo charakterystyczne, że arystokracja finansowa nie była zainteresowana wydobywaniem kraju ze stanu zapaści finansowej. Ta zapaść była bowiem źródłem jej dochodów i wysokiej pozycji w państwie. Politycy wykorzystywali w prywatnych interesach tajemnice państwowe, wahania kursów papierów państwowych. Rezultatem tych zjawisk była *ruina mnóstwa drobniejszych kapitalistów i bajecznie szybkie bogacenie się wielkich graczy*⁹. O skali procederu świadczy to, że nadzwyczajne wydatki za panowania Ludwika Filipa dwukrotnie przewyższały nadzwyczajne wydatki z czasów Napoleona, gdy Francja prowadziła wojnę z feudalną Europą. *Ogromne sumy przechodzące w ten sposób przez ręce państwa dawały nadto sposobność do złodziejskich kontraktów na dostawy, do przekupstw, defraudacji i wszelkiego rodzaju oszustw. Okradanie państwa, odbywające się hurtowo przy pożyczkach, powtarzało się detalicznie przy robotach wykonywanych na zlecenie państwa*¹⁰.

W rezultacie wykorzystania mechanizmu długu publicznego i opanowania ówczesnych środków masowego przekazu, monarchia lipcowa Ludwika Filipa była

swoistym towarzystwem akcyjnym do eksploatacji francuskiego bogactwa narodowego; dywidendy szły do podziału pomiędzy ministrów, obie izby, 240 000 wyborców i ich klikę¹¹.

Produkcja przemysłowa była niewielka w porównaniu z długiem publicznym, więc burżuazja przemysłowa była najbardziej zainteresowana obniżeniem kosztów produkcji i obniżką podatków, w przeciwstawieniu się spekulantom finansowym, którzy dążyli do pomnożenia bogactwa w sposób nieprodukcyjny.

Po wybuchu rewolucji lutowej w 1848 r., Rząd Tymczasowy dla podniesienia wiarygodności w oczach wierzycieli państwa, wypłacił im dywidendy jeszcze przed upływem terminów. Koszty operacji finansowej ponieśli wszyscy drobni ciułacze. Ich drobne oszczędności skonfiskowano i *zamieniono na nie podlegającą spłacie pożyczkę państwową*¹². Rząd Tymczasowy zaczął również ratować przed bankructwem Bank Francji i zezwolił na podporządkowanie mu banków lokalnych. Bankructwo banku nie byłoby dla rewolucyjnej Francji złe – *stałoby się potopem, który w jednej chwili zmiotłby z francuskiej ziemi arystokrację finansową – tego najpotężniejszego i najgroźniejszego wroga republiki [...]. A po bankructwie to i sama burżuazja musiałaby przyznać, że stworzenie przez rząd banku narodowego i podporządkowanie kredytu państwowego kontroli narodu jest ostatnią, rozpaczliwą próbą ratunku. [...] Tak więc rewolucja lutowa bezpośrednio umocniła i rozszerzyła tę bankokrację, którą miała obalić*¹³.

Ponieważ w okresie Wiosny Ludów we Francji rozmiary produkcji były nieproporcjonalnie małe do rozmiarów długu publicznego, renta państwowa pozostawała głównym rynkiem lokaty kapitałów, pragnących pomnożyć się w sposób nieprodukcyjny – w takim kraju niezliczona masa ludzi ze wszystkich klas burżuazyjnych i półburżuazyjnych musi być zainteresowana w długu państwowym, grze giełdowej, finansach¹⁴. Aby zmniejszyć dług publiczny, należałoby zmniejszyć wydatki rządowe i możliwie mało administrować, jednak partia porządku nie mogła pójść tą drogą w okresie zaostrożenia się sprzeczności i zwiększania protestów społecznych: *musiała ona tym bardziej zwiększać swe środki represyjne, tym bardziej wzmagać oficjalne ingerowanie we wszystko w imieniu państwa i swą wszechobecność poprzez organy państwowe, im bardziej wielostronnie zagrożone było jej panowanie i warunki egzystencji jej klasy. Niepodobna zmniejszać stanu żandarmerii w tym samym czasie, gdy mnożą się przestępstwa przeciw osobom i własności*¹⁵.

Można było również zmniejszyć dług publiczny obarczając „nadzwyczajnymi podatkami” klasy najbogatsze. Ale czyżby partia porządku – pytał Marks – miała dla wybawienia bogactwa narodowego od wyzysku giełdy złożyć w ofierze swe własne bogactwo na ołtarzu ojczyzny? *Pas si bête! [Nie ma głupich]*¹⁶.

Współczesne rządy, hołdujące doktrynie neoliberalizmu, obniżając podatki dla zamożnych warstw przyczyniły się do destabilizacji finansów publicznych. Zmusiło to państwa do emisji papierów wartościowych i rozbudowy rynków finansowych. Istnieją obecnie dwa podstawowe sposoby likwidacji długu publicznego. Pierwszy, neoliberalny, polega na ograniczaniu wydatków: cięciach w budżecie, redukcji administracji, płac, rent i emerytur. Istnieje jednak pewna granica, poza którą wydatki są nieredukowalne. Dalsze ich zmniejszanie prowadzi bowiem do degradacji ilości i jakości obiektów użyteczności publicznej i służb publicznych, co powoduje obniżenie jakości życia ludności i zagrożenie ładu społecznego przez niekontrolowany wybuch. Drugi sposób polega na zwiększaniu dochodów Skarbu Państwa, zwłaszcza poprzez podniesienie podatków, dodatkowe opodatkowywanie niektórych towarów, znoszenie ulg podatkowych.

Drugi sposób jest niepopularny, gdyż często oznacza odebranie przywilejów najlepiej sytuowanym klasom i warstwom. Alain Bihr, wyjaśniając powstanie długu publicznego, odwraca argumentację stosowaną przez neoliberalistów. Jego zdaniem, *dług publiczny nie bierze się stąd, że państwo nie jest wystarczająco bogate, nie produkuje czy nie zdobywa wystarczającej ilości dóbr w stosunku do jego koniecznych bieżących wydatków, ale stąd, że, z woli albo raczej z braku woli politycznej, państwo nie ściąga w formie podatków tej części bogactwa, która pozwoliłaby stawić czoła tym wydatkom [...], państwo jest zadłużone, ponieważ postanowiło ograniczyć swoje dochody dla celów politycznych. Dług publiczny jest tworem czysto politycznym*¹⁷.

Ulgi podatkowe dla zamożnych warstw społeczeństwa umożliwiają gromadzenie oszczędności, które służą z kolei sfinansowaniu długu publicznego, powodowanego przez te same ulgi podatkowe. Zamożna część społeczeństwa uzyskuje więc dzięki długowi publicznemu dodatkowy sposób, żeby się jeszcze bardziej wzbogacić. Państwo nie zaciągłoby długów, gdyby nie miało od kogo pożyczać. To oszczędności najlepiej sytuowanych warstw, choć wydaje się to paradoksalne, generują dług publiczny. Zadłużenie publiczne stanowi odpowiedź na popyt na różnego rodzaju bony skarbowe, stanowiące bezpieczną lokatę oszczędności.

Ten samonapędzający się mechanizm każdy rząd próbuje zamaskować ciągle modyfikowanymi i rozbudowywanymi, w myśl doktryny neoliberalizmu, planami cięć budżetowych. Funkcjonowania tej machiny nie wyjaśni Leszek Balcerowicz ze swoim zegarem pokazującym wzrost zadłużenia. Woli straszyć nim

społeczeństwo w celu kontynuowania neoliberalnej polityki, pomimo jej historycznej porażki.

Alain Bihr pisze, że rozwiązanie problemu zadłużenia publicznego jest tylko jedno: *trzeba po prostu anulować wszystkie długi publiczne, nie tylko państw peryferyjnych, ale i centralnych. I niech wielcy wierzyciele państwa nie protestują przeciwko zbrodni wywłaszczenia; wygaśnięcie ich wierzytelności nie będzie niczym innym niż ściągnięciem podatków, których państwo od dawna miało prawo się domagać. Niech się cieszą, że nie każe im się płacić kar za zwłokę*¹⁸.

Marks i Engels sformułowali ogólne założenia strategii i taktyki rewolucyjnego ruchu robotniczego wobec podatków i długu publicznego w warunkach rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Świadomi robotnicy zawsze powinni być o krok do przodu w stosunku do żądań liberalnych demokratów. *Jeżeli demokraci proponują podatek proporcjonalny, to robotnicy żądają progresywnego; jeżeli demokraci sami proponują umiarkowanie progresywny podatek, robotnicy powinni domagać się takiego podatku, którego progresja musiałaby zabić wielki kapitał; jeżeli demokraci żądają uregulowania długów państwowych, robotnicy powinni zażądać bankructwa państwa*¹⁹.

DR EDWARD KAROLCZUK

Przypisy:

1. F. Engels, *Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 21, Warszawa 1969, s. 188.
2. K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej* t. 1 [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 23, Warszawa 1968, s. 895.

3. ibidem, s. 896. Marks pisze, że *panowanie burżuazji finansowej uzyskało swą pierwszą sankcję przez założenie banku, wprowadzenie długu państwowego*. K. Marks, *Recenzja broszury F. Guizota* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 7, Warszawa 1963, s. 244.
4. K. Marks, *Nowy trick finansowy, czyli Gladstone i pensy* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 9, Warszawa 1965, s. 52.
5. K. Marks, *Kapitał...* op. cit., s. 898.
6. ibidem, s. 897.
7. ibid., ss. 897-898.
8. K. Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 7, ss. 13-14.
9. ibidem, s. 14.
10. ibid.
11. ibidem, s. 15.
12. ibidem, s. 25.
13. ibidem, s. 26.
14. ibidem, s. 89.
15. ibid.
16. ibidem, s. 90.
17. A. Bihr, *Nowomowa neoliberalna. Retoryka kapitalistycznego fetyszyzmu*, Warszawa 2008, ss. 44-45.
18. ibidem, s. 49.
19. K. Marks, F. Engels, *Apel Komitetu do Związku Komunistów (marzec 1850)* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 7 op. cit., s. 298.



- niepoprawna politycznie publicystyka
- alternatywna ekonomia
- tradycje myśli społecznej
- radykalna ekologia



Gwiazdowski w „Solidarności”

Joanna i Andrzej Gwiazdowie w rozmowie z Remigiuszem Ochraską

Obszerny zapis rozmów z legendami opozycji antykomunistycznej, wzbogacony o wybór unikalnych materiałów dotyczących ich życia. Wśród tematów PRL, Wolne Związki Zawodowe, „Solidarność”, stan wojenny, „okrągły stół” i III RP. W barwnych, pełnych anegdot opowieściach sporo jest opinii zwanych kontrowersyjnymi, i to dla wielu uczestników życia publicznego, nie tylko tych, z których krytyką Gwiazdowie są kojarzeni. Do książki dołączono płytę DVD z filmem o niezależnych obchodach 25. rocznicy powstania „Solidarności”, współorganizowane m.in. przez J. i A. Gwiazdów oraz „Obywatela”.

512 stron plus 32 strony wkładki zdjęciowej oraz płyta DVD
Cena 44 zł – u wydawcy • 49 zł – w księgarniach



„Braterstwo, solidarność, współdziałanie” – Edward Abramowski

Po raz pierwszy w historii w osobnym tomie zebrane wszystkie artykuły Abramowskiego poświęcone kooperacyzmowi, współpracy, stowarzyszeniom, oddolnym inicjatywom społecznym, w tym kilka niepublikowanych od roku 1938! Legendarny polski myśliciel przypomniany po latach. Jako bonus unikatowy artykuł Jana Wolskiego „Z przemówień Edwarda Abramowskiego” oraz obszernie posłowie Remigiusza Ochraski.

280 stron
Cena 24 zł – u wydawcy • 29 zł – w księgarniach



„Świat według Monsanto” – Marie-Monique Robin

Zapis szokującego śledztwa dziennikarskiego na temat działalności wielkiego koncernu biotechnologicznego. Autorka opierając się na bogatej dokumentacji (relacje świadków, „odzyskane” ściśle tajne pisma itp.) przedstawia agresywne praktyki korporacji będącej największym producentem roślin modyfikowanych genetycznie (GMO). Do publikacji dołączona jest płyta DVD zawierająca cztery filmy poświęcone zagrożeniom związanym z GMO.

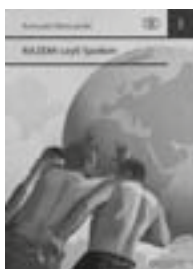
480 stron + płyta DVD
Cena 34 zł – u wydawcy • 39 zł – w księgarniach



„Kultura a natura” – Jan Gwałbert Pawlikowski

Pierwsze w historii wznowienie całości unikatowego tekstu pierwotnej edycji książki „Kultura a natura” z roku 1913 – pionierskiego w Polsce manifestu ochrony przyrody. Oprócz niego książka zawiera dwa inne ważne teksty tego autora – „Tatrzy parkiem narodowym” (1923) i „W obronie idei parku narodowego” (1936), a także obszerną przedmowę Remigiusza Ochraski. Poznaj tradycje polskiej myśli ekologicznej!

150 stron
Cena 17 zł – u wydawcy • 19 zł – w księgarniach



„Razem! czyli Społem” – Romuald Mielczarski

Wybór najważniejszych tekstów współtwórcy i wieloletniego lidera nowoczesnej spółdzielczości spożywców w Polsce, poświęconych jej zasadom, wizjom i celom. Zawarte w nim artykuły nie były wznawiane od roku 1936! Towarzyszy im jedna z najbardziej szczegółowych prezentacji biografii autora, jakie kiedykolwiek opublikowano, pióra Remigiusza Ochraski.

164 strony
Cena 18 zł – u wydawcy • 20 zł – w księgarniach

Zamawiając dwie książki zapłacisz o 2 zł mniej za każdą z nich, przy zakupie trzech – o 3 zł taniej za każdy egzemplarz, jeśli weźmiesz wszystkie – otrzymasz rabat w wysokości 4 zł od ceny każdej pozycji. Do każdej wysyłki dołączamy drobny podarek od redakcji „Nowego Obywatela”.



Wpłaty przyjmujemy na konto:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta:
78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Zamówienia w Internecie:
nowyobywatel.pl/sklep

Kontakt:
tel.: 42 630 22 18
e-mail: sklep@nowyobywatel.pl

NASZE TRADYCJE

DŁUGIE I MOCNE KORZENIE NASZYCH IDEI

Dyktatura nad proletariatem

Karl Kautsky

Bolszewicy przeciwstawiają demokracji żądanie dyktatury. Ale określają ją tak sprzecznie, że trudno nabrać wyobrażenia, co właściwie rozumieją pod mianem dyktatury. Powołują się oni na Marksa i Engelsa, którzy mówili o dyktaturze proletariatu. Niestety znaczenia tego swego powiedzenia bliżej nigdzie nie określili. Posługiwali się nim bowiem tylko w dorywczych uwagach. Bolszewicy natomiast podnieśli je do godności programu. [...]

Engels oświadcza w r. 1831 w swojej przedmowie do trzeciego niemieckiego wydania „Wojny domowej we Francji”: *Komuna Paryska była dyktaturą proletariatu.*

Sam zaś Marks kreśli w tym piśmie zasady, na których opierał się ustrój Komuny: *Pierwszy dekret Komuny był zniesieniem armii stałej i zastąpieniem jej przez uzbrojony lud (gwardię narodową). Komunę utworzyli radni miejscy wybrani w różnych okręgach Paryża na podstawie powszechnego prawa wyborczego... Policję, dotychczas narzędzie rządu państwowego, pozbawiono natychmiast jej właściwości politycznych i zamieniono w odpowiedzialne, w każdej chwili*

dające się usunąć narzędzie komuny... Komuna miała być formą polityczną najmniejszej nawet wioski, a miejsce wojska stałego na wsi zająć miała milicja ludowa o nadzwyczaj krótkim czasie służby... Nieliczne, lecz ważne czynności, które pozostały jeszcze rządowi centralnemu, nie miały być zniesione, lecz przekazane urzędnikom komunalnym, to znaczy w wysokim stopniu odpowiedzialnym.

Tak wyglądał ustrój, w którym urzeczywistnić się miała dyktatura proletariatu. [...] cytowane tu wywody świadczą niezawodnie o tym, że Marks żądał dla fazy, którą Engels nazywał dyktaturą proletariatu, nader słabego rządu centralnego, bez stałej armii, bez policji politycznej i z niewielkim tylko zakresem działania, oraz wyboru urzędników drogą powszechnego prawa głosowania.

Jeśli to nie jest demokracją i to skrajną demokracją, to naprawdę nie wiem już, co by nią miało być. Ale ta tak daleko idąca demokracja nie jest bynajmniej pokłonem przed anarchizmem.

Pod wpływem badań nad rewolucją francuską, doszedł był Marks w swych socjalistycznych

początkach do zapatrywania, które w wielu rzeczach zbliżało się do poglądu jakobińskiego i blankistycznego. Pod tym wpływem pisał jeszcze w r. 1850 w odezwie władz centralnych do związku komunistów o ich zadaniach w spodziewanym w najbliższym czasie ponownym wybuchu rewolucji: *Demokraci dążyć będą albo wprost do republiki federacyjnej, albo jeśli jedna niepodzielna republika nie da się ominąć, będą się starali przynajmniej paraliżować rząd centralny przez możliwie największą samodzielność i niezależność gmin i prowincji. Robotnicy natomiast muszą działać w przeciwieństwie do tego planu, nie tylko w kierunku jednej i niepodzielnej republiki niemieckiej, lecz w jej obrębie w kierunku stanowczej centralizacji władzy w rękach państwa. Niech nie pozwolą się bałamucić demokratycznym gadaniom o wolności gmin, samorządzie itp. Jak we Francji r. 1793, tak dzisiaj w Niemczech przeprowadzenie jak najściślejszej centralizacji jest zadaniem istotnie rewolucyjnej partii.*

Do tego sposobu pojmowania doskonale można zastosować słowo o dyktaturze proletariatu. Ale dalsze studia, jako też doświadczenia angielskie sprawdziły zasadniczą zmianę w poglądach Marksa na ukształtowanie się rewolucyjnej władzy państwowej, jak świadczą już powyżej przytoczone zdania jego o Komunie z r. 1871.

A i w innych wypadkach występuje Marks w późniejszych latach jako przeciwnik każdej silnej władzy

państwowej. Tak na przykład pisze w słynnym liście, poświęconym krytyce socjalno-demokratycznego programu partyjnego z r. 1875: *Wolność polega na przekształceniu państwa z organu stojącego ponad społeczeństwem w organ społeczeństwa podporządkowany.* A na innym miejscu znów czytamy: *Zupełnie niedopuszczalne jest wychowywanie ludu przez państwo. Należy raczej jednako wykluczyć kościół i państwo od wpływu na szkoły* („Neue Zeit” IX, 2).

Jeśli Marks występuje tak stanowczo za demokracją, a przeciw silnej władzy państwowej, to nie naturalnie tym samym na „wiarę w cuda demokracji”, którą wydrwiwa wyraźnie; *na wiarę w ową regularną demokrację, która w demokracji widzi państwo tysiącletnie i nie ma pojęcia o tym, że właśnie w tej ostatniej formie ustrojowej społeczeństwa burżuazyjnego należy stoczyć ostateczną walkę klasową.* Niemniej jednak stanowczo zwraca się przeciw *poddańczej wierze sekty Lassalowskiej w państwo.*

Równoległe ze zmianą poglądu na władzę państwową – szła druga zmiana, o której mówił Engels w przeddzień śmierci, w słynnej swej przedmowie do „Walki klasowych we Francji” Marksa, na którą tytuł się powołuje. Wykazał tam, że pod wpływem powszechnego prawa głosowania oraz techniki woj-skowej (także i rozwoju komunikacji) gruntownie zmieniły się warunki rewolucyjnej walki proletariatu. Około r. 1848 sądzili jeszcze rewolucjoniści

KOMENTARZ

LEWICA PRZECIWKO ZSRR

Od lat istnieje teza – znana głównie osobom ponadprzeciętnie zainteresowanym dziejami tej opcji politycznej – która mówi, że nikt nie wyrządził lewicy tyle zła, co nominalnie przecież lewicowy komunizm. Komunistyczne zbrodnie, brutalne deptanie nawet podstawowych praw obywatelskich, niewydolność gospodarcza – wszystko to poszło na konto lewicy. Każdej lewicy.

Oczywiście sporo osób wie, że nie każda lewica to komuniści, że komunizm był tylko jedną z kilku „odnóg” myśli lewicowej, że lewica niekomunistyczna była przez realny komunizm zwalczana. Ale tylko garstka dokonuje tego rodzaju dokładnych różnic. Dla pozostałych natomiast nierzadko „coś jest na rzeczy”, to znaczy uważają, iż granice między komunizmem a resztą lewicy są umowne i niejasne, a od socjalizmu czy socjaldemokracji nie jest

wcale daleko do bolszewizmu i sowytyzmu. Jeszcze gorzej wygląda sprawa ze „zwykłymi ludźmi” w krajach takich jak Polska, które mają za sobą kilkadziesiąt lat zamordyzmu przyobleczonego w czerwone sztandary.

Tutaj kojarzenie lewicy z komunizmem jest powszechne. Przede wszystkim dlatego, że poczynając od Bieruta i Bermiana, przez Gomułkę i Kliszkę, a na Jaruzelskim i Rakowskim kończąc, włodarze PRL-u przedstawiali się jako lewica najprawdziwsza i najbardziej lewicowa ze wszystkich lewic. A bywało wręcz, że jako lewica jedyna, wszystko inne bowiem było wedle komunistycznej propagandy mniej lub bardziej reakcyjne czy „oportunistyczne” (zarzut w ustach partyjnych kacyków i biurokratów-karierowiczów doprawdy komiczny).

W dodatku te środowiska, które w PRL-u były opozycją wobec reżimu, a zarazem odwoływały się do demokratycznego socjalizmu czy do antykomunistycznych i antytalitarnych wątków myśli lewicowej, po roku 1989 niemal gremialnie porzuciły takie identyfikacje. Znakomita większość tej formacji, z „Gazetą Wyborczą” na czele, ma dziś dla wszelkiej lewicowości – pomijając pomstowanie na

wraz z Marksem i Engelsem, że rewolucja może być tylko rewolucją mniejszości. Powstanie proletariatu po zwycięstwie zamieniłoby się już w rewolucję większości: *Historia nie potwierdza słuszności poglądów nas wszystkich, którzyśmy podobnie myśleli. Dziś przeciwnie socjaliści przekonują się coraz dobitniej, że nie mogą spodziewać się trwałego zwycięstwa, chyba że pozyskają przedtem wielkie masy ludu.*

Pomimo tych wielkich i głęboko sięgających zmian, Marks i Engels później jeszcze mówili o dyktaturze proletariatu. Ale niewątpliwie nie można jej rozumieć w duchu jakobińskim. Jakżeż tedy wolno się dziś powoływać bolszewizmowi na Komunę Paryską i na Marksa z r. 1871?

Komuna i Marks domagali się zniesienia wojska stałego i zastąpienia go milicją. Rząd sowietów zaczął od zniesienia stałej armii, stworzył natomiast czerwoną armię, najsilniejsze stałe wojsko w Europie. Komuna i Marks żądali zniesienia policji państwowej; republika sowietów rozwiązała starą policję po to tylko, aby stworzyć czerezwyczajkę, policję o znacznie większym zakresie działania, bardziej wszechwładną i okrutną aniżeli ta, którą posługiwał się bonapartyzm francuski lub carowie rosyjscy. Komuna i Marks żądali zastąpienia biurokracji państwowej przez urzędników wybieranych przez lud powszechnym głosowaniem. Republika sowietów usunęła starą biurokrację cesarską, ale w jej miejsce postawiła nową, równie scentralizowaną, ze



© Anosmia, flickr.com/photos/jenniferboyer/598494385

„ciemnogród” oraz wspomnianie „etosowej” młodoci z czasów KOR-u – jedynie pogardę, streszczając się w etykietowaniu niemal każdej postawy prospołecznej lekceważącym terminem *homo sovieticus*. Tym sposobem, a także namaszczać postkomunistów na „demokratyczną lewicę”, dawni opozycjoniści przykładają rękę do skojarzeń, że komunizm i lewica to w zasadzie „coś w podobnym stylu”.

Rozmaici nostalgicy PRL-u lubią się pocieszać sondażami, które wskazują na stosunkowo niezłą ocenę realiów sprzed roku 1989. Nie potrafią jednak odróżnić wspomniania wyidealizowanej przeszłości (któż pomyśli źle o czasach, gdy był młody, zdrowy i wcześniej niż sąsiad dostał talon na „malucha”?) od chęci realnego powrotu do niej. Ta ostatnia postawa jest niszowa. Z tego też względu prawicy jest na rękę utożsamienie wszelkiej lewicowości z PRL-em. Wówczas można przedstawiać lewicowe pomysły jako chęć przywrócenia dawnych rozwiązań, za którymi mało kto tęskni, a dodatkowo nieustannie obarczać lewicę odpowiedzialnością za przeróżne „błędy i wypaczenia” czy po prostu zbrodnie komunizmu. Ileż to razy w „dyskusjach” o polityce społecznej, choćby jej zwolennicy proponowali

rozwiązania nowoczesne i znane z najbogatszych krajów Zachodu, w odpowiedzi wysyłano ich na Kubę i do Korei Płn. oraz posądzano o chęć przywrócenia sklepów pełnych jedynie octu.

Polska prawica co prawda czasem wspomni, że zamiast postkomunistów chciałaby silnej lewicy „prawdziwej – takiej jak Bugaj albo dawny PPS”, ale gdy ktokolwiek formułuje postulaty właśnie w stylu dawnego PPS-u czy zachodnich socjaldemokracji, to i tak w odpowiedzi słyszy o gułagach, gierkowskich długach, kartkach na żywność, wielkim głodzie na Ukrainie, ubekach i Katyniu.

Jednak niezależnie od bieżących sporów, pomocy i tandetnej propagandy politycznej, sprawa ta ma wymiar znacznie ważniejszy. Prawica lubi powtarzać za jednym ze swoich guru, że „tylko prawda jest ciekawa”. Tymczasem prawda mówi coś dokładnie przeciwnego niż prawicowa agitacja i skojarzenia większości opinii publicznej. Ta ciekawa prawda mówi mianowicie, że jednymi z pierwszych i najbardziej dobitnych krytyków komunizmu byli właśnie socjaliści. W dodatku, inaczej niż większość prawicy, nie krytykowali komunistów w sposób dla nich nieszkodliwy, czyli za pomocą gorzkich żalów,



znacznie rozleglejszymi prawami niż poprzednia, albowiem reguluje ona całe życie gospodarcze i władza nie tylko wolnością obywateli, lecz także i źródłem ich egzystencji. Nigdzie społeczeństwo nie jest bardziej podporządkowane państwu, aniżeli w Rosji. [...]

Bolszewicy mogliby odpowiedzieć, że ustrój Komuny, który Marks tak chwalił, nie da się przeprowadzić w nowoczesnym wielkim państwie. O tym dałoby się niejedno powiedzieć. Ale pospolitym fałszerstwem z ich strony jest powoływanie się na Marksa i Komunę w obronie dyktatury, którą wykonują. Marks i Komuna bowiem żądali wręcz przeciwnieństwa tego, co przeprowadził bolszewizm. [...]

Bolszewickie pojmowanie dyktatury jest niejasne i zawile, gdy uchodzić chce za dyktaturę klasową, dyktaturę proletariatu. Staje się jednak jasnym i prostym, jeżeli rozumie się je w utartym znaczeniu, jako dyktaturę rządu.

Rząd jest wtedy dyktatorskim, gdy panuje bez ograniczenia. Nadto istotą dyktatury jest jej przejściowość. Rząd nieograniczony, który stał się instytucją stałą, nazywa się despotyzmem. W starożytnym Rzymie, skąd pochodzi ta instytucja i jej nazwa, dyktator mógł urząd swój pełnić nie dłużej, niż sześć miesięcy. Bolszewicy zapowiadali również, że dyktatura ich będzie przejściowa, że skończy się w chwili, gdy socjalizm będzie przeprowadzony i zabezpieczony. Niestety oświadczyli sami, że to może potrwać nie sześć miesięcy, lecz całą generację ludzką.

iz nie przejmują się „świętą własnością” burżujów lub samopoczuciem wrażliwych właścicielek ziemiańskich dworków.

Socjaliści natomiast krytykowali komunistów za to, że ich poczynania stanowią zaprzeczenie samego sedna idei lewicowych, marksizmu nie wyłączając. Pozbawiają społeczeństwo nawet tych swobód obywatelskich, które oferowała „demokracja burżuazyjna”, zamiast robotniczej kontroli nad środkami produkcji tworzą klasę nowych posiadaczy – biurokratów partyjnych, równość i braterstwo pod rządami komunistów okazują się systemem wodzowskim i terrorem policyjnej pałki, a wydanie gospodarki na łup „biernych, miernych, ale wiernych” prędkiej czy później prowadzi do jej zapaści.

Historia lewicowej krytyki komunizmu jest bardzo długa. Już anarchista Bakunin punktował takie założenia teoretyczne marksizmu i taktyki jego zwolenników, które niosły ryzyko, że „lepszy świat” okaże się „większą tyranią”. Polski teoretyk „socjalizmu wolnościowego”, Edward Abramowski, już pod koniec XIX w. wskazywał z niemal proroczą przenikliwością, iż socjalizm „odgórny” czy „państwowy” może się przerodzić w ustrój jeszcze gorszy niż kapitalizm, bowiem uczyni ludzi niewolnikami kasty

Tak określili sami jeszcze w okresie najbujniejszego rozkwitu swych iluzji, czas trwania dyktatury. [...] Despotyzm stanowi punkt szczytowy w walce władzy państwowej z pierwotną demokracją. Kapitalistyczny przemysł i jego komunikacja wraz z następstwem ich, to jest wzrastającym i potężniejącym proletariatem oraz rozwojem inteligencji mas, niepowstrzymanie podkopuje rządy despotyczne. Tylko w najzacofańszych krajach mogą się dziś jeszcze utrzymać. [...] Niepowstrzymanie kroczy demokracja naprzód; zdobywa i pomnaża jedną wolność za drugą. Jednym z jej najważniejszych zadań jest zabezpieczenie mniejszości i jednostki przed pogwałceniem ich praw ze strony organów władzy państwowej. [...]

Powiada Trocki: *Aby jednostka stała się świętością, trzeba znieść ustrój społeczny, który tę jednostkę skazuje na ukrzyżowanie. Zadanie to może być spełniane tylko żelazem i krwią* („Terroryzm i komunizm”). Wojna domowa i terroryzm, rzezie bez końca, oto drogi, którymi Trocki obudzić i pogłębić pragnie poszanowanie dla życia ludzkiego. Zaiste, przedziwne są drogi Pańskie!

[...] Nawet w Rosji marksizm utorował sobie drogę, pomimo olbrzymich trudności, które sprawiało mu tam tak ekonomiczne, jak i polityczne zacofanie. Zacofanie ekonomiczne mówiło marksistom, że Rosja daleka jest jeszcze od dojrzałości do socjalistycznej wspólnoty. [...]

biurokratów, panującej nad nimi w każdej sferze życia. Przykłady takie można mnożyć.

Dziś przypominamy trzy takie głosy. Celowo pominieliśmy rozważania teoretyczne sprzed bolszewickiego przewrotu. Chcemy bowiem pokazać, iż lewica dokonała szybkiej i dogłębnej krytyki właśnie tego, co przeszło do historii jako „pierwsze państwo robotników i chłopów”. Nie był to, jak w przypadku choćby Bakuninowskiej krytyki marksizmu, spór na gruncie idei, wizji czy po prostu personaliów i temperamentów, lecz analiza zaistniałych faktów. Analiza pozbawiona złudzeń, niemal natychmiast celnie wskazująca, że sowiecka Rosja ma niewiele wspólnego z realizacją ideałów lewicowych. Pominęliśmy także teksty autorstwa polskich myślicieli i działaczy lewicowych, którzy bolszewizm i Związek Radziecki atakowali wielokrotnie i bez pardonu. Pojawiają się czasem opinie, że lewicy Polacy krytykowali ZSRR jako kontynuację Rosji – doświadczenia z epoki zaborów miały rzutować na umiejętności „właściwej” oceny Kraju Rad, nasycając ją uprzedzeniami i fobiami. Z tego też względu oddajemy głos autorom z Zachodu i z... samej Rosji.

Pierwszym z nich jest **Karl Kautsky** (1854–1938), jeden z najwybitniejszych działaczy i myślicieli

Trwała podstawa dla ruchów masowych powstała w Rosji dopiero z rozwojem jej przemysłu i wzmocnieniem proletariatu. [...] Pojawienie się proletariackiego ruchu masowego przy braku wszelkich swobód politycznych, nie uczyniło tajnej organizacji zbyt cenną, przeciwnie, pomnożyło wydatnie jej zadania.

[...] tajne organizacje rosyjskiej socjalnej demokracji miały to wspólne ze spiskowcami, blankistami i bakuninistami, że rekrutowały się w większości z inteligentów, i dlatego występowały wobec nie-uświadomionych mas z przewagą ludzi wykształconych. Z góry już mogli się czuć powołanymi przywódcami proletariatu. Ponadto nowe organizacje tajne zataczały szersze kręgi, niż dawniejsze. Partia coraz więcej potrzebowała sił i zyskiwała też środki, aby je utrzymywać. Stąd też powstał przy tajnym charakterze ruchu typ zawodowego konspiratora. [...]

Olbrzymie trudności pracy partyjnej w Rosji, pociągnęły za sobą wieczne szukanie i kroczenie po omacku. Przy tym wszystkim jednak krystalizowały się różne poglądy coraz to wyraźniej w dwóch określonych tendencjach: jedna bardziej odpowiadająca stosunkom rosyjskim, wnosząca do marksizmu metody i sposoby środowiska spiskowego myślenia, i druga o charakterze raczej zachodnioeuropejskim, która marksizm pojęła w duchu jego założycieli.

Szermierzem pierwszego kierunku stał się Lenin. Po wieloletniej wspólnej pracy z Akselrodem

i Martowem, zwrócił się przeciwko nim w r. 1903, na drugim kongresie socjalnej demokracji w Londynie. Rozwinął on później stanowisko swoje w książce pt. „Jeden krok naprzód a dwa wstecz”, którą omówiła dokładnie Róża Luksemburg w „Neue Zeit” (XXII, 2). Podajemy tu jej wywody. Dają one znakomitą, nadzwyczaj bystrą charakterystykę tendencji Leninowskich i okazują, że liczą one już prawie dwa dziesięciolecia. Wcześniej się jednak na nich poznało i je zwalczano, a czyniły to żywioły, które równocześnie stały w najbardziej stanowczej walce ze wszystkim, co wyglądało na oportunizm. Róża Luksemburg pisała (w r. 1904):

Leżąc przed nami książka Lenina, jednego z najwybitniejszych przywódców i szermierzy »Iskry«, w czasie jej przygotowawczej kampanii przed rosyjskim kongresem, jest systematycznym wyłożeniem poglądów ultracentralistycznego kierunku partii rosyjskiej. Zapatrywanie, które znalazło tu pełny i wyczerpujący wyraz, to najbezwzględniejszy centralizm, którego zasadą życiową jest z jednej strony ostro zarysowane wydobywanie i wyodrębnienie zorganizowanych kadr uświadomionych i czynnych rewolucjonistów spośród otaczającego ich, wprawdzie niezorganizowanego, ale rewolucyjnego środowiska; z drugiej zaś strony surowa dyscyplina i bezpośrednie, rozstrzygające i stanowcze mieszanie się władz centralnych we wszystkie

w dziejach lewicy, czołowy popularyzator marksizmu (szczególnie ekonomicznych aspektów tej doktryny) i teoretyk rozwijający jego rozmaite wątki, jeden z liderów niemieckiej socjaldemokracji, organizator wielu inicjatyw lewicowych. Kautsky to swoista ikona lewicy w ogóle, a szczególnie lewicy zarazem konsekwentnej w swych przekonaniach, jak i demokratycznej, nie godzącej się na zamordystyczne rzekome „drogi na skróty” do socjalizmu, bo jak trafnie oceniał, drogi takie wiodą nieodmiennie na manowce. Wydana na początku lat 20. książka Kautsky'ego, której fragment zamieszczamy, nie była jego pierwszą krytyczną publikacją o bolszewizmie i państwie sowieckim, co oznacza, że lewica wierna swoim pryncypiom dostrzegła w zasadzie od razu, iż nic dobrego z tego nie będzie. Warte uwagi jest to, że Kautsky poddał system sowiecki krytyce w książce stanowiącej polemikę z Trockim. Ten ostatni w środowiskach ludzi naiwnych uchodzi do dziś za szlachetnego dysydenta, który chciał uchronić ZSRR przed błędami Stalina, za co zapłacił najwyższą cenę, zamordowany na jego polecenie. W rzeczywistości był to jedynie spór w rodzinie, bowiem jak wykazuje Kautsky, Trocki był żarliwym apologetą tych cech systemu sowieckiego, na

bazie których wręcz musiał wyrosnąć „stalinizm”. Jeśli Trocki przedwcześnie spoczął w grobie, to tylko dlatego, iż sam go sobie wykopał.

Drugi z publikowanych tekstów wyszedł spod pióra **Otto Bauera** (1881–1938). Znów jest to postać wybitna i bardzo zasłużona dla lewicy, wieloletni lider socjaldemokracji austriackiej, ekonomista i filozof, jeden z głównych przedstawicieli austromarksizmu, akcentującego etyczne aspekty socjalizmu. Przedrukowane tu fragmenty jego książki, wcześniejszej jeszcze niż rozważania Kautsky'ego, bowiem napisanej na początku roku 1920, poświęcone są kwestii niezwykle ważnej, a stosunkowo rzadko poruszanej w analizach reżimu sowieckiego. Bauer wskazuje, że u zarania ZSRR nastąpiło odejście nie tylko od takich podstawowych zasad socjalizmu, jak swoboda przekonań i wolność organizowania się, co bolszewicy tłumaczyli „wojną prowadzoną z reakcją”. Już niemal na starcie porzucili oni również swoisty dogmat myśli lewicowej, tj. przekonanie, iż socjalizm oznacza społeczną własność środków produkcji, zarządzanie zakładami pracy przez robotników oraz egalitaryzm ekonomiczny. Austriacki myśliciel i polityk opisuje, jak w ciągu zaledwie dwóch lat istnienia nowego systemu zasady te zostały

przejawy życiowe partii. Wystarczy zwrócić na to uwagę, że na przykład Komitet Centralny ma prawo w myśl tego poglądu organizować wszystkie inne komitety, a więc także oznaczać skład osobisty każdej poszczególnej organizacji lokalnej, począwszy od Genewy i Liège, aż do Tomska i Irkucka, nadawać jej ułożony przez siebie statut lokalny; rozwiązać ją swoim wyrokiem zupełnie i na nowo ją wskrzesić, a w końcu wpływając w ten sposób pośrednio na skład najwyższej instancji partyjnej, zjazdu partyjnego. W ten sposób Komitet Centralny przedstawia się jako właściwe czynne jądro partii, podczas gdy wszystkie inne organizacje są wyłącznie jego wykonawczymi organami.

Róża Luksemburg stwierdza dalej, że marksizm żąda uprządkowania pewnej centralizacji partyjnej, która jednak musi być zgoła inną, aniżeli ta, którą Lenin proponuje. *Ruch socjalno-demokratyczny jest pierwszym w dziejach społeczeństw klasowych, który we wszystkich swych momentach i w całym swym przebiegu obliczony jest na organizację i samodzielną bezpośrednią akcję mas. Pod tym względem socjalna demokracja wytwarza zupełnie inny typ organizacyjny, aniżeli dawniejsze ruchy socjalistyczne, jak np. typu jakobińskiego-blankistycznego.*

Lenin zdaje się nie doceniać tego, jeśli w książce swojej twierdzi, że rewolucyjny socjalny

demokrata nie jest przecież niczym innym, jak tylko nieodłącznie z organizacją uświadomionego proletariatu związanym jakobinem. W organizacji i w uświadomieniu klasowym proletariatu, w przeciwieństwie do spisku małej mniejszości, widzi Lenin wyczerpujące cechy, odróżniające socjalną demokrację od blankizmu. Zapomina, że związane z tym jest jeszcze gruntowne przewartościowanie pojęć o organizacji, nowa zupełnie treść dla pojęcia centralizmu i całkowicie nowe pojmowanie wzajemnego stosunku między organizacją a walką.

Po dalszych wywodach na ten temat, Róża Luksemburg mówi dalej: *Stąd wynika już, że centralizacja socjalno-demokratyczna nie może opierać się na ślepych posłuszeństwie, na mechanicznym podporządkowaniu bojowników partyjnych centralnej władzy i że z drugiej strony nie można zbudować przegrody między zorganizowanym już w partii i kadrach klasowo uświadomionym proletariatem, a znajdującą się dokoła warstwą stojącą już w walce klasowej i przechodzącą proces uświadomienia klasowego. Budowanie centralizacji w socjalnej demokracji na tych dwóch podstawach – na ślepych podporządkowaniu wszystkich organizacji partyjnych, aż do najdrobniejszych szczegółów jednej władzy centralnej, która sama jedna za wszystkich myśli, działa i rozstrzyga, jako też*

brutalnie złamane. Zamiast robotników – fabrykami rządzą biurokraci z partyjnej elity, wyzysk pracowników najemnych dokonuje się wedle reguł znanych z brutalnego kapitalizmu, a wręcz wprowadzany jest przymus pracy, co oznacza de facto powrót niemal do niewolnictwa. Zamiast wyzwolenia ludzi pracy jest ich zniewolenie pod butem garstki komunistów, posiadających władzę iście tyrańską.

Ostatni z prezentowanych tekstów to rozdział książki **Victora Serge'a** (Wiktora Kibalczicza, 1890–1947). Postać to niezwykle barwna – urodzony w Belgii w rodzinie rosyjskich emigrantów politycznych, najpierw anarchista, we Francji uwięziony za rzekomy udział w działaniach grupy polityczno-rabunkowej, w 1919 r. przybył do Rosji, gdzie wstąpił do partii bolszewickiej. Był wysokiego szczebla działaczem Kominternu, w połowie lat 20. związał się ze skupionym wokół Trockiego środowiskiem opozycyjnym wobec Stalina. Wyrzucony z partii, kilkakrotnie uwięziony, w 1936 r. uwolniony po protestach zachodnich lewicowych intelektualistów. Wyemigrował do Belgii, a następnie do Francji, zaś po zajęciu jej przez Niemcy – do Meksyku. Początkowo pozostał sympatykiem Trockiego, jednak zerwał z nim wskutek niezgody na niemal bezkrytyczną ocenę przez

tego ostatniego „przedstalinowskiej” fazy w dziejach ZSRR. Serge po opuszczeniu Rosji sowieckiej opublikował kilka obszernych analiz degeneracji tamtejszego ustroju. Publikowany tutaj rozdział jednej z tych prac uderza w sam rdzeń wszelkich postaw filozoficznych. Nawet pośród lewicowców krytycznych wobec ZSRR spotyka się opinie, że owszem, bolszewicy bezpardonowo pogwałcili liczne zasady i wartości socjalistyczne, jednak przynajmniej zapewnili ludności Rosji awans materialny, byli więc mniejszym złem wobec carskiego feudalizmu-kapitalizmu. Victor Serge, który realia porewolucyjnej Rosji znał z autopsji, pozostał odporny na tego rodzaju wywody, zazwyczaj będące pochodną sowieckiej propagandy. W roku 1937, a więc dwie dekady po triumfie rewolucji październikowej, opisuje on szarą, a raczej czarną rzeczywistość radzieckich ludzi pracy: ich wyzysk, biedę, zażartą walkę o byt oraz ogromną rozpiętość dochodów między robotnikami a partyjnymi karierowiczami.

Cóż jeszcze można dodać oprócz tego, że lewica autentyczna, wierna swoim przekonaniom i zasadom, stała w pierwszym szeregu krytyków komunizmu? Wszystko jest jasne.

R.O.

na stanowczym wyodrębnieniu zorganizowanego jądra partii spośród otaczającego go środowiska rewolucyjnego, jak tego broni Lenin, wydaje nam się przeto mechanicznym zastosowaniem zasady organizacyjnej blankistycznego ruchu kół spiskowych do socjalno-demokratycznego ruchu mas robotniczych...

Zalecany przez Lenina ultracentralizm nie jest zdaniem naszym w swej istocie owiany duchem pozytywnie twórczym, lecz ogranicza się do roli bezpłodnej nocnej straży. Bieg jego myśli przystosowany jest głównie do kontroli działalności partyjnej, nie zaś do jej zapłodnienia, do zacieśnienia, a nie zatoczenia szerszych kręgów, do spętania sił, nie do skupienia ruchu. [...]

Tak usunięto demokrację z obrębu bolszewickiej organizacji i zastąpiono ją dyktaturą komitetu centralnego, ze wszystkimi towarzyszącymi jej zjawiskami, na długo zanim bolszewizm wydał wojnę demokracji jako formie ustroju państwowego. Popierał ją w państwie i to jak najusilniej, jak długo sam nie osiągnął władzy państwowej. Kiedy w listopadzie roku 1917 udało mu się zdobyć tę władzę drogą zamachu, wziął się natychmiast do przystosowania ustroju państwowego do ustroju partii, którą nazywano komunistyczną. Do tej chwili chciała uchodzić za jedyną, rzeczywistą partię socjalno-demokratyczną w Rosji, teraz jednak nazwa ta nie dała się pogodzić ze zniesieniem demokracji.

Można było z lepszym niż dotąd wynikiem przystąpić do zniszczenia innych partii proletariackich teraz, gdzie obok oszczerstw i korupcji zastosować się także dał bezpośredni ucisk oraz zupełne zdruzgotanie fizyczne, w drodze terroru, inaczej myślących socjalistów.

Co prawda, jeżeli spodziewano się dzięki rozwiązaniu wszelkich innych socjalistycznych organizacji partyjnych poddać rozpętane przez rewolucję masy robotnicze całkowicie wpływowi partii bolszewickiej i jej komitetu centralnego, tak, aby wszechmoc, czyli dyktatura robotników sama przez się przetrzymała się w dyktaturę centralnego komitetu, to gorzko się rozczarowano. Aby sprowadzić tę dyktaturę, nie pozostawało nic innego, jak uciec się do dawnych metod carskich, choć zrazu pod złudną osłoną. [...]

W państwie wprowadzono całkiem nową biurokrację, ściśle wedle wzoru, który w r. 1904 Lenin opracował był dla partii. Jeśli według wzoru tego centralna władza partyjna miała nadzorować wszelkie przejawy życia partyjnego i w ogóle ruchu robotniczego, kierować nimi i decydować o wszystkim, to teraz nowa biurokracja miała nadzorować wszelkie przejawy życiowe ogółu ludności, kierować nimi i o nich decydować nie tylko w życiu państwowym, lecz także w obrębie procesu produkcji i wymiany, a nawet w stosunku do całego życia społecznego, wszelkiej myślowej i uczuciowej działalności mas. [...]



By uniemożliwić wszelki opór przeciw temu potwornemu polipowi, stworzono stałą milionową armię o żelaznej dyscyplinie oraz olbrzymi aparat policyjny nadzwyczajnych komisji (czereziwczajek), który wyposażono we władzę usuwania bez ceremonii z drogi każdego, kto dyktatorom wydałby się niewygodnym lub choćby tylko podejrzanym. I przeniósłszy w ten sposób dyktaturę centralnego komitetu z partii do państwa, usiłuje się przekroczyć jeszcze dane granice państwowe. Napada się wśród pokoju niepodległe narody sąsiednie i poddaje w niewolę moskiewskiej dyktatury (patrz państwa kaukaskie).

Równocześnie zaś usiłuje się tymi samymi środkami, jakimi bolszewicy przed swym zamachem stanu zwalczali inne socjalistyczne partie Rosji, wprowadzić dyktaturę w międzynarodówce. Tylko że teraz szerzenie korupcji wśród skłonnych do tego żywiołów przybiera olbrzymie rozmiary, rozporządza się bowiem rosyjskim skarbem państwa. I znowuż spisek chce porwać w swe ręce kierownictwo masami. Nieznani, przed nikim nieodpowiedzialni wysłańcy Moskwy kontrolują komunistyczne partie pozarosyjskie i kierują nimi.

To, przeciw czemu Engels zwraca się w r. 1870, teraz zostało osiągnięte w trzeciej międzynarodówce: poddano ją rosyjskiej komendzie dyktatorów, których ona sama nie zna. Jeżeli bolszewizm w Rosji jest dyktaturą nad proletariatem, to w międzynarodówce jest on spiskiem przeciw proletariatu. [...]

Hasło pierwszej i drugiej międzynarodówki, że wyzwolenie klasy robotniczej może być dziełem samej tylko klasy robotniczej, zadaje kłam praktyka trzeciej międzynarodówki, która opiera się na zasadzie, że wyzwolenie klasy robotniczej świata całego może dokonać się tylko drogą dyktatury centralnego komitetu komunistycznej partii Rosji.

Zerwanie z demokracją, rozpędzenie konstytuanty, zniszczenie wszystkich partii, nawet proletariackich, prócz panującej komunistycznej, wprowadzenie krwawych rządów policyjnych i w końcu zupełny zastój w produkcji i komunikacji: głód i nędza we wszystkich zakątkach kraju, wszystkie te skutki reżymu bolszewickiego tylko z wolna dotarły do świadomości Europy i nie znajdowały przeważnie wiary u socjalistów europejskich, którzy witali bolszewizm z entuzjazmem, jako pierwszy czysto proletariacki rząd w wielkim państwie i przyjmowali wszystko, co przemawiało na niekorzyść rewolucyjnego rządu z niewiarą, jako kłamstwo burżuazyjne, lub starali się przynajmniej łagodniej to ocenić. Wprawdzie zniesiono „formalną” demokrację, formalne równouprawnienie wszystkich, ale za to, wedle wiadomości moskiewskich zbudować miano demokrację wszystkich, pozabawić zaś tylko pasożytów praw obywatelskich. [...]

Aby uniknąć kłamstw burżuazyjnych, wierzone chętnie bolszewickim bajkom o zdradzie

mienszewików i prawicowych socjal-rewolucjonistów, którzy jakoby przeszli do obozu kontrrewolucji jako „białogwardziści”, co po dziś dzień twierdzi jeszcze Trocki. Wierzono w stan rozkwitu Rosji, we wspaniały rozwój jej rad robotniczych i swobodę ich działania. Ale gdy nie można już było przyśłonić rzeczywistości i gdy bolszewicy sami choć w części musieli ją przyznać, pocieszano się tym, że nędza gospodarcza jest tylko następstwem wojny, tak zewnętrznej, jak i domowej, oraz blokady, i że wraz z niemi ustanie. Co się zaś tyczy terroru, no to przecież różami niepodobna usłać rewolucji. Proletariat zniósł już wiele nędzy i przelewu krwi. Jednakże, stale dotąd znosił to wszystko w interesie swych wyzyskiwaczy i ciemnych, teraz zaś cierpi w swoim własnym interesie: bierze na się głód, niweczy demokrację, niszczy przeciwników terrorystycznym rządem gwałtów, aby sprowadzić stan, w którym panowałby dobrobyt i wolność dla wszystkich, a wszelki gwałt znikł raz na zawsze.

W rzeczy samej, gdyby bolszewickie rządy krwi i żelaza, głodu i trwogi, posunęły nas choćby o jeden krok naprzód na drodze do takiego stanu społecznego, to moglibyśmy, nawet musielibyśmy się pogodzić z nimi, jako z bolesną operacją, która jedynie jednak potrafiłaby wrócić ciężko choremu pacjentowi zdrowie i siły. Niestety, postępowanie bolszewickie należy do owych systemów kuracyjnych, u których końca powiada się: „Operacja świetnie się powiodła, ale pacjent umarł”. [...]

Było to możliwe, tylko dlatego, że utracili wszelkie poszanowanie dla jednostki ludzkiej, dla jej życia i swobody. Pogarda dla jednostki ludzkiej, oto cecha znamienne bolszewików. Nieposzanowanie indywidualności własnych zwolenników, których ocenia się jedynie jako narzędzia i mięso armatnie, bezwzględne poniewieranie tymi, którzy nie pozwalają się użyć za narzędzie, których bez różnicy uważa się za przeciwników i stara wszelkimi środkami ugiąć lub złamać. [...]

Ten w teorii i praktyce zdecydowanie reakcyjny charakter, który nie prowadzi w kierunku do socjalizmu, lecz od niego odwołuje, on to obok brutalności i chęci panowania odpycha coraz szersze kręgi proletariatu od bolszewizmu. Sprawia to, że zejdzie on z widowni, nie zostawiając po sobie nic prócz ruin i przekleństw.

Karl Kautsky

Powyższy tekst to fragmenty książki Karla Kautsky'ego „*Od demokracji do niewolnictwa państwowego. Odprowa Trockiemu*”, polskie wydanie nakładem Ludowego Spółdzielczego Towarzystwa Wydawniczego, Lwów 1922. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”, uwspółcześniono pisownię wedle obecnych reguł.

Fabryki dla aparaczyków

Otto Bauer

Każde zwycięstwo polityczne klasy robotniczej wpływa też na postawę robotników w przedsiębiorstwach. Kiedy po rewolucji październikowej proletariat zapanował nad burżuazją, robotnicy w fabryce również uważali się za władców przedsiębiorstwa. Pierwszą próbą wyrażenia tej zmiany stosunku władzy w fabryce, w formie ustawy, jest dekret o „kontroli robotniczej” z dn. 16 listopada 1917. Dekret ten nie wprowadza uspołecznienia przemysłu i przedsiębiorca pozostaje właścicielem przedsiębiorstwa i kierownikiem produkcji, bierze na siebie ryzyko i zysk, jednakże działalność przedsiębiorcy poddana jest kontroli robotników. Kontrolę tę wykonuje w każdym przedsiębiorstwie rada fabryczna, w każdej guberni rada kontroli robotniczych, złożona z zastępców rad fabrycznych, stowarzyszeń zawodowych i spółdzielczych. Rada fabryczna każdego przedsiębiorstwa ma prawo nadzorować prowadzenie przedsiębiorstwa, mieć wgląd w księgi handlowe, w korespondencję handlową i przeprowadzać uchwały ws. prowadzenia przedsiębiorstwa. Uchwały te są dla przedsiębiorcy obowiązujące; ma tylko prawo wnieść protest przeciwko uchwałom rady fabrycznej do rady kontroli robotniczych, która rozstrzyga decydująco.

„Kontrola robotnicza” musiała w najkrótszym czasie zupełnie sparaliżować przedsiębiorstwa kapitalistyczne. Niemożliwością jest bowiem pozostawić przedsiębiorcy funkcje kierowania zakładem, odpowiedzialność za wyniki i ryzyko przedsiębiorstwa, a jednak przy tym wszystkim poddać go w zupełności kontroli rady fabrycznej. Najostrzejsze konflikty między przedsiębiorcami a radami fabrycznymi były nieuniknione. W wielu wypadkach kończyły się one tym, że robotnicy wypędzali przedsiębiorcę i kierowniczych urzędników zakładu i obejmowali sami kierownictwo. Naturalnie bardzo prędko brakło robotnikom kapitału do prowadzenia przedsiębiorstwa. Musiało interweniować państwo. Rząd

musiał się zdecydować na „unarodowienie” przedsiębiorstwa.

W pierwszych sześciu miesiącach republiki sowieckiej, unarodowienie postępuje zupełnie bezplanowo. Rząd nie chce nacjonalizować; decyduje się na tę akcję tylko pod przymusem żywiołowej akcji mas. Nacjonalizacja na podstawie dekretu idzie dopiero w ślad za „dziką socjalizacją”, dokonywaną przez samych robotników. Dlatego nie unaradawia się całych gałęzi przemysłu, lecz tylko poszczególne przedsiębiorstwa, w których nie udało się zażegnać konfliktu między przedsiębiorcą a radą fabryczną. [...]

Z rozmaity siłą ogarnął ruch ten poszczególne gałęzie przemysłu; najsilniej przemysł metalowy, nieznacznie tekstylny, wielu zaś ważnych pod względem gospodarczym gałęzi przemysłu, jak kopalń węgla kamiennego, nie dotknął wcale. Zarząd gospodarczy powierzony został ludowym radom gospodarczym. Utworzono naczelną ludową radę gospodarczą i lokalne ludowe rady gospodarcze w poszczególnych guberniach, obwodach i okręgach, złożone z zastępców władz sowieckich, związków zawodowych i stowarzyszeń spółdzielczych. Te ludowe rady gospodarcze miały teraz zorganizować zarząd znacjonalizowanych przedsiębiorstw. Rzecz prosta, było niemożliwością stworzenie porządnego zarządu dla zakładów najróżnorodniejszych, nie związanych z sobą, unarodowionych z pobudek przypadkowych. Unarodowione przedsiębiorstwa popadły w zupełną dezorganizację, jednakże i tym, które pozostały w posiadaniu kapitału, nie lepiej się wiodło. Bo praca systematyczna niemożliwa była tam, gdzie przedsiębiorca nie wiedział, czy najbliższego dnia nie skonfiskują mu jego przedsiębiorstwa. W miejsce bezplanowej nacjonalizacji, musiało przystąpić do pracy planowej, systematycznej.

Zapatrywania co do rozmiaru i rodzaju nacjonalizacji były nawet wewnątrz partii rządzącej podzielone.

Już przy obradach wstępnych nad dekretem o kontroli przedsiębiorstw przez robotników, wyłoniły się dwa kierunki: radykalny, syndykalistyczny, który chciał punkt ciężkości kontroli robotniczej przenieść do poszczególnych rad fabrycznych, nie ograniczając niczym ich kompetencji – i kierunek umiarkowany, państwowo-socjalistyczny, który kontrolę robotniczą chciał wykonać przez organy centralnej władzy sowieckiej, a zakres jej działania ściśle oznaczyć i ograniczyć drogą rozporządzenia. Wówczas, w dniach zawieruchy rewolucyjnej, zwyciężył kierunek radykalno-syndykalistyczny. Przy ustalaniu planu nacjonalizacji wynurzyło się znów to samo przeciwieństwo. Radykalno-syndykalistyczny kierunek żądał natychmiastowego unarodowienia wszystkich większych przedsiębiorstw i przeniesienia kierownictwa znacjonalizowanych gałęzi przemysłu w ręce samych robotników danych gałęzi przemysłu. Natomiast umiarkowany, państwowo-socjalistyczny kierunek domagał się ograniczenia nacjonalizacji do niewielu „dojrzałych” do tego, tzn. silnie scentralizowanych i pod względem gospodarczo-społecznym szczególnie ważnych gałęzi przemysłu – i zarządu tych znacjonalizowanych gałęzi przemysłu przez organy centralnej władzy sowieckiej. Kongres rad gospodarczych w maju 1918 wybrał drogę pośrednią. Akcja nacjonalizacji miała być ograniczona do kilku wielkich gałęzi przemysłu. Pojedynczych zakładów nie miano już nacjonalizować. Zarząd zakładów unarodowionych miał być zorganizowany w sposób następujący: przedsiębiorstwem kieruje „zarząd przedsiębiorstwa”, którego 2/3 członków mianuje rada gospodarcza, 1/3 zaś wybierają zorganizowani zawodowo robotnicy danego przedsiębiorstwa. [...]

Zarząd całej gałęzi przemysłu organizuje, zależnie od okoliczności, albo najwyższa rada gospodarcza, albo rada gospodarcza guberni, a mianowicie w ten sposób, że dla każdej gałęzi przemysłu tworzy się centralny zarząd przemysłowy, złożony z zastępców rady gospodarczej związków zawodowych i z delegatów zarządów przemysłowych. Poszczególne zarządy przemysłowe podlegają centralnemu i gubernialnemu zarządowi danej gałęzi przemysłu; przysługuje im prawo czynienia propozycji co do mianowania kierujących urzędników zakładu do zarządu, a nawet niekiedy mianowania ich wbrew woli zarządu przedsiębiorstwa. Cała organizacja zarządu we wszystkich swych rozgałęzieniach opiera się na jednolitym kierownictwie przemysłu przez władzę państwową, reprezentowaną przez rady gospodarcze, wraz z robotnikami danej gałęzi przemysłu. [...]

Bardzo prędko jednak rząd sowiecki ujrzał się zmuszonym znów pójść dalej, niż zamierzał. Robotnicy, władcy w państwie, nie chcieli znieść niczyjej przewagi w fabryce. Przedsiębiorcy, zupełnie wydani przez państwo w ręce klasy robotniczej, nie

mogli w tych warunkach sprawować kierownictwa. W kilka tygodni po majowym kongresie rad gospodarczych musiano się już zdecydować na unarodowienie prawie całego wielkiego przemysłu. Nastąpiło to na skutek dekretu z 28 czerwca 1918 r. Skoro więc w ten sposób prawie cały wielki przemysł przeszedł w ręce władzy sowieckiej, kwestia zarządu unarodowionego przemysłu nabrała poważnego znaczenia.

Przemysłowiec kapitalista staje wobec robotników w podwójnej roli. Kieruje on społecznym procesem pracy, zarazem jednak wyzyskuje go. Rewolucja proletariacka wyrzuca kapitalistę z przedsiębiorstwa, by społeczny proces pracy uwolnić od wyzysku. Traci jednak zarazem kierownika przedsiębiorstwa, który zespala indywidualne prace, organizuje je i nadzoruje. [...] Kapitalizm nie daje masie robotniczej sposobności do nabycia koniecznych do kierownictwa i organizowania społecznej pracy wiadomości, doświadczeń i zdolności. Jednakże kapitalizm wyławia z klasy robotniczej „pewną szczególną sortę zarobników” (Marks), która w imieniu kapitalizmu spełnia funkcję kierownictwa i organizowania pracy, jako też w jego imieniu zarządza produkcją. Proletariat może tylko wówczas ująć we własne ręce funkcje kierownictwa i organizacji pracy, jeżeli zdoła tę odrębną kategorię zarobników pozyskać na swe usługi. Tylko w ten sposób może po wyzwoleniu swym z kapitalistycznego wyzysku utrzymać w ruchu i dalej rozwijać społeczny proces pracy.

W pierwszej fazie rosyjskiej rewolucji proletariatu nie było tych warunków. Wielu dyrektorów, inżynierów i techników opuściło swe placówki. Niekiedy czynili to dobrowolnie, jako przeciwnicy władzy sowieckiej. Często byli do tego zmuszeni przez robotników, ponieważ robotnicy nie chcieli się podporządkować ludziom, którzy niedawno jeszcze rządzili w imieniu kapitału. [...] Tak więc brakowało unarodowionym przedsiębiorstwom owego fachowego i dostatecznym autorytetem wyposażonego kierownictwa, bez którego żaden społeczny proces pracy nie jest możliwy.

Kooperacja robotników najemnych – mówi Marks – jest dziełem samego kapitału, który tych robotników równocześnie zatrudnia. Związek pomiędzy ich funkcjami, ich jedność jako zbiorowego ciała wytwórczego, leżą poza nimi, w kapitale, który ich razem zbiera i łączy. Związek pomiędzy ich funkcjami przedstawia im się przeto idealnie jako plan, praktycznie jako autorytet kapitalisty, jako siła obcej woli, która ich działalność podporządkowuje swemu celowi. Dopiero na wyższym stopniu rozwoju organizacji kulturalnej dojrzałości proletariatu umie robotnik oceniać związek swojej funkcji z funkcjami reszty towarzyszy pracy, nie tylko jedynie pod kątem nakazu kapitału, lecz także z punktu wymogów pracy społecznej; swoje zaś



© Borys Kustodijew, *Bolszewik*, en.wikipedia.org/wiki/File:Kustodiev_The_Bolshevik.jpg

podporządkowanie się ciału zbiorowemu oceniać nie tylko jako poddanie się pod obcą władzę, lecz jako przystosowanie się do produktywnej wspólnoty pracy. Proletariat rosyjski, historycznie młody, który dopiero w ostatniej generacji wyłonił się z chłopstwa, nieorganizowany i niewykształcony za czasów caratu, nie osiągnął jeszcze tego stopnia rozwoju organizacji i kulturalnej dojrzałości. Z upadkiem autorytetu kapitalisty produkcja doznała poważnego wstrząśnienia wskutek tego, że robotnicy nie umieli należycie oceniać związku swych funkcji z całokształtem społecznego procesu pracy. Skoro zabrakło obcej woli, poddającej pracę robotników swemu celowi, wówczas harmonia tego jednolitego, produkującego ciała zbiorowego rozluźniła się. Dawna kapitalistyczna dyscyplina pracy utraciła swą moc, nowa zaś, proletariacka, opierająca się na wyrozumiałości, ochocie i solidarności, nie zaczęła jeszcze działać, zatem w przedsiębiorstwach wkradł się brak dyscypliny, dezorganizacja, anarchia. Katastrofalny spadek intensywności i produktywności pracy stał się największym niebezpieczeństwem dla republiki sowietów.

Rząd sowietów musiał powołać wszystkie siły do walki przeciwko anarchii w procesie produkcji. Przede wszystkim starał się sprowadzić na powrót

do przedsiębiorstw dyrektorów, inżynierów i techników przez zapewnienie im wyższych płac i samodzielnego zakresu działania. Równocześnie rozpoczęła się owa wielka kampania słowna, w której rzecznicy władzy sowieckiej starali się przekonać robotników o konieczności przywrócenia znów dyscypliny pracy, wzmożenia intensywności pracy i uznania autorytetu kierowników przedsiębiorstwa. Przede wszystkim zaś uprzągnięto związki zawodowe do spełnienia tych zadań.

W znacjonalizowanym przemyśle zmienia się rola związków zawodowych. Z organów walki pracy przeciwko kapitałowi, przemieniają się w organy zarządu państwa proletariatu, które reprezentuje z jednej strony interesy ludu pracującego poszczególnych gałęzi przemysłu w ludowych radach gospodarczych i centralnych zarządach przemysłu, z drugiej zaś strony muszą wprowadzić proletariacką dyscyplinę pracy w poszczególnych przedsiębiorstwach. [...] Przekonywanie i środki dyscypliny zawodowej nie wystarczyły jednakże do pokonania anarchii w znacjonalizowanym przemyśle. Władza sowiecka zdecydowała się zatem pójść o krok dalej. Spór między kierunkiem państwowo-socjalistycznym i syndykalistycznym wybucha na nowo. Już przed majowym kongresem rad gospodarczych, kierunek

państwowo-socjalistyczny popierał zasadę, że kierownik przedsiębiorstwa, ustanowiony przez najwyższą radę gospodarczą, ma samodzielnie prowadzić techniczne kierownictwo, zaś radzie fabrycznej przysługuje we wszystkich sprawach technicznej strony kierownictwa zakładem tylko głos doradczy, nie decydujący. Tę zasadę przyjęto do pierwotnego dekretu o administracji znacjonalizowanych przedsiębiorstw. Ale na majowym kongresie rad gospodarczych musiano tę zasadę poświęcić na rzecz kierunku syndykalistycznego, reprezentowanego przez masę. Kolegialna administracja przedsiębiorstwa, złożona z zastępców rady gospodarczej i robotników, stała się ponad kierownikiem przedsiębiorstwa. Jednak w walce przeciwko anarchii w przedsiębiorstwach chwycił się rząd sowieński na powrót pierwotnego programu. Zdaniem rządu, anarchia nie da się już w żaden inny sposób pokonać, jak tylko przez powołanie na powrót najenergiczniejszych i najbardziej doświadczonych organizatorów do przedsiębiorstw i wyposażenie ich nieograniczonymi, dyktatorskimi pełnomocnictwami. Zezwala

się im na powrotne wprowadzenia systemu akordowego, systemu Taylora, na natychmiastowe oddalenie wszystkich nieudolnych robotników, klasę zaś robotniczą zobowiązuje się *do bezwzględnego podporządkowania się pod jednolitą wolę kierowników procesu pracy* (Lenin). Gdy zaś jedna warstwa robotników broni się przeciwko przywróceniu dyktatury kierownika przedsiębiorstwa, nie cofa się rząd sowieński, wsparty o czerwoną armię, przed gwałtownym zmuszaniem robotników do posłuszeństwa. [...]

Jeżeli się jednak wreszcie zdecydowano na zwalczanie anarchii w przemyśle środkami gwałtu i przymusu, to zastosowanie najsilniejszego środka przymusu, armii, dla osiągnięcia postawionego sobie zadania było już tylko naturalną konsekwencją. Nie cofnięto się i przed tym. Napisane przez Trockiego „Tezy Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii” wskazują drogę. *W przejściowym stadium rozwoju społeczeństwa, które przejęło dziedzictwo po ciężkiej przeszłości – czytamy tutaj – nie można wprowadzić planowo zorganizowanej społecznej pracy bez zastosowania środków przymusowych, tak w stosunku do żywiołów, które prowadzą żywot pasożytów, jak i w odniesieniu do zacończonych żywiołów chłopskich i robotniczych. Środkiem przymusowym, którym państwo rozporządza, jest jego siła militarna. Zmilitaryzowanie pracy, bez względu na zakres lub formę, będzie przeto nieuchronną koniecznością dla każdego gospodarstwa przejściowego, zbudowanego na zasadzie powszechnego obowiązku pracy* (Teza 21).

Do tego celu proponuje Trocki następujące środki:

1) *Militaryzacja poszczególnych przedsiębiorstw lub całych gałęzi przemysłu, mających w danym momencie szczególnie ważne znaczenie, albo zbyt silnie dotkniętych ogólną dezorganizacją, następuje na wniosek sowieńskiego obrotu i ma za zadanie, zabezpieczyć przedsiębiorstwu robotników na czas przejściowy i wprowadzić bardziej sprężysty zarząd, przy czym, o ile uzdrowienie przedsiębiorstwa nie da się osiągnąć na innej drodze, odpowiednie organa otrzymują daleko idące prawa dyscyplinarne* (teza 24).

Jest to dobrze znana robotnikom z czasów wojny militaryzacja, w jej najostrzejszej formie, znosząca swobody robotników i oddająca ich pod dyscyplinarną władzę wojskową.

2) Dla usunięcia braku robotników, przy na prawie środków komunikacyjnych, rąbaniu i znoszeniu drzew, wydobywaniu torfu i łupku, przy robotach w obszarach węglowych, kruszcowych i naftowych, przy odbudowie zniszczonych obszarów i obrabianiu leżących odłogiem pól, mogą być wszyscy obowiązani do pracy mężczyźni i kobiety zmobilizowani. Powołanie następuje według powiatów, roczników i zawodów. W najbliższym czasie



należy przede wszystkim powołać te kategorie, które były najmniej dotknięte mobilizacją wojсковą; należałoby więc wedle możliwości powołać przede wszystkim wiele kobiet. (Teza 17). Z powołanych utworzone będą „Organizacje pracy militarnego typu” (Teza 25), które należy przeznaczyć do poszczególnych koniecznych robót. [...]

3) W końcu, nie należy demobilizować formacji żołnierskich, niepotrzebnych już dzięki postępowi operacji wojennych, ale przemieniać je w armię pracy.

Taki program przyjął III kongres rad gospodarczych w styczniu 1920. Obecnie wciela się go w życie. [...] Co za olbrzymia droga od „kontroli robotniczej” w listopadzie 1917, aż do militaryzacji pracy w styczniu 1920 r.!

Rozwój ten dzieli się wyraźnie na dwie części. W pierwszej, która obejmuje czas od rewolucji październikowej prawie aż do lipca 1918 r.; wypadki rozgrywają się pod wpływem siły popędowej samych mas proletariackich. Jest to żywiołowy ruch mas. Przejawia się w „kontroli robotniczej” w przedsiębiorstwach, w dziki sposób wyrzucającej z nich przedsiębiorców – wymusza na opierającym się rządzie sowietów najpierw nacjonalizację poszczególnych przedsiębiorstw, potem całych gałęzi produkcji, wreszcie całego wielkiego przemysłu – przeprowadza przy pomocy robotników współzarząd znacjonalizowanych gałęzi przemysłu, wbrew państwowo-socjalistycznym planom organizacyjnym sowieckich fachowców. „Siła twórcza mas” nadaje temu okresowi swoiste piętno. Jest to rzeczywisty proletariatus, cały proletariatus, wymuszający w wielkim rewolucyjnym ruchu ustawy, które sowieckie mają tylko ogłosić. Władza sowiecka była w tej fazie tylko wykonawczym organem klasy robotniczej, jej dyktatura była rzeczywiście dyktaturą proletariatus.

Jednak od połowy 1918 r. obraz zmienia się stopniowo. Rząd sowiecki wzmocnił się, wytworzył biurokratyczny aparat, armia jego stała się potężną siłą. Nie jest już bezbronny wobec żywiołowych ruchów mas. Może się im oprzeć, przeciwstawić im przeemoc. Jednak gdy aparat władzy rządu sowieckiego stał się o wiele silniejszy, znika równocześnie siła proletariackiej masy. Osłabiła się pod względem liczebnym, z powodu ucieczki z miast mnóstwa robotników. Oddała swe najdzielniejsze i najenergiczniejsze żywioły biurokracji sowieckiej i czerwonej armii, brak jej przeto własnych, nie wprężniętych do aparatu rządowego, przywódców. [...] Tak więc zmienił się istotnie stosunek sił pomiędzy przywódcami a masą, pomiędzy rządem sowieckim a proletariatus. Historyczna inicjatywa przechodzi od połowy roku 1918 z rąk masy do rządu. Wobec dezorganizacji przemysłu, sam rząd musi się zwrócić przeciwko robotnikom. Musi ich krok za krokiem przymuszać do zwiększenia wydajności

pracy i podporządkowania się woli kierowników przedsiębiorstw. Musi ich w końcu zmilitaryzować, przykuć do przedsiębiorstwa, poddać „ostrzejszemu regime” militarnego prawa karnego.

Jeżeli się i dzisiejszy ustrój republiki sowieckiej określa jako „dyktaturę proletariatus” – słowa te mają widocznie całkiem inne znaczenie, niż w pierwszej fazie rozwoju, po rewolucji październikowej. Wówczas były to rzeczywiście szerokie, dzikie masy istotnych, rosyjskich proletariatus, które dyktowały, a rząd sowiecki był rzeczywiście tylko organem wykonawczym tej woli mas. Dzisiaj jest oczywiście inaczej. Dziś w rzeczywistości rządzi Rosją członkowie komunistycznej partii, która, jak podaje Lenin, po oczyszczeniu z niegodnych intruzów, mogłaby liczyć jakich 100 000 do 200 000 towarzyszy. Naturalnie większość z tych 100 000 do 200 000 ludzi składa się z robotników. Jednak tych 100 000 do 200 000 ludzi jest tylko bardzo małą częścią rosyjskiego proletariatus i nie stanowią oni klasy, na której usługach stoi wielki aparat rządowy władzy sowieckiej, lecz są sami tym aparatem władzy. Z tych 100 000 do 200 000 ludzi składają się właśnie rządzące frakcje sowieckie, sowiecka biurokracja, administracje przemysłowe, związków zawodowych, przedsiębiorstw i sztaby komendy czerwonej armii. Jakież jest więc stosunek tej rządzącej warstwy do proletariatus? Czysto wykonawczym organem woli szerokiej masy proletariatus, zaiste, ona już nie jest; daleka od tego, by spełniać wolę proletariatus, widzi się raczej zmuszoną, podporządkowywać proletariatus swojej woli, przy pomocy środków militarnego przymusu. [...] A dyktatura taka rozporządza najstraszniejszymi środkami przemocy. Podlega jej bezpośrednio cały przemysł, górnictwo, komunikacja, organizacja rozdziału towarów. Dysponuje ona całą siłą roboczą kraju. Wedle swego upodobania gromadzi mężczyzn i kobiety i używa ich pod militarnym rygorem do robót, jakie pragnie wykonać. Przedsiębiorstwa poddaje militarnej dyscyplinie. Straszna bronią terroru pokonuje każdą opozycję, każdą krytykę. Potężnym państwem, które podporządkowuje jednostki swemu programowi we wszelkich ich stosunkach życiowych, nie pozostawiając im jakiegokolwiek sfery działalności wolnej od ingerencji państwa, rządzi maluczka mniejszość stumilionowego narodu, wedle własnej woli. Jest to nowy, straszliwy despotyzm, który powstał tą drogą.

Otto Bauer

Powyższy tekst to fragment książki Otto Bauera „*Bolszewizm a socjalna demokracja*”, polskie wydanie nakładem Ludowego Spółdzielczego Towarzystwa Wydawniczego i Księgarni Robotniczej, Warszawa – Lwów 1920. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”, uwspółcześniono pisownię wedle obecnych reguł.

Dola pracowników w ZSRR

Victor Serge

Wiadomo, że dyktatura proletariatu pod rządami partii komunistycznej czyni z klasy robotniczej klasę rządzącą i dąży do stworzenia nowego, bezklasowego społeczeństwa. Minęło 19 lat od wybuchu rewolucji. Sytuacja robotnika jest zależna od stopnia wykształcenia fachowego, od przekonań politycznych (czy należy do partii lub organizacji młodzieży; prawomyślny czy niepewny; krewny lub przyjaciel wybitnego komunisty czy osoby podejrzanego), od przedsiębiorstwa, od miejscowości. Przy wykonywaniu tej samej pracy robotnicy wielkich przedsiębiorstw są na ogół lepiej płatni niż w warsztatach mniejszych. Większe centra w stosunku do odległych prowincji są uprzywilejowane. Niejednostajność płac myli obserwatora i umożliwia różne fikcje statystyczne, z których najniewinniejsza polega na przedstawieniu średniego zarobku znacznie wyższym, niż wynoszą istotne pobory większości pracowników. Dziś już nieżyjący Kujbyszew przedłożył Komisji Planu sprawozdanie, które opublikowano dnia 3 stycznia 1935. Według niego, średni zarobek w Moskwie wynosił 149 rb. 30 kp. miesięcznie. Natomiast według moich obserwacji osobistych, w tym samym czasie olbrzymia większość robotników moskiewskiej elektrowni (elektrozawod) zarabiała po 120–140 rb. miesięcznie. Państwowy fundusz płac od tego czasu nie zwiększył się, natomiast ilość zarabujących wzrosła. Dziś możemy uważać za średnie następujące zarobki miesięczne: siły pomocnicze 100–120 rb.; robotnik niewykwalifikowany 150–200 rb.; robotnik wykwalifikowany 250–400 rb.; stachanowiec 500 rb. i więcej, aż do 1500 rb., a nawet w wyjątkowych wypadkach 2000 rb. Płace kobiet są zazwyczaj mniejsze, zwłaszcza na niższych szczeblach, a te obejmują olbrzymią większość pracownic. Setki tysięcy robotnic sowieckich zarabiają 70 do 90 rb. miesięcznie. Jest to uposażenie głodowe, zupełnie niewystarczające na wyżywienie. Stąd wniosek, że państwo-pracodawca uważa, iż zarobki kobiece winne odgrywać

w budżecie rodzinnym jedynie rolę pomocniczą. Teoria głosi pięknie: jednakowa praca, jednakowa płaca. Jednakże bolszewicy mają na to odpowiedź, że praca pracy nierówna.

Płace w Leningradzie i Moskwie na początku roku 1937 wynosiły: pracownik naukowy wielkiego zakładu studiów wyższych 300–400 rb.; maszynistka biurowa, znająca języki obce około 200 rb.; redaktor dziennika 230 rb.; różni urzędnicy 90–120 rb. Wielu robotników zarabiało ostatnio w przemyśle włókienniczym w Moskwie (Krasnaja Presnia) 100–120 rb. Na prowincji, gdzie mieszkalem, zarobki kobiece wahają się przeważnie od 70–90 rb. Ekonomista (kalkulator) zarabia 350 rb. (dzień pracy nieograniczonej); buchalter (dzień pracy nieograniczonej i odpowiedzialność materialna za funkcjonowanie przedsiębiorstwa) 250–350 rb.; odpowiedzialny funkcjonariusz partyjny 250 rb. i wyżej; dyrektor przedsiębiorstwa lub szef biura (komunista) 400–800 rb.; wyżsi funkcjonariusze (komuniści) i wybitni fachowcy od 1000–5000 rb. W stolicach znani fachowcy osiągają od 5000 do 10000 rb. miesięcznie. Podobne są zarobki pisarzy. Wielcy dramaturdzy oficjalni, malarze odznaczeni, którzy stale portretują wodzów, poeci i powieściopisarze, zatwierdzeni przez Komitet Centralny, mogą osiągnąć, a nawet przekroczyć milion rubli rocznego dochodu. Dane powyższe wymagają pewnych wyjaśnień dodatkowych: współpracownik instytutu naukowego zarabia zaledwie 300–400 rb., lecz pracuje w 2 lub 3 instytucjach, co mu daje w końcu miesiąca 1200 rb. Redaktor dziennika, pobierający 250 rb. miesięcznie, współpracuje przy publikacjach, które potrajają jego dochód. Dyrektor fabryki z pensją 500–1500 rb. przyznaje sobie z okazji świąt i obchodów rocznie premię za wykonanie planu. Działacze partyjni i kierownicy komunistyczni otrzymują kupony dobrych materiałów na ubrania, partia daje im luksusowe mieszkania, korzystają oni z domów wypoczynkowych na Kaukazie i Krymie, bezpłatnie lub po cenach



©@Ibai Lemon, flickr.com/photos/ibailemon/3112328091

ulgowych. Natomiast olbrzymia większość pracowników, a więc tych, którzy żyją z niskich płac, jest pozostawiona sama sobie. To znaczy żyje w nędzy.

Obliczmy tylko potrącenia od zarobków: podatek, pożyczki przymusowe (15 dni płacy rocznie od zarobków najniższych, I miesiąc dla pozostałych), składki na partię, na spółdzielnię, na obronę lotniczo-gazową, Fundusz Obrony Komunizmu itd.

Poza tym świadczenia „dobrowolne” (w rzeczywistości przymusowe) na pomoc międzynarodową („Mopr”), na budowę sterowców, samolotów itd. Potrącenia faktyczne od płac dochodzą od 15–20%. Znałem w szpitalu (1935 r.) sanitariuszki, które otrzymywały 26 rb. za dwutygodniówkę w czasie, gdy chleb kosztował po rublu za kilogram. Kazano im jeszcze, o ile były zdrowe, ubezpieczać się.

W fabrykach i wytwórniach kwitnie system kar pieniężnych: grzywny za niedbalstwo, opóźnienie, przerwę w pracy, brak dyscypliny itd. To powoduje tragedie. Ktoś spodziewa się dostać setkę rubli w końcu miesiąca, a dyrekcja przedstawia rachunek kar na 30 rb. Ze smutkiem muszę przy tej okazji przypomnieć, że Lenin na Syberii rozpoczął swoją karierę publicystyczną broszurą, która była oskarżeniem: „O karach pieniężnych”.

Propaganda oficjalna wyolbrzymia tzw. uposażenia pośrednie, składające się z ubezpieczeń społecznych, opieki bezpłatnej na wypadek choroby, korzystania z domów wypoczynkowych, emerytur. Z tego wszystkiego jako taką wartość przedstawiają uposażenia (i to niepełne) na wypadek choroby oraz zapomogi wypłacane w okresie ciąży i karmienia. Jednak ilość bonów zapomogowych, które otrzymują lekarze do rozdania między chorych, jest ograniczona. Bezpłatne wydawanie lekarstw zostało ostatnio zniesione. Pobyt w lepszych uzdrowiskach jest bezpłatny jedynie dla działaczy specjalnie dobrze notowanych, którym miejsca w domach wypoczynkowych przyznaje syndykat. W praktyce podróż na Krym lub Kaukaz jest marzeniem nieziszczalnym dla

pracownika pobierającego 80–150 rubli uposażenia. Taki bowiem wyjazd pociąga za sobą wydatek około 700 rb.; poza tym trzeba dostać bon, dość trudny do zdobycia. Cyfry, ogłoszone oficjalnie, potwierdzają w tym względzie moje spostrzeżenia osobiste, gdyż z 24 000 000 pracowników zaledwie 181 000 korzystało w roku 1934 z miejscowości kuracyjnych.

Jaką wartość przedstawiają te zarobki?

Siła nabywcza rubla odpowiada mniej więcej frankowi francuskiemu lub belgijskiemu. Jedynie chleb jest w ZSRR tańszy (1 kg kosztuje 90 kop.–1 rb.). Natomiast bułki są niedostępne z powodu ceny (4,50–7,50 rb. za kilogram).

Oto przykłady cen na początku roku 1936: wołowina 6–8 rb. za 1 kg; wieprzowina 9–12; masło 14–18; ser 24; śledzie 6–10; kawior 32–40; kawa 40–50; cukierki 9–40; herbata 60–100 rb.; czekolada 50; alkohol (wódka) 12 rb. za litr.

Manufaktura: płaszcze 100–500 rb.; obuwie ze skórzaną podeszwą 80–150 rb.; garnitur bawełniany 200 rb.; wełniany 600–1000 rb.; sukienka perkalowa 70–100 rb.; bluzka wełniana 200 rb.

1 m³ drzewa opałowego z dostawą do domu i porąbaniem 40–50 rb. By opalić zimą skromne mieszkanie, trzeba zużyć co najmniej 6 m³.

Komorne za pokój wynajęty z wolnej ręki wynosi na prowincji 40–50 rb. miesięcznie; kąt przy rodzinie kosztuje nie mniej niż 30 rb. W dużych miastach ceny mieszkań są wyższe.

Dodać wypada, że nie tylko ceny są wygórowane, ale i samo zdobycie produktów, manufaktury, obuwia i opału jest utrudnione. Często musi się wędrować do innego miasta, by nabyć parę bucików lub koc, z którego uszyje się palto.

Brak towarów jest przyczyną zwyżki cen na nielegalnych rynkach sprzedaży. Tych stosunków nie mogą uzdrowić ani areszty, ani zsyłki spekulantów, które stosowano przez całe lata, a dochodzące np. w roku 1936 nieraz do stu dziennie w samej Moskwie, jak podawały gazety oficjalne.



Pracownik więc 100-rublowy zarabia miesięcznie za 24 dni pracy niewiele więcej niż 5 kg masła lub też 100 kg chleba. Ponieważ można żyć samym chlebem, przynajmniej przez pewien dłuższy czas, dziś więc robotnik nie jest już głodny i powinien być zadowolony z tego polepszenia bytu.

Pewien robotnik francuski, który mieszkał przeszło 10 lat w ZSRR, wpadł na pomysł sporządzenia w roku 1936 dla Moskwy i Paryża tabeli porównawczej, która pozwalała na obliczenie czasu potrzebnego dla jednego robotnika do zarobienia na artykuły codziennej potrzeby. Okazuje się, że w Sowietach siła pomocnicza pracuje 172 minuty na 1 kg białego chleba, co odpowiada 36 minutom czasu francuskiego bezrobotnego. Robotnik sowiecki pracuje na 1 kg masła 1548 min. (siła pomocnicza), 930 min. (robotnik przeciętny) czy też 632 min. (robotnik wykwalifikowany). We Francji zarabia to kilo masła siła pomocnicza w 180 min., a robotnik wykwalifikowany w 114 min. Wyliczenia są najzupełniej ścisłe.

Czy żyło się lepiej przed rewolucją? Wszyscy liczący po czterdzieście twierdzą jednomyślnie, że tak. Przynajmniej co się dotyczy trzech rzeczy: jedzenia, mieszkania i ubrania. Statystyka to potwierdza. Robotnik z fabryki włókienniczej, który w roku 1912–14 zarabiał 300 kg chleba miesięcznie, lub górnik, który zarabiał 600 – otrzymuje dziś przeciętnie 150 rb., tj. 150 kg chleba.

Nieraz słyszałem, jak matki ubolewały nad tym, że ich dzieci nie znały tych dobrych czasów, kiedy to z okazji świąt religijnych przyrządzało się tyle smacznych rzeczy: ciastka, konfitury, kremy. Słyszałem narzekania starych kobiet, że dziś nie mają nawet herbaty do picia.

Przeciętne pensje wdów po poległych na wojnie domowej wynoszą 30 rb. (!) miesięcznie. W roku 1926 rychłe osiągnięcie poziomu przedwojennego wydawało się możliwe. Dziś jest to tego niesłychanie daleko. Żeby przywrócić obecnie stan materialny z r. 1926, należałoby podwoić wszystkie niskie uposażenia. Według zaś szefa rządu, Mołotowa, nie można się spodziewać w ciągu najbliższych 3–4 lat podwyżki ponad „parę dziesiątków procent” (powiedzmy nawet 30%).

Arystokracja robotnicza, zarabiająca ponad 150 rb. miesięcznie, stanowiła w ciągu 10 lat zaledwie 6%. Przy najlepszej woli możemy przyjąć, że stanowi ona dziś 10%, pomimo iż nowe przedsiębiorstwa, w wysokim stopniu zmechanizowane, wymagają przeważnie sił roboczych półwykwalifikowanych. A jednak dziewięć dziesiątych robotników sowieckich żyje z niskich zarobków.

Jak im się to udaje?

Komorne stanowi zaledwie około 10% budżetu. Są to raczej nory niż mieszkania. Norma powierzchni zamieszkałej wynosi w wielkich miastach po 8 m² na głowę obywatela, a w centrach regionalnych władze miejscowe obniżają jeszcze to minimum do 5 m². To znaczy, że z reguły cała rodzina mieści się w jednej izbie, że sypia się na korytarzach i strychach, w spichrzach i piwnicach. Ponieważ zaś mieszkania nie są dostosowane do takiego przeludnienia, jedni zajmują złe przewietrzanie pokoje, przez które muszą przedostawać się inni, by wyjść lub wejść do siebie. Proszę sobie uzmysłowić w tym natłoku skutki braku bielizny, sprzętów, ubrań; skutki ciemnoty, alkoholizmu i donosów. Albo też wyobraźmy sobie zażarte walki, toczące się o izbę, w której kona dotychczasowa lokatorka.

Robotnicy zatrudnieni w wielkich warsztatach mieszkają w barakach, w jeszcze gorszych warunkach. Na prowincji i przedmieściach ludzie hodują króliki, świnie lub krowę. Zwierzęta te trzeba lokować na korytarzach, pod oknem lub też w samej izbie, gdyż kradzież jest zjawiskiem powszechnym. Pomimo to siłą się ludzie na stworzenie sobie, nawet w tych warunkach, zacisza domowego. Widziałem wewnątrz wprost wzruszające swoją czystością i schludnością. Powiedziałbym, że były one prawie przytulne. Nędza przystroiła się tam w rodzaj bieli. Jedyne meblowanie stanowiły łachmany dobrze naprawione, wyprane i narzucone na stare skrzynie. Szkło od lampy zaklejono papierem pergaminowym; łóżka przykryto prześcieradłami, które zdejmowało się na noc, gdyż były one jedyne i nie do zastąpienia. Ale najtragiczniejsze, co widziałem, to cierpienia dzieci źle ubranych podczas silnych mrozów zimowych.

Potworną plagą jest alkoholizm. Mężczyźni, kobiety, starcy i wyrostki – wszyscy piją. Widuje się

ich często pijanych do nieprzytomności, leżących na śniegu lub w kurzu, w polu lub na wielkich arteriach miasta. W dni wypoczynku lub święta co trzeci przechodzień zatacza się, podśpiewuje lub wykrzykuje coś na ulicy.

W dzień pogrzebu Kirowa zakazano sprzedaży alkoholu.

– *Czy rozumiecie* – mówił mi na ten temat pewien komunista, kierownik spółdzielni – *że gdyby się ludzie dziś popili, mogliby powiedzieć zbyt wiele rzeczy...*

Alkoholizm ludu rosyjskiego wypływa z jego nędzy. Ani domu, ani dobrobytu, mało rozrywek, życie płynie bez wszelkiej radości. Pozostaje alkohol, który daje otumanienie i wyzwała w człowieku bydlę z pęt przyzwoitości. I tenże alkoholizm jest przyczyną niedożywienia i niezliczonych dramatów. W szpitalach, w których przebywałem, personel robił w wigilię dnia odpoczynku niezbędne przygotowania, by przyjmować pacjentów o rozbitych głębach, zmasakrowanych i rannych na wszelkie możliwe sposoby...

Mieszkałem z biedakami tego kraju, jednakże nie mam im za złe, że się upijali. Znam zbyt dobrze ogrom smutku życia bez jutra i bez radości. Ze wzrostem dobrobytu alkoholizm się zmniejsza.

Niskie uposażenia zazwyczaj wpływają ujemnie na wydajność pracy. Szewc ze spółdzielni rzemieślników, otrzymujący 150 rb. miesięcznie, stara się wszelkimi sposobami o poboczne dochody. Ze skóry, którą potajemnie wynosi, robi kilka naprawek w domu i to przynosi mu więcej niż pensja. Klient zaś jest zadowolony, gdyż obstalunek jest wykonany mniej więcej możliwie. Taki szewc obawia się znacznie więcej przeciążenia obowiązkową pracą niż bezrobocia.

Spekulacja, to znaczy odsprzedaż artykułów kupowanych od państwa bądź dzięki wyjątkowym stosunkom, bądź też po prostu po nocy spędzonej w ogonku przed drzwiami sklepu, żywi miliony ludzi. Odsprzedaż pary bucików przynosi w ciągu jednego przedpołudnia tyle dochodu, co osiem dni pracy w fabryce. Ludzie chodzą do pracy, by być zarejestrowanym jako robotnik lub robotnica, lecz żywi ich w rzeczywistości spekulacja. Poza tym – kradzież: ściąga się wszędzie i wszystko, co się da. Partia podejmuje co pewien czas wielką kampanię przeciwko kradzieży w przedsiębiorstwach przemysłowych i składach. Wytacza się procesy dla przykładu, i dla przykładu zapadają jak najsurowsze wyroki skazujące. Nic jednak nie zdoła powstrzymać sprzedawcy chleba (110 rb. miesięcznie) od nadgryzień kromki chleba i wyniesienia ukradkiem drugiej dla swego dziecka; nawet o ile za to przestępstwo grozi kara dwóch lat przymusowych robót. Nic też nie powstrzyma robotnika otrzymującego

150 rb. miesięcznie przed wyniesieniem pod połą z przędzalni nici, które następnie łatwo sprzeda po trzy ruble za szpulkę...

Ukryte bezrobocie milionów ludzi daje się wytłumaczyć właśnie spekulacją. Gnębi ona masy, ale równocześnie przynosi im ulgę. Konsument toleruje ją, ponieważ w wielu wypadkach jedynie na nią może liczyć, zresztą sam spekuluje i odnosi z tego w rezultacie więcej korzyści niż strat. Kradnąc trochę, sprzedając co się da, małżeństwo robotnicze o nominalnych poborach 200 rb. (mąż 130, żona 70), które ma dwoje dzieci, o ile potrafi wziąć się do rzeczy, podwaja mniej więcej swoje dochody. Żywią się warzywami świeżymi latem, solonymi zimą, odrobią mięsa – raz lub dwa w tygodniu – nabiałem – jeżeli nie jest zbyt drogi. Kto ma krowę lub kozę, żyje prawie w dostatku, pomimo odoru nawozu, który wypełnia mieszkanie.

Zagadnienie ubrania i opału jest ważne. Na prowincji robią i wynoszą drzewa z parków, rozbierają parkany. Widziałem, jak podczas paru zim z rzędu zniknęło ogrodzenie wojskowej ujeżdżalni.

To pewne, że opłakany stan włóczęgów głównie przyczynia się do „znikania” transportów. Jedynie linie kolejowe o połączeniach międzynarodowych są dobrze utrzymane. Poza tym jeszcze parę linii centralnych. Z chwilą jednak, gdy oddalimy się od Moskwy, zobaczymy pociągi stale przepełnione i brudne; konduktorzy to nieszczęśnicy, których samo zjawienie się już wywołuje rozpaczliwe oburzenie. Włóczędzy znajdują dodatkowy zarobek, oddając niedozwolone przysługi podróżnym i przewożąc towary przeznaczone na drobną spekulację.

Utarło się mniemanie, że w ZSRR nie ma ani bezrobocia, ani niepewnego jutra pracownika. Prawdą jest, że odczuwa się raczej brak rąk roboczych, ale dzieje się to jedynie dlatego, że wynagrodzenia są bardzo słabe. Ktokolwiek szukał pracy w jakimkolwiek bądź sowieckim mieście, wie, że w końcu zawsze ją znalazł – na bardzo złych warunkach. Kto podróżował po ZSRR, wie, jakie tłumy przesiedleńców wypełniają stacje. Są to ludzie, którzy nie pójdą nazajutrz ani do fabryki, ani do biura, ani w pole. Istotnie masy nie odczuwają bezrobocia takiego, jak w państwach kapitalistycznych. Są jednak inne formy bezrobocia, obejmujące miliony pracowników, lecz statystyka państwowa świadomie to przemilcza. Niepewność jutra w tych warunkach przybiera również inne formy niż na Zachodzie. Nikt nie posiada ani zapasów, ani oszczędności. Żyje się stale w wielkim niedostatku, toteż pozbawienie pracy bez zasiłku, nawet na krótki czas, staje się klęską. Zresztą, z samej pracy wyżyć nie można, stąd – więzienie stało się dla wszystkich czymś powszednim.

Wśród szerokich mas małżeństwo obarczone rodziną wie, że życie jest bardzo ciężkie. Mężczyzna musi

„pracować”, żeby mieć legalne stanowisko, po czym dopiero musi się starać o zdobycie środków utrzymania... Żłobki dziecięce, pralnie i inne instytucje użyteczności publicznej służą jedynie uprzywilejowanej mniejszości. Sytuacja mas jest beznadziejna, życie przygniatająco prymitywne.

Reasumując:

Nierówność zarobków jest uderzająca, dochodząc w klasie robotniczej do stosunku 1:15. Zarobki większości są bardzo niskie, znacznie niższe niż średnie płace podane przez statystyki, i zupełnie nie wystarczają do utrzymania. Płaca tzw. średnia (powtarzamy, jest ona wyższa od tego, co otrzymuje większość pracowników) pozwala na poziom życia niższy od przedwojennego w Rosji, znacznie niższy od skali życia większości robotników na Zachodzie. Państwo, które tak mało troszczy się o istotne interesy klasy robotniczej, powinno doprowadzić w krótkim czasie płace do poziomu z r. 1914, prawie osiągnięte w r. 1926. Ustrój biurokratyczny woli jednak, pogłębiając różnice socjalne, stwarzać z krzywdą dla mas różne nowe uprzywilejowane warstwy.

Technicy są w sytuacji znacznie lepszej niż robotnicy. Ich uposażenia rzadko kiedy są niższe niż 300 rb., a często przekraczające tę kwotę. Inżynierowie o wybitnych kwalifikacjach zarabiają po kilka tysięcy rubli miesięcznie. Dostają gratyfikacje. Dla nich specjalnie buduje się luksusowe mieszkania. Mają kluby. Instytuty naukowe, zakładane obecnie w wielkich ilościach, umożliwiają im ulepszenia

techniczne. Jednakże inżynierom tym nie wolno się zreszczać. Wszelkie ich poczynania są nadzorowane.

Zdawałoby się, że sytuacja ich jest świetna, gdyby nie przytłaczająca odpowiedzialność karna, ciążyąca na nich stale. Kierownicze stanowiska należą do komunistów, ci zaś są jedynie wykonawcami zarządzeń władz centralnych. Może dyrektywy te okażą się niewykonalne? Może pociągną one za sobą skutki nieprzewidziane i przykre? Może niskie płace wpłyną ujemnie na wydajność pracy? Może plan jest nieudolny? Wreszcie, być może inżynier pozwolił sobie na wypowiedzenie pewnych zastrzeżeń? A może nic nie powiedział przez nadmiar ostrożności w przededniu próby, która się nie powiodła?

W tych i wielu innych wypadkach personel techniczny, oskarżony o nieudolność, niedbalstwo, złą wolę, działalność kontrrewolucyjną lub spisek, jest przedmiotem masowych kar, które zazwyczaj polegają na aresztowaniu i kończą się aż nazbyt często – egzekucją.

Victor Serge

Powyższy tekst to rozdział (oryginalnie zatytułowany „Dola pracowników”) książki Victora Serge’a „Losy pewnej rewolucji. ZSRR w latach 1917–1936”, polskie wydanie Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1938.



Z POLSKI RODEM

EKONOMIA I MORALNOŚĆ

**Ks. Jan Piwowarczyk –
krzewiciel katolicyzmu społecznego**

dr hab. Rafał Łętocha

Spośród dużego grona katolickich myślicieli społecznych w Polsce międzywojennej na szczególną uwagę zasługuje postać ks. Jana Piwowarczyka. Pozostawił olbrzymią spuściznę – kilkanaście większych prac i ok. 5 tys. artykułów – więc śmiało można powiedzieć, że wywarł intelektualny wpływ na całe pokolenie działaczy i myślicieli związanych z tym nurtem ideowym.

Jerzy Turowicz, następca ks. Piwowarczyka na stanowisku redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, napisał, iż był on *człowiekiem wysokiej próby, żarliwym chrześcijaninem i kapłanem, dalekim od – jeśli tak wolno się wyrazić – klerikalnej kastowości. Człowiekiem mocnego charakteru, odwagi przekonań, wyraźnie skrytalizowanych, wierności sprawie, której służył. Był w nim jakiś chłopski upór, stanowczość, nieustępliwość jeśli chodziło o ortodoksję religijną czy o poglądy społeczne. A równocześnie autentyczny szacunek dla cudzych przekonań i wielka*

*lojalność. Namiętny szermierz i polemista nie dawał się ponosić emocjom. Cechował go obiektywizm i zdrowy rozsądek, konkretność i rzeczowość w słowie i piśmie*¹.

Jan Piwowarczyk urodził się 27 stycznia 1889 r. w Brzeźnicy niedaleko Wadowic, w małorolnej rodzinie chłopskiej. W Wadowicach ukończył gimnazjum, później podjął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1910 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował jako wikariusz w Podgórzu i w parafii św. Szczepana w Krakowie, mansjonarz Kościoła Mariackiego oraz katecheta w krakowskich szkołach.

W 1922 r. został członkiem redakcji związanego z chrześcijańską demokracją krakowskiego dziennika „Głos Narodu”, w którym w latach 1936–1939 pełnił funkcję redaktora naczelnego. Od 1921 r. był członkiem Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej

Demokracji, dla którego opracował zasady programowe. Czynnie uczestniczył również w działalności chrześcijańskich związków zawodowych. Jego zainteresowania polityczne miały jednak charakter raczej teoretyczny, nie angażował się w bieżącą politykę.

Równocześnie kontynuował studia na UJ, które w 1933 r. zwieńczył doktoratem na podstawie pracy pt. „Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad”. Rozprawa ta była jednym z ważniejszych opracowań spod znaku katolicyzmu społecznego w Polsce międzywojennej. Na Wydziale Teologicznym UJ wykładał też od 1928 r. nauki społeczne, jednak w 1933 r. odebrano mu prawo wykładowania, na co w dużym stopniu wpłynęły jego poglądy krytyczne wobec władz sanacyjnych.

W 1934 r. utworzono Radę Społeczną przy Prymasie Polski, w skład której obok m.in. ks. Antoniego Szymańskiego, Leopolda Caro, Ludwika Górskiego, Czesława Strzeszewskiego czy ks. Stefana Wyszyńskiego wszedł ks. Jan Piwowarczyk. Instytucja stawiała sobie za cel propagowanie programu społecznego encykliki *Quadragesimo anno*². Na tym polu ks. Piwowarczyk położył szczególne zasługi choćby jako tłumacz encykliki, która z jego znakomitym, dogłębnym komentarzem ukazała się w roku 1935.

W 1939 r. opuścił redakcję „Głosu Narodu” w związku z nominacją na proboszcza parafii św. Floriana w Krakowie. W czasie okupacji pełnił obowiązki rektora krakowskiego Seminarium Duchownego. Na przełomie 1941 i 1942 r. został aresztowany przez Gestapo i spędził kilka miesięcy w więzieniu, odzyskując wolność dopiero dzięki zabiegom abp. Adama ks. Sapiehy. W 1945 r. powołał do życia „Tygodnik Powszechny” – jego redakcją de facto zawiadywał, pełniąc w nim oficjalnie funkcję asystenta kościelnego. W ciągu pierwszego roku istnienia pisma przekazał obowiązki redaktora naczelnego Jerzemu Turowiczowi. W 1951 r. ustąpił z redakcji „TP” i wyjechał do Zebrzydowic, gdzie przebywał do 1955 r. Związane to było, jak twierdzi Turowicz, przede wszystkim z ciągłą inwigilacją Piwowarczyka przez służbę bezpieczeństwa, a nie – jak twierdzą niektórzy – z konfliktem z pozostałymi członkami redakcji. Nie ulega jednak wątpliwości, iż z biegiem czasu coraz bardziej dystansował się od linii przyjętej przez pismo.

W 1946 r. Stanisław Stomma opublikował w „Znaku” programowy artykuł środowiska związanego z „TP” pt. „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików”. Odrzucono w nim „maksymalne tendencje” wśród katolików chcących *urobić na własną modłę dziedziny życia społecznego*. Uważano, iż w sytuacji, w jakiej znalazł się kraj, należy zrezygnować z własnego programu społecznego i ograniczyć się do pracy formacyjnej, pielęgnując katolicką religię, moralność i kulturę³.

Ks. Piwowarczyk na łamach „Tygodnika” wystąpił przeciwko takiemu „realizmowi politycznemu”, zdobywającemu wśród katolików coraz większą popularność. Podkreślał, iż katolicyzm jest nie tylko dogmatem religijnym, ale także ideologią wyjaśniającą i normującą życie społeczne, a katolicy nie mogą zrezygnować z dążenia do pełnej realizacji ideału państwa chrześcijańskiego⁴. Piwowarczyk nie zrezygnował jednak ze współpracy z założonym przez siebie pismem, publikował w nim do 1959 r. (z przerwą na lata 1953–1956, gdy zostało zamknięte przez władze, a następnie przejęte przez „Pax” Bolesława Piaseckiego). W tamtym czasie powstało też jego *opus magnum*, dwutomowa „Katolicka etyka społeczna”, wydana najpierw w formie skryptu, a dopiero po śmierci autora w postaci książkowej w Londynie. Zmarł 29 grudnia 1959 r. w Krakowie.

Kluczowy w poglądach ks. Jana Piwowarczyka jest problem relacji między ekonomią a etyką. Jak podkreślał, mają one ten sam przedmiot materialny, którym jest życie gospodarcze. Różny jest natomiast przedmiot formalny, ponieważ etyka bada życie gospodarcze z punktu widzenia moralności, ekonomia zaś – gospodarki, usiłując odnaleźć prawidłowości kierujące tą sferą. *Przestrzeganie praw etycznych ma życie gospodarcze uczynić zgodnym z obiektywną moralnością. Przestrzeganie praw gospodarczych ma zapewnić dostateczność dóbr zaspokajających potrzeby społeczeństwa*⁵.

Mamy więc do czynienia z dwoma różnymi celami i naukami, ale czy tak różnymi jak etyka i np. chemia? Na to pytanie ks. Piwowarczyk zdecydowanie odpowiada „nie”. Świat chemii jest dziedzina, w której rządzą wyłącznie właściwe jej prawa, które człowiek może jedynie wykrywać i śledzić, natomiast prawa gospodarcze nie mają charakteru ostatecznego. Człowiek może bowiem na nie wpływać, istnieje więc współzależność zjawisk ekonomicznych i etycznych oraz nauk, które tymi dziedzinami się zajmują. Ich wzajemny stosunek najczęściej ujmowany jest w postaci dwóch skrajnych rozwiązań, tzn. uznania prymatu ekonomii nad etyką lub odwrotnie. Ks. Piwowarczyk nie przyjmował żadnego z nich, podkreślał natomiast, iż możemy mówić o dwóch rodzajach zależności ekonomii od etyki: powszechnej (bezpośredniej) i częściowej (pośredniej).

Zależność pierwszego rodzaju nie istnieje, gdyż mamy do czynienia z całym wielkim zespołem zjawisk ekonomicznych, które wymykają się *spod wszelkiego wpływu etyki, np. zagadnienia przyrodnicze lub techniczne w gospodarstwie społecznym*. Ekonomia stara się zrozumieć ich mechanizm, dochodząc w ten sposób do ustalenia tzw. praw gospodarczych. W tym zakresie jest w pełni

autonomiczna w stosunku do etyki. Istnieje jednak także drugi rodzaj zależności – częściowa, czyli dotycząca zagadnień, które mają określony aspekt moralny. Zdaniem ks. Piwowarczyka **nie można przyjąć argumentów o całkowitej niezależności ekonomii od etyki (w każdej sferze), powołując się na jakoby absolutne i nienaruszalne prawa czy mechanizmy rządzące tą dziedziną życia.**

Ekonomia klasyczna, tworząc „teorię praw gospodarczych”, wychodziła ze słuszych założeń, jednak wyciągnęła fałszywe wnioski. *Życie gospodarcze, choć składa się ze zjawisk indywidualnych i od siebie odrębnych, jednak tworzy pewną jedność, w której poszczególne elementy są od siebie współzależne i jakby zdeterminowane bez udziału woli ludzkiej. Jest to spostrzeżenie słuszne, ale fałszywym było wyjaśnienie go przez ekonomię „klasyczną”. Mianowicie ekonomiści tego kierunku rozumieli owo zdeterminowanie życia gospodarczego jako mechanizm, [...] poczęli się dopatrywać przyczyn determinujących życie gospodarcze w „prawach gospodarczych”, które kierują nimi, jak prawa przyrodnicze, absolutne i powszechne kierują chemią lub fizyką⁶.* Skoro przyjmuje się tego rodzaju pogląd, to oczywisty jest wniosek, iż życie gospodarcze musi być wolne od oceny etycznej oraz wszelkiej ingerencji ze strony państwa; że nieład, zamieszanie i samowola, implikowane przez nieskrępowaną wolność rynku, to jedynie etap przejściowy. Wkrótce bowiem mechanizm ten sam się wyreguluje, doprowadzi do powszechnego dobrobytu i pokoju.

Ustrój gospodarczy uprawiają jednak w ruch, jak podkreślał ks. Piwowarczyk, nie jego wewnętrzne prawa, lecz jednostki, które wskutek powiązania ze sobą wytwarzają zjawisko *usuwające się już spod ich wpływów, ale przez nie utworzone. Ich stosunek do niego nie jest ani stosunkiem jednostki do dzieła bezpośrednio wytworzonego, ale i nie stosunkiem jednostki do przyrody, lecz stosunkiem jednego ze współtwórców do dzieła wielkiej ilości jednostek. Na skutek tego prawa rządzące tym dziełem [...] nie są ani prawami jednostki tworzącej określone dzieło, z którym ona może uczynić co zechce, ani też prawami przyrody, skoro wytwarza je zbiorowość ludzka, lecz prawami społecznymi, które można ustalić obserwując reakcje mas ludzkich, czyli na podstawie statystyki. Jednym z tych praw, najgłośniejszym, jest prawo podaży i popytu, które mówi: im większa podaż, tym niższa cena, im większy popyt, tym wyższa cena, i na odwrót. Zapytajmy: jak doszło do sformułowania tego prawa? Odpowiadamy: przez obserwację zachowania się ludzi, przez statystykę⁷.*

Są to więc prawa społeczne, wyrastające z określonego podłoża politycznego, gospodarczego



Banksy, Foto: © Jan Slangen, flickr.com/photos/janslangen/5556907046

i kulturalnego, a nie prawa uniwersalne i ostateczne, jak te w świecie przyrody. Wniosek z tego, iż **życie gospodarcze nie reguluje się samoczynnie. Regulują je działania ludzi, a jako dziedzina działalności ludzkiej jest ono poddane wpływom namiętności i egoizmu; dlatego czynnik, który – jak państwo – ma troszczyć się o dobro ogółu, ma także prawo i obowiązek wkraczania w życie gospodarcze, ile razy dobro ogółu byłoby na szwank narażone⁸.** Życie gospodarcze winno podlegać ocenie moralnej oraz interwencji państwa, uzasadnionej dobrem wspólnym.

W związku z tym, pisząc o dominującym w jego czasach modelu życia społeczno-gospodarczego, ks. Piwowarczyk nie wahał się nazwać go pogańskim. Stwierdzał, iż w pojęciu tym mieści się zarówno ateizm jako jego naczelną zasadą, naturalizm i materializm jako wnioski, ureszcie zaś autonomia poszczególnych dziedzin ludzkiego życia jako skutek⁹. Po chrześcijańskim średniowieczu następuje jego zdaniem reakcja pogańska, która daje o sobie znać już w renesansie, jednak pogłębianie się tego procesu przypada na II połowę XVIII w. Dwie postaci,

zdaniem ks. Piwowarczyka, odegrać miały w owym procesie szczególną rolę: Rousseau i Adam Smith. Roussowski indywidualizm i przekonanie o wrodzonej dobroci człowieka, idea umowy społecznej – miały doprowadzić do atomizacji, zaniku życia społecznego, narastania podziałów klasowych oraz do likwidacji różnego rodzaju ciał pośredniczących, wcześniej wypełniających przestrzeń między jednostką a państwem. Te same założenia stać się miały podwaliną ekonomii politycznej Adama Smitha.

Poganizm, o którym pisał ks. Piwowarczyk, uwiadacza się przede wszystkim w oddzieleniu ekonomii od etyki, w materializmie i nastawieniu na konsumpcję, zapatrywaniu na instytucję własności, która traktowana jest w sposób skrajnie indywidualistyczny, czego konsekwencją jest przyznanie właścicielowi prawa do jej nadużywania. Temu ostatniemu zagadnieniu poświęcił zresztą szczególnie wiele uwagi, uznając je za główną przyczynę postępującego proletariatu oraz wszelkich innych niedomagań życia społeczno-gospodarczego. Powołując się na Wilhelma von Kettelera, stwierdził nawet, iż osławiony pogląd Pierre-Josepha Proudhona, iż własność jest kradzieżą, obok oczywistego kłamstwa zawiera w odniesieniu do współczesności również wielką prawdę, prawdę, którą należy zniszczyć, aby ów bon mot stał się jedynie kłamstwem¹⁰.

Filozofom liberalizmu, jak pisał, udało się odkryć w człowieku kilku „ludzi”, jak *homo oeconomicus*, który żyje tylko motywami gospodarczymi, *homo religiosus*, *homo politicus* itp. I te koncepcje człowieka przenieśli na życie zbiorowe. Dlatego według nich życie gospodarcze kieruje się własnymi prawami (podaży i popytu), a państwo lub etyka nie ma w nim nic do powiedzenia – własnymi prawami rządzi się także życie polityczne („cel uświęca środki”) – obyczajowe itd. Liberalizm, jak zatomił społeczność czyniąc z niego tylko sumę suwerennych jednostek, tak znów rozbił

życie społeczeństwa na szereg dziedzin od siebie niezależnych, rządzących się własnymi rzekomo prawami, a związanych z sobą co najwyżej negatywnie przez ideę wolności...¹¹.

W swych poglądach na organizację życia społeczno-gospodarczego ks. Piwowarczyk jawił się jako zwolennik „trzeciej drogi”. Zdecydowanie odrzucał rozwiązania socjalistyczne, polegające na pełnej nacjonalizacji środków produkcji. Wyrażał jednocześnie przekonanie, że **ustrój kapitalistyczny odchodzi w przeszłość, że wielki kryzys gospodarczy to nie tylko chwilowe przesilenie czy załamanie koniunktury, ale ostateczny krach tego systemu**. Źródła kryzysu widział w koncentracji własności, atomizacji społeczeństwa wskutek panowania indywidualistycznego światopoglądu oraz w odejściu od chrześcijańskiej nauki o naturze ludzkiej i społeczeństwie¹².

Ustrój przyszłości był w jego wizji oparty o zasadę prywatnej własności, jednak miałyby ona posiadać podwójny charakter i cel, zarówno indywidualny, jak i społeczny. **Naczelnym zadaniem miała być likwidacja proletariatu poprzez uwłaszczenie pracy, zarówno indywidualne w rolnictwie czy drobnej wytwórczości, jak i zbiorowe poprzez system akcjonariatu pracowniczego czy spółdzielczość**. Własność publiczna natomiast ograniczona miała być do tych przedsiębiorstw i działów gospodarki, w których prywatne posiadanie wywiera zbyt wielki wpływ na życie społeczne, tam, gdzie wymaga tego dobro ogółu (przemysł zbrojeniowy, poczta, komunikacja, bankowość itp.).

Jak niemała liczba myślicieli katolickich tamtego okresu, ks. Piwowarczyk był zwolennikiem i propagatorem idei korporacjonizmu, zaproponowanej przez Piusa XI w encyklice *Quadragesimo anno*. Zdaniem kapłana, główną cechą jego czasów jest odwrócenie się od zasad liberalizmu, z czym idzie w parze szukanie instytucji, które by państwu zapewniły



stałość, życiu społecznemu równowagę, a życiu gospodarczemu celowość¹³. Walka o przyszłe państwo, o docelowy ustrój, rozegra się pomiędzy trzema koncepcjami: liberalną, totalną oraz korporacyjną. Jak wierzył, zwycięstwo przypadnie w udziale tej ostatniej¹⁴. Świadom tego, że w kontekście korporacjonizmu nasuwały się określone skojarzenia, zwłaszcza z faszystowskimi Włochami, podkreślał, iż nie jest on skonkretyzowaną w szczegółach doktryną, a jedynie *kierunkiem społecznym i gospodarczym, o programie dalekim od skostnienia*¹⁵.

Wyróżniał w związku z tym dwa typy korporacjonizmu: autorytarny i demokratyczny. **Pierwszy jest charakterystyczny dla państw, w których mamy do czynienia z rządami dyktatorskimi. Korporacje stały się tam organami administracji, a nawet państwa policyjnego. Służą specjalnym celom politycznym czy partyjnym, dążąc do podporządkowania całego społeczeństwa władzy państwowej, jego ubezpieczeniu i tłumieniu inicjatywy prywatnej. Korporacjonizm demokratyczny jest natomiast związany z instytucją samorządu, chroni zbiorowość przed onnipotencją państwa, służy celom ogólnospołecznym, pobudza inicjatywę prywatną i stoi na stanowisku personalistycznym**¹⁶. Oczywiście ten drugi typ zgodny jest z nauczaniem chrześcijańskim.

Wiele uwagi poświęcił ks. Piwowarczyk także reformie rolnej. Wraz z Leopoldem Caro analizowali i podnosili to zagadnienie na forum Rady Społecznej przy Prymasie Polski, zajmując zresztą w tych kwestiach najbardziej radykalne stanowisko wśród jej członków. Stało się to przyczyną znacznych kontrowersji podczas prac nad „Deklaracją w sprawie stanu gospodarczo-społecznego wsi polskiej”, wydanej ostatecznie w 1937 r. Naprzeciw ks. Piwowarczyka i Leopolda Caro stanęła bardziej konserwatywna większość w osobach ks. Antoniego Szymańskiego, Ludwika Górskiego czy Czesława Strzeszewskiego i ostatecznie to ich opinie znalazły odzwierciedlenie w dokumencie. Zasadniczą tezę deklaracji było wspieranie przez państwo i kontrolowanie parcelacji prywatnej, w razie jej nieskuteczności nie wykluczano przymusowych wywłaszczeń za należyty odszkodowaniem¹⁷.

Ks. Piwowarczyk, wbrew pojawiającym się w środowiskach katolickich głosom krytycznym wobec pomysłu parcelacji, zdecydowanie ją popierał. Uzasadniał, iż **nie ma żadnych przesłanek, aby przewłaszczenie uważać za niezgodne z katolicką nauką społeczną, ponieważ ustrój posiadania nie jest czymś z natury niezmiennym, zaś państwu przysługuje prawo do regulowania go w pewnym stopniu. Przymusowa parcelacja jest uprawniona, gdy grunty są niewykorzystywane lub źle uprawiane, albo**

ich nadmierna koncentracja sprzyja sproletaryzowaniu ludności wiejskiej. Ks. Piwowarczyk uważał, iż z taką sytuacją mamy do czynienia właśnie w Polsce i że w związku z tym nie ma innego wyjścia, ponieważ wieś nasza *formalnie dusi się. Nie tylko od własnego przyrostu naturalnego, ale i z powodu tych mas bezrobotnych, którzy straciwszy pracę w przemyśle z powodu zastoju wracają do swych rodzin wiejskich – i z powodu powrotnej fali emigrantów z Francji, z Czechosłowacji itd.*¹⁸

Jednocześnie miał świadomość, iż sama parcelacja nie stanowi panaceum na bolączki wsi. Obok niej musi bowiem dojść do całego szeregu innych działań, jak *rozwój przemysłu, polszczenie handlu, spółdzielczość, melioracja, podnoszenie techniki i kultury rolnej itp.*¹⁹

Z bogatej spuścizny, którą pozostawił ks. Piwowarczyk, to oczywiście tylko wybrane zagadnienia, którym poświęcał uwagę. Kwestie pracy, jej praw, ochrony czy też społecznego i indywidualnego charakteru, sprawiedliwej płacy, zysku, handlu, pieniądza, kredytu, redystrybucji dóbr, dobroczynności, problemy polityczne oraz wychowawcze zajmowały również ważne miejsce w jego dorobku.

Choć nie stworzył w pełni autorskiego systemu, spójnego programu dotyczącego zagadnień społeczno-gospodarczych, lecz realizował się jako komentator i krzewiciel społecznego programu Kościoła, był postacią nietuzinkową, jedną z tych, które wywierały przemożny wpływ na kierunek i kształt debaty publicznej w swoich czasach. Inicjował poważne dyskusje, zapładniał umysły, wychowywał uczniów i następców. Jego przemyślenia i wskazania ciągle stanowią punkt odniesienia i źródło inspiracji. To nie tylko świadectwo epoki, ale jakże często analizy przystające do czasów nam współczesnych, zachowujące aktualność, która musi niepokoić.

dr hab. Rafał Łętocha

Przypisy:

1. J. Turowicz, *Słowo wstępne* [w:] ks. J. Piwowarczyk, *Wobec nowego czasu (z publicystyki 1945-1950)*, Kraków 1985, s. 10.
2. E. Kozłowski, *Aktualne zadania dla katolickich stowarzyszeń robotniczych*, „Przewodnik Społeczny” nr 12/1933.
3. S. Stomma, *Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików*, „Znak” nr 3/1946.
4. Zob. m.in. ks. J. Piwowarczyk, *Kościół i państwo*, „Tygodnik Powszechny” nr 47/1947, idem, *Państwo chrześcijańskie*, „Tygodnik Powszechny” nr 28/1947.
5. Idem, *Katolicka etyka społeczna*, t. II, Londyn 1963, s. 22.
6. Ibid., s. 28.
7. Ibid., s. 29.
8. Ibid., s. 31.
9. Idem, *Pogaństwo i chrześcijaństwo w życiu gospodarczym*, „Ruch Katolicki” nr 3/1933.

Przez demokrację do socjalizmu

Kamil Piskała

Straciliśmy nie tylko Człowieka – pisał Adam Próchnik w pierwszą rocznicę śmierci Mieczysława Niedziałkowskiego – który zdobył sobie jedno z pierwszych miejsc w moralnej hierarchii społeczeństwa. Pożegnaliśmy w Nim rok temu symbol tego, co najcenniejsze w polskim socjalizmie i tego, co najcenniejsze w polskiej kulturze politycznej. Jako socjalista M. Niedziałkowski podkreślał w całej swej działalności publicystycznej i politycznej wartość elementu humanistycznego. Ideał socjalistyczny łączył nierozdzielnie z ideałem wolności i kultury. Wizja socjalistycznej przyszłości świata była dlań wizją człowieka szczęśliwego, wolnego, światłego i dobrego [...].

Urodził się w 1893 r. w Wilnie. Pochodził z rodzinny inteligentkiej, wywodzącej się ze zubożałego ziemiaństwa. Wychowywano go w atmosferze kultu powstania styczniowego oraz wszechstronnego zainteresowania sprawami publicznymi.

Czas jego dojrzewania to okres szczególnie intensywnego i bogatego życia politycznego w środowisku polskiej młodzieży. Jako 16-latek, zafascynowany ideą walki o niepodległość i postulatami sprawiedliwości społecznej, Niedziałkowski zaangażował się w działalność młodzieżowego ruchu „filareckiego”, inspirowanego przez PPS. „Filareci” łączyli hasła czynnej walki z zaborcą w oparciu o masy ludowe z postulatami głębokiej demokratyzacji i reform społecznych w odrodzonej Polsce.

Aleksander Hertz, wspominając po latach zaangażowanie w ruch filarecki, pisał: *Nie ulega wątpliwości, że postulat walki o niepodległość narodową dominował w motywacjach wielu moich kolegów organizacyjnych. Bez większej walki wewnętrznej wysiedli oni z czasem na „przystanku niepodległość”. Jednak dla wielu innych*

postulat socjalizmu był czymś zasadniczym i nie dającym się oddzielić od postulatu odrodzenia narodowego i walki o niepodległość. Do drugiej grupy, łączącej niepodległość i socjalizm, należał również Niedziałkowski.

W 1912 r. ukończył wileńskie gimnazjum i przeniósł się do Petersburga. Tam podjął studia na wydziale prawa miejscowego uniwersytetu. Oczytany i wszechstronnie uzdolniony zwrócił uwagę prof. Leona Petrażyckiego, uczonego o europejskiej sławie. Wpływ Petrażyckiego jest wyraźnie widoczny w późniejszych poglądach Niedziałkowskiego. Bliższa była mu szczególnie sformułowana przez niego teoria państwa, przy której, jak pisał po latach, *leninowskie pojmowanie państwa trąci jaskrawym konserwatyzmem umysłowym*. Podzielał także poglądy Petrażyckiego nt. konieczności rozumnej „polityki prawa”, która realizowana w przemysłany sposób przez władze państwowe mogłaby stać się katalizatorem i moderatorem pożądanych zmian społecznych.

Był już wówczas bardzo aktywny jako publicysta, regularnie współpracował z redakcjami kilku pism, m.in. z opiniotwórczym „Przeglądem Wileńskim”. Cechą charakterystyczną tych wczesnych tekstów jest duży dystans wobec inspirowanego myśłą K. Kautsky’ego tzw. marksizmu II Międzynarodówki, będącego wówczas oficjalną doktryną większości europejskich partii socjalistycznych. Niedziałkowski w koncepcjach Kautsky’ego piętnował nadmierny wpływ pozytywistycznego dziedzictwa oraz przekonanie o „obiektywnym” i niepodważalnym charakterze raz ustalonych praw rozwoju społecznego. Zdecydowanie bliżsi byli mu Sorel i Brzozowski, z aktywizmem swojej filozofii, kultem pracy i czynu oraz krytyką alienacji inteligencji.

Wybuch I wojny światowej zmusił Niedziałkowskiego do przerwania studiów. Na wezwanie władz „filarecji” wyruszył do Warszawy, żeby wzmocnić w tych – jak się wówczas wydawało – przełomowych chwilach siły obozu niepodległościowego.

W stolicy od razu zaangażował się w prace PPS, szybko awansując do grona członków ścisłego kierownictwa partyjnego. Częściowe odmłodzenie władz PPS i usunięcie się niektórych działaczy związanych z Piłsudskim wpłynęło korzystnie na sytuację partii. Socjaliści potrafili wykorzystać narastający w polskim społeczeństwie opór wobec rabunkowej gospodarki austriackich i niemieckich okupantów. PPS propagowała wówczas hasła niepodległej i demokratycznej Polski, w której dzięki głębokim społecznym reformom poprawie ulec miał byt warstw pracujących. Postulaty te znajdowały również odbicie w publicystyce Niedziałkowskiego, który był m.in. współredaktorem „Jedności Robotniczej” (legalnego organu PPS), a także legendarnego „Robotnika”.

W głoszonym wówczas hasle „najpierw niepodległość, później socjalizm” wyrażały się poglądy Niedziałkowskiego na taktykę, jaką powinna stosować PPS. Konkurentom z SDKPiL oraz PPS-Lewicy zarzucał, że poprzez schematyczne i uproszczone interpretacje myśli Marksa odrywają się od faktycznych potrzeb społeczeństwa. Uważał, że **pierwszym celem polskiej lewicy powinno być rozwiązanie kwestii narodowej. Dopiero w warunkach demokratycznego i niezależnego państwa polskiego socjaliści będą mogli rozpocząć stopniową budowę ustroju społecznej sprawiedliwości.**

Jesienią 1918 r. PPS stanął przed dylematem: czy decydować się na budowę socjalizmu drogą rewolucyjną, podobną do obranej przez bolszewików, czy pójść śladem zachodnioeuropejskich socjaldemokratów, nastawiając się na ewolucyjne, długotrwałe przemiany społeczne. W dyskusji tej, zakończonej zdecydowanym zwycięstwem zwolenników rozwiązań bardziej umiarkowanych, znaczący udział miał również Niedziałkowski, będący już wówczas jednym z najważniejszych publicystów PPS.

Niedziałkowski zdecydowanie odrzucał lansowany przez rewolucyjną lewicę pogląd o jednoznacznie klasowym charakterze instytucji państwa. Triumf idei demokratycznych i upowszechnienie prawa wyborczego sprawiały jego zdaniem, że dzięki umiejętnej polityce partii socjalistycznej możliwe jest stępienie antyrobotniczego ostrza rządów burżuazyjnych. W ramach systemu demokratycznego proletariatu staje się jedną z klas posiadających faktyczny wpływ na kreowanie składu instytucji sprawujących władzę. Dzięki liczebności, zdyscyplinowaniu, a także umiejętnej polityce koalicyjnej socjaliści



© Mieczysław Niedziałkowski, http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Mieczyslaw_Niedzialkowski_Niedzialkowski.jpg?pose=5&229.jpg?uselang-pl

mają realną szansę stać się jedną z najważniejszych sił w życiu politycznym kraju.

Tym samym państwo burżuazyjne nie tylko realizuje interesy klasy panującej, ale w coraz większym stopniu pełni funkcje ogólnospołeczne, czy wręcz staje się w rękach klasy robotniczej narzędziem przygotowującym przejście do ustroju socjalistycznego. **Zamiast rewolucyjnego zniszczenia państwa burżuazyjnego Niedziałkowski preferował więc stosowanie przez socjalistów polityki stopniowego odsuwania klas uprzywilejowanych od wpływu na państwo i poszerzania w tym względzie możliwości warstw pracujących.**

Innym problemem budzącym kontrowersje wśród polskiej lewicy, był stosunek do tzw. kwestii narodowej i wzajemnej relacji pojęć „patriotyzm” i „internacjonalizm”. Niedziałkowski żywo polemizował z tymi, którzy uważali, iż nie można być jednocześnie patriotą i zwolennikiem międzynarodowej solidarności proletariatu.

Polskim komunistom, którzy w PPS widzieli partię „socjapatriotów” i „socjalzdrajców”, zarzucał uproszczone i naiwne interpretowanie słynnych słów z „Manifestu komunistycznego”, mówiących, że *robotnicy nie mają ojczyzny*. Jego zdaniem, to niefortunne zdanie odnosiło się do kapitalizmu z połowy XIX w., istniejącego w warunkach rządów monarchicznych i przy bardzo ograniczonej świadomości politycznej proletariatu. W ciągu 70 lat, które minęły od publikacji manifestu, gospodarcza i polityczna rola proletariatu uległa znacznemu powiększeniu, stał się on aktywnym i pełnoprawnym uczestnikiem życia narodowego. Jak pisał, *proletariat ma ojczyznę i będzie ją zdobywał, odkrywał*

ją w sobie coraz bardziej w miarę wsiąkania jego własnych wartości duchowych do skarbnicy kultury narodowej i wzrostu wpływów na życie społeczno-państwowe.

Niedziałkowski odrzucał poglądy mówiące, że „narody” to jedynie sztuczne konstrukty, wymyślone przez klasy panujące dla umocnienia uprzywilejowanej pozycji. Bliski był za to stanowisku Otto Bauera, który widział w narodzie *wspólnotę losu historycznego*, a w socjalizmie najwyższą formę patriotyzmu. **Idea socjalistyczna – pisał Niedziałkowski – łączy się ściśle z patriotyzmem, ukochaniem ojczyzny, przyszłej Polski socjalistycznej, teraźniejszej Polski walczącej.**

Przewidywał, że powszechny triumf idei socjalistycznej nie tylko nie przyniesie unifikacji kultur, ale raczej zaowocuje ich jeszcze większym różnicowaniem i braterskim dialogiem. W pracy „Teoria i praktyka socjalizmu wobec nowych zagadnień” retorycznie pytał: *Dlaczego piękniejszy ma być bukiet jednego tylko gatunku kwiatów, niż harmonijnie ułożony z różnych? Dlaczego kultura wszechludzka nie ma być wspaniałą, jeżeli obejmie bajeczną skalę bujnych kultur narodowych? Jednostajność, chociażby imponująca ogromem, zawsze prędzej czy później nuży i zawsze zabija postęp.*

W rozważaniach nad drogami wiodącymi do socjalizmu Niedziałkowski nie mógł pomijać doświadczeń rosyjskich i taktyki stosowanej przez bolszewików. W przeciwieństwie do wielu partyjnych kolegów, pozostawał w swoich sądach bardzo wyważony i umiarkowany. Z dużym uznaniem traktował początkowo Lenina i jego zwolenników, widząc w nich jedyną siłę w rewolucyjnej Rosji, która konsekwentnie i bezwarunkowo stoi na stanowisku uznania prawa narodów do samostanowienia. Stąd też z pewnym zadowoleniem przyjął przewrót październikowy, a rok 1917 w okolicznościowym artykule ochrzcił nawet mianem pierwszego roku demokracji europejskiej.

Polemizując z burżuazyjną prasą, pisał: *mówicie, panowie, o mordach rozpętanej thuszczy, o chaosie i anarchii. Zaprawdę, jeżeli istotnie mają miejsce w Rosji „ekscesy”, toć nie rewolucja była ich matką. Zrodziła je cała przeklęta historia państwa carów, zrodziły tortury męczonych chłopów, rządy „ochronki”, katorgi, szubienice i zesłania, egoizm szlachty, samowola biurokracji.* Podkreślić trzeba jednak, że **nigdy nie był zwolennikiem przenoszenia doświadczeń rosyjskich na polski grunt. Zresztą z czasem jego nadzieje związane z przejęciem władzy przez bolszewików okazały się złudne, a on sam znalazł się wśród najbardziej przenikliwych krytyków radzieckiej rzeczywistości.**

Jego zdaniem, Rosja w 1917 r. nie była państwem, w którym dojrzały warunki do budowy socjalizmu.

W „Teorii i praktyce socjalizmu...” pisał, że *dokonywanie przebudowy gospodarstwa narodowego za pomocą centralizmu komisarskiego jest tak samo skuteczne, jak naprawianie zegarka biciem pięścią i przesuwaniem gwałtem naprzód opornych wskazówek.* Inny cytat z tej pracy wyraża istotę poglądów Niedziałkowskiego: *[...] w myśl sposobu myślenia szkoły marksowskiej rozumiemy, używając pojęcia rewolucji społecznej, pewien okres historyczny o cechach określonych. Porównaliśmy go z wojną. Lata 1917-1924 w Rosji byłyby w takim razie jedną z kampanii bojowych, prowadzoną przez sztab szaleńców, zarozumiałych półgłówków, niekiedy zdrajców, prowadzoną o cele nieziszczalne środkami bądź nierealnymi, bądź zbrodniczymi, z lekkomyślnością bez precedensu. Niewątpliwie i ta kampania wchodzi w skład wojny, w roli przykładu, jak prowadzić akcji nie należy.*

W toczonych na lewicy debatach na temat optymalnego kształtu ustrojowego odradzającej się Rzeczypospolitej, Niedziałkowski zdecydowanie stał na stanowisku demokracji parlamentarnej. Polemizując z zapatrzonymi w Rosję komunistami, wskazywał, że Polska – kraj słabo rozwinięty gospodarczo, zniszczony w wyniku działań wojennych i z niezbyt licznym proletariatem – nie dojrzała jeszcze do socjalistycznej przebudowy. **Na zegarze dziejów wskazówka nie doszła jeszcze do godziny socjalizmu polskiego. A sztuczne popychanie jej czy to metodą komunistów, czy też oportunistów, kończy się klęską** – pisał.

Niedziałkowski uważał, że Europa po I wojnie światowej weszła w swoisty „okres przejściowy” między kapitalizmem i socjalizmem. I choć ostateczne zwycięstwo było pewne, to proletariatu powinien przygotować się na długotrwałą walkę. *Ustrój socjalistyczny nie będzie owocem jakiejś uchwały parlamentu albo postanowienia rządu robotniczego. Z wolna, stopniowo dojrzeje nowe życie w łonie społeczeństwa dzisiejszego, krok za krokiem, wyłom za wyłomem łamie socjalistyczny ruch robotniczy twarde mury kapitalizmu, wielkie wypadki, rewolucje, wojny, przewroty popychają jeno szybciej naprzód bieg strumienia historii. Historia pracuje dla socjalizmu.* W owym „okresie przejściowym” za najbardziej pożądaną formę rządów uważał republikę demokratyczną, z równym i powszechnym prawem wyborczym oraz dominującą rolą jednoizbowego sejmu.

Demokracja przede wszystkim pozwala wszystkim obywatelom brać realny udział w sprawowaniu rządów. Umożliwia kompromis pomiędzy antagonistycznymi grupami i klasami. **Stanowi również „szkołę” przygotowującą dotychczas odsunięte od spraw publicznych masy ludowe do udziału we władzy, co wzmacnia integrację narodu,**



© Redakcja „Robotnika” w latach 30. <http://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Plik:RedakcjaRoba.jpg&filetimestamp=20090629183823>

a także otwiera przed klasą robotniczą możliwości zdobycia parlamentarnej większości i tym samym „legalnej” przebudowy ustroju. Feliks Perl, tłumacząc istotę stanowiska PPS, ukuł słynne powiedzenie o rewolucji w majestacie prawa, Niedziałkowski zaś, mając na myśli ten sam proces, formułował hasło: *przez Sejm i Rzeczypospolitą Ludową do socjalizmu*.

—

Własną propozycję konstrukcji ustroju odrodzonej Rzeczypospolitej przedstawił w przygotowanym przez siebie projekcie konstytucji. W styczniu 1919 r. został wybrany do Sejmu Ustawodawczego (zasiadał w ławach poselskich do 1935 r.), a Ignacy Daszyński skierował go jako przedstawiciela PPS do pracy w Komisji Konstytucyjnej, której został sekretarzem. Przenikliwy sprawozdawca sejmowy, Bernard Singer pisał o nim: *Gdy [...] należało w czasie ogólnej debaty konstytucyjnej zabrać głos w imieniu PPS, wówczas przemawiał poseł Niedziałkowski. Mówił jak profesor, cytował uczonych po francusku, niemiecku i angielsku. [...] Był ozdobą i skarbem partii.*

Przygotowana przez Niedziałkowskiego *Tymczasowa Ustawa Konstytucyjna Rzeczypospolitej Polskiej* stanowiła rozwinięcie poglądów formułowanych przez niego już wcześniej na łamach prasy socjalistycznej. Art. 2 projektu wyraźnie mówił, że *Władzę najwyższą sprawuje w Rzeczypospolitej*

Sejm, wybrany przez ogół obywateli, pod bezpośrednią kontrolą narodu. Projekt socjalistów przewidywał szeroki katalog praw i swobód obywatelskich oraz takie instytucje demokracji bezpośredniej, jak referendum ludowe i społeczna inicjatywa ustawodawcza. Ponadto, co warto podkreślić, przewidziane było uspołecznienie dojrzałych gałęzi produkcji, a państwo miało *przystosowywać formy własności do potrzeb społecznych i interesów pracy*.

Tym jednak, co najbardziej wyróżniało projekt Niedziałkowskiego, był rozdział „Praca i jej przedstawicielstwo”. Zawierał on gwarancje wielu praw socjalnych i pracowniczych, a także omawiał organizację i sposób wyboru Izby Pracy. Miało to być specjalne ciało powołane *dla reprezentowania i obrony potrzeb i dążeń wszystkich obywateli Rzeczypospolitej, utrzymujących się z pracy najemnej*. W trakcie debaty konstytucyjnej mówił: *Przez Izbę Pracy myśmy Polskę chcieli wprowadzić na tę drogę, o której od 2 lat mówimy robotnikom polskim, na drogę rewolucji w majestacie prawa [...] bylibyśmy dumni za Polskę i szczęśliwi z siebie, gdyby cała droga naszej Ojczyzny do socjalizmu mogła się odbyć w majestacie prawa*.

Stosunkowo umiarkowany projekt Niedziałkowskiego, ochrzczony przez jednego z posłów prawicy mianem drogi do „eldorado sowieckiego”, nie miał większych szans na zdobycie sejmowej większości.

Jednak dzięki zręcznej taktyce sejmowej lewicy, której jednym z najlepszych polemistów był właśnie Niedziałkowski, udało się oddalić większość najbardziej reakcyjnych postulatów prawicy i uchwalić nowoczesną, na wskroś demokratyczną konstytucję.

Pierwsze wybory w warunkach stabilizacji politycznej kraju i ukształtowanych granic przeprowadzono jesienią 1922 r. Wśród posłów wybranych z listy PPS znalazł się Niedziałkowski i mimo młodego wieku szybko stał się jedną z centralnych postaci sejmiku. Dzięki erudycji i rozległej wiedzy zdobył uznanie zarówno partyjnych towarzyszy, jak i reprezentantów sejmowej prawicy i centrum.

W wolnej Polsce szybko awansował także do grupy uznanych publicystów politycznych. W redakcji „Robotnika” przez długi czas był prawą ręką nestora socjalistycznej prasy, F. Perla. Zygmunt Zaremba, wybitny działacz PPS, a zarazem daleki kuzyn Niedziałkowskiego, wspominał: *Powściągliwy w wyrażaniu swoich uczuć, w odezwaniach zawsze rzeczowy, a nawet suchy, obdarzony był rozległym talentem pisarskim, pozwalającym mu władać każdym rodzajem publicystyki, od teoretycznego wywodu do lekkiego felietonu, a nawet okolicznościowego wiersza*. Po śmierci Perla w 1927 r. władze partyjne jednogłośnie powierzyły Niedziałkowskiemu pieczę nad redakcją „Robotnika”, będącego jednym z najważniejszych i najlepiej redagowanych dzienników w kraju.

Spektakularny triumf idei demokracji po I wojnie światowej okazał się krótkotrwały. Rządy parlamentarne w wielu państwach Europy wykazały się dużą nieskutecznością w zwalczaniu nabrzmiałych problemów społecznych i gospodarczych. Coraz głośniejsze zaczęto mówić o „kryzysie parlamentaryzmu”, a władzę poczęły przejmować mniej lub bardziej represyjne reżimy autorytarne. Niedziałkowski, jeden z twórców powszechnie krytykowanej konstytucji marcowej, dostrzegając pewne wady polskiej konstrukcji ustrojowej, należał do najbardziej zagrażających obrońców demokracji.

Niestabilność polskiego życia politycznego wiązała z ogólnym kryzysem politycznym, charakterystycznym jego zdaniem dla „okresu przejściowego” między kapitalizmem a socjalizmem. Pisał na ten temat: *kryzys parlamentaryzmu istnieje w samej rzeczy o tyle, o ile pozostaje w ścisłym związku z ogólnym kryzysem politycznym, społecznym, gospodarczym, kulturalnym naszej epoki. Okoliczności specjalne nadają mu w różnych państwach swoiste zabarwienie [...], nie rozstrzygają wszakże o zagadnieniu. Usunąć go całkowicie*

środkami sztucznymi, ustawowymi ograniczeniami itp. – niepodobna.

Odpowiedzią Niedziałkowskiego na nie-domagania demokracji w trudnych, pełnych społecznych konfliktu czasach było... jeszcze więcej demokracji. Jest ona bowiem *formą najbardziej elastyczną, najbardziej subtelną, przy której gra sił klasowych łatwo znajduje swój wyraz [...]. Demokracja parlamentarna uzależnia politykę państwową w sprawach wielkich i małych od fluktuacji opinii publicznej [...]. Przyspieszone niepomierne, nerwowe, wytężone tętno życia współczesnego wymaga właśnie takiej konstrukcji ustrojowej; im subtelniej odrzmiwia machinę rządowo-parlamentarną na ton każdorazowy społeczeństwa, jego poszczególnych klas społecznych i grup politycznych – tym większe szanse pokojowego na wewnątrz i na zewnątrz rozwoju państwa i narodu.*

Z dużym dystansem przyjął zamach majowy, a z czasem stał się jednym z surowych krytyków rządów sanacyjnych. O dawnym przywódcy PPS, a obecnym dyktatorze pisał, wbrew żywym wciąż wśród socjalistów sentymentom, że *jest wodzem „Gasnącego świata” starej Polski, Polski związku ziemian, „Lewiatanów”, biurokracji i sanacji moralnej. Tamten Piłsudski [sprzed 1918 – K.P.] jest*



© Kulielki teatralne przedstawiające Mieczysława Niedziałkowskiego i marszałka Józefa Piłsudskiego

częścią historii PPS. *Ten Piłsudski jest taranem, który uderza w Socjalizm i Demokrację.*

Ostateczna likwidacja w Polsce resztek demokracji, przypieczętowana uchwaleniem konstytucji kwietniowej z 1935 r., zbiegła się z wielkim kryzysem gospodarczym i wzrostem popularności w całej Europie idei faszystowskich. W 1933 r. władzę w Niemczech objął Hitler, rok później zaś prawicowa dyktatura zlikwidowała silną partię socjalistyczną w Austrii. Dla przywódców PPS był to szok, ulice będącego dla nich wzorem „Czerwonego Wiednia” spłynęły krwią tysięcy socjalistów. Obserwujący te przemiany Niedziałkowski z niepokojem notował, że *faszystom uświęcił gwałt jako jedyną skuteczną broń w walkach społeczno-politycznych*. Redaktor „Robotnika” traktował ruch faszystowski jako narzędzie w rękach klas posiadających, służące obronie niewydolnego systemu kapitalistycznego. Wielki kryzys dowodził jego zdaniem jednoznacznie, że *ostateczny krach kapitalizmu nastąpi niebawem – pisał, że społeczeństwa nie mieszczą się już [...] w ramach ustroju kapitalistycznego*.

Zaostrzająca się od początku lat 30. atmosfera walki politycznej sprzyjała narastaniu w szeregach PPS nastrojów radykalnych i rewolucyjnych. Zwolenników zdobywały hasła dyktatury proletariatu i „jednolitego frontu” z komunistami. Również Niedziałkowski dostrzegał zmianę w stanowisku zajmowanym przez komunistów, doceniał ich gotowość do poświęceń, zdawał sobie też sprawę, że sama PPS nie jest w stanie skutecznie walczyć o obalenie sanacji i demokratyzację kraju. Mimo to jednak pisał: *Nie wierzę w „jednolity front” Socjalizmu i komunizmu; wymagałby on ze strony komunistów nie tylko zmiany ideologii, ale i rzeczy trudniejszej – zmiany psychologii. Wierzę natomiast, że robotnicy, dziś komunistyczni, otrząsną się kiedyś z obłędnej taktyki swych przywódców. Pisał także, iż Współpracę PPS i KPP uznajemy za wręcz niemożliwą, dzielą nas różnice nie tylko praktyczne, ale również ideowe, ośrodek organizujący i skupiający ruch masowy i walki masowe w Polsce musi być ośrodkiem działającym w Polsce*.

W latach 30. szczególnie dużo uwagi poświęcał Niedziałkowski polemice ze zwolennikami wpisania do programu PPS postulatu „dyktatury proletariatu”. Traktował rewolucję społeczną jako długotrwały proces, którego pomyślne zakończenie osiągnięte może zostać przy użyciu różnych środków. Redaktor „Robotnika” uważał, że decyzja o tym, czy przejęcie władzy przez socjalistów nastąpi za pomocą „kartki wyborczej”, czy też drogą konfrontacji zbrojnej, jest kwestią taktyki i decyzji podejmowanych w zależności od warunków; nie uważał za zasadne

wpisywania konkretnych „scenariuszy” do partyjnego programu. Drogę gwałtownej rewolty uważał jednak za ostateczność. *Jeżeli ktoś do mnie strzela – tłumaczył partyjnym towarzyszom – nie będę mu prawił o miłości bliźniego, ale też wystrzelę*. Jednocześnie w prywatnych rozmowach trzeźwo zauważał: *nie możemy się szarpać, bo staniemy się poligonem na podobieństwo Hiszpanii*.

Bez wątpienia był natomiast zdecydowanym przeciwnikiem „dyktatury proletariatu” w formie znanej z bolszewickiej Rosji. Twierdził, że długotrwała dyktatura jest nie do pogodzenia z demokracją, stanowiącą jego zdaniem istotę socjalizmu. Powtarzał przy tej okazji często stare powiedzenie Kautsky’ego, że *socjalizm to nie tylko chleb dla wszystkich, socjalizm to także wolność dla wszystkich*. Ponadto podkreślał, iż dyktatura całej klasy (tj. proletariatu) jest niemożliwa do praktycznej realizacji. Faktycznie bowiem władza spoczywa zawsze w rękach wąskiej rewolucyjnej elity, która albo jest kontrolowana przez społeczeństwo (a wtedy nie mamy do czynienia z dyktaturą), albo też ulega zamknięciu i izoluje się od społeczeństwa.

Co ciekawe, w tym wypadku myśl Niedziałkowskiego szła podobnym tropem, co prognozy J. w. Machajskiego, a także popularne w późniejszym okresie wśród sowietologów teorie „nowej klasy”. Teoretyk PPS w 1934 r. pisał: *„Nowa biurokracja” – prędzej czy później – zaczęłaby żyć życiem samoistnym, system dyktatorski rządzenia koncentrowałby się w niej, a nie w masach pozostałych po fabrykach, warsztatach, folwarkach. Masy byłyby faktycznie obiektem władzy dyktatorskiej, reprezentującej w swoim przynajmniej przekonaniu – ich potrzeby oraz pragnienia*.

Oczywiście krytyka „dyktatury proletariatu” nie była dla Niedziałkowskiego równoznaczna z nawoływaniem do kapitulacji przyszłego rządu socjalistycznego przed atakami ze strony sił kontrrewolucyjnych. Protestował przeciwko podnoszeniu dyktatury do rangi trwałego systemu, natomiast w warunkach zbrojnego wystąpienia przeciwko władzy robotniczo-chłopskiej krótkotrwałe ustanowienie władzy dyktatorskiej było dla niego czymś koniecznym.

W latach 30. ostatecznie ustaliła się pozycja Niedziałkowskiego jako jednego z głównych liderów PPS. Kierował redakcją „Robotnika”, był zdecydowanie najważniejszym teoretykiem i publicystą partii, jej reprezentantem w stosunkach z socjalistami z innych krajów, a także w rozmowach z liderami pozostałych obozów politycznych w Polsce. Jemu też powierzono przygotowanie nowego programu PPS.

Projekt jego autorstwa został jednogłośnie przyjęty na kongresie w Radomiu na początku 1937 r.

Tzw. program radomski jest niewątpliwie jednym z najważniejszych punktów w ideowym dorobku międzywojennej PPS. Stanowił on dojrzałą i przemyślaną próbę odpowiedzi na najważniejsze wyzwania stojące przed rodzimym ruchem socjalistycznym. W obszernym dokumencie poddano analizie aktualną kondycję kapitalizmu i przesłanki przyszłej ustrojowej transformacji, wskazano drogi prowadzące do zwycięstwa socjalizmu i zarysowano bardzo interesującą wizję przebudowy społeczno-ekonomicznej. Partia miała według Niedziałkowskiego dążyć do *utworzenia Polskiej Rzeczypospolitej Socjalistycznej, z wszystkich ziem polskich złożonej, złączonej z innymi Republikami Socjalistycznymi węzłami stałego pokoju i ścisłej braterskiej współpracy gospodarczej, politycznej i kulturalnej*.

Aktualności nie straciło przesłanie zawarte w ostatnim akapicie tego dokumentu. *Socjalizm – pisał Niedziałkowski – przestał być tylko celem, stał się zadaniem praktycznym. Niesie on ze sobą ludziom nieograniczone możliwości pochodzą naprzód ku najdumniejszym ideałom ludzkości. Zwycięstwo Socjalizmu oznacza wyzwolenie całej ludzkości. Socjalizm stworzy nie tylko nowy ustrój gospodarczy i społeczny, ale także wyższą kulturę i wyższą moralność wolnego człowieka.*

Tymczasem jednak nad Europą zbierały się ciemne chmury – Hitler odbudowywał militarną potęgę Niemiec. Niedziałkowski od dawna już przestrzegał przed rewizjonistycznymi zapędami Trzeciej Rzeszy i zwalczał realizowaną przez ministra Becka politykę odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich. *Polska, wciągnięta w orbitę światowego prądu faszystowskiego, uderza piersią o sprzeczność zasadniczą; ten prąd w swojej obiektywnej treści historycznej musi być skierowany przeciwko Polsce – przestrzegał na łamach „Robotnika”.*

Pogarszające się położenie kraju budziło w szereгах PPS duży niepokój. Z czasem odrzucono twarde, konfrontacyjne wobec obozu pomajowego stanowisko, proponując zamiast tego zgodę i współpracę. PPS postulowała powołanie rządu obrony narodowej, który reprezentując wszystkie liczące się siły polityczne mógłby, wzorem rządu Witosa-Daszyńskiego z 1920 r., skutecznie pokierować walką z ewentualnym agresorem. Jednak wizyta przedstawicieli PPS, a wśród nich Niedziałkowskiego, u prezydenta Mościckiego nie przyniosła żadnych

rezultatów. Ten i ów widział w nich nawet podstępna próbę zawłaszczenia przez opozycję owoców przyszłego zwycięstwa (!).

Gdy wojna wybuchła, Niedziałkowski wyrósł ponad ludzką miarę. Był to szczególny rodzaj bohaterstwa. Wciąż spokojny, beznamiętny, niemal chłodny, a przecież posągowy – wspominał Adam Ciołkosz. Sam Niedziałkowski, w często cytowanym artykule z 2 września, pisał: Nie wywołaliśmy tej wojny i nie chcieliśmy jej. Została nam narzucona. Będzie to wojna o całe jutro świata. Są tylko dwie drogi rozwojowe: albo podporządkowanie się Trzeciej Rzeszy w jej planach hegemonii, albo złamanie tych planów i ocalenie zarazem wolności narodów, wolności ludów i wolności ludu polskiego. Wkroczyliśmy na drogę drugą. To jest polski dziejowy szlak.

Redaktor „Robotnika”, obok Stefana Starzyńskiego i gen. Waleriana Czumy stał się jednym z symboli bohaterskiej obrony stolicy. Wspólnie z działaczami PPS organizował Robotnicze Bataliony Obrony Warszawy, doradzał prezydentowi Starzyńskiemu, do samego niemal końca redagował też „Robotnika” – ostatnie pismo wydawane w wolnej Warszawie. *Każdego dnia – wspominał Szmul Zygielbojm – artykuły Niedziałkowskiego w „Robotniku” budziły na nowo odwagę. A każdy Jego artykuł przeniknięty był wiarą w jakąś wyższą sprawiedliwość, tchnął przekonaniem, że żadna kropla krwi nie pójdzie na marne.*

Nazajutrz po kapitulacji Niedziałkowski zaangażował się w tworzenie pierwszych podziemnych organizacji. Stał na czele Głównej Rady Politycznej przy komendancie Służby Zwycięstwu Polsce, gen. Tokarzewskim-Karaszewiczu. Praca ta jednak nie potrwiała długo. Odrzucił oferty potajemnego wyjazdu na Zachód, nie chciał też ukrywać się przed Niemcami. Gestapo aresztowało go w grudniu, a 21 czerwca 1940 r. został rozstrzelany w zbiorowej egzekucji w Palmirach.

W dziejach polskiej lewicy jest Niedziałkowski niewątpliwie jedną z najwybitniejszych postaci. **Uosabiał wszystko to, co najlepsze w tradycji PPS: przywiązanie do niepodległości Polski, szczerą i głęboką demokrację oraz żarliwą wiarę w możliwość zbudowania lepszego świata.** Wartości te nie straciły do dziś nic ze swojej aktualności. Życie i myśl Niedziałkowskiego mogą wciąż być inspiracją w ich realizacji.

Kamil Piskala

Rozprawa z liberalnym kapitalizmem

DOROTA JANISZEWSKA

Faszyzm zawdzięczamy liberalnemu kapitalizmowi. Rynek to dzieło świadomej i często gwałtownej ingerencji państwa, nie zaś spontanicznych sił. Transformacja systemowa jest nierzadko tożsama ze społeczną katastrofą. To jedno z ciekawszych tez Karla Polanyiego, którego słynną książkę „Wielka transformacja” wreszcie wydano w Polsce.

Węgierski filozof i prawnik zawarł w swym dziele przenikliwą analizę narodzin i upadku XIX-wiecznej cywilizacji opartej na ideach Adama Smitha i doktrynie wolnego rynku. Jednak książka ta nie powinna być traktowana tylko jako rys historyczny, choć została napisana w latach 40. XX w. Stanowiąc bezkompromisową krytykę liberalizmu gospodarczego, jest wciąż aktualna i przydatna m.in. w obecnych debatach wokół kryzysu gospodarczego. Dostarcza bowiem solidnych argumentów do dyskusji nad kondycją systemu ekonomicznego, który po roku 1989 zawojował cały świat.

Polanyi rozpoczyna rozważania od tezy, że idea samoregulującego się rynku jest skrajną utopią. Aby to udowodnić, trzeba się cofnąć do kolebki kapitalizmu - XVIII-wiecznej Anglii. Do tego czasu na wsi powszechna była wspólna własność ziemi. Dopiero *boom* na przemysł wełniany, który wymagał wielkich obszarów dla wypasu owiec i związana z tym żądza zysku, spowodowały rugowanie chłopów z ziemi w procesie zwanym grodzeniem (*enclosure*). Rolnicy pozbawieni

podstaw egzystencji zostali zmuszeni do migracji do miast, gdzie zatrudniali się jako niskopłatni robotnicy w wielkich fabrykach.

Miasta przemysłowe Anglii stały się siedzibą stłoczonych, zdesperowanych ludzi, żyjących i pracujących w warunkach uwłaczających godności. Rzeczywistość tych miast powodowała, że ludzie ze wsi ulegali demoralizacji, rodziny rozpadały się, a przemysł na wielką skalę niszczył środowisko naturalne. Nie bez przyczyny, jak pisze autor, robotnicy postrzegali fabrykę jako miejsce tortur i poniżenia. Tak dokonała się pierwsza transformacja w historii - powstanie rynku pracy. Nie obyło się to bez znaczącej interwencji państwa. Aby mogły zostać przeprowadzone grodzenia, wprowadziło ono prawo prywatnej własności ziemi, a sukcesy kupców wspierało cłami, premiami eksportowymi czy subwencjonowaniem pracy przez zasiłki. **Wolny rynek nigdy by nie powstał, gdyby sprawy pozostawiono ich własnemu biegowi. Gospodarka leseferystyczna (wolnorynkowa) była produktem celowego działania państwa.**

W tamtych czasach powszechnie uważano, że tania siła robocza umożliwi rozwój produkcji, bo kto, jeśli nie zdesperowani ubodzy, zaciągaby się do pracy w fabryce, na statki czy szedł na wojnę. Twierdzono ponadto, że robotnik pracujący ponad siły i bezustannie poniewierany, porzuci wszelkie próby stowarzyszania się z ludźmi w podobnym położeniu: *tylko taki człowiek nie próbowałby przerwać stanu osobistej niewoli*. A wszystko to udawało się osiągnąć groźbą kary najwyższej: bicia głodem. Jak wiadomo, z głodu człowiek zrobi wszystko. Polanyi przyrównuje sytuację robotników angielskich do Murzynów w koloniach, z których w wyniku niewolnictwa uczyniono „ludzkie śmieci”. Angielscy robotnicy stali się Murzynami we własnym kraju.

W tym momencie obrońcy liberalizmu zwykli przytaczać argument, że przecież przez całe XIX stulecie płace i liczba ludności rosły, a ceny żywności spadały. Próbuje w ten sposób sugerować, że piekło wczesnego kapitalizmu nigdy nie istniało, a zwykli robotnicy nie tylko nie byli wyzyskiwani, lecz stali się beneficjentem przemian. Opierając się na ogólnie przyjętych miernikach ekonomicznego dobrobytu, liberałowie pomijają fakt, że przemiany poskutkowały ruiną rolnictwa, wielkimi migracjami ze wsi do miast, niszczącymi tkankę społeczną, a także wysoką umieralnością pozabawionych wszelkiej ochrony socjalnej robotników. Polanyi wskazuje, że związana z tą transformacją społeczna katastrofa musi być rozpatrywana jako szerokie zjawisko kulturowe, a nie ekonomiczne. Dlatego też nie może być po prostu mierzona wskaźnikami ekonomicznymi.

Podobną katastrofę można zaobserwować w koloniach pod panowaniem wielkich mocarstw. W czasach przedkolonialnych rządziły plemiona, których system gospodarczy opierał się na motywacjach nie mających charakteru ekonomicznego. Najwyższym dobrem była ochrona grupy i utrzymywanie więzi społecznych, a wspólna praca na rzecz ogółu przynosiła tak znaczny prestiż, że inne zachowania po prostu się nie opłacały. Innymi zaletami tego ustroju była sprawiedliwa redystrybucja dochodu wśród wszystkich członków społeczności. Zbiorowości te nie znały ubóstwa, gdyż ktokolwiek potrzebował pomocy, otrzymywał ją bezwarunkowo. System ekonomiczny był tylko wypadkową organizacji społecznej, nie dominował nad ludźmi.

Kolonialni najeźdźcy unicestwiali te osiągnięcia, niszcząc całe podbite cywilizacje i ich systemy ekonomiczne. Narzędziami kolonialnej przemocy było albo bezpośrednie użycie siły, albo masowe przekupywanie władz. Umożliwiło to transformację pierwotnych społeczeństw zgodnie z celami kolonizatorów w postaci gwałtownej, narzuconej z zewnątrz zmiany, która była obca naturze społeczeństwa i jego normalnemu funkcjonowaniu. Dlatego, jak utrzymuje Polanyi, handel zagraniczny więcej ma wspólnego z podbojem i wojną niż z pokojem i zasadą dwustronności.

Polanyi wskazuje, że spotkanie kultur w dobie kolonializmu okazało się niekorzystne dla słabszego podmiotu, który reprezentowała kultura pierwotna, nie nawiązana na podobój tak, jak Zachód. Jakkolwiek podobój ekonomiczny może być narzędziem destrukcji, to przyczyną kulturowej dezintegracji stało się dopiero zniszczenie instytucji, które organizowały życie społeczne przegranego. Skutkiem utraty tradycyjnych instytucji jest utrata wzorców, a przez to szacunku do własnej kultury. Natomiast dostęp do kultury i instytucji białych kolonizatorów był dla tubylców zamknięty z powodu rasistowskich uprzedzeń. Jak podkreśla Polanyi, dotyczyło to nie tylko jednej klasy czy grupy społecznej, ale i całych narodów. Później **podobny los spotkał angielskich robotników – ich własna cywilizacja zwróciła się przeciwko nim**. Dlatego Polanyi utrzymuje, że **udoskonalenia i postęp cywilizacyjny są z reguły osiągnięte dzięki oczekiwaniom bogatych i wyłączności ich korzyści, kosztem rażącej destabilizacji społecznej**.

Autor „Wielkiej transformacji” zauważa, że system wolnorynkowy dąży do uzyskania pełnej kontroli nad siłą roboczą, a co za tym idzie nad psychiczną i moralną istotą człowieka. Wysuwa wniosek, że liberalizm posługuje się zubożonym i wrywkowym modelem natury człowieka, gdy zgodnie ze Smithowskim twierdzeniem głosi, iż ludzie kierują się głównie żądzą zysku. To zbyt wąskie rozumienie interesu prowadzić musi do spaczonych wizji historii społecznej i politycznej. Polanyi twierdzi, że człowiek jako istota społeczna jest w swej naturze niezmienny, zmieniają się tylko warunki życia. Dlatego według niego osoba ludzka w relacjach społecznych nie dąży w pierwszej kolejności do ochrony indywidualnego interesu ekonomicznego, lecz stara się wzmacniać pozycję społeczną – dobra materialne są tylko środkiem do tego celu. Innymi słowy, człowiekowi bardziej zależy na zdobyciu społecznego uznania i prestiżu niż na gromadzeniu majątku. Polanyi nazywa liberalną obsesją wiarę, że tylko czysto finansowe interesy są skutecznym bodźcem do działania.

Kolejną liberalną obsesją jest idea stworzenia Jednego Wielkiego Rynku, który połączy wszystkie rynki w jedną całość. Aby to zrealizować, powstała koncepcja utowarowienia pracy i ziemi, które dotąd nie podlegały transakcjom kupna i sprzedaży. Polanyi twierdzi, że sprowadzanie ziemi tylko do funkcji ekonomicznej jest rażącym nadużyciem i ignoruje związane z nią inne wartości. Ziemia bowiem nadaje życiu ludzkiemu stabilność, jest miejscem, gdzie osiadamy i budujemy dom, a więc daje poczucie fizycznego bezpieczeństwa i terytorialny charakter suwerenności. Komerccjalizację ziemi i przejęcie czerpanych z niej dochodów wymusiła rewolucja industrialna w celu zapewnienia wyżywienia rosnącej populacji miast, zaspokojenia potrzeb rozbudowującego się przemysłu, który lokował na niej nowe fabryki i czerpał surowce naturalne. Uzyskiwaną w ten sposób nadwyżkę produkcyjną eksportowano do innych, najczęściej słabszych ekonomicznie krajów. Zalewano ich

rynki subsydiowaną żywnością i towarami, które przyczyniały się do spadku cen, niszcząc rodzimą produkcję. Z tego względu chłopstwo stało się bastionem oporu przeciw postępującemu uprzemysłowieniu, a związki zawodowe robotników, które popierały niskie ceny żywności, okopały się na pozycji antyagrarnych.

Utowarowanie pracy, a więc człowieka, który żyje ze sprzedaży pracy własnych rąk, spowodowało uprzedmiotowienie osoby ludzkiej. Oddzielenie pracy od innych rodzajów aktywności człowieka miało na celu zastąpienie starych form egzystencji nową formą organizacji społecznej – indywidualistyczną i zatomi-zowaną. W tradycyjnym rozumieniu nie da się bowiem rozdzielić ziemi i pracy. Praca to część aktywności życiowej człowieka, ziemia to część przyrody, a życie i przyroda stanowią nierozzerwalną całość.

Kolejną obsesję liberałowie mają na punkcie wolności. Odrzucają takie, nie oparte na umowach instytucje społeczne, jak więzy pokrewieństwa, sąsiedztwa czy zawodu. Zgodnie z liberalną wiarą w nieingerencję, wymagały one od jednostki posłuszeństwa, a zatem ograniczały wolność. Liberalizm opiera gospodarkę na formalnych umowach, które utożsamiane są z wolnością. Nie zajmuje się on jednak kwestią, że takie efekty uboczne powstania rynku, jak bezrobocie i ubóstwo, to rażące ograniczenia wolności. Zamiast tego, postuluje oparcie społeczeństwa tylko na woli człowieka. Zgodnie bowiem z filozofią liberałów, *władza i przymus są złe, a wolność wymaga, żeby zniknęły*. Jednak dla Polanyiego oczywistym pozostawał fakt, że funkcjonowanie społeczeństwa nie jest możliwe bez władzy i przemocy. Autor argumentuje, że **planowanie i kontrola nie muszą być zaprzeczeniem wolności**. Natomiast to właśnie **blokowanie przez liberałów wszelkich prób regulacji rynku, tworzenia przepisów i kontroli sprawiło, że zwycięstwo faszystów stało się nieuniknione**.

Wielki Kryzys przełomu lat 20. i 30. miał tę moc stwórczą, że na gruzach dawnego porządku narodziły się lub zyskały siłę odmienne idee organizacji społeczeństwa i gospodarki. Były nimi socjalizm, faszyzm i keynesowski Nowy Ład. Wszystkie te doktryny łączyło odrzucenie zasad leseferyzmu, w którym upatrywano przyczyny załamania społeczno-gospodarczego. Były one odpowiedzią na impas, jaki pojawił się w strukturach społeczeństwa i gospodarki już w latach 20. i groził paraliżem tej ostatniej. Sporne kwestie między interesami wielkiego przemysłu oraz partiami robotniczymi i socjaldemokratycznymi, które wtedy w Europie prawie wszędzie miały udział we władzy, okazały się bowiem nie do rozwiązania. Ten węzeł gordyjski przeciął dopiero faszyzm, który jak pisze Polanyi, był *reformą gospodarki rynkowej za cenę wypłenicenia wszystkich instytucji demokratycznych w gospodarce i polityce*. Według niego faszyzm, tak samo jak socjalizm, był głęboko zakorzeniony w społeczeństwie, które odmówiło funkcjonowania. Stał się ruchem skierowanym zarówno przeciw konserwatyzmowi, jak



i socjalizmowi. Wedle autora, **przyczyn pojawienia się faszyzmu nie należy przypisywać zjawiskom lokalnym, mentalności narodowej czy uwarunkowaniom historycznym**. Genezą narodzin faszyzmu była niekontrolowana ekspansja liberalnego kapitalizmu i jej porażka, zakończona Wielkim Kryzysem.

Polanyi utrzymuje, że załamanie się XIX-wiecznej cywilizacji opartej na wolnym rynku to wynik nie ataku *zewnątrznych* czy *wewnętrznych barbarzyńców*, lecz działań podjętych przez społeczeństwo. Broniło się ono przed samounicestwieniem przez skutki działalności rynku. Okazało się, że nienaturalnym wypaczeniem jest opieranie gospodarki i społeczeństwa tylko na zasadzie interesu jednostek. Autor argumentuje, iż jedynie kontrolowana cywilizacja przemysłowa nie doprowadzi do zniszczenia człowieka. Proces ten nazywa Polanyi *odbudową swojego domostwa po stuleciu ślepego postępu*. Według niego, załamanie się wolnorynkowego ładu nie oznacza zagłady, choć wielu ją wieściło. Polanyi patrzy z optymizmem w przyszłość, pisząc, że cywilizacja przemysłowa będzie trwała dalej, natomiast *utopijny eksperyment samoreguującego się rynku pozostanie tylko wspomnieniem*. Prognozuje także, iż **charakterystycznymi dla najbliższej „nowej” przyszłości cechami będą współpraca międzynarodowa pomiędzy zaprzyjaźnionymi krajami oraz wprowadzenie regulacji rynków przez państwa**. Węgierski uczoney jakby przewidział

W trakcie lektury zdamy sobie sprawę, że każdy system ma czas swego powstania, rozkwitu i upadku, ale żaden nie trwa wiecznie. Zwłaszcza jeśli jest systemem niesprawiedliwego nieładu, jak współczesny neoliberalizm.



© David Raverchon, flickr.com/photos/david_raverchon/2244550449/

epokę, gdyż książka została opublikowana, kiedy zwycięski pochód keynesizmu dopiero się rozpoczynał.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, cywilizację XIX-wieczną możemy uznać za pierwsze stadium globalizacji. Polanyi utrzymuje, że wielkiej różnorodności, która stanowi pochodną nieskończonej liczby ludzkich osobowości, towarzyszyła w tej epoce zastanawiająca jednolitość rozwiązań instytucjonalnych. Podobne problemy trapiły też europejskie społeczeństwa. W sferze wewnątrzpaństwowej bolesnym napięciem pozostawała przede wszystkim kwestia bezrobocia i konflikty o charakterze klasowym. W sferze międzynarodowej natomiast były to problemy bilansu płatniczego i „nacisku na waluty” oraz imperialna rywalizacja. Polanyi twierdzi, iż duże bezrobocie oznacza słabość państwa i fakt ten będzie powodował, że *inne kraje nie będą re-spektować należnych mu praw próbując narzucić mu zewnętrzną kontrolę całkowicie niszcząc jego aspiracje narodowe*. Uważa on zatem, że **wśród najważniejszych regulacji prawnych powinno się znajdować prawo jednostki do pracy w godnych warunkach**.

Tymczasem liberałowie traktują państwo jako anachronizm, a kwestię suwerenności narodowej postrzegają jako *kwintesencję zaściankowego myślenia. Są więc ślepi na fenomen państwa*. Źródła kryzysu i upadku cywilizacji XIX-wiecznej tkwią według Polanyiego w utopijnych dążeniach liberalizmu gospodarczego do stworzenia samoregulującego się systemu rynkowego i próbie budowy cywilizacji opartej na żądzy zysku. Możemy odczytać to jako ciekawą analogię także i dzisiaj, w dobie kryzysu gospodarczego. Ponownie doktryna liberalna, we współczesnym wydaniu neoliberalnym, próbowała narzucić światu logikę wolnorynkową i podporządkować jej wszystkie dziedziny życia. System ten poniósł porażkę, gdyż okazał się niestabilny, podatny na załamania, a także działający na szkodę społeczeństwa. Okazało się też, że rośnie społeczny opór przeciwko neoliberalizmowi, a ludzie w obliczu zagrożenia negatywnymi skutkami wolnego rynku potrafią się organizować w celu obrony swoich interesów. Mimo częstego poczucia braku nadziei na zmianę panujących stosunków społeczno-gospodarczych, warto pamiętać o przesłaniu Polanyiego, że tempo zmian zdecydowanie zależy od nas samych. Dlatego jego książka może być odczytywana nie tylko jako wnikliwa krytyka doktryny wolnego rynku, ale też jako zachęta do działania. W trakcie lektury zdamy sobie ponadto sprawę, że każdy system ma czas swego powstania, rozkwitu i upadku, ale żaden nie trwa wiecznie. Zwłaszcza jeśli jest systemem niesprawiedliwego nieładu, jak współczesny neoliberalizm.

DOROTA JANISZEWSKA

Karl Polanyi, *Wielka transformacja*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011, tłum. Maria Zawadzka.

Wielkość i małość „Solidarności”

KRZYSZTOF WOŁODZKO

Ta książka jest ankietą, przeprowadzoną z członkami Solidarności na temat przyczyn, które umożliwiły powstanie ruchu społecznego o takim znaczeniu, nieporównywalnego z tym, co wydarzyło się w roku 1956 – pisał w 1989 r. Alain Touraine we wstępie do pierwszego polskiego wydania książki „Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980-1981”. Jej współautorami są Jan Strzelecki, François Dubet i Michel Wieviorka. Kolejnego wydania doczekaliśmy się po ponad 20 latach, w zupełnie innych realiach.

Słowo „ankieta” może być mylące. Francuski socjolog proponuje bowiem jedną z najgłębszych analiz pierwszej „Solidarności” i swoistej „epoki” tego ruchu, krótkiej, lecz jakże brzemiennych wydarzeniami i konsekwencjami. We wprowadzeniu autor stawia następujące kwestie: *Trzeba starać się wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób trzy porządki działania, związkowy, demokratyczny oraz narodowy, splatają się w Solidarność, czyniąc z niej to, co można nazwać totalnym ruchem społecznym, dążącym do przekształcenia wszystkich dziedzin życia społecznego. Druga, związana z nią, brzmi: czy Solidarność jest ruchem – zbiorowym zrywem [...] czy też jest narzędziem rekonstrukcji całego społeczeństwa, jego instytucji, a nawet tych sił ekonomicznych i społecznych, które byłyby zdolne wejść z nim w konflikt?* Trzecia wreszcie ukazuje, że „system” w zetknięciu z „Solidarnością” ukazuje swą inercję i słabość, przy równoczesnej agresywnej, konfliktogennej naturze.

Co istotne, książka Touraine powstała na kanwie badań socjologicznych działaczy szczebla zakładowego

w ramach sześciu grup badawczych. Wszędzie wśród nich *problemy dotyczące wolności politycznych, niepodległości, kierowania gospodarką czy sprawiedliwości społecznej były równie nieustanne obecne jak na obradach Komisji Krajowej Solidarności*. Francuski badacz pokazuje w ten sposób, jak bardzo samorządne i oddolne były „solidarnościowe relacje społeczne” w latach 1980-81. Ruch wyrażał *idee, wybory, zbiorową wolę*.

Tu pojawia się kwestia ważna również obecnie. Książka godzi w dość silny w Polsce kompleks antyinteligencji. Pokazuje, że pierwsza „Solidarność”, jakkolwiek by nie oceniać dziś dawnych działaczy KOR, roli ekspertów czy zdrady etosu, która się dokonała później, miała silne, intelektualne zaplecze. Była swoistym sojuszem „ludzi pracy” z naukowcami, humanistami, intelektualistami i inteligencją techniczną. Równocześnie widać przez jej pryzmat, że inteligenci, w dużej mierze lewicowy etos był w czasach PRL silnie zakorzeniony w myśleniu i działaniu sporej części elit, że właściwie dopiero realia III RP przyniosły jego erozję. W tym sensie książka może stanowić znów



©@ Pobiedziński, commons.wikimedia.org/wiki/File:Znaczek_solidarno%C5%9Bci.jpg

punkt wyjścia do dyskusji nad zaprzepaszczonego do-robkiem i potencjałem intelektualnym ruchu. Bo to właśnie idee, obok masowości i konkretnych działań, stanowią ważną część dziedzictwa „Solidarności”.

Trzy pierwsze grupy badawcze powstały wiosną 1981 r. w Gdańsku, Katowicach, Warszawie, pozostałe jesienią w Szczecinie, Łodzi, Wrocławiu. *Badania nie mogły pominąć dwu wielkich portów bałtyckich ani obu części Śląska, stanowiących najważniejsze ośrodki przemysłowe Polski. Łódź, jako stolica przemysłu tekstylnego i miejsce marszu głodowego w lecie 1981 r., interesowała nas ze względu na opinie licznie tu zatrudnionych kobiet. Warszawa narzucała się zarówno dlatego, że jednym z ośrodków, w których narodził się ruch, był zakład Ursus, jak i z uwagi na to, że region Mazowsze sam sytuował się na czele najbardziej radykalnego skrzydła Solidarności.* W skład poszczególnych grup, obok autora publikacji, weszli m.in. Grażyna Gęsicka, Włodzimierz Pańków (dziś członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”), Ireneusz Krzemiński, Jan Strzelecki, Anna Kruczkowska, Paweł Kuczyński.

Pierwsza część książki, zatytułowana „Ruch”, opowiada historię oporu przeciw władzy komunistycznej w Europie Środkowej, podejmuje zagadnienie relacji między klasą społeczną, narodem a demokracją i opowiada historię „samoograniczania” się tego ruchu. Druga, „Uwolnienie społeczeństwa”, dotyczy ewolucji „Solidarności”, autoanalizy działalności związkowej w Gdańsku, na Śląsku i w Warszawie. Część trzecia, „W stronę zerwania”, omawia m.in. problem władzy związkowej (pięciu przywódców: Zbigniew Bujak, Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Jan Rulewski, Lech Wałęsa), kwestie radykalizmu i kompromisu w ruchu na przykładzie ośrodków w Łodzi, Wrocławiu, Szczecinie, a także zagadnienia solidarnościowego oporu (m.in. *ruch demokratyczny czy walka rewolucyjna?*).

Warto przytoczyć, by zrozumieć lepiej ducha tamtego czasu, komu m.in. szczególnie dziękowali autorzy książki: *Uczestniczący w tych badaniach członkowie Solidarności, robotnicy, pracownicy umysłowi, technicy*

i inżynierowie, są bardziej ich autorami niż obiektami. [...] My, którzy z nimi pracowaliśmy, możemy im dziś powiedzieć, że są chlubą robotniczego świata, godnymi synami swej Ojczyzny i że reprezentują jedną z najszczytniejszych postaci demokracji. [...] Ich przykład pozostanie natchnieniem dla wszystkich, którzy pragną, aby – jak powiedział jeden z robotników Ursusa – ludzie przestali być bierną masą, stając się podmiotem własnej historii.

Sama metoda „interwencji socjologicznej”, w której badacz staje się mediatorem między członkami ruchu społecznego, miała na celu skłonić działaczy Solidarności do refleksji nad ich działalnością, proponując im pewne hipotezy, którymi mogli się posługiwać, sprawdzając, czy odpowiadają one ich własnym analizom sytuacji. Zdaniem Touraine, dystans pomiędzy świadomością uczestników ruchu a proponowanymi przez socjologów analizami okazał się niewielki. Toteż – pisze francuski badacz – *nasze badania nigdy nie były bliższe swego praktycznego celu: temu, aby prezentując działających, wspierać ich działalność i co za tym idzie – szanse demokracji.*

Jednym z polskich marzeń w czasach PRL – zwraca uwagę Touraine – było wyrwać się z obowiązujących konwencji, z pozorów i absurdów, wrócić do rzeczywistości, używać słów, które mają sens, powrócić do nauczania prawdziwej historii narodu, racjonalnie zarządzać przedsiębiorstwami. [...] W sierpniu 1980 roku próżnia społeczna nagle wypełnia się treścią i Polska staje się sobą.

Jakkolwiek patetycznie muszą brzmieć te słowa, mają one nader praktyczny wymiar. Touraine pokazuje m.in. klasowy i ekonomiczny charakter działań związkowych: *słowo »wyzysk« pojawia się często w rozmowach z robotnikami na Śląsku.* Analiza materiału tamtejszych dwóch „grup badawczych” pokazała, że górnicy mają świadomość walki o prawa pracownicze, zajmuje ich *obrona robotników przed arbitralnością, niekompetencją i korupcją ich zwierzchników.* Równocześnie, co dzisiaj jest często negowane albo przemilczane jako cecha pierwszej „Solidarności”, *ruch robotniczy umie uznawać*

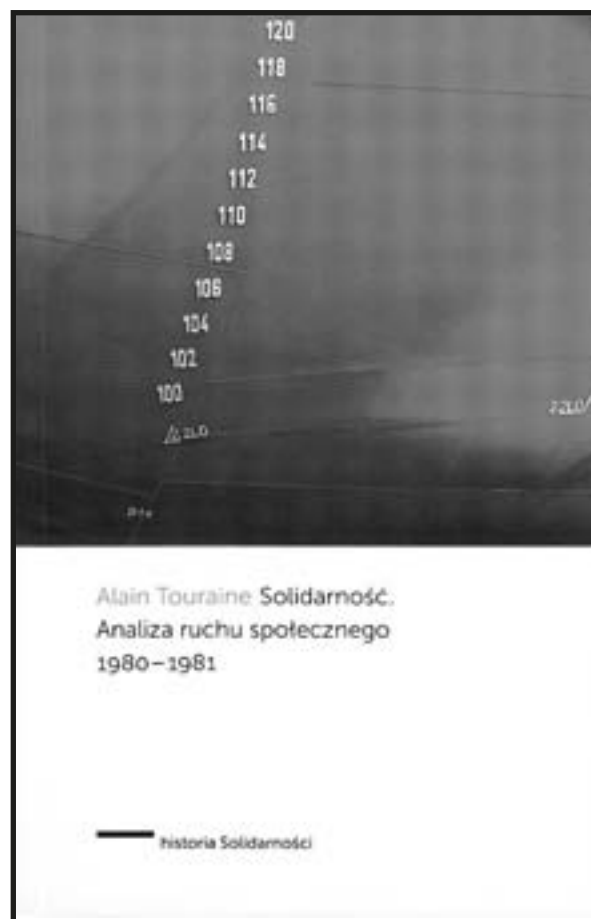
wspólnotę interesów i stawiać ją wyżej niż partykularne sprawy poszczególnych zakładów pracy. Widzieliśmy, jak w Gdańsku w sierpniu 1980 roku stocznioowcy wyrzekli się znacznych korzyści materialnych, gdy pracownicy innych zakładów [...] poprosili ich o wsparcie swoich roszczeń.

Obok klasowej istnieje jednak w ruchu „Solidarności” silna dominanta narodowa, połączona z pierwiastkiem religijnym, katolickim. Z jednej strony Kościół stanowi element tożsamości narodowej, z drugiej strony badacze zwracają uwagę, że *bardzo wyraźnie manifestuje się wola utrzymania niezależności związku od Kościoła oraz niechęć do jego bezpośredniej ingerencji w sprawy polityczne.*

Inny istotny element tego ruchu to „tęsknota za demokracją”, która tak silnie ujawniła się w samej „Solidarności”. Ma ona fundament etyczny: *argumentacja ludzi z Solidarności nigdy nie jest czysto polityczna. [...] Jest to argumentacja moralna, przeciwstawiająca uczciwość korupcji, jawność związkowych obrad sekretnym decyzjom partii, szczerłość działaczy krętowni biurokratów z aparatu.* Nawet jeśli weźmiemy poprawkę na uogólniony charakter takich stwierdzeń, trzeba pamiętać, że wynikały one z badań socjologicznych, prezentowały pewien „solidarnościowy paradygmat”.

Ostatecznie, *ruch społeczny i program uwolnienia społeczeństwa wzajemnie się uzupełniają, stanowiąc równocześnie dwa różne aspekty działania Solidarności. Z jednej strony pojawiają się nastroje populizmu, tyleż nacjonalistycznego, co robotniczego (byłaby to zatem w pewnych warunkach zrozumiała, ale destruktywna postawa), z drugiej, co do swej istoty, „Solidarność” jest afirmacją wspólnoty społecznej i narodowej [...], wolą stworzenia ma nowo warunków dla demokracji w życiu gospodarczym, w polityce i kulturze.*

Złożona tożsamość i wieloaspektowość „Solidarności” ukazana w rzeczowej analizie socjologicznej, broni przed uproszczonym, sentymentalnym czy „mitycznym” obrazem ruchu. Stanowi też argument w dyskusji z takim obrazem związku, który chciałby



w nim widzieć wyidealizowany byt, albo - przeciwnie - ośmiesza pierwszą „Solidarność” jako do cna skłóconą u zarania. Książka ukazuje, jak wielki wysiłek włożyli ludzie pierwszej „Solidarności” w stworzenie tak złożonej, heterogenicznej strukturalnie i ideowo organizacji, powstałej w skrajnie trudnych warunkach.

Za najistotniejszą część swej pracy uznaje Touraine rozdział „Działacze analizują swoje działania”: *prowadzone w zespołach dyskusje są częścią wielkiej debaty, dzięki której Solidarność stara się dojść do rozwiązania trudnego problemu: jak - rozszerzając swoje działanie - nie utracić jedności, nie zostać rozerwaną pomiędzy konkurujące ze sobą cele?* Z dzisiejszej perspektywy zapis dyskusji w gronie poszczególnych zespołów może sprawiać wrażenie banalnego, naiwnego. Wtedy jednak, przeżywany z całą siłą, z przyszłością jako ogromną niewiadomą, powodował wielkie napięcia, budził zarówno nadzieje, jak i poczucie zwątpienia. Odpowiedzialność za ruch i podjętą sprawę oraz cała gama czynników generujących kształt otaczającej rzeczywistości, opisana w suchym, analitycznym języku socjologicznego sprawozdania, może tracić swoją wagę. Ale to tylko pozór. Fascynująca w tej części książki jest perspektywa odmienności poszczególnych zespołów przy zrozumieniu, że współtworzą oni ten sam ruch i się z nim utożsamiają.



© Stefan Cieślak, Sierpień 1980. Sala obrad w Stoczni Szczecińskiej, commons.wikimedia.org/wiki/File:Sala_obrad_Szczecin_1980.JPG

Zespół gdański ma silne poczucie utożsamienia z pierwotnym obrazem ruchu, [...] której symbolem były Porozumienia Gdańskie. Dyskusje prowadzone w trakcie badań ukazują, że aspiracje [zespołu gdańskiego] nie zatrzymują się na etapie uzyskania wolności związkowych. Ambicje są większe, lecz istniejące poczucie różnorodnych ograniczeń oraz kryzys wewnętrzny powodują, że działacze nie mają pewności, czy celem ich jest aktywność typowo związkowa, czy polityczna. Kurs na aktywność polityczną jako sedno działalności neguje istotową, ponad-polityczną naturę ruchu.

Inaczej przedstawia się sytuacja na Śląsku. Tamtejsi górnicy nie mieli takiego poczucia jedności działania związkowego z problemami demokracji, jakie istniało w Gdańsku czy w takich zakładach jak Ursus. Mają przede wszystkim świadomość, że są wyzyskiwani przez swoich zarządców uzależnionych od zagranicy. [...] Konceptcja ruchu mającego zarówno wyodrębniony, jak i ogólny cel, będącego jednocześnie ruchem robotniczym i ruchem uwolnienia całego życia społeczeństwa, znajduje zrozumienie i swój wyraz w zespole katowickim. Jednak już pierwsze dyskusje [...] dowodzą, że jego członkowie wysuwają na pierwszy plan z jednej strony dążenia narodowe, a z drugiej – walkę z wyzyskiem robotników. Natomiast problematyka demokratyzacji stanowi jak gdyby etap pośredni.

Zespół śląski ma silne poczucie robotniczej tożsamości (robotnicy są bogactwem Polski; bogactwo to jest marnowane przez obecne zarządzanie, przez zły stan maszyn, przez absurdalny system planowania) i wagi zagadnień gospodarczych. Silne są tu napięcia między „radykałnym nacjonalizmem” a pojednawczością, między politycznym i związkowym buntem a świadomością ograniczeń narzuconych przez sytuację. Ostatecznie, u kresu interwencji socjologicznej, ślascy robotnicy trwają niezmiennie w zasadniczym sprzeciwie wobec władzy. Pragną zreorganizować gospodarkę, poczynając

od przedsiębiorstwa, ale nie wierzą, aby można było osiągnąć to w drodze negocjacji z partią. Nie chcą działań stricte politycznych, ani przemocy, jednak są dalecy od strategii opozycyjnych intelektualistów, którzy starają się łączyć śmiałość z ostrożnością.

Jeszcze inaczej przedstawia się specyfika grupy warszawskiej: zespół nie ma za sobą tego doświadczenia historycznego, jakim był dla Gdańska sierpniowy strajk z 1980 roku, nie ma też takiej jak w Katowicach świadomości wspólnoty, łączącej pracowników produkujących główne bogactwo kraju. Grupa ze stolicy uznaje, że „Solidarność” jest syntezą celów społecznych, politycznych i narodowych, jednak skupia się przede wszystkim na następującym zagadnieniu: w jaki sposób ten ruch społeczny może zrekonstruować życie społeczne, stworzyć swobodnie działające instytucje, zwłaszcza w życiu gospodarczym, oraz jakie są szanse na przezwyciężenie wrogości partii?

To dość istotna cecha grupy warszawskiej: zespół nie pozostaje obojętny na oferty porozumienia czy sojuszu pochodzące od liberałów partyjnych, takich jak na przykład Stefan Bratkowski, tym bardziej, że równocześnie wydają się wzrastać wpływy Solidarności wewnątrz partii. Ponadto, w Warszawie miejsce zagadnień związkowych, robotniczych zajmuje problematyka samorządowa: przyszłość Solidarności zależy od tego – w opinii zespołu ze stolicy – czy uda się znaleźć nową syntezę wiążącą obronę interesów robotników z reformą instytucji gospodarczych. Ostatecznie narasta poczucie nacisku geopolitycznego i realiów gospodarczych. Zdaniem Touraine, sytuacja grupy warszawskiej najlepiej oddaje metamorfozę całego ruchu: latem 1981 r. określają ją w coraz mniejszej mierze żywione nadzieje i wyznawane wartości, staje się coraz bardziej siłą oporu wobec gróźb i prowokacji.

Trzecia część książki obejmuje m.in. opis i analizę I Zjazdu „Solidarności” we wrześniu 1981 r. Według autora, związkowy wymiar ruchu rzadko dochodzi do głosu na Zjeździe. Solidarność objawia się tu przede wszystkim jako ruch dążący do uwolnienia społeczeństwa, ale w tle narasta już ostry spór, jak go określa Touraine, między nacjonalistami a demokratami. W dzisiejszych realiach ten sposób różnicowania odsyła do wielu znanych i zgranych, mainstreamowych klisz, służących dyskredytacji osób i środowisk „źle widzianych” przez opiniotwórcze salony i budzi pewną rezerwę wobec nomenklatury autora świetnej przecież książki.

Francuski socjolog przedstawia czytelnikowi także sylwetki liderów ruchu – Zbigniewa Bujaka, Andrzeja Gwiazdy, Mariana Jurczyka, Jana Rulewskiego i Lecha Wałęsy. Ciekawy, zwłaszcza z perspektywy czasu, jest portret Gwiazdy: należy do tych, którzy od dawna przygotowywali i obmyślali przyszłe metody działania, odegrał też ważną rolę w momencie, gdy trzeba było organizować strajk i wypracować strategię negocjacji z rządem. [...] Uosabia ściśle powiązanie w ruchu nurtu

robotniczego z nurtem demokratycznym. [...] Nie wierzy w działania zmierzające do przejęcia władzy w państwie, opowiada się po stronie tych, którzy nie mając zupełnie zaufania do partii są przeciwni wszelkim ustępstwom. W jego przekonaniu prowadzą one do konfrontacji. Trzeba dążyć do kompromisu ambitnego, odpowiadającego aspiracjom społeczeństwa. [...] W miarę jak wzrasta wewnętrzne napięcie między populizmem a dążeniami demokratycznymi, Andrzej Gwiazda waha się między pragnieniem kompromisu a przekonaniem, że władza czyni wszystko, aby ten kompromis uniemożliwić. To tłumaczy małą liczbę głosów uzyskanych przez niego [9% - przyp. K.W.], mimo sympatii tych, których irytuje autokratyzm Wałęsy, a zwłaszcza tych, którzy widzą w Gwieździe szczerego demokratę, stojącego znacznie bliżej KOR-u niż „prawdziwych Polaków”.

Wnioski z badania wśród zespołów łódzkiego, szczecińskiego i wrocławskiego zawiera rozdział „Radikalizm i duch kompromisu”. Stanowią one zapis dualizmu między świadomością robotniczą jako żądaniem słusznym dla robotników a populistyczną obroną słabych przed silnymi, świadomością narodową jako afirmacją tożsamości kulturowej a agresywnym nacjonalizmem, wołą demokratyczną jako obroną wszelkich wolności a wezwaniem skierowanym do ludu, do mas czy do na pół wojskowej dyscypliny w imię ocalenia zagrożonego narodu.

Jak przedstawia się sytuacja w Łodzi? Kryzys gospodarczy skłania robotników do manifestacji ulicznych. [...] Działalność związku przeradza się w wyczerpującą działalność akcję pomocy społecznej. Wskutek m.in. kryzysu następuje stała dezorganizacja produkcji, a „Solidarność” przestaje być związkiem zawodowym, staje się „ciałem mistycznym narodu”: po raz pierwszy w naszych działaniach działacze od razu odwołują się do patriotyzmu. Na płaszczyźnie politycznej dominuje zagubienie: pytanie o postawę władzy i jej skłonność do rzeczywistego kompromisu, nie brutalnej konfrontacji, budzi postawy przeróżne, od gotowości zajęcia się gospodarczymi problemami kraju i uczestnictwa w tworzeniu demokracji politycznej, do radykalnego niezadowolenia, ale bez uciekania się do przemocy.

We Wrocławiu zespół badawczy zostaje określony przez terminy „nacjonalizm i robotniczy solidaryzm”: Świadomość narodowa bierze górę nad świadomością robotniczą i pozostawia jedynie drugorzędne miejsce dążeniom do demokratyzacji. W Szczecinie silnie zaakcentowany jest robotniczy wymiar ruchu. Wchodzący w skład zespołu robotnicy są ściśle związani z tradycją walki przeciwko partii, uważanej za przeciwnika klasy robotniczej i demokracji. Duch sierpnia i postulaty Porozumienia Szczecińskiego nadal tkwią głęboko w ich świadomości. Ci związkowcy są zdecydowanie przeciwni działaniom czysto defensywnym i nie mają zrozumienia dla radykalizmu wyrażającego się w marszach głodowych. Pojawia się jednak pytanie o kierunek,

w jakim zmierzać ma „Solidarność”: w stronę ruchu społecznego (najbliższe „typowym związkowcom”) czy demokratyzacji politycznej, a może podjąć wezwanie w duchu narodowym oparte na odczuciu wspólnotowym. Ostatecznie jednak członków grupy ogarnia poczucie obezwładnienia, narastająca świadomość, że nie panują nad wypadkami, lecz dają się unosić ich biegowi. [...] Odrzucają strategię przemocy i wojny, ale równocześnie [...] przywołują pamięć tych, którzy w Powstaniu Warszawskim podjęli walkę w imię tradycji robotniczej, w imię niepodległości narodu i w imię demokratycznych swobód.

Dla laika i osoby oglądającej pierwszą „Solidarność” ze znacznej już perspektywy, najcenniejsze w książce Touraine wydają się fragmenty pokazujące złożoność ówczesnej sytuacji, przedstawionej bez martyrologicznych upiększeń. W historii opowiedzianej na kartach recenzowanej książki, ukryte jest też smutne ziarno. Widzimy załążki upadku „Solidarności”, wewnętrzne sprzeczności, które okazały się nieprzekraczalne w nowych okolicznościach ustrojowych i ekonomicznych. Książka Touraine nie pozostawia złudzeń: „Solidarność” okazała się zbyt krucha w swej złożoności, by nie ulec strukturalnemu i ideowemu rozbiću czy rozproszeniu. To nie tylko czynniki zewnętrzne, w rodzaju stanu wojennego czy działań esbecji, przyniosły kres pierwszej „Solidarności”. Mówiąc w pewnym uproszczeniu: Gwiazdowie, Walentynowicz, Michnik, Kuroń, Wałęsa byli nie tyle podmiotami, co uosobieniem strukturalnych i ideowych prądów w obrębie samego ruchu, byli zarazem autorami, ale i „statystami” na scenie wielorakich uwarunkowań i ograniczeń „Solidarności”. Zagadnienie „Solidarności”, opisane socjologicznie, to nie tylko kwestia „chcę” czy „nie chcę”, wyborów jednostkowych i nastawienia poszczególnych członków, nawet prominentnych. Losy „Solidarności” to opowieść o wzajemnych zależnościach między jednostką a historią czy prawidłami życia społecznego.

Wiele z tych badań, rozmów, sytuacji, musiało być dla ich uczestników bardzo trudne. Wszak widzimy „Solidarność” w jej wielkości i w jej małości. A jednak – całościowo – otrzymujemy pracę pełną empatii, szacunku i podziwu dla ludzi pierwszej „Solidarności”. Ich niedoskonałość, problemy i trudności są niczym wobec wysiłku, jaki ośmielili się podjąć.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Alain Touraine, *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980-1981*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010, przełożył Andrzej Krasiński.

Książkę można nabyć w sprzedaży wysyłkowej u wydawcy: Europejskie Centrum Solidarności, ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk, tel. 58 767 79 71, e-mail: ecs@ecs.gda.pl, www.ecs.gda.pl

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Högskolan Dalar-na (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją, skandynawskim modelem dobrobytu oraz mechanizmami dialogu społecznego. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski jest mu duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Piotr Chmielewski (ur. 1985) – absolwent ekonomii i afrykani-styki. Sercem i duszą w Łodzi, a myślami w „krajach biednego Południa”. Wierny kibic piłkarski.

Brett Clark – socjolog na Uniwersytecie Stanowym Karoliny Północnej. Interesuje się ekologią i ekonomią polityczną. Autor kilku książek: „The Science and Humanism of Stephen Jay Gould”, „The Ecological Rift: Capitalism’s War on the Earth” (wraz z Johnem Bellamym Fosterem i Richardem Yorkiem). Publikował m.in. na łamach „Social Problems”, „Social Science Research”, „Theory and Society”, „Sociological Inquiry”, „The Sociological Quarterly”, „Organization & Environment”, „Population & Environment”, „Global Environmental Politics”, „International Journal of Comparative Sociology”, „Monthly Review”.

Wojciech Czabanowski (ur. 1986) – student prawa i MISH na UJ, współautor projektu „Nowe Polis”. Interesuje się demokracją bezpośrednią, postmodernizmem, Ojcami Kościoła, popkulturą i społeczeństwem konsumpcyjnym. Publikował m. in. w „Pres-sjach”, „Znaku” i „Dzienniku Polskim”. Prezes Stowarzyszenia DoxoTronica. Od roku 2010 członek redakcji pisma „Pressje”.

Marian Marek Drozdowski (ur. 1932) – profesor doktor habilitowany, historyk i społecznik, emerytowany profesor Instytutu Historii PAN (przewodniczący Komisji Badania Dziejów Warszawy) oraz Uniwersytetu Opolskiego; jest też przewodniczącym Komisji Biografistyki przy Polskim Towarzystwie Historycznym. Zajmuje się historią Polski XVIII-XX w. (głównie II RP i Polską Walczącą), w tym historią gospodarczą oraz dziejami Warszawy. Opublikował monografie poświęcone m.in. I. Paderewskiemu, E. Kwiatkowskiemu, w. Grabskiemu, S. Starzyńskiemu, G. Narutowiczowi, S. Wojciechowskiemu, I. Mościckiemu, w. Raczkiewiczowi i J. Piłsudskiemu; w druku znajduje się biografia Juliusza Poniatowskiego. W działalność społeczną zaangażowany od kilkudziesięciu lat, czynnie angażował się m.in. w likwidację analfabetyzmu wśród pabianickich robotników, odbudowę Warszawy ze zniszczeń wojennych oraz Październik ’56. Jeden z inicjatorów budowy w stolicy pomnika H. Sienkiewicza oraz popiersia E. Kwiatkowskiego. Jest Przewodniczącym Stowarzyszenia Budowy Pomnika T. Kościuszki w Warszawie. Odznaczony Medalem im. króla Stanisława Augusta, który „stanowi wyraz społecznego uznania dla osób najbardziej zasłużonych w budowie Majestatu Stolicy Rzeczypospolitej”. Syn powstańca śląskiego, członek Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Śląska.

John Bellamy Foster (ur. 1953) – redaktor czasopisma socjalistycznego „Monthly Review”. Profesor socjologii na Uniwersytecie Stanowym w Oregonie. W kręgu jego zainteresowań naukowych znajduje się ekonomia polityczna, socjologia środowiska i marksizm. Autor kilku książek, m.in. „The Great Financial Crisis: Causes and Consequences”, „What Every Environmentalist Needs to Know about Capitalism”, „Critique of Intelligent Design: Materialism versus Creationism from Antiquity to the Present”, „The Ecological Revolution: Making Peace with the Planet”, „The Ecological Rift: Capitalism’s War on the Earth” (z Brettem Clarkiem i Richardem Yorkiem).

Dorota Janiszewska (ur. 1984) – politolog, absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego i doktorantka w Szkole Nauk Społecznych przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Pracuje nad doktoratem „Społeczna gospodarka rynkowa jako koncepcja polityki gospodarczej w procesie transformacji Polski”. Stypendystka Fundacji Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość, DAAD, Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Prezesa Rady Ministrów. Członkini Polskiego Towarzystwa Demograficznego Oddział w Gdańsku. W roku 2011/2012 przebywa na stypendium im. Johannes-a Raua w Duesseldorfie.

Tomasz Jarmużek (ur. 1974) – doktor filozofii. Czyta „Obywatela” od pierwszego numeru, bez pominięcia nawet jednego wydania. Ma konto w SKOK-u od 10 lat. Od dawna popiera idee ochrony dzikiej przyrody, nie łąpie się jednak na tanie sztuczki „gabinetowych postępów” z mainstreamu, którzy żyją ze szkodenia interesom społecznym. Z wiekiem stał się bardziej konserwatywny, ale bez przesady.

Tradycja, historia i wspólnota to dla niego więcej niż sentyment.

Edward Karolczuk – doktor nauk humanistycznych, interesuje się problemami teorii polityki, historii najnowszej oraz społeczno-politycznymi skutkami transformacji ustrojowej. Publikował na łamach „Dziś” i „Przeglądu”, posiada publikacje naukowe w wydawnictwach krajowych i zagranicznych, autor książki „O wrogu. Szkice filozoficzno-historyczne” (2010). Interesuje się żeglarswem, latem można spotkać go na Mazurach.

Bartłomiej Kozek – student wiedzy o kulturze na Uniwersytecie Warszawskim. Członek Zarządu Krajowego Zielonych i koordynator grupy roboczej ds. polityki społecznej i usług publicznych w partii. Autor bloga Zielona Warszawa (zielonawarszawa.blogspot.com). Publikował m.in. na witrynach Krytyki Politycznej i Femino-tek. Współpracownik Zielonego Instytutu. Publicysta gazety „Zielone Wiadomości”.

Rafał Łętocha (ur. 1973) – politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca Dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodu. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (2002), „Oportet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (2006) i „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomosie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia

mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

John Miller – profesor ekonomii w Wheaton College. W pracy naukowej zajmuje się Rezerwą Federalną, bezrobociem, polityką fiskalną, zagadnieniami makroekonomicznymi i budżetowymi. Publikował na łamach „Dollars & Sense”, „Guardiana” oraz „Review of Radical Political Economics”.

Krzysztof Mroczkowski (ur. 1987) – publicysta, absolwent historii i ekonomii w University of Manchester. Aktualnie studiuje stosunki międzynarodowe w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie oraz współprowadzi portal EkonomiaPolityczna.pl, zajmujący się przybliżaniem i promowaniem nieortodoksyjnej ścieżki osiągnięcia rozwoju gospodarczego.

Janina Petelczyc (ur. 1985) – absolwentka polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim, od 2010 r. doktorantka na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Zawodowo interesuje się zabezpieczeniem społecznym, polityką rodzinną i międzynarodową porównawczą polityką społeczną. Pozazawodowo pochłania ją astronomia. Warszawianka od urodzenia, ciągle znajduje w tym mieście coś nowego i prowadzi o nim bloga mojawarszawa.blox.pl. Lubi rower, podróże i malarstwo holenderskie.

Kamil Piskala (ur. 1988) – student V roku historii na Uniwersytecie Łódzkim. Interesuje się dziejami polskiej lewicy, międzywojenną Polską i historią myśli politycznej. Swoje najlepsze lata spędza w archiwach i bibliotekach. Socjaldemokrata. Związany z Klubem Krytyki Politycznej w Łodzi.

Carl Rowlands – członek brytyjskiej Partii Spółdzielców (Co-operative Party), związany z Partią Europejskich Socjalistów. Zasiadał w zarządzie London Industrial Common Ownership Movement. Autor licznych artykułów poświęconych tematyce społeczno-ekonomicznej.

Błażej Skrzypulec (ur. 1986) – absolwent filozofii i socjologii, doktorant w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Collegium Invisibile, współautor projektu „Nowe Polis”. Publikował m.in. w „Pressjach”, „Christianitas”, „Lampie” i „Dzienniku Polskim”. Prezydent Stowarzyszenia DoxoTronica. Od roku 2010 członek redakcji pisma „Pressje”.

Michał Sobczyk (ur. 1981) – absolwent ochrony środowiska, jednak zawodowo związał się z działalnością wydawniczą. Sympatyk idei spółdzielczej (współzałożyciel Spółdzielni Socjalnej ISSA) oraz ruchu pracowniczego. Od urodzenia mieszka na Bałutach, kibic Łódzkiego Klubu Sportowego. Członek zespołu „Nowego Obywatela”, prezes Stowarzyszenia „Obywateli Obywatelom” – wydawcy pisma.

Joanna Szalacha (ur. 1979) – socjolog, absolwentka stosunków międzynarodowych, adiunkt w Wyższej Szkole Bankowej w Toruniu, badacz w zespole prof. Andrzeja Zybortowicza. Autorka tekstów analizujących zakulisowe i podmiotowe wymiary globalizacji, m.in. rozprawy doktorskiej „Podmiotowe aspekty globalizacji. Poza-państwowi aktorzy i globalna władza strukturalna”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Jarosław Tomasiewicz

(ur. 1962) – doktor nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książki „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003) i „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Karol Trammer

(ur. 1985) – redaktor naczelny niezależnego dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn”, poświęconego kolei na Mazowszu (internetowe archiwum periodyku – www.zbs.kolej.net.pl). Jego teksty i komentarze na temat transportu publicznego ukazywały się na łamach m.in. „Techniki Transportu Szynowego”, „Świata Kolei”, „Życia Warszawy”, „Gazety Stołecznej”, „Wprost”, „Wspólnoty”, biuletynu Biura Analiz Sejmowych „Infos”. Absolwent gospodarki przestrzennej na Wydziale Geografii i Studiów

Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego, praca licencjacka „Regionalizacja kolei. Kierunki reformy kolei regionalnych w Polsce” (2007), praca magisterska „Stacja Włoszczowa Północ. Studium lobbingu i rozwoju lokalnego”. Przeciwnik „reformowania” transportu publicznego poprzez likwidację połączeń. Mieszka w Warszawie. Nie posiada prawa jazdy. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Jerzy Wawrowski

(ur. 1957) – studiował historię na UW. Od 1980 r. do początku lat 90. działacz „Solidarności”, od 1986 r. w KPN, najpierw w czasach reżimu w centralnym kolportażu, później w latach 90. szef biura prasowego KPN, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Polskiej KPN”, członek Zarządu Krajowego i Rady Politycznej KPN. Od momentu ustania działalności partii na politycznym urlopie. Obecnie współpracuje z „Templum Novum”. Miłośnik kultury antycznej, piłki nożnej, muzyki dawnej, jazzu i starego dobrego rocka (Led Zeppelin is the best!). Poszukiwacz sprzeczności w literaturze, filozofii i życiu. Mieszka w Warszawie.

Jeanette Wicks-Lim

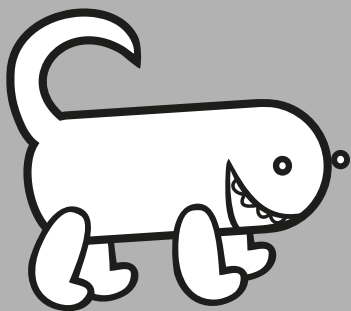
pracownik naukowy w Instytucie Badań nad Ekonomią Polityczną na Uniwersytecie Massachusetts Amherst. Bada rynki pracy i prawa nimi rządzące. Zajmuje się bezrobociem, wpływem płci i rasy na wysokość pensji oraz wpływem płacy minimalnej na gospodarkę.

Krzysztof Wołodźko

(ur. 1977) – na ogół publicysta, bloger (www.consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Pressji”, „Znaku”, portalu ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Richard York

– socjolog na Uniwersytecie Stanowym w Oregonie. Bada wpływ człowieka na zmiany klimatu. Prowadzi zajęcia z socjologii środowiska, statystyki i metod badawczych. Współautor – z Johnem Bellamym Fosterem i Brettem Clarkiem – książki „The Ecological Rift: Capitalism's War on the Earth”.



kampanie/identyfikacja wizualna/
poligrafia/serwisy internetowe/
gry edukacyjne/filmy animowane...

Jesteśmy częścią Organizacji Pożytku Publicznego. Cały nasz dochód zasila działalność statutową Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom”.

kooperatywa.org niezła agencja kreatywna

TO MY
SKŁADAMY TO PISMO
ZATRUDNIJ NAS

i wesprzyj NOWEGO OBYWATELA

www.kooperatywa.org

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

1. zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł
2. wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!)
3. masz szansę na ciekawe i cenne nagrody
4. często dostaniesz drobny upominek dołączony do numeru
5. prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej

TYLKO
50 zł
ROCZNIE

Opłać roczną prenumeratę w banku lub na pocztę i czekaj, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :)
Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłat w wysokości **50 zł** należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI OTRZYMUJĄ



Książkę „Oskar Romero. Pasterz owiec i wilków” wylosowali:

- **Paweł Dwojak** z Warszawy
- **Michał Gawroński** z Pławna
- **Małgorzata Zabiegała** ze Szczurowa
- **Agnieszka Kamińska** z Białegostoku

Książkę „Świat według Monsanto” wylosował:

- **Piotr Stankiewicz** z Torunia

PRENUMERATA NAPRAWDĘ SIĘ OPŁACA

NOWY OBYWATEL

Celem, do którego dążymy, jest państwo, społeczeństwo i kultura zorganizowane wokół idei dobra wspólnego. Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno onnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy – to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy – wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka – nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwizm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę – mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.



**Współtworzysz organizację pozarządową,
która chce rozpocząć działalność odpłatną
lub gospodarczą?**

Realizujesz programy szkoleniowe?

**Współpracujesz z ośrodkiem wsparcia
ekonomii społecznej?**

**Skorzystaj z oferty szkoleniowej praktyków,
od lat łączących działalność gospodarczą
z działalnością pożytku publicznego.**

- Komunikacja społeczna (marketing i public relations) w organizacjach pozarządowych i przedsiębiorstwach społecznych
- Branding i identyfikacja wizualna
- Dziennikarstwo obywatelskie
- Polskie korzenie przedsiębiorczości społecznej
- Zakładanie spółdzielni socjalnych przez stowarzyszenia i fundacje

**Szkolenia, profesjonalne usługi (w tym kreatywne),
partnerstwo w projektach – to tylko niektóre z form
wsparcia, jakie może uzyskać od nas Twoja organizacja.**

Intrygujące?

Zobacz naszą pełną ofertę:

www.soo.org.pl/oferta



Kooperatywa.org to spółdzielnia dobrego dizajnu, forpocza skrzydlatych idei.

Specjalizujemy się w obsłudze marketingowej i poligraficznej organizacji pozarządowych i biznesu odpowiedzialnego społecznie. Mamy mózgi i doświadczenie pracowników agencji reklamowych i serca społeczników. To rzadkie połączenie.

Tworzymy identyfikacje wizualne projektów, plakaty, ulotki, estetyczne i proste w obsłudze serwisy internetowe, gry edukacyjne, filmy animowane...

Opracowujemy kompleksowe strategie marketingowe, składamy książki (te poważne i te szalone) i inne publikacje.



Czyńmy dobro. Razem.